



SZLACHETNE
SERCE

MIEĆ ODWAGĘ, BY MARZYĆ
TOM II

SUSAN ANNE MASON

Susan Anne Mason

Szlachetne serce

Tom II z serii Mieć odwagę, by marzyć

tłumaczenie Anna Plis

Mojej teściowej, Barb, która mi zawsze dopinguje,
szczególnie jeśli chodzi o książki!

I mojej mamie, Irene, która nie do końca rozumie,
o co chodzi w tym całym wydawaniu książek,
ale i tak się cieszy ze względu na mnie!

*Nie lękaj się, bo cię wykupiłem,
wezwałem cię po imieniu; tyś moim!*

Iz 43,1

CZERWIEC 1914
NOWY JORK

– Tam jest! Statua Wolności!

Żywiolowy okrzyk jakiegoś dziecka wzbudził entuzjazm pomiędzy ściśniętymi pasażerami, gdy parowiec zbliżał się do portu w Nowym Jorku.

Maggie Montgomery wyciągała szyję, by po raz pierwszy na własne oczy zobaczyć ten słynny widok. Kiedy tylko stłoczone głowy rozsunęły się na tyle, że mogła dojrzeć olbrzymie uniesione ramię trzymające pochodnię, przeszył ją dreszcz niecierpliwości, tak gwałtowny i mocny jak wiatr, który szarpnął chustką okrywającą jej włosy. Amerykański symbol wolności. Nowego życia.

Jej nowego życia.

Złapała mocno za ramię brata, wołając:

– Dasz wiarę, Gabe? Dotarliśmy do Ameryki!

Gabe skinął ze wzrokiem utkwionym w ten cud piętrzącej się przed nimi olbrzymiej statuy.

– Nie da się zaprzeczyć, to jest imponujące – wyrzekł nabożnym szeptem, który prawie całkiem zniknął w szumie wiatru.

Zacisnęła dłoń na rękawie jego płaszcza, zdając sobie sprawę, że był tak samo poruszony jak ona. Nawet w najśmielszych marzeniach nigdy nie wyobrażała sobie tej chwili, gdy jej skrywane od dawna pragnienie, by móc podróżować i zobaczyć inne strony świata, faktycznie się spełni. A teraz, właśnie tutaj, dokonywała się ta długa podróż, której celem było spotkanie z ich starszym bratem, Rylanem, oraz jego rodziną w Nowym Jorku.

Jakie przygody czekają tu na nią?

Gabe chwycił siostrę za łokieć i rzekł:

– Chodźmy na drugą stronę i popatrzmy na port. Może Rylan już na nas czeka.

Rosły młodzieniec nie miał najmniejszego problemu, by precyzyjnie przycisnąć się wraz z siostrą na przeciwną część pokładu i zająć miejsce koło barierki. Maggie wyczuwała zniecierpliwienie wśród rozmawiających i śmiejących się pasażerów, z których część, tak jak ona, widziało wysokie budynki Nowego Jorku po raz pierwszy w życiu.

Oszalaniające – to było jedyne, co przychodziło jej teraz na myśl. Tak bardzo różne od jej małej wioski w Cork. Malujący się przed nią ogrom sprawiał, że czuła się tak malutka jak mróweczka i, choć z wdzięcznością przyjmowała opiekuńczy uścisk brata wokół kibici, pomagający jej utrzymać się przy barierce, nie mogła powstrzymać nerwowego drżenia, które przenikało jej ciało. Gabe przyciągnął ją bliżej siebie.

– Jest ci zimno, kochanie?

– Nie, to z wrażenia. – *Albo raczej z nerwów.* Ale Maggie nie zamierzała się dzielić akurat tym spostrzeżeniem z nadopiekuńczym bratem. – Tak dawno nie widzieliśmy się z Rylanem. Mam nadzieję, że nas pozna. – Przerwała i popatrzyła w podobne do swoich, szare oczy Gabe’a. – Myślisz, że on się zmienił?

Silny wiatr wzburzył ciemne włosy Gabe’a, zarzucając mu je na czoło. Młodzieniec wetknął czapkę w kieszeń płaszcza, rezygnując z próby utrzymania jej na głowie przy tak mocnych powiewach znad oceanu.

– Nic się nie bój. Po tym, gdy poślubił miłość swojego życia i adoptował malutką Delię, na pewno jest szczęśliwym sobą.

Fakt, że Rylan i Colleen przyjęli do siebie jedno dziecko z sierocińca, którym kierował Rylan, sprawił, że miłość Maggie do jej brata wzrosła jeszcze bardziej.

– Delia musi mieć teraz siedem albo osiem lat.

– Akurat najlepszy czas, żeby zachwycić się pięknem i charakterem swojej cioci Maggie – rzucił Gabe, zaczepnie ciągnąc za jakiś wystający spod jej nakrycia głowy kosmyk włosów.

Pacnęła go w odpowiedzi.

– Daj spokój. Nie jestem piękna. Zwłaszcza w kontekście nowojorskich wymogów. – Uśmiechnęła się. – Czytałam jakieś amerykańskie magazyny, żeby przygotować się na to, co się tutaj nosi. – Szarpnęła za rękaw swojego wysłużonego brązowego płaszcza i dodała: – Obawiam się, że wyjdę na wyjątkowo niemodną.

– O nic się nie martw. Colleen, a także inne damy z rodziny O’Learych z pewnością pomogą ci w kwestii garderoby. Na pewno nie będą miały nic przeciwko, żeby pożyczyć ci jakąś suknię. – Gabe uśmiechnął się szeroko, ukazując tym samym dołeczki w obu policzkach.

Serce Maggie wypełniło się miłością do przystojnego brata, który od tak dawna był dla niej opiekunem. Wiedziała, że Gabe nie był zbyt chętny, by wyruszyć w tę podróż, i że robił to na prośbę matki. Reszta rodziny zgodnie stwierdziła, że ona i Gabe zostaną w Ameryce do końca lata. Wystarczająco długo, jak myślała matka, żeby Gabe zapomniał o politycznych rozruchach w Irlandii. I wystarczająco długo dla byłego adoratora Maggie, by mógł wymazać ją z pamięci i zająć się własnym życiem.

W następstwie pełnych emocji wydarzeń związanych z jej nieudanymi zaręczynami z Neillem Fitzgeraldem, mama bez chwili wahania dała pieniądze na tę podróż. Kiedy jednak nadszedł czas wyjazdu, okazało się, że opuszczenie rodzicielki było najtrudniejszą rzeczą, jakiej doświadczyła Maggie.

– Hej, co tam? Skąd ta kwaśna mina? – zapytał Gabe, szturchając ją. – Wyglądasz, jakby ktoś ci zepsuł przytulankę.

Dyskretnie pociągnęła nosem i uniosła podbródek.

– Tylko trochę tęsknię za domem. I tyle. Tu jest całkiem inaczej, prawda? – Gestem wskazała na

będące coraz bliżej wybrzeże.

– Zgadza się. – Gabe uściśnął ją po raz kolejny i posłał znaczące spojrzenie. – Mama da sobie radę z pomocą Paddy’ego i Claire oraz wnuków. Nie obwiniaj się o nic.

O nic poza sekretem, który chowała w sercu. Ale teraz nie było sensu rozwodzić się nad tym.

Głośne krzyki dochodzące z górnego pokładu przyniosły poruszenie wśród zgromadzonych poniżej ludzi.

– Wygląda na to, że przybijamy do portu. Lepiej pozbierajmy swoje bagaże.

Gdy tylko załoga opuściła trap, zniecierpliwieni pasażerowie pognali w stronę wyjścia. Porwana ogólnym pędem, Maggie zacisnęła jedną dłoń na swojej torbie, a drugą na rękę Gabe’a. Jak im się w ogóle uda znaleźć Rylana w całym tym zgiełku?

Nogi drżały jej podczas pierwszych po siedmiu dniach kroków na stałym lądzie. Skoncentrowała całą uwagę na tym, by utrzymać się w pionie i ledwie była w stanie objąć wzrokiem nadbrzeże i tłumy krzątających się wokół ludzi. Do jej nozdrzy docierał stęchły zapach surowych ryb i niedomytych ciał.

Gabe skierował ją w stronę wolnej przestrzeni pod ścianą i stawiając bagaże na ziemi obok niej, powiedział:

– Zaczekaj tutaj i odpocznij chwilkę. Ja postaram się znaleźć Rylana. – Wyjął czapkę z kieszeni i nasunął na swoje niesforne włosy. – Nie ruszaj się stąd, zanim wrócę. Obiecujesz?

– Obiecuję. – Wcale nie miała zamiaru nigdzie się ruszać. Wystarczało jej, że może obserwować wszystko, co się działo w porcie, mężczyźni rozładowujących okręt i pozostałych pasażerów wylewających się z pokładu. Maggie rozwiązała pod brodą węzeł chustki i zdjęła ją, a potem wetknęła w kieszeń płaszcza. Przez całą podróż swoje długie, ciemne włosy wiązała w warkocz i owijała ciasno wokół głowy w obawie przed wszami albo jakimiś innymi, obrzydliwymi pasożytami.

– Maggie! To ty?

Obróciła głowę w stronę, skąd dobiegał rozradowany głos. Na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech, a oczy wypełniły się mimowolnie łzami szczęścia.

– Rylan!

Najstarszy brat energicznie przepychał się w jej kierunku, nie bacząc na bagaże i stłoczonych ludzi, a potem porwał ją w objęcia. Uściśnęła go mocno, gdy całował ją w oba policzki.

– Ach, Maggie. Wyglądasz jeszcze piękniej niż ostatnim razem, gdy się widzieliśmy. – Rylan otarł łzy wzruszenia.

Maggie uwielbiała go za to, że był tak wylewny i nigdy nie starał się kryć swoich emocji, lecz przeżywał je w pełni.

– Uroczy z ciebie kłamczuch. Wyglądam fatalnie po tygodniu spędzonym na tej rozkołysanej łajbie. – Roześmiała się głośno, ciesząc się, że znów go widzi. – Ty zaś wyglądasz wspaniale.

Małżeństwo ci służy.

Mrugnął do niej i uśmiechnął się szeroko.

– Jakżeby miało być inaczej z tak przepiękną żoną jak moja Colleen?

Maggie uścisnęła go znowu, mówiąc:

– Tak się cieszę, że cię widzę. Bardzo za tobą tęskniłam. – Ucałowała go w policzek. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć moją bratową i bratanicę.

Spotkała małą Delię trzy lata temu, gdy Rylan przywiózł swoją nową rodzinę do Irlandii na dosyć niezwykłą podróż poślubną. Po zakończeniu procesu adopcji Delii, Rylan i Colleen brali ze sobą wszędzie swoją małą córeczkę.

– Colleen równie niecierpliwie wygląda twojego przyjazdu. – Wyprostował się i rozglądnął dookoła. – A gdzie jest Gabe? Nie powinien cię zostawiać samej.

– Szuka ciebie. Nie widziałeś go?

– Nie – odparł, marszcząc czoło. – Mam nadzieję, że nie wpakował się w żadne kłopoty. W okolicy jest trochę podejrzanych typów, którzy tylko wypatrują, jak obrobić kieszenie niczego niepodważających podróżnych schodzących na ląd.

– Bez obaw, braciszku. Nikt nie ruszał moich kieszeni.

Rylan uśmiechnął się i odwrócił, by pochwycić brata w solidnym uścisku.

– Ale to trwało – skwitował Gabe, poklepując Rylana po plecach.

Starszy brat skinął twierdząco.

– Nie masz pojęcia, jak dobrze jest mieć swoją rodzinę po tej stronie oceanu. Chodźcie. Colleen będzie się martwić, jeśli wkrótce się nie zjawimy.

Mężczyźni podnieśli torby podróżne i cała trójka ruszyła w stronę głównej ulicy prowadzącej do miasta. Teraz, gdy czuła się pewniej, Maggie chłonęła każdy detal pełnego kolorów otoczenia – wspaniałych budynków, tak wysokich, że ledwie była w stanie dostrzec ich wierzchołki, jaskrawych ubrań w przeróżnych stylach i oryginalnych akcentów oraz rozmaitych języków wśród mijających ją ludzi.

Przeszli jakieś dwa kwartały, gdy Rylan się zatrzymał.

– Stąd pojedziemy dalej tramwajem, który zabierze nas do mojej dzielnicy – oznajmił i postawił bagaż na ziemi koło znaku. – Nie mamy samochodu, więc musimy korzystać z tramwajów albo chodzić na piechotę.

– Nie musisz się tłumaczyć, Ry. Przecież wiesz, że u nas wszędzie chodzimy – odparł Gabe.

Maggie uśmiechnęła się i dorzuciła:

– Tramwaj to dla mnie luksus.

Tak jak cała ta podróż.

Jedyną kwestią, która przyćmiewała jej entuzjazm było nieustające poczucie winy, które nie odstępowało jej na krok. Każdy myślał, że przyjechała tu tylko na lato, ale tak naprawdę wcale nie zamierzała wracać do Irlandii. Okazja wyjazdu do Ameryki, gdzie mogła uciec od ograniczeń małej wioski i szukać szczęścia w wielkim mieście, to było marzenie, którego Maggie nie zamierzała porzucić. Nawet jeśli miało to oznaczać, że będzie musiała na zawsze pozostawić ukochaną mamę.

Dwadzieścia minut później, po niespokojnej jeździe tramwajem, w którym rzucało nimi gorzej niż na pokładzie bujanego falami statku, Gabe pomógł siostrze zejść po stopniach pojazdu. Postawił torbę na ziemi i zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech.

Widoki mijane podczas jazdy sprawiły, że puls przyspieszył mu bardziej, niż mógł się spodziewać. Ze względu na niespokojną sytuację polityczną w Irlandii wcale nie chciał wyjeżdżać z ojczyzny. Zgodził się na to jedynie dlatego, by mama nie musiała się denerwować samotną podróżą Maggie. Być może trochę niesłusznie, Gabe był przygotowany na to, że będzie darzyć nienawiścią wszystko, co napotka w Nowym Jorku. Jednakże o mało nie spadł z siedzenia, kiedy mijali tutejszą remizę i przez otwarte drzwi zdołał dostrzec błyszczący czerwony wóz strażacki. Poza czasem spędzonym z Rylanem i jego rodziną, Gabe liczył na to, że dowie się, jak działa nowojorska straż pożarna. Miał nadzieję, że uda mu się przywieźć jakieś ciekawe rozwiązania do swojego wiejskiego oddziału w Cork. Wszelkie unowocześnieńia będą mile widziane w ich małym miasteczku.

Po parominutowym spacerze Gabe zwolnił, gdy jego brat zatrzymał się u stóp betonowych schodów.

– To tutaj – oświadczył Rylan i zaczął wspinać się po schodach prowadzących do wysokiego, ceglanoego budynku.

W porównaniu do ich rodzinnej chatki w Irlandii, dom Rylana wydawał się być wielki jak jakieś zamczysko. A jednak Gabe nie zamieniłby bujnych zielonych łąk otaczających ich kryty strzechą dom na nic innego. Przebiegł wzrokiem wzdłuż ulicy, na której w równych rzędach rozciągały się podobne budynki i nie było widać ani śladu żdźbła trawy. Gdzie Delia miała biegać i się bawić?

– Przestań już się gapić i wchodź – rzucił Rylan ze śmiechem.

Pchnięciem otworzył główne drzwi i weszli do długiego, wąskiego korytarza. W oddali rozległ się odgłos szybkich kroków i niemalże w tej samej chwili w ich stronę wybiegła dziewczynka.

– Mamo, pospiesz się. Już są! – Mała blondyneczka podbiegła do Rylana i rzuciła się w jego rozpostarte ramiona.

Rylan rozpromienił się na widok córki.

– Pamiętasz wujka Gabe'a i ciocię Maggie, prawda?

Delia skinęła i schyliwszy głowę, wyznała:

– Pamiętam ciocię Maggie, bo jest taka piękna.

Gabe powstrzymał parsknięcie. Maggie zignorowała go i wyjęła dziecko z objęć Rylana.

– Nie tak piękna jak ty, cukiereczku. Cóż ja bym dała za takie jasne włosy jak twoje – dodała i obsypała policzki dziewczynki pocałunkami, powodując tym samym chichoty małej.

Rylan puścił żonie oko, gdy Colleen stanęła u jego boku i zawołał:

– Jest i moja piękna żona. Już myślałem, że cię porwały irlandzkie skrzaty.

Colleen żartobliwie pacnęła męża w ramię. Trzy lata małżeństwa nie przygasiły jej ognistych włosów i fioletowo-niebieskich oczu.

– Ciii! – zganiła męża i zwróciła się w stronę Gabe'a, by przywitać go uściskiem.

On ucałował ją w policzki, mówiąc:

– Świetnie cię znów widzieć, Colleen.

– Ogromnie się cieszymy, że mogliście nas odwiedzić. Rylan tak bardzo tęskni za rodziną.

Miłość promieniejąca z jej twarzy sprawiła, że Gabe wstrzymał oddech. Jak to musi być, gdy taka wspaniała kobieta darzy cię uczuciem? To nie to, co kaprysy Brigidy, która rzuciła go dla innego strażaka. Gabe stanowczo odrzucił od siebie myśli o jego nieszczęsnej miłości i skupił się na rodzinie brata.

Colleen wzięła w objęcia Maggie.

– Na pewno jesteś wykończona po podróży. Proszę, rozgość się w salonie, a ja nastawię wodę na herbatę.

Rylan wziął od nich płaszcze i powiesił na wieszaku, a potem poprowadził gości przez drzwi po prawej stronie do przytulnego pokoju dziennego, gdzie radośnie trzaskał ogień w kominku. Przed paleniskiem ustawione były dwa fotele i sofa.

Maggie opadła na kanapę, a mała Delia nadal wisiała jej u szyi.

– Masz ochotę na kapkę irlandzkiej whiskey? – zapytał brata Rylan.

Gabe zaprzeczył ruchem głowy, dodając:

– Nie, dziękuję. Miałem jednego kaca za dużo i wyleczyłem się z tej słabostki. Herbata będzie idealna.

Rylan zajął miejsce naprzeciw Gabe'a.

– A jak się czuła mama, gdy wyjeżdżaliście? Czy naprawdę nie miała nic przeciwko, żebyście przyjechali tutaj we dwójkę?

– Zupełnie. Sama chciałaby przyjechać, ale jej zdrowie nie jest jeszcze w najlepszym stanie. Paddy i Claire zajmą się nią podczas naszej nieobecności. Także Tommy i Eileen będą pomagać.

Cień smutku przemknął przez rysy Rylana.

– Szkoda, że nie mogę wyrwać się na jakiś miesiąc i jechać z wizytą do domu, ale sierociniec ostatnio pęka w szwach i nie mógłbym zostawić wszystkiego na głowie Colleen.

– Aha? Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – Maggie puściła oko Rylanowi ponad głową Delii.

Gabe spodziewał się trochę, że po przyjeździe zastanie Colleen brzemienną, jednakże jej szczupła sylwetka nie zapowiadała rychłego nadejścia bratanicy lub bratanka.

Rylan zmarszczył brwi i powiedział:

– Nie, i to dosyć delikatny temat, więc wolałbym, żeby nikt z was nie wspominał o tym, o ile ona sama nie poruszy tej kwestii.

– A więc, Rylanie – zaczął Gabe, korzystając z okazji do zmiany tematu – czy jest taka możliwość, żebyś oprowadził mnie jutro po najbliższym posterunku straży pożarnej?

– Czy ty tylko o tym umiesz myśleć? – zapytała Maggie, przewracając oczami. – Nie możesz choć na chwilę zapomnieć o pożarach?

– Nie, jeśli ma to we krwi, moja droga siostró. – Rylan podniósł się i zaczął szturchać palące się polana, z których z sykiem uniósł się wyższy płomień. – Prawdę mówiąc, znam się dosyć dobrze z komendantem Witherspoonem. Regularnie przeprowadza kontrole w sierocińcu. Mógłbym zorganizować ci taką wycieczkę, jeśli chcesz.

– Byłoby świetnie. Im prędzej, tym lepiej.

Rylan roześmiał się.

– Widzę, że od tego zamknięcia na łodzi zrobiłeś się bardzo niecierpliwy. Nic się nie martw. Na pewno uda mi się znaleźć chwilkę jutro, żeby cię tam zabrać.

Gabe poczuł przeszywający go dreszcz podniecenia i serce zabiło mu szybciej. Gdy tylko uda mu się poznać od środka słynne nowojorskie komendy strażackie, wróci do kraju jak bohater i będzie mieć szansę uzyskać awans w pracy.

Na samą myśl o tym uśmiechnął się i poczuł, że ta niechciana podróż do Ameryki może okazać się dużo znośniejsza.

Ostre szczęknięcie metalu odbiło się echem wśród wilgotnych korytarzy nowojorskiego więzienia, gdy drzwi celi zamknęły się za nim. Adam O'Leary wyprostował zgarbione plecy i przygotował się na swój ostatni spacer głównym więziennym korytarzem. Powinien czuć radość, ekstatyczną satysfakcję w związku z wypuszczeniem go z zamknięcia po prawie trzech latach. A jednak żołądek ścisnął mu nerwowy strach. Jak będzie wyglądać jego spotkanie z rodziną – tą religijną, ukształtowaną moralnie rodziną – po procesie i uznaniu go winnym przewinień?

Stęchły smród niemytych ciał niósł się po korytarzu, aż dotarł do ostatniej kraty. Strażnik zagrzechotał pękiem kluczy i wybrał jeden z nich, by otworzyć drzwi, a potem wyprowadził Adama na zewnątrz. Szli dalej razem do dużego pomieszczenia, w którym znajdowała się wysoka lada i kilka długich ławek.

– Niechętnie, ale muszę przyznać, O'Leary, że będę tęsknił za twoją paskudną mordą. – Człowiek, którego Adam znał tylko jako Sarge, skrzywił lekko usta, co miało być chyba uśmiechem.

Adam skinął i obdarzył go szczerym spojrzeniem.

– Dziękuję, Sarge. Za wszystko. Dzięki tobie życie w tej dziurze było choć trochę bardziej znośne. – Adam wyciągnął rękę, nie do końca pewny, czy Sarge przyjmie jego dłoń. Ale mężczyzna pochwycił ją w swoją szeroką łapę i mocno ścisnął.

– Powodzenia tam na zewnątrz, chłopie. I staraj się tym razem trzymać z dala od kłopotów.

– Postaram się.

Sarge poklepał go po raz ostatni po ramieniu, a potem Adam został sam na sam z zasiadającym przy biurku urzędnikiem. Gdy tylko podpisał wymagane dokumenty, mężczyzna wręczył mu brązową paczkę, która zawierała jego zużyty skórzany portfel i zegarek kieszonkowy.

– Dostajesz pieniądze na zakup biletu w jedną stronę, po tym jak znajdziesz się na lądzie. – Mówiąc to, urzędnik przesunął po blacie w jego kierunku kilka banknotów. – Łódź patrolowa czeka na ciebie w porcie. I nie pokazuj mi się tu już więcej. – Szorstkie ostrzeżenie wcale nie pasowało do wyrazu, który malował się w oczach mówiącego.

– Nie zamierzam wracać, sir. Dziękuję. – Adam wsunął pieniądze do portfela i wetknął go do tylnej kieszeni. Ciężar skózanego przedmiotu sprawił, że spodnie zawisły mu na biodrach, przypominając dodatkowo o kilogramach, które stracił od czasu przybycia do tego miejsca. Miał nadzieję, że wyborna kuchnia pani Harrison poprawi wkrótce ten stan rzeczy.

O ile tylko ojciec pozwoli mu wrócić do domu.

Adam narzucił na siebie marynarkę i naciągnął czapkę na rozwichrzone kasztanowe włosy. Teraz z pewnością przydałby mu się dobry fryzjer i golibroda. Z ponurym wyrazem twarzy wziął małą torbę, w której miał swoje jedyne ubranie na zmianę, uchylił czapkę przed urzędnikiem i skierował się do głównego wyjścia.

Niecałą godzinę później wysiadł z łodzi patrolowej na przystani przy Wschodniej 34 ulicy.

Jaskrawe słońce oślepiło go na chwilę, gdy szedł wzdłuż przejścia w stronę drogi. Na rogu Pierwszej Alei zatrzymał się, próbując zorientować w swoim położeniu. Odzwyczał się już od pędzących ludzi, samochodów i koni na ulicach. Rozległ się dźwięk dzwonka przejeżdżającego obok tramwaju – dźwięk, którego Adam nie słyszał od wieków. Czyste niebieskie niebo i długie arterie kusily go. Zamiast tego, zwrócił się w kierunku dworca, gdzie miał wsiąść w najbliższy pociąg zmierzający na Long Island.

Przeszedł parę przecznic, ciesząc się wolnością samodzielnego spaceru bez pary oczu strażnika, który obserwowałby każdy jego ruch. To było jak rozpusta, radować się świeżym powietrzem i nie musieć znosić potu i mozołu rozłupywania skał. Szedł w stronę dworca kolejowego, ale zwolnił kroku, gdy okolica stała się bardziej znajoma. Przyciągany w to miejsce, jakby wbrew własnej woli, ruszył szybciej i dotarł pod dobrze znany mu adres.

Adam zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, naprzeciw wysokiego, ceglanego budynku przy Lexington Avenue i stał po prostu, wpatrując się w to miejsce. Napis na grawerowanej mosiężnej tablicy głosił: „Dom dziecka im. św. Rity”. Porównując obecny stan budynku z tym, który zapamiętał, Adam dostrzegł kilka subtelnych zmian, jakie przypisywał działaniu swojej siostry i jej męża, Rylana, który był tutaj nowym kierownikiem. Miłe dla oka donice z kwiatami ozdabiały betonowe schody prowadzące do głównego wejścia. Na oknach parteru poustawiane były także kwitnące kolorowo skrzynki. Colleen zawsze uwielbiała świeże kwiaty.

Tocząc wewnętrzną walkę, Adam przeszedł przez ulicę. Nie zamierzał nachodzić Colleen, ale pokusa ujrzenia jej wygrała. Przez otwarte okno dochodziły go głosy dzieci. Piskliwe okrzyki maluchów wzbudziły w nim jakąś tęsknotę. Czy on kiedykolwiek w ogóle czuł się tak beztrosko? Nawet jako dziesięcioletni chłopiec rzadko się śmiał albo oddawał niefrasobliwym zabawom. W przeciwieństwie do mieszkających za tymi murami sierot, miał w życiu wszystko, czego potrzebował, a jednak mimo to, wydawało się, że one były szczęśliwsze niż on.

Odsunął od siebie narastający przypływ żalu i przywołał w myślach pełną życia osobę swojej siostry, która doglądała potrzeb tych dzieci. Żałował, że nie ma na tyle odwagi, żeby wejść po schodach, wziąć ją w objęcia i powiedzieć jej, jak bardzo za nią tęsknił przez te wszystkie lata. Ale niepewność co do tego, jak go przyjmą, wstrzymywała go w miejscu. Pomimo kilku listów, które otrzymał od Colleen w czasie, gdy był w więzieniu, Adam nie potrafił do końca odgadnąć, jakie uczucia żywiła do niego siostra. Czy przyjęłaby go, czy raczej wyrzuciła? Nie winiłby jej za to drugie posunięcie, mając na uwadze fakt, że nawet nie zjawił się na jej ślubie. Gdyby tylko wtedy wiedział, że parę tygodni później nie będzie już na wolności, bo zostanie aresztowany podczas nalotu policji na Lucky Chance Saloon, z pewnością dokonałby innego wyboru.

A to był tylko jeden z wyrzutów, które obecnie go prześladowały.

Wetknął ręce w kieszenie marynarki i niechętnie odwrócił się od wejścia, gotowy opuścić to miejsce. W tym jednak momencie pełne entuzjazmu okrzyki dobiegające z boku budynku przyciągnęły jego uwagę. Idąc za hałasem, obszedł dom boczną dróżką i znalazł się w alejce prowadzącej na podwórko z tyłu, odgródzone wielką żelazną kratą. Był na tyle wysoki, że mógł widzieć, co się dzieje ponad przyległym żywopłotem.

– Biegnij, Billy. Dasz radę! – wysoki chłopak krzyczał do swojego kolegi, który obiegał coś, co miało być chyba kolejnymi bazami zrobionymi z płóciennych worków.

Na drugim końcu tego trawiastego boiska, podciągając do kolan spódnicę, ciemnowłosa kobieta biegła za piłką. Jednym płynnym ruchem pochwyciła ją i rzuciła w stronę chłopca czekającego na drugiej

bazie. Pomimo jej herkulesowego wysiłku, biegacz zdołał bezpiecznie dotrzeć do celu. Pojedyncze jęki zawodu starły się z wiwatami. Kobieta śmiała się i wracając na miejsce, powiedziała:

– Nieźle, Billy. Kto teraz bierze kij?

Jej silny irlandzki akcent przykuł uwagę Adama. Brzmiała tak, jakby dopiero co wysiadła z parowca płynącego prosto z Irlandii.

Drobna dziewczynka o blond włosach podbiegła do niej i złapała za spódnicę, wołając:

– Panno Montgomery, muszę do łazienki.

Panna Montgomery przykucnęła przed maluchem i ujmując jej dłoń, zapytała:

– Jak masz na imię, kochanie?

– Sarah.

Kobieta skinieniem ręki przywołała jedną ze starszych dziewczynek stojących po drugiej stronie boiska.

– Czy mogłabyś, proszę, iść z Sarą do środka?

– Tak, proszę pani. – Podeszła i ujęła Sarę za rękę, a potem zniknęły Adamowi z oczu.

– A czy pan Rylan mógłby wyjść i z nami pograć? – zapytał panny Montgomery chłopiec z potarganymi włosami.

– Teraz nie, pracuje – odpowiedziała, a potem krzyżując na piersi ramiona i udając, że marszczy w grymasie niezadowolenia swój lekko zadarty nos, zapytała: – Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem dla was wystarczająco dobra?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

– Nie jest pani zła... jak na dziewczynę.

Mruknawszy teatralnie, bez wątpienia na pokaz, zaczęła gonić brzdąca. Ten tylko pisnął i dał nura obok niej. Adam był tak zajęty obserwowaniem całej tej sceny i ujmującej młodej kobiety, że zbyt późno dotarło do niego, że chłopiec zmierzał prosto w stronę bramy, przy której właśnie stał. Szybko skrył się za wysokim żywopłotem odgradzającym go od podwórka. Czy zdążyli go zauważyć?

Głośne szepty zmroziły go. Ucieczka nie miała sensu. Tylko by zwrócił na siebie uwagę, uciekając z miejsca zbrodni. Ostatnim razem, gdy tego próbował, nie skończyło się to dla niego dobrze.

Brama otworzyła się, skrzypiąc, jakby zawiasy chciały wyrazić swój protest. Szum materiału obszernej spódnicy był coraz bliżej i zanim Adam zdołał wziąć oddech, kobieta podeszła i stała tuż przed nim.

– Czy mogę w czymś panu pomóc, sir? – Choć pytanie pozornie było grzeczne, z wyrazu jej twarzy i tonu głosu łatwo dało się wyczytać podejrzliwość.

Jej oczy, w chłodnym, zielonoszarym odcieniu, działały na niego hipnotycznie. Zamrugał i wyprostował się, wychodząc zza swojej zielonej kryjówki.

– Nie, dziękuję, proszę pani.

Oparła na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie.

– Co pan tu robi, szpiegując tak nas?

Ależ zadziorna. Mimo że przewyższał ją o głowę, nie okazała ani cienia strachu. Adam przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Jak miał wyjaśnić swoje zachowanie?

– Przykro mi, jeśli stałem się powodem jakiegoś niepokoju. Głosy dzieci przywabiły mnie tutaj.

– Uchylił czapki i skinął szybko. – Dobrego dnia pani życzę.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Stóp odzianych w zużyte buty, poprzez zbyt duże ubranie, które wisiało na jego ramionach, aż po głowę okrytą czapką, która nie była w stanie ukryć jego zmierzwionych włosów. Co sobie o nim mogła myśleć? Nieszczęśliwy kłoszard poszukujący jałmużny? Serce waliło mu w piersi... i wcale nie było to niemiłe. Po raz pierwszy od lat czuł, że może żyć pełnią życia, doświadczać wszystkich uczuć.

Przeszyła go groźnym wzrokiem, jakby chciała obrzucić go kolejną naganą, ale zamiast tego uniosła brodę i rzekła:

– Proszę się tu nie kręcić albo będę musiała wezwać policję.

– Nie ma takiej potrzeby, panienko. Już sobie idę. – Tak bardzo chciał zapytać o Colleen, ale to postawiłoby jego siostrę w niezręcznej sytuacji, gdyż musiałaby się tłumaczyć z tego, kim on był i dlaczego nie chciał wejść do środka, żeby z nią porozmawiać.

Z dziwną niechęcią, której sam nie był w stanie sobie wytłumaczyć, odwrócił się i skierował się w stronę dróżki prowadzącej na główną ulicę, w duchu żałując, że nie spotkał tej miłej panny Montgomery wcześniej, zanim zniszczył swoje życie.



Maggie kroczyła po miłym pluszowym dywanie, którym wyściełany był główny korytarz domu dziecka.

– Nigdy bym się nie spodziewała, że sierociniec może być taki piękny – wyznała do idącej obok Colleen.

Wcześniej Maggie opiekowała się dziećmi na zewnątrz, niespodziewanie dołączając do ich gry w softballa, kiedy Colleen musiała zająć się pilną kwestią związaną z zamówieniem produktów spożywczych do kuchni. Teraz już mogła się całkowicie skupić na obiecany jej zwiedzaniu domu dziecka.

Colleen uśmiechnęła się.

– Wierz mi, wiem, co czujesz. Kiedy przybyłam tu po raz pierwszy, wyobrażałam sobie szczury

biegające po korytarzach i hordy dzieciaków w łachmanach.

Maggie roześmiała się głośno.

– Masz bogatą wyobraźnię.

– Oj, mam. – Colleen, śmiejąc się, otworzyła drzwi do jednego z pomieszczeń i wprowadziła tam Maggie. – Małżeństwo, które podarowało ten budynek siostróm, chciało, by był jak najlepiej umeblowany i wykończony. Pragnęli, żeby te nieszczęśliwe dzieci, które straciły najważniejsze osoby w życiu oraz własne domy, mogły być tu otoczone opieką i miłością.

– Z tego, co widzę, dzieci wydają się doceniać to wszystko, co mają.

– Większość. – Colleen poprowadziła ją przez kolejne drzwi. – To jest wspólna sala. Korzystamy z niej na potrzeby większych zgromadzeń, począwszy od modlitwy po występy muzyczne.

Każdy szczegół olbrzymiego pomieszczenia przygasł w chwili, gdy Maggie dostrzegła wielkie pianino. Przyciągana siłą, której nie potrafiła poskromić, podeszła do wspaniałego instrumentu i z uwielbieniem przesunęła palcami po mahoniowych rzeźbieniach.

– Zostało nam ofiarowane przez to samo małżeństwo. Z tego, co mi mówiono, kobieta znakomicie grała na pianinie. Czy ty też potrafisz grać?

Maggie podniosła wzrok i skrzyżowała go z zaciekawionym spojrzeniem Colleen.

– Tak. Na pianinie i na organach – odparła i z nabożnym skupieniem musnęła klawisze, wylapując czujnie delikatny dźwięk. – Zarabiałam dodatkowo, dając lekcje dzieciom, których rodziców było na to stać.

Colleen uniosła ze zdziwieniem brew.

– Nie przypominam sobie, żebym podczas naszej wizyty widziała gdzieś u was w domu pianino.

– Proboszcz pozwalał mi używać kościelnego instrumentu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mi grania.

– Możesz spokojnie na nim grać, gdy tylko dzieci nie będą miały lekcji. A właśnie... chodź, pokażę ci salę lekcyjną.

Z pewnym ociąganiem Maggie oderwała się od pianina, obiecując sobie, że skorzysta z okazji, gdy tylko będzie mogła, a potem ruszyła za Colleen do pomieszczenia obok.

Maggie objęła wzrokiem rzędy biurerek, półki z książkami i powieszoną z przodu sali tablicę.

– Wspaniała. Dużo miłsza niż nasze sale w Irlandii. – Nagle poczuła, jak ścisła ją tęsknota za jej rodzimą szkołą i podopiecznymi.

Colleen rozpierała widoczna duma.

– *Jest* miła, prawda? Zapewne, jako nauczycielka, chętnie przyjrzyysz się jej dokładnie.

– Ależ tak. – Maggie podeszła do biblioteczki i przesunęła palcem po grzbietach książek. Wysoka szafka na końcu sali wyraźnie ją zainteresowała. – Czy mogę?

– Oczywiście.

Maggie otworzyła drzwiczki i zobaczyła istną skarbnicę: ołówki, pióra, buteleczki atramentu, stosy papieru, linijki i pudełka z kredą. Wdychała zapach, który przypominał jej ten z własnej klasopracowni, i ponownie poczuła ukłucie tęsknoty za domem. Miała nadzieję, że jej uczniowie jakoś sobie bez niej radzą.

Colleen poprawiła żaluzje w jednym z okien wychodzących na ulicę.

– Maggie, czy chciałabyś pomagać dzieciom w nauce podczas swojego pobytu tutaj? Zawsze nam się przyda dodatkowa para rąk, zwłaszcza przy najmłodszych.

Maggie klasnęła w dłonie i radośnie odparła:

– Miałam nadzieję, że o to zapytasz. Z radością, o ile tylko siostry nie będą miały nic przeciwko.

Colleen uśmiechnęła się.

– Siostra Weronika przyjmie cię z otwartymi ramionami. Masz szczęście, że siostra Małgorzata już prawie w ogóle nie pracuje. Trzeba się było z nią liczyć, gdy uczyła.

Na twarzy Maggie pojawił się szeroki uśmiech. Zamykając szafkę, rzuciła:

– Coś mi się zdaje, że Rylan wtajemniczył mnie w tę historię... coś tam było o tobie i rozlanym atramencie?

Policzki Colleen spąsowiały.

– To niewiarygodne, że on ci to wszystko opowiedział.

Maggie puściła jej oko.

– Rylan chyba właśnie wtedy się w tobie zakochał. A może to było wtedy, gdy pomagał ci przy wykolejonym powozie i oboje wylądowaliście w błocie.

Colleen podparła się pod boki i rzekła wojowniczo:

– Widzę, że nic się tutaj nie uchowa w tajemnicy. Czekaj, aż zobaczę się z mężem wieczorem. Już ja mu powiem do słuchu. – Następnie wybuchnęła śmiechem, który zdradził jej prawdziwe myśli.

Maggie wyszła za nią na korytarz.

– Ty i Rylan macie wielkie szczęście. Jesteście razem i możecie wspólnie pracować na tak ważne dzieło. – Przejęło ją uczucie tęsknoty. – Mam nadzieję, że pewnego dnia też mi się tak uda.

Colleen poklepała ją po ramieniu.

– Przykro mi z powodu twoich nieudanych zaręczyn. Ale masz zaledwie dwadzieścia lat. Jeszcze tyle czasu przed tobą.

Myśli o Neillu Fitzgeraldzie – te, które Maggie starała się tak bardzo zostawić za sobą w Irlandii – powróciły w pamięci, przynosząc ze sobą falę żalu w związku z tym, jak zakończyła się ich relacja. Wyglądało na to, że małżeństwo z Neillem nie było jej przeznaczeniem.

– Może i tak... W międzyczasie zajmę się pomaganiem dzieciom. Jestem przekonana, że to moje życiowe powołanie. – To i jej muzyka. Pomyślała, że mogłaby nauczyć dzieci grać parę prostych melodii podczas swojego pobytu tutaj, dzięki czemu zasiałaby w nich zamiłowanie do muzyki.

Zerknęła na Colleen i zdążyła dostrzec cień smutku, który przemknął przez jej oblicze.

– Ja także ostatnio myślałam o swoim życiowym powołaniu. – Colleen stanęła w holu i złożyła ręce przed sobą na sukni. – Być może te dzieci będą jedynymi, którymi dane mi będzie się opiekować. – Wzruszyła nieznacznie ramionami. – Nie zrozum mnie źle. Jestem bardzo wdzięczna za Delię, ale trudno mi zaprzeczyć, że bardzo pragnęłabym własnego dziecka.

Maggie uścisnęła ramię bratowej.

– Chyba każda kobieta tego pragnie. Obiecuję podwoić swoje westchnienia do nieba w twojej intencji.

– Dziękuję. Im więcej modlitw, tym lepiej. – Colleen wyprostowała plecy i starała się pozbierać. – Powinnyśmy przyprzrowadzić dzieci na lunch. Robią się marudne, gdy są głodne.

Kiedy Maggie szła za Colleen w stronę tylnego wyjścia, nagle przypomniała sobie o nieznanym stojącym przy bramie.

– Nie chciałam cię niepokoić, Colleen, ale dzisiaj wcześniej widziałam mężczyznę obserwującego dzieci przy tylnej bramie. Odgoniłam go. Jednak wydaje mi się, że powinnaś o tym wiedzieć.

Maggie przypomniała sobie rozmięzwione rude włosy mężczyzny, zaniedbaną brodę i niewysłowioną rozpacz, którą emanował. A jednak coś się kryło pod tą rozpaczą – jakiś rodzaj żalu, który szczególnie do niej przemawiał, przez co nie odczuwała przed nim lęku.

Colleen zmarszczyła lekko brwi.

– To mógł być jakiś rodzic, próbujący zobaczyć choć na chwilę swoje dziecko, które musiał zostawić tu z jakiegoś powodu. Powiem innym opiekunom, by byli czujni i pilnowali dzieci, gdy będą na zewnątrz.

– Dobrze. Myślę, że odrobina ostrożności nikomu nie zaszkodzi.



Irlandzkie Łąki. Jeszcze nigdy te dwa słowa nie zawierały w sobie tyle miłości i nienawiści naraz.

Adam zwolnił kroku, kiedy zbliżył się do długiej, wijącej się drogi, prowadzącej do rezydencji

jego rodziców na Long Island, do domu jego dzieciństwa. Gdyby miał inne miejsce, do którego mógłby się udać, poszedłby tam bez wahania. Jednakże był teraz bez pieniędzy, a poza tym nie zamierzał po raz kolejny zranić matki. Gdyby dowiedziała się, że wyszedł z więzienia, a nie chciał się z nią zobaczyć, nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Wyprostował się i odrzucił od siebie lęki, które próbowały go opanować. Obawiał się, że ojciec wpadnie w szal na jego widok, ale wiedział, że musi to znieść dla dobra matki.

Kiedy dotarł do dwóch ceglanych kolumn połączonych łukiem, które stanowiły bramę do rezydencji, ścięło go poczucie niedowierzania. Nad wejściem zawieszony był nowy emblemat, którego widok zalał go goryczą.

Irlandzkie Łąki: O'Leary and Whelan Enterprises.

Poczuł potężny zastrzyk gniewu przepływający w jego żyłach. Ta krwiopicza gadzina dokonała tego. Zmusił ojca do włączenia go w rodzinny interes. Gilbert Whelan, sierota, którego rodzice Adama przyjęli pod swoje skrzydła, zajął jego miejsce w rodzinie. Adam zacisnął dłonie w pięści. Gdyby Whelan był tu teraz, z pewnością chętnie mocnym ciosem posłałby go aż na rozciągające się za domem pastwiska.

Adam przeszedł przez bramę, usiłując ugasić oburzenie słowami, które starał się mu wpoić kapelan więzienny. „Boże, daj mi mądrość, bym zaakceptował przeszłość i odwagę, bym z czystym sercem zmierzył się z przyszłością”.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Nic nie zmieni przeszłości, którą opłacił swoją wolnością. Ale Adam mógł zmienić swoją przyszłość. I pierwszym krokiem, by osiągnąć ten cel, będzie zrezygnowanie z dawnych animozji.

Im bliżej był domu, tym bardziej czuł, jak mocno spocone miał dłonie. W rzeczywistości był jak syn marnotrawny powracający, by prosić o poślednie zajęcie na farmie ojca. Jeśli będzie musiał sprzątać stajnie, karmić zwierzęta albo nawet spać w oborze, przyjmie to. Cokolwiek, byle tylko odzyskać zaufanie i szacunek matki. Nie mógł znieść myśli o bólu, jaki sprawił tej jednej osobie, która przez całe życie kochała go bezwarunkowo.

A jednak w tym momencie czuł, jak opuszcza go odwaga. Gdyby tylko udało mu się złapać samą mamę, wszedłby bez wahania głównym wejściem. Ale na myśl o grymasie, który stale wykrzywił twarz ojca w jego obecności, Adam wolał odłożyć w czasie to spotkanie.

Obszedł dom i skierował się w stronę jasnego, białego ogrodzenia otaczającego łąki na wschodniej części posiadłości oraz wyznaczającego w środku owalny tor wyścigowy. Ciepłe słońce grzało go w plecy przez marynarkę. Ziemia była świeżo zrównana, najprawdopodobniej przez głównego trenera, Sama Turnbulla, który chętnie wstawał o świcie i każdego poranka przygotowywał tor.

Z ponurą determinacją Adam odwrócił wzrok od wierzby oceniającej w oddali staw, przypominającej o niewysłowionej tragedii, która jeszcze bardziej podkopała jego i tak kruchą więź z ojcem.

Huk kopyt na miękkiej ziemi przykuł jego uwagę z powrotem do toru. Na szczęście trener przejechał, nie spoglądając nawet w jego stronę. Chyba tak z przyzwyczajenia, po pobycie w więzieniu, gdzie pozostawanie anonimowym było kwestią przeżycia, Adam automatycznie skrył się w cieniu klonu

i przemknął w stronę oddalonej stajni – miejsca, które było dla niego niczym raj od chłopięcych lat.

Zapach wiórów i siana powoli koił jego nerwy. Wziął głęboki oddech, upajając się tym dawnym odczuciem. Gdy tylko wzrok przyzwyczał się do przyciemnionego wnętrza, przeszedł wzdłuż boksów. O tej porze dnia wszystkie konie pociągowe albo pracowały w polu, gdzie pomagały przy zaoraniu pól, na których ojciec hodował siano na pasze, albo pasły się na zachodnich łąkach. Adam minął kwaterę Sama i przeszedł do niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdował się stół warsztatowy.

Poczuł, jak emocje zbierają się mu w gardle. Nic nie zmieniło się od czasu, gdy wyjechał. Te same zużyte narzędzia poukładane były z jednej strony poznaczonego nacięciami blatu. Adam czule przesunął palcami po kawałku drewna, które Sam ostatnio szlifował. Ile to lat minęło, odkąd Adam po raz ostatni mógł stworzyć jakiś mebel? Albo jakiś odnowić? Nie miał okazji oddawać się swojej pasji obróbki drewna, od kiedy opuścił Irlandzkie Łąki. Od kiedy dał się wciągnąć w bagno kryminalnego światka.

Ujął w dłoń wiórki ze stołu i pozwolił im rozsypać się między palcami.

– A więc wreszcie wróciłeś do domu. – Zza pleców Adama, od strony wejścia rozległ się szorstki głos Sama Turnbulla.

Adam wyrzucił trzymane w dłoni wiórki i zwrócił się twarzą w stronę mężczyzny, który był dla niego zarówno nauczycielem, jak i przyszywanym ojcem.

– Witaj, Samie. Kopę lat. – Nie do końca pewny, jak mężczyzna go powita, Adam otrzepał dłonie z kurzu i czekał.

– W rzeczy samej, synu. – Sam podszedł bliżej i bez wahania pochwycił Adama w mocnym uścisku.

Adam wdychał znany mu zapach drewna i koni, nadaremnie próbując sobie przypomnieć, kiedy ktoś po raz ostatni tak go uściskał.

Sam odchrząknął i cofnął się o krok.

– Kiedy wróciłeś do domu?

Adam powstrzymał się od śmiechu. W ustach Sama to brzmiało tak, jakby udał się gdzieś na jakąś egzotyczną wycieczkę, a nie siedział w zamknięciu we wnętrznościach ziemi. Napotkawszy jego milczące spojrzenie, odparł:

– Dzisiaj rano. Przyjechałem pierwszym pociągiem.

– Jak cię tam traktowali?

– Całkiem nieźle.

Sam podrapał się po siwiejącej koziej bródce.

– Wiesz, Adamie... Przepraszam, że ani razu cię nie odwiedziłem... – Przerwał.

– W porządku, Samie. Nie oczekiwałem tego od nikogo.

Sam westchnął.

– Twoja matka pewnie każe pani Harrison przygotować dla ciebie ucztę. – Zmrużył oczy. – Czy ona już wie, że wróciłeś?

– Jeszcze nie. Nie potrafiłem tam od razu pójść. – Adam przeczesał dłonią rozczochrane włosy.

– Pewnie przydałaby ci się gorąca kąpiel i świeże ubrania.

– Chętnie.

– O ile mi wiadomo, wszyscy są poza domem. Może pójdziesz i odświeżysz się przed spotkaniem z nimi?

Adam poczuł, jak zalewa go poczucie ulgi.

– Chyba tak właśnie zrobię. – Będzie mu dużo łatwiej stanąć przed ojcem, gdy będzie się czuł sobą, a nie jak jakiś włóczęga.

Sam położył rękę na ramieniu Adama i przeszedł z nim przez stajnię. W głównych drzwiach Adam zawahał się, ale zmusił się i zadał to pytanie, które powinien:

– Wiesz może, czy ojciec potrzebuje kogoś do pracy w stajni?

Współczucie wypełniło brązowe oczy Sama.

– Będziesz musiał zapytać Gilberta. On teraz zajmuje się najmem pracowników.

Ależ oczywiście, że on. Ironia tej sytuacji uderzyła go niczym cios wymierzony prosto w brzuch. Czyżby to była dalsza kara od Boga? Musiał nie tylko wyrzec się chowanej przeciwko Gilowi urazy, ale też płaszczyć się u jego stóp, prosząc o jakąś poślednią pracę na farmie, którą zawsze darzył nienawiścią? Adam zmusił się, by przywołać w pamięci obraz zimnych, stalowych krat, które ograniczały jego swobodę wśród zawilgoconych ścian więzienia. Tu, w Irlandzkich Łąkach, mógł być na wolnym powietrzu, miał zieloną trawę i niebieskie niebo. Jeśli ceną za to miało być ukorzenie się, niech i tak będzie.

Uśmiechnął się cierpko w stronę starego przyjaciela.

– Porozmawiam potem z Gilem.

– Cieszę się, że wróciłeś, synu.

Adam skinął i przełknął kurz, który zalegał mu w gardle, a następnie wyszedł na zewnątrz.

Gdyby tylko jego ojciec podzielał tę radość.

Adam kończył się ubierać, modląc się w duchu, żeby nikt nie nakrył go tutaj, w jego dawnym pokoju. Służące, zgodnie ze zwykłym planem dnia, o tej porze wypełniały obowiązki w innej części domu, a wszyscy członkowie rodziny po powrocie od swoich zajęć, zapewne czekali już w salonie, aż zawoła się ich na obiad.

Stanął przed lustrem, poprawił mankiety marynarki i przyjrzał się swojemu odbiciu. Kąpiel i szybkie przycięcie kasztanowych włosów oraz brody, a także czyste ubrania znacznie poprawiły jego wygląd, tak iż mógł określić go jako przyzwoity. Mimo to czuł w brzuchu nieustający nerwowy ucisk. Jak rodzina zareaguje na jego powrót? Mama z pewnością będzie niezmiernie uradowana, podobnie jak jego rodzeństwo. Adam modlił się tylko, żeby ich radość złądziła jakąś reakcję ojca.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę. Obiad miał być podany tuż-tuż. Wyprostował plecy i omiół wzrokiem dobrze znaną mu sypialnię, którą matka kazała zachować w takim stanie, jak przed jego wyjazdem. Potem zamknął drzwi i zszedł na dół, by przywitać się z rodziną.

Dźwięk ożywionych głosów dotarł do jego uszu, gdy tylko znalazł się na parterze. Zatrzymał się na moment i patrzył, chłonąc piękno eleganckiego domu – mahoniowych balustrad, olbrzymiego żyrandola wiszącego u sufitu oraz marmurowego wejścia. Gdy dorastał, traktował ten luksus jak coś normalnego, ale po pobycie wśród betonowych ścian i żelaznych krat, jego dom wydawał się teraz królewskim pałacem.

Tubalny śmiech ojca było słychać już w przedpokoju. Adam skulił się, wyobrażając sobie, jak ten dobry humor wkrótce ulegnie zmianie.

Stojąc w drzwiach wejściowych prowadzących do salonu, Adam zajrzał do środka i przez chwilę przyglądał się zastanej tam scenie. Ojciec siedział w swoim ulubionym fotelu koło kominka, z twarzą zasłoniętą gazetą. Młodsze rodzeństwo Adama, Deirdre i Connor, usadowili się na kanapie po obu stronach matki.

Adam odczuł, jak ściska go w gardle, kiedy zauważył siwe pasma przetykające kasztanowe włosy mamy. Wokół jej oczu i ust dostrzegł drobne zmarszczki, które były kolejną oznaką mijających lat. Ponownie doświadczał palącego poczucia winy, mając na uwadze ten ból, który jej wyrządził, co najprawdopodobniej jeszcze przyczyniło się do tych zmarszczek. Nawet gdyby miało mu to zająć całe życie, chciał jej to wynagrodzić – w ten lub w inny sposób.

Zebrawszy się w sobie, Adam wszedł do salonu.

– Mam nadzieję, że nie spóźniłem się na obiad. – Ze wszystkich sił starał się, by jego wypowiedź brzmiała radośnie i dodatkowo okraszył ją mizerną próbą uśmiechu.

Przez parę sekund wydawało się, jakby czas się zatrzymał. Cztery pary oczu zwróciły się na niego. Gazeta ojca spadła na podłogę, a matka gwałtownie westchnęła. W tym samym momencie jej oczy wypełniły się łzami.

– Adamie! Wróciłeś! – Deirdre pierwsza spośród nich doszła do siebie i w charakterystycznym dla siebie niesfornym stylu ruszyła biegiem, rzucając się w stronę brata, by go uściskać. Choć była już prawie nastolatką, nadal nosiła rude warkocze, luźno opadające na jej ramiona.

– Cześć, Dee-Dee. – Porwał jej szczupłą sylwetkę w objęcia, odrywając z lekkością od ziemi i ciesząc się tym uściskiem. – Jak się miewa moja dziewczynka? Ależ ty wyrosłaś, odkąd cię ostatni raz widziałem.

– A ty schudłeś – orzekła, marszcząc brwi.

– Niezbyt mi smakowało to, co dawali do jedzenia, tam gdzie byłem. – Choć Adam poświęcał uwagę siostrze, coraz bardziej docierała do jego świadomości sztywna postawa ojca i fakt, że matka podeszła bliżej. Connor trzymał się na uboczu, jakby sam nie wiedział, jak powinien zareagować.

Adam postawił Deirdre na nogach i skierował swoją uwagę na matkę. W środku czuł ścierające się w nim emocje.

– Mamo. Dobrze cię widzieć – wydusił z siebie w końcu.

– Mój synek wrócił. – Łzy płynęły po jej policzkach i pochwyciła go w mocnym uścisku. Cała drżała, łkając w jego ramionach. – Tak bardzo za tobą tęskniliśmy.

Adam czuł rozdzierający ból serca.

– Ja też za wami tęskniłem. – Myślni wrócił do tego jednego razu, kiedy odwiedziła go w więzieniu, pomimo jawnego sprzeciwu ojca. Gdy zobaczył swoją uczciwą mamę w tamtej norze, coś w nim pękło. Przyrzekł sobie wtedy, że gdy tylko wyjdzie, zmieni swoje życie, żeby ona już nigdy nie musiała widzieć go w takim stanie poniżenia.

Mama zrobiła krok w tył i otarła twarz chusteczką.

– Dlaczego nie dałeś znać, że wracasz? Przygotowalibyśmy twoje ulubione dania, twój pokój...

– Przepraszam. To wszystko stało się tak szybko i nie było czasu. Poza tym nie chciałem nikomu sprawiać kłopotów. – Uśmiechnął się do matki, która zawsze się za nim wstawiała.

Connor podeszedł bliżej. Teraz był już tyczkowanym nastolatkiem z typowymi dla rodziny kasztanowymi włosami. Uścisnął rękę brata, mówiąc:

– Witaj w domu, Adamie.

Taki poważny piętnastolatek.

– Dziękuję ci, Connorze. Ty także wyrosłeś. Jesteś już prawie tak wysoki jak ja. Choć pewnie wciąż będę w stanie wygrać z tobą na rękę.

Wargi chłopca drgnęły.

– Nie byłbym taki pewien. Już kilka razy pokonałem Gila – pochwalił się, ale jego uśmiech zrzędł, gdy nagle przypomniał sobie o trudnej relacji pomiędzy Adamem a Gilem.

Choć kosztowało go to niemało wysiłku, Adam zdołał zachować pogodny wyraz twarzy, gotowy zrobić pierwszy trudny krok w stronę zakopania topora wojennego.

– Cieszę się, że Gil trzyma cię w ryzach.

Wreszcie Adam skierował całą swoją uwagę na ojca, który stał teraz koło kominka. Jego kamienny wyraz twarzy nie napawał optymizmem. Wyglądało na to, że to Adam będzie musiał wykonać pierwszy ruch.

– Witaj, ojczu. Dobrze wyglądasz.

– Trudno to samo powiedzieć o tobie. To chyba więzienie tak zmienia człowieka.

Matka wzięła gwałtowny wdech, ale Adam zignorował to.

– Tak, sir. Pewnie tak. – Przełknął i wsunął ręce w kieszenie spodni. – Jeśli to nie będzie zbyt impertynenckie, chciałbym dołączyć do rodzinnego obiadu, a potem może moglibyśmy porozmawiać... na osobności.

Twarz mężczyzny nie zmieniła się, poza drgnięciem szczęki. Adam wyczuł, że matka nerwowo oczekuje na decyzję męża.

– Dobrze. – Ojciec schylił się, by podnieść gazetę z podłogi, a potem położył ją na stoliku kawowym. Wyprostował się i spojrzał na mamę. – Kathleen, wiesz może, czy Gilbert dołączy do nas na posiłek?

– Tak, chyba że powiedział coś innego pani Harrison.

Adam rozejrzał się dookoła, uświadamiając sobie nagle, że brakuje jego siostry.

– A co z Bree?

Mama uśmiechnęła się.

– Jeszcze przez kolejny tydzień jest w college'u.

W holu rozległ się echem odgłos kroków i Gilbert wszedł szybko do pokoju.

– Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że nie musieliście na mnie czekać. – Zamarł w chwili, gdy zobaczył Adama. – Adam. Cóż za niespodzianka.

Adam od razu dostrzegł kosztowny krój marynarki Gila i jego złote spinki do mankietów, ale zdusił w sobie poczucie urazy. *To powinno być moje życie. Ukradł mi je.*

– Witaj, Whelan.

Zwrócił się do niego po nazwisku, co dawniej zawsze bolało Gila i teraz też zadziało podobnie. Gil zacisnął szczękę, a potem stwierdził:

– Nie wiedziałem, że tak szybko cię wypuszczą.

– Dobre zachowanie się opłaca.

Nagle nastąpiła niezręczna cisza. Mama odchrząknęła i ująwszy pod ramię Adama, rzekła:

– Chodźmy, przenieśmy się do jadalni. Zaraz na pewno podadzą obiad.

Adam pozwolił, by mama poprowadziła go korytarzem do jadalni, przygotowując się już na to, że jeśli trzeba będzie, przełknie wielki kęs pokory.



Oddział dziecięcy w szpitalu Bellevue wybrzmiewał śmiechem. Ten dźwięk sprawiał, że Aurorze Hastings robiło się ciepło na sercu. Przez parę krótkich chwil podczas jej wizyty te dzieci mogły zapomnieć o bólu i po prostu się cieszyć. Aurora uwielbiała udzielać się w szpitalu jako wolontariuszka, podobnie jak spędzać parę godzin, pomagając w domu dziecka Świętej Rity. Im więcej przebywała wśród tych nieszczęśliwych maluchów, tym bardziej była przekonana, że opieka pielęgniarska jest jej prawdziwym powołaniem. Droga, którą przygotował dla niej Bóg.

Aurora czytała dalej opowiadanie, starając się ubogacać je mimiką twarzy i teatralną interpretacją, tak by historia była jeszcze ciekawsza. Gdy zamknęła książkę, dobył się gromki jęk zawodu ze strony wszystkich dzieci.

– Czy moglibyśmy jeszcze jedno opowiadanie, panno Hastings? Prosimy...

Nauczyła się już, kiedy należy zakończyć wizytę, wiedząc, że dzieci zawsze będą prosić o jeszcze, a zbyt wiele byłoby dla nich męczące.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Ale niedługo wrócę i na następny raz przyniosę ze sobą nową książkę.

Zrobiła obchód na pożegnanie, tuląc każde dziecko i starając się sprawić, by poczuło się ważne, choćby tylko przez chwilę. Potem pomachała im i wyszła z sali na główny korytarz. Westchnąwszy, oparła się o ścianę, czekając, aż trochę uspokoi się jej serce. Zawsze potrzebowała tych kilku minut, by opuścić ją smutek, który ogarniał jej wnętrze, gdy patrzyła na te maluchy – przejęte bólem, leżące samotnie w łóżkach. Jakże bardzo pragnęła móc je zabrać na wyjście do parku czy piknik. Ale brakowało jej decyzyjności i środków, by zrealizować to marzenie.

– Panno Hastings.

Męski głos przerwał jej zadumę. Odwróciła się i zobaczyła, że to doktor Reardon zbliżał się w jej kierunku. Przepęłniło ją miłe uczucie.

Przez ostatnie kilka miesięcy doktor Reardon był dla niej mentorem na każdej płaszczyźnie, pozwalając jej obserwować pracę pielęgniarek z pacjentami, dzięki czemu miał określić, czy Aurora nadaje się do tego zawodu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, miała nadzieję złożyć aplikację na pielęgniarstwo jeszcze tej jesieni, a rekomendacja doktora doda znaczenia jej kandydaturze.

Philip Reardon stanął obok niej, a na jego policzkach widać było nieznaczny rumieniec.

– Dobrze, że zdążyłem panią zatrzymać przed wyjściem.

Aurora przywitała go uśmiechem.

– W czym mogę panu pomóc, doktorze?

– Mam ciekawy przypadek na pierwszym piętrze. Pomyślałem, że może chciałaby się pani przyjrzeć leczeniu, które tu zastosujemy. – Wyglądał na nieco zdenerwowanego, kiedy tak zaciskał palce na stetoskopie przewieszonym przez szyję i zwisającym na jego białym fartuchu.

– Z wielką chęcią. – Poprawiła książki ułożone na przedramieniu, po raz kolejny zauważając, jakim przystojnym mężczyzną był jej rozmówca.

Miał krótkie brązowe włosy i starannie przycięty wąsik. Z jego oczu w kolorze mlecznej czekolady emanowało ciepło i empatia – cechy, które najbardziej sobie ceniła.

Philip Reardon był człowiekiem, którego jej ojciec z pewnością zaakceptowałby jako jej adoratora. Człowiekiem oddanym swojemu zawodowi. Człowiekiem, którego, co sama musiała przyznać, zaczynała postrzegać jako kogoś więcej niż tylko mentora.

– Wspaniale. Czy jest pani gotowa?

– Tak. Właśnie skończyłam u dzieci. Mogę poświęcić chwilę, zanim pójdę do domu.

Rozpromienione oblicze doktora zdradzało coś ponad zwykłą zawodową uprzejmość. Czy to możliwe, żeby Philip żywił wobec niej inny rodzaj uczucia? Choć nie była to niemiła jej myśl, Aurora wahała się nieco, czy powinna zaczynać coś, co mogłoby zniszczyć ich relacje zawodowe. W obecnej chwili dużo bardziej potrzebowała Philipa jako osobę, która będzie ją wspierać niż adorować.

Zrównała z nim krok i ruszyli razem w kierunku schodów.

– Czy mówiła już pani rodzicom o swoich planach rozpoczęcia pielęgniarstwa? – zapytał, gdy weszli na pierwsze piętro.

Poczuła, jak jakaś niewidzialna pętla zaciska się jej na szyi.

– Obawiam się, że jeszcze nie zdobyłam się na to. – Zerknęła na niego. – Wolalabym zmierzyć się z setkami zarazków, niż rozżłościć tatę.

Doktor Reardon zaśmiał się tylko krótko.

– Rozumiem. Pani ojciec może budzić postrach.

– To mało powiedziane.

Popatrzył na nią z ukosa.

– Spodziewałem się, że będzie chciała pani poinformować go o swoich planach. Jeśli zobaczy, że pani poważnie myśli o swojej karierze, być może przestanie nakłaniać panią do poszukiwania męża.

– Może i tak, jednak istnieje możliwość, że podwoi swoje wysiłki, żeby mi kogoś znaleźć – odparła Aurora. – Ale ma pan rację. Będę musiała mu wkrótce powiedzieć.

Doktor zatrzymał się przed jednoosobową salą i zwrócił się do niej twarzą.

– Jeśli nie zabrzmi to zbyt impertynencko, mógłbym zaproponować, że sam porozmawiam z pani ojcem. Gdybym nakreślił, jak doskonałą pielęgniarką byłaby pani, mógłby ujrzeć pani wymarzoną karierę w korzystniejszym świetle.

Aurora zawahała się. To byłoby takie proste przyjąć jego pomoc. Ale musiała poradzić sobie z ojcem na swój własny sposób.

– Doceniam pańską ofertę i może w którymś momencie z niej skorzystam. Jednak jestem dorosłą kobietą i muszę nauczyć się radzić sobie z tatą jak dorosła. – Zaśmiała się cicho. – To pierwsze z wyzwania, z którymi będę musiała się zmierzyć na ścieżce swojej kariery.

W oczach doktora mignęła iskierka szacunku.

– Czuję, że świetnie sobie pani poradzi, panno Hastings.

Zauważalne ciepło oblało jej policzki, gdy tak pławiła się w jego uznaniu. Mężczyzna, który podziwiał ją za jej talenty, to była miła odmiana. Większość bowiem postrzegało ją jedynie jako piękną dziedziczkę ogromnej fortuny Hastingsów i wcale nie interesowało się jej zdaniem lub intelektem.

W głowie błysnął jej obraz Gilberta Whelana i jak zwykle poczuła ukłucie żalu. Po zdradzie Gilberta i niemiłym zakończeniu ich zaręczyn, Aurora wyrzekła się wszelkich romantycznych marzeń o małżeństwie. Teraz, trzy lata później, ból ustąpił już do przyzwoitego poziomu, ale nie potrafiła do końca zapomnieć surowej lekcji, którą od niego wtedy dostała.

Doktor Reardon otworzył drzwi i wprowadził Aurorę do sali. Kobieta była pewna, że zainteresowanie Philipa nie ma nic wspólnego z jej ojcem czy pozycją jej rodziny. Łączył ją z Philipem wzajemny szacunek i szeroko pojęte zainteresowanie niesienia pomocy chorym, co stanowiło solidny fundament pod trwały związek.

Jednak w obecnej sytuacji będzie musiała poczekać na odpowiedni moment i zachować dla siebie wszelkie kiełkujące w jej sercu uczucia, do czasu uzyskania rekomendacji i potwierdzenia przyjęcia na pielęgniarstwo w Bellevue.

A wtedy, gdy już będzie miała zapewnioną przyszłość, może otworzy serce na tę miłość.



Gabinet ojca nie zmienił się od tych trzech lat nieobecności Adama. Każda książka, każdy puchar, starannie złożona kupka papierów w rogu biurka... miał wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał. Adam wdychał znajomy mu zapach tytoniu, który ojciec palił zawsze po obiedzie i przejęła go słodko-gorzka nostalgia. Jako chłopiec wkradał się do tego pokoju, siadał w fotelu ojca i marzył o dniu, gdy będzie na tyle dorosły, żeby móc razem z nim zapalić fajkę.

– Brandy? – Ojciec trzymał kryształową karafkę i popatrzył na niego, unosząc jedną brew.

To było pytanie czy test?

– Nie, dziękuję. – Adam usiadł w wysokim fotelu obok paleniska i poprawił marynarkę. Odzwyczaił się od tak dopasowanych ubrań. To, co nosił w więzieniu, wisiało jak jutowe worki na

większości osadzonych.

Ojciec nalewał drinka i w ciągu tych dwóch minut Adam miał czas, by jeszcze raz powtórzyć sobie w głowie przemowę, którą zawczasu przygotował. Ojciec opuścił swoją zwalistą sylwetkę na fotel naprzeciw niego i powoli wlał w siebie łyk bursztynowego płynu.

Adam odkasznął i zaczął:

– Tak między nami, chciałem formalnie przeprosić za wszelkie kłopoty, których przysporzyłem rodzinie. Do końca życia będzie mi wstyd za hańbę, którą ściągnąłem na nazwisko O’Leary. – Pochylił głowę nisko i wpatrywał się w tańczące na palenisku płomienie. – Wiem, że nie zasługuję na drugą szansę, ale przyszedłem tutaj, by prosić o twoją łaskę.

Ojciec trwał w milczeniu. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

Adama zaczęła opuszczać odwaga, ale walczył dalej.

– Ponieważ potrzebuję obecnie pracy, miałem nadzieję, że może przyda ci się jakaś pomoc w stajni. Chętnie zacznę od najprostszych prac. Zrobię cokolwiek będzie trzeba, by odzyskać łaskę w rodzinie.

Ojciec zaciągnął się tylko głęboko fajką i wypuścił długą smugę dymu. Jego niebieskie oczy lśniły jak zimny marmur.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja się poczułem, gdy dowiedziałem się, co tak naprawdę zrobiłeś? Że przekazywałeś tajne informacje o koniach moich klientów gangsterom? – Zmrużył oczy. – Jak mogłeś mnie tak zdradzić?

Adam zwiesił głowę, pragnąc znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale nawet on sam nie do końca rozumiał, dlaczego to zrobił.

– Muszę przyznać, że po części wynikało to z zazdrości o Gila. Ten absolwent college’u wrócił tu tak po prostu, żeby podzielić się swoją inteligencją z nami, prostymi wieśniakami. Tak, jakby miał być wybawcą dla Irlandzkich Łąk. – Gdy to mówił, czuł w ustach gorycz.

Musisz wyrzec się tej niechęci – w głowie wybrzmiewały na nowo słowa jego kierownika duchowego.

Ojciec powoli opuścił fajkę.

– Dlaczego ty zawsze nienawidziłeś Gilberta? Co on ci takiego zrobił?

Czy on był ślepy? A może po prostu nieświadomy tego, że traktował swojego podopiecznego, jakby był złotym dzieckiem, które nigdy się nie myli?

Adam zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie nazwałbym tego nienawiścią. Raczej niechęcią.

Ojciec uderzył otwartą dłonią w podłokietnik fotela.

– Gdybyś wykazał choć trochę zainteresowania działaniem firmy... – Zaciśnął mocno powieki, wyraźnie starając się pohamować swój gniew. – Obiecałem twojej matce, że nie będę z tobą walczył i zamierzam dotrzymać tej obietnicy. – Podniósł się i przeszedł w stronę okna. – Ponieważ Gilbert jest teraz równoprawnym partnerem, muszę omówić to z nim. Jeśli on się zgodzi, możesz zacząć od prac w oborze... na okres próbny.

Adam w myślach zaśmiał się z ironii tej sytuacji, że teraz to w rękach Whelana leżała jego przyszłość. Nikt nie zatrudni człowieka, który właśnie wyszedł z więzienia, a on musiał znaleźć sposób, by zarobić pieniądze, jeśli miał kiedykolwiek odłożyć trochę i zacząć własną działalność.

Wszystko po kolei...

Wstał i podszedł do biurka.

– Dziękuję ci. Obiecuję, że nie będziesz musiał żałować swojej decyzji.

Ojciec odwrócił się od okna i zmierzył go ostrym wzorkiem.

– Przysporzyłeś matce tak wiele żalu... Miałem nadzieję, że po śmierci Danny'ego nigdy nie będzie przez to ponownie przechodzić... – Jego oskarżycielskie spojrzenie sprawiło, że Adam miał ochotę się skulić w sobie. – Nie waż się sprawić, by miała uronić jeszcze choćby jedną łzę.

Wyrzuty sumienia ścisnęły sercem Adama.

– Obiecuję.

– Myślę, że lepiej byłoby, abyś zamieszkał w oborze. Nie życzyłbym sobie, żebyś miał jakikolwiek zły wpływ na Connora i Deirdre. Zwłaszcza na Connora. Przechodzi teraz przez trudny okres.

Dawna niechęć wkradła się znów do duszy Adama, ale z pewnym wysiłkiem zdołał ją poskromić. Musiał zignorować to kłujące poczucie bycia niegodnym, by dzielić dach z rodziną. Przelknął ciężko swoją dumę, wspominając ze smutkiem wygodne łóżko w sypialni na piętrze, i skierował się w stronę drzwi.

– Aha... Adamie... W przyszłym tygodniu będziemy świętować ukończenie studiów Brianny na Barnard College. Twoja matka planuje wielkie uroczystości. Byłoby lepiej, gdybyś trzymał się z dala. Nie chcemy, by osiągnięcia Brianny zostały przyćmione twoim powrotem, który nastąpił w tak niefortunnym czasie.

Adam zaciśnął mocno usta, czując zalewający go czysty gniew. Skinąwszy szorstko głową, wyszedł z pokoju, starając się ze wszystkich sił, by nie trzasnąć za sobą drzwiami.



Aurora podeszła bliżej w kierunku olbrzymiej rezydencji państwa Simmons, ciesząc się w duchu, że spotkanie sufrażystek odbywało się dzisiaj akurat tutaj, tak niedaleko od szpitala. Mogła więc bez trudu dostać się tu na piechotę, bez potrzeby wtajemniczenia rodzinnego szofera w swoje sekretne wyjście.

Zapukała w zdobione drewniane drzwi i jeszcze raz przeanalizowała założenia na ten wieczór, utwierdzając się w postanowieniu, by nie dopuścić do siebie kolejnych zbyt rozgadanych kobiet. Przyszła tu, żeby usłyszeć o nowych posunięciach ruchu sufrażystek i jeśli musiała znosić bezsensowne plotki, postara się po prostu lekceważyć to próżne gadanie obecnych tam pań. Aurora miała nadzieję dowiedzieć się o jakichś większych spotkaniach w tej okolicy, gdzie kobiety pragnące kariery mogą się wzajemnie wspierać, bo bardzo chciała dołączyć do grupy osób, które myślały podobnie jak ona.

Otworzyła jej gospodyni, witając ją:

– Dobry wieczór, panno Hastings. Proszę wejść.

– Dziękuję. – Aurora zdjęła okrywający ramiona szal i wręczyła go kobiecie, która następnie wskazała jej salon.

Puszysta pani Simmons zasiadała na swoim krześle w stylu królowej Anny, przewodnicząc innym paniom, które regularnie spotykały się, by omawiać prawa kobiet.

– Dobry wieczór, Auroro. Cieszę się, że mogłaś do nas dołączyć. – Twarz pani Simmons rozpromieniła się w uśmiechu, który sprawiał, że jej podbródek drżał.

– Dziękuję. Miło mi, że mogę tu być. – Aurora przeszła po pluszowym dywanie i zajęła miejsce na jednym w wolnych krzesłach, przyglądając się twarzom zgromadzonych osób.

– Dzisiaj mamy gościa – zapowiedziała pani Simmons. – To szwagierka Colleen, Maggie Montgomery, która przyjechała do nas z Irlandii. Witaj, Maggie.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

– Dziękuję, pani Simmons, za tak gościnne przyjęcie.

Jej uroczy akcent zainteresował Aurorę. Szkoda tylko, że była spowinowacona z rodziną O’Learych. Od kiedy Brianna, siostra Colleen, skradła uczucia Gilberta Whelana, każde wspomnienie o tej rodzinie zostawiało gorzki posmak w ustach Aurory. Było to coś, o czym bardzo pragnęła zapomnieć.

– Dobrze się czujesz, Auroro, kochanie? Jesteś taka blada.

Aurora wyprostowała się na oparciu krzesła i odparła:

– Wszystko w porządku, dziękuję.

– Mam nadzieję, że nie złapałaś jakiejś strasznej choroby podczas tego wolontariatu w szpitalu? Twoja droga matka i ja ostrzegałyśmy cię...

– Czuję się doskonale, zapewniam panią. – Aurora zmusiła się do uśmiechu, licząc, że to przekona pozostałe kobiety o jej dobrym samopoczuciu.

– Dobrze. Zaczynamy zatem. – Pani Simmons wyciągnęła kartkę papieru leżącą na małym stoliku obok i założywszy na nosie okulary do czytania, poprawiła je, a potem wyrecytowała: – Jako pierwszy punkt naszego spotkania mam dla was dobrą wiadomość. Narodowa Federacja Klubów Kobiet

przegłosowała, by formalnie udzielić poparcia dla działań sufrażystek.

W pokoju rozległ się pomruk.

– Wsparcie tak poważanej organizacji oznacza dla całego ruchu bardzo wiele. Jesteśmy już o krok od uzyskania praw wyborczych kobiet w Nowym Jorku.

Aurora poczuła jak przyspieszyło jej tętno. To rzeczywiście bardzo dobra wiadomość. Odnotowała w pamięci nazwę tej federacji, by móc później dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Jedna z kobiet, pani Pinkerton, skrzyżowała ramiona na swoim obfitym biuście i oświadczyła:

– Ja natomiast będę się cieszyć, gdy będziemy mogły się spotykać, nie obawiając się potępienia, nie tylko ze strony mężczyzn, ale też ze strony innych kobiet. Jak to możliwe, że nie chcą wspierać praw kobiet?

Pani Simmons uniosła brew.

– Moja droga Harriet, jako wdowy możemy się cieszyć, że nie musimy podporządkowywać się mężczyznom. Ale wiele innych, jak na przykład Aurora, muszą być podległe głowie rodziny.

– Tak, w rzeczy samej. – Pani Pinkerton pochyliła się w przód. – Wszystkie jesteśmy świadome poglądów Arthura Hastingsa na miejsce kobiety w społeczeństwie, co zapewne może też potwierdzić sama Aurora.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, tak że miała ochotę zapaść się pod ziemię. Choć bardzo wspierała działania ruchu, Aurora ze wstrętem myślała o stanowieniu żywego przykładu świadczącego o potrzebie wolności dla kobiet.

– Czyż głównym celem twojego ojca nie jest wydać cię za mąż tak szybko, jak to tylko możliwe... Pomimo upokorzenia, którego doświadczyłaś po odrzuceniu przez Gilberta Whelana? – Pani Pinkerton wydeła policzki. – Nadal nie mogę uwierzyć, że rzucił cię dla jakiejś prostej panny od O’Learych...

Colleen Montgomery zerwała się na równe nogi, a na jej twarzy widoczne były purpurowe wypieki.

– Chciałabym przypomnieć, że ta „panna od O’Learych”, o których pani wspomina, to moja siostra, a Gil wkrótce będzie moim szwagrem.

Pani Pinkerton siedziała z otwartymi ustami.

Colleen przeszła ostentacyjnie przez środek pokoju, mówiąc:

– Proszę mi wybaczyć, pani Simmons, ale muszę wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza.

Maggie także wstała z wyraźnym zakłopotaniem na twarzy.

– Miło było was poznać. – Dygnęła lekko, a potem wyszła za Colleen do przedpokoju.

Wszystkie oczy były teraz zwrócone na Aurorę i nagle w pokoju zrobiło się duszno. Nieudane

zaręczyny z Gilem były ostatnią rzeczą, o jakiej chciała myśleć. Poza tym czuła, że już nic więcej ciekawego nie dowie się z tego spotkania, więc zerwała się z krzesła i rzekła:

– Obawiam się, że na mnie też już czas, pani Simmons. Mam nadzieję, że zaproszą mnie panie na kolejne spotkanie.

Pani Simmons odprowadziła ją na korytarz.

– Tak mi przykro, moja droga. Porozmawiam z panią Pinkerton i postaram się, żeby następnym razem trzymała język za zębami. Przekażę też moje przeprosiny Colleen i panie Montgomery. – Pani Simmons wstrząsnęła głową, podając Aurorze jej okrycie.

Choć czuła, że zaczyna ją boleć głowa, Aurora wykrzesła z siebie uśmiech.

– To nie pani wina. Kiedy zobaczę się z Colleen następnym razem, postaram się jej to również wyjaśnić.

– Dziękuję ci, moja droga. Jesteś prawdziwym skarbem.



Aurora weszła do rodzinnej rezydencji na Manhattanie, zdjęła kapelusz i okrycie, a potem wręczyła je kamerdynerowi.

– Czy mogę jeszcze w czymś panience pomóc? – Denby stał w holu, czekając aż zostanie odprawiony.

– Nie, dziękuję, Denby. Chyba poproszę panią Forrester, żeby przyniosła mi herbatę, a potem się położę.

– Dobrze, panienko. – Skłonił się i wycofał dyskretnie w stronę korytarza.

Dziesięć minut później Aurora siedziała w salonie z filiżanką parującej herbaty i cicho westchnęła, ciesząc się, że najgorszy ból głowy już mijał. Chwilę później usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe i w korytarzu echem rozległy się głosy rodziców. Podniosła wzrok, gdy weszli do salonu. Zadowolony wyraz twarzy matki zmienił się w zdziwienie.

– Auroro, kochanie, jeszcze nie śpisz?

Aurora odstawiła filiżankę na spodek i odparła:

– Wróciłam nie tak dawno temu.

Ojciec podszedł do kredensu i odkorkował kryształową karafkę brandy.

– Zapewne znów traciłaś swój czas w tym szpitalu – skwitował, nalewając sobie drinka do szklanki.

Aurora wyprostowała się na oparciu kanapy.

– Nie uważam, żeby wolontariat przy dzieciach był stratą czasu, tato. Wręcz przeciwnie, wydaje

mi się, że wszystkim przynosi satysfakcję.

Tata posłał jej pełne dezaprobaty spojrzenie i tylko chrząknął.

Aurora zwróciła się w stronę matki, która usiadła obok niej.

– Jak ci minął dzień, mammo? – Zawsze mogła na nią liczyć, jeśli chodziło o zmianę tematu niewygodnej rozmowy.

Matka uśmiechnęła się, a wokół jej oczu zarysowały się leciutkie zmarszczki.

– Zjadłam lunch z Agnes Barnes i spędziłam resztę popołudnia w ogrodzie. To był naprawdę miły dzień.

Tata przechylił się w ulubionym fotelu i odstawiając szklankę na mały stolik obok, wtrącił:

– Ja też miałem interesujący dzień. – Przerwał, ale zaraz dodał: – Do banku przyjechał dziś James O’Leary.

Aurora zamarła z ręką uniesioną w pół ruchu. Poza Colleen, którą widywała w sierocińcu i na spotkaniach sufrażystek, starała się unikać tej rodziny jak ognia.

– Jak się miewają James oraz Kathleen? – Żal wybrzmiewający w głosie mamy sprawił, że Aurora odczuła lekkie wyrzuty sumienia. Wiedziała, że mamie bardzo brakowało znajomości z panią O’Leary i że zdystansowała się od niej ze względu na swoją córkę.

– Oboje mają się dobrze. – Tata się zawahał. – James zaprosił nas na przyjęcie... w Irlandzkich Łąkach.

Aurorę przeszło niedowierzanie. Czowała, że ręka, w której trzymała filiżankę herbaty, zaczęła jej drżeć.

– Ten człowiek ma tupet, po tym wszystkim, co nam wyrządził! – zawołała. Nawet po tak długim czasie wspomnienia tamtych wydarzeń prześladowały Aurorę. W fałszywym poczuciu lojalności Gilbert przystał na plan Jamesa O’Leary’ego, by spotykać się z Aurorą, dzięki czemu O’Leary’owie mieli uzyskać przychylną taty przy wydawaniu decyzji o pożyczce. W końcu sumienie Gila wygrało i zerwał te zaręczyny. Uczucia Aurory zostały zdeptane, ale jeszcze gorzej ucierpiała jej duma. – Proszę, powiedz, że mu odmówiłeś.

Tata odkaszlnął i rzucił spojrzenie mamie.

– Wręcz przeciwnie, córciu. Przyjąłem zaproszenie w imieniu całej naszej rodziny.

Aurora otworzyła z niedowierzaniem usta i odstawiła filiżankę z brzękiem. Tata nie zadawał się z Jamesem od czasu fiaska z zaręczynami, dlaczego więc teraz rozważał odwiedzin w Irlandzkich Łąkach?

– Mammo, ty się chyba ze mną zgadasz? – Aurora popatrzyła na matkę wyczekująco, licząc na jej wsparcie, ale mama tylko wzruszyła ramionami.

– Decyzja należy do twojego ojca, kochanie.

Tata ponownie uniósł szklankę.

– Obaj, James i Gilbert, wielokrotnie przepraszaali za ten niezbyt szczęśliwy epizod. Czas i odległość pomogły mi odsunąć od siebie wspomnienie tamtych wydarzeń. Mam nadzieję, że jesteś na tyle dorosła, żeby uczynić to samo.

Aurora nie odważyła się okazać swojego niezadowolenia pod ostrym spojrzeniem ojca. Odmowa pójścia na to przyjęcie skutkowałaby teraz jedynie usilniejszym nakłanianiem jej do tego. Poprawiła się na swoim siedzeniu i postanowiła trzymać język za zębami.

– Córka Jamesa kończy college i urządzają wielką uroczystość na jej cześć.

Aurora poczuła, jak coś ścisnęło ją w żołądku. Nie dość, że będzie musiała się ponownie spotkać z Gilem, oglądanie Brianny O’Leary brzmiało niczym zapowiedź najgorszych tortur. Może i mogłaby wybaczyć Gilowi jego udział w tym niecnym planie, ale oczekiwanie, że będzie świętować radość kobiety, która skradła uczucia Gila, to było już zbyt wiele.

– Tato, jeśli chcesz tam jechać, to twoje prawo. Ale ja nie zamierzam udawać przed Gilem i całą resztą rodziny O’Learych, że cieszę się...

Groźny wyraz twarzy ojca sprawił, że Aurora przerwała swoją przemowę.

– O’Leary’owie to poważana rodzina w tej okolicy... i nie możemy pozwolić sobie, by ich lekceważyć. – Zerknął na matkę, która siedziała bez słowa. – Będzie tam wiele wpływowych osób, w tym, na pewno wielu wyśmienitych kawalerów. A ty *pojedziesz* tam z nami w najbliższą sobotę.

Aurora zdusiła w sobie przyływ oburzenia. *Nic mnie nie obchodzi żaden wyśmienity kawaler* – chciała wykrzyknąć.

Ale dobre wychowanie i maniery nie pozwalały jej na okazanie takiego braku szacunku wobec ojca. Skryła w sobie swoje poruszenie i opuściła wzrok, skupiając się na kwiecistym dywanie.

– Dobrze, tato. Pojadę tam, ale nie obiecuję nic ponad to.

Gabe wszedł za Rylanem do środka remizy strażackiej mieszczącej się przy ulicy 42 i z trudem powstrzymał się, by nie rozdziawić ust w zachwycie na sam widok tej ogromnej przestrzeni. W miejscu, gdzie parkuje się wozy, kilku mężczyzn polerowało błyszczące chromowe wykończenia dwóch wozów strażackich. Hełmy, kurtki i pozostały sprzęt należący do wyposażenia strażaka wisiły w rzędach na wieszakach. Pod ławką stały poustawiane równo olbrzymie buty, przygotowane tak, by w ciągu chwili dało się je założyć. Wyraźnie było widać, że dowódca tej drużyny dba o dobrą organizację na pokładzie. Gdyby tylko Gabe mógł jakoś spędzić tu trochę więcej czasu, dowiedziałby się, jak funkcjonuje amerykańska straż pożarna.

– Rylanie! Co cię do nas sprowadza w ten piękny poranek? – Donośny męski głos przebijał się ponad harmidrem panującym w pomieszczeniu. Krzepki mężczyzna zmierzał w ich kierunku, uśmiechając się szeroko w stronę brata Gabe’a.

– Dzień dobry, Oliverze. – Rylan podszedł, by uścisnąć szeroką dłoń mężczyzny. – Chciałem ci przedstawić mojego brata, Gabriela, który przyjechał do mnie z wizytą z kraju. Gabe, to jest komendant Oliver Witherspoon.

Krzaczaste brwi strażaka uniosły się.

– Z kraju? To znaczy z Irlandii?

– Tak. – Gabe starał się nie skrzywić, gdy komendant uściśnął mocno jego dłoń.

Oczy potężnego mężczyzny zaszyły mgłą.

– Och, okropnie tęsknię za ojczyzną. Jestem tu już dwadzieścia lat, ale wciąż pamiętam ten zapach zielonej trawy w deszczowy dzień.

– Znam to dobrze.

– Gabe jest w kraju strażakiem. Poprosił mnie, czy mógłbym zorganizować dla niego zwiedzanie tutejszej remizy podczas jego pobytu.

– Dla krajana? Będę zaszczycony.

Rylan został z nimi na początku zwiedzania, ale pożegnał ich, gdy tylko komendant Witherspoon zaczął kierować się do kwater strażaków umieszczonych na górze nad wypolerowanymi mosiężnymi słupami. Gabe, który w towarzystwie przyjacielskiego Irlandczyka czuł się już jak u siebie, z chęcią skorzystał z możliwości pozostania i obejrzenia każdego zakątka remizy.

Kiedy zwiedzanie dobiegało już końca, przeszli obok olbrzymiego portretu poważnie wyglądającego mężczyzny z pokaźnym wąsem, ubranego w dobrze skrojony garnitur i melonik. Obraz wyraźnie zajmował znaczące miejsce, więc Gabe zastanawiał się, jaki związek ma ten człowiek z działalnością straży.

– To Arthur Hastings – odparł komendant Witherspoon, wyprzedzając jego pytanie. – Jest właścicielem Hastings Bank and Loan. Arthur sfinansował nasz pierwszy zmotoryzowany wóz strażacki.

– Mówiąc to, wskazał palcem w kierunku jednego z pojazdów.

Gabe zagwizdał pod nosem.

– Piękny. Chciałbym móc się kiedyś nim przejechać. – Zamknął szybko usta, uświadamiając sobie jak bezczelnie mogły zabrzmieć te wypowiedziane na głos marzenia.

Komendant Witherspoon roześmiał się.

– U nas wszyscy zabijają się o to, kto pierwszy nim pojedzie. Z pewnością któryś ze strażaków będzie szczęśliwy, jeśli pewnego dnia będzie mógł cię zabrać na przejażdżkę.

Potem nad filiżanką kawy dyskutowali o technikach gaszenia pożarów, węzłach i problemach z ciśnieniem wody. Gabe dowiedział się o trudnościach, na które napotykał tutejszy oddział podczas obsługi wysokich budynków w centrum miasta, wynikających z faktu, że drabiny wystarczały jedynie do wysokości piątego piętra.

Podczas drugiej kawy, która była wyjątkowo smaczna w tej remizie, rozmowa zeszła na Irlandię.

– Czy to prawda, to co dociera do mnie ostatnio? – zapytał komendant. – Że w kraju zbiera się na wojnę domową?

Gabe poczuł bolesny ucisk w żołądku na myśl o tym, co go omija. Fakt, że ostatnie niepokoje mogły jeszcze bardziej rozgorzeć podczas jego nieobecności, że nie ma go tam, by dołączyć do walki, był wyjątkowo uciążliwy i zakłócał jego spokój.

– To prawda. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie ciężko było mi pogodzić się z myślą o wyjeździe. Jeśli będzie wojna, chciałbym jako pierwszy zaciągnąć się, by walczyć o swój kraj.

Gabe spodziewał się, że mężczyzna całym sercem poprze go, a jednak rumiane oblicze komendanta pokryło się smutkiem.

– Ja już chyba zbyt długo jestem poza krajem. Pragnę przede wszystkim pokoju. Z rodziny pozostał tam już tylko brat, który woli w spokoju prowadzić życie na swojej farmie i nie stawać po żadnej ze stron tego sporu.

– Nie będzie pokoju, do momentu aż nie wygonimy Anglików z Irlandii. – Gabe zaciął usta w ponurym grymasie, powstrzymując się od dalszych komentarzy. Nauczył się już, że powinien być ostrożny, jeśli chodzi o poglądy polityczne.

Komendant Witherspoon podniósł się z krzesła.

– Cóż, miejmy nadzieję, że problemy przycichną i będzie można żyć w pokoju.

Gabe powstrzymał ripostę. Nigdy nie nastanie pokój, jeśli pozostawi się te problemy ich własnemu biegowi, żeby przycichły. Nie w sytuacji, gdy Anglicy mają całą władzę. Ale schował język za zębami i przełknął resztki kawy, zbierając się na odwagę, by zadać pytanie, które tłumił w sobie od pierwszej chwili, gdy przekroczył próg tej remizy.

– Panie komendancie, podejrzewam, że nie szukacie w tym momencie nikogo do pomocy?

Promienny uśmiech wypłynął na ogorzałą twarz komendanta Witherspoona.

– Człowieka z twoim doświadczeniem? Nigdy nie odrzucamy nikogo o takich kompetencjach. A jeśli nie będzie żadnego pożaru, zawsze możesz czyścić wozy albo pastować buty.

Gabe skoczył na nogi z entuzjazmem. Cokolwiek, byle tylko zająć czas, który dzielił go od powrotu do kraju. Ucisnął dłoń komendanta Witherspoona.

– Z radością wykonam wszystkie wyznaczone mi zadania. Po siedmiu dniach na statku, aż mnie nosi, żeby trochę popracować.

Komendant z błyskiem w oczach odparł:

– Rozumiem cię, chłopcze. Nic się nie martw, nie damy ci siedzieć na próżno. W takim razie, do zobaczenia jutro z samego rana.

Magie zadarła wysoko głowę, by dojrzeć zwieńczenia iglic katedry Świętego Patryka, które wznosiły się ponad okoliczne zabudowania na Piątej Alei. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak wspaniałej architektury. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak w takim razie musiało wyglądać wnętrze.

Podmuch dusznego powietrza owinął jej spódnicę wokół kostek, zmuszając ją tym samym do ruszenia się. Dzisiaj zamierzała przedsięwziąć konkretne kroki w celu zbudowania swojego przyszłego życia tu, w Ameryce. Powiedziała Rylanowi i Colleen, że chce trochę sama pozwiedzać. Potem musiała stoczyć nerwowy bój z bratem, by zgodził się puścić ją samą. Na szczęście obiecał zabrać Gabe'a do remizy, gdyż w przeciwnym wypadku, na pewno chciałby koniecznie jej towarzyszyć. Fakt, że jej głównym celem była katedra, ostatecznie sprawił, że Rylan ustąpił.

Wzięła głęboki wdech, by ulżyć nerwom ściskającym jej żołądek, a potem przeszła przez ulicę i wspięła się po schodach prowadzących do katedry. Rzeźbione mosiężne drzwi otworzyły się bez trudu pod naporem jej dłoni. Stąpając nabożnie, weszła do świątyni, a ogrom wnętrza sprawił, że z wrażenia otworzyła bezwiednie usta. Linie masywnych kolumn tworzyły przejście kierujące się w stronę głównego ołtarza. Jej mały wiejski kościółek z kraju mógłby się cały zmieścić w jednej z naw tego olbrzymiego miejsca kultu.

Powoli wypuściła powietrze, przechodząc po błyszczących posadzkach na środek kościoła. Wysokie sklepienia i zdobione rzeźby przykuły jej uwagę, ale nadal czegoś szukała. Dziękowała Bogu, że w ławkach nie było zbyt wielu ludzi. Zawróciła i spojrzała w górę znajdującego się z tyłu balkonu. Serce zadrżało jej w piersi. Charakterystyczne cylindry organów wznosiły się ku sklepieniu. Musiała podejść bliżej, dotknąć tego pięknego instrumentu.

Ledwie pohamowując się, by nie zacząć biec na tył kościoła w poszukiwaniu schodów, Maggie zatrzymywała się, podziwiając posągi i obrazy oraz przepiękne witraże zdobiące boczne okna. Wreszcie dotarła do przedsiionka z tyłu, gdzie znajdowały się małe drzwi, za którymi były wąskie, kręte schody. Z zapierającą dech w piersi niecierpliwością wspięła się na balkon. Tam, samotne, przez nikogo niestrzeżone, stały cudowne organy.

Maggie zacisnęła razem dłonie i powoli podeszła do nich. Były dużo większe niż te, na których

uczyła się grać w katedrze Świętego Kolomana u siebie. Ciekawe, jak musiały brzmieć... Przesunęła ręką nieomalże z czcią po drewnianej obudowie i zanim zdążyła się powstrzymać, usiadła na przysuniętej do instrumentu ławce. Widać było, że grywała tu jakaś wysoka osoba, bo przy tej wysokości siedzenia była ledwie w stanie dotknąć stopami pedałów. Pełna podziwu, patrzyła na wznoszące się nad nią olbrzymie piszczałki, aż w końcu, pchana siłą nie do odparcia, położyła dłonie na klawiszach. Była zaskoczona tak pełnym dźwiękiem, który odbijał się echem w przestrzeni kościoła. Czuła jak wali jej serce, czekając aż ktoś przyjdzie i upomni ją, ale po chwili, gdy nic takiego się nie stało, odważyła się zagrać dalej.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy, kiedy jej palce sprawnie tańczyły ponad rzędami klawiszy. Kilka razy zrobiła pauzę, pozwalając, by muzyka przelewała się przez jej duszę. Wreszcie z pewnym ociąganiem zakończyła grę i westchnęła z zachwytem.

– Zastanawiałem się właśnie, kto gra na moich organach.

Maggie obróciła się gwałtownie na ławce i zobaczyła, że obserwuje ją jakiś mężczyzna z rękami założonymi na piersi. Przelknęła z trudem i powoli podniosła się z siedzenia.

– Nie mogłam się powstrzymać, by nie spróbować. Jeszcze nigdy nie grałam na tak olbrzymich organach.

Podszedł bliżej w jej stronę, a jego lekko uniesione kąciki warg sprawiły, że odczuła ulgę.

– Nie ma problemu, moja droga. Mam na imię Frederic Unger. Jestem tu organistą. A kim ty jesteś? – Jego angielski był idealny, choć wyróżniał się delikatnym nalotem europejskiego akcentu.

– Nazywam się Maggie Montgomery i przyjechałam tu z wizytą z Irlandii. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Bardzo mi brakowało gry od czasu, gdy opuściłam kraj.

Zbliżył się jeszcze bardziej i zdołała dostrzec, że jego włosy poprzetykane były liczną siwizną, a w oczach błyskały pogodne iskierki.

– Grywasz w kościele?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nasz kościół parafialny jest zbyt mały. Ale czasem, gdy jestem w mieście, gram na organach w katedrze. Organista u Świętego Kolomana przekazał mi co nieco, a reszty nauczyłam się sama. To bardzo podobne do gry na pianinie.

Mężczyzna uniósł wysoko siwą brew.

– Rzekłbym, że różnica jest ogromna. Musisz mieć wrodzony talent muzyczny, że tak łatwo przyszło ci się tego nauczyć.

Jej śmiech odbił się echem pośród wysokich murów.

– Moja mama też mi to powtarza. – Skierowała się w stronę wejścia, a pan Unger przyłączył się do niej.

Zerknęła ukradkiem w jego stronę.

– Liczyłam na to, że uda mi się porozmawiać z kimś o możliwości zatrudnienia. Może pan wie, czy w którymś z pobliskich kościołów szukają organisty? – Jej serce waliło, zdradzając, że pod tym pozornie przypadkowym pytaniem, kryło się coś więcej.

– Szukasz pracy tutaj, w Nowym Jorku?

Zatrzymała się u szczytu schodów.

– Tak. Chciałabym zostać w Ameryce, ale do tego potrzebuję pracy.

Przyjrzał jej się badawczo.

– Nie wiem nic o wolnych posadach w tym momencie. Gdzie jednak mógłbym się z tobą skontaktować, jeśli czegoś się dowiem?

Przygryzła dolną wargę. Rylan utnie jej głowę, gdy dowie się, że rozmawiała z obcym mężczyzną, nie wspominając o tym, że poinformowała go, gdzie przebywa. Ale jakiś instynkt podpowiadał jej, że pan Unger był dobrym, bogobojnym dżentelmenem.

– Może się pan skontaktować z Rylanem Montgomerym, moim bratem. Jest kierownikiem w domu dziecka Świętej Rity i będzie mógł mi przekazać wiadomość.

Pan Unger wyciągnął w jej stronę dłoń, mówiąc:

– Miło było cię poznać, panno Montgomery. I być może do zobaczenia.

Ucisnęła jego twardą dłoń, wyćwiczoną zapewne przez granie.

– Dziękuję, panie Unger. Było mi bardzo miło, że mogłam grać na pańskich organach. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będę miała taką okazję.



Zamiast skierować się z powrotem do domu Rylana, Maggie w euforii ruszyła dalej Piątą Aleją, aż do wejścia do Central Parku. Widok tak bliskiej jej sercu zieleni, pierwszy raz od czasu opuszczenia Cork, przyciągał ją w to miejsce, jednocześnie powodując kolejną falę tęsknoty za domem, która ścisnęła jej gardłem. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej zapachu trawy i dźwięków przyrody. Ogród mamy był teraz pewnie w pełni rozkwitu i codziennie rano doglądała roślin. Sama. Bez pomocy córki.

Odsunęła od siebie ukłucie melancholii i skupiła się na otaczającym ją pięknie. Przechadzała się wśród labiryntu ścieżek, aż dotarła do ustawionej na uboczu ławki. Usiadła, ciesząc się tym dodającym jej otuchy zapachem trawy i pachnących krzewów różanych, a słońce grzało przyjemnie jej twarz. Ponad jej głową na gałęziach przeskakiwała para wróbli, jakby bawiły się ze sobą w chowanego.

– Cześć, Maggie.

Przez chwilę miała wrażenie, że myśli o rodzinnym domu przywołały znajomy głos. Powoli odwróciła głowę i stopniowo jej serce zaczynało coraz bardziej drżeć.

Człowiek, od którego starała się uciec, wyjeżdżając do Ameryki, stał przed nią we własnej osobie. Zamiast zwykłej dla siebie koszuli i spodni, ubrany był w jakiś drogi garnitur i krawat. Tylko jego orzechowe oczy, rudobrzazowe włosy i charakterystyczna blizna na brodzie sprawiały, że nie mogła się mylić.

Milion myśli przeleciało niczym błyskawica przez jej skołataną głowę, gdy podnosiła się z ławki.

– Neill? Co ty, na miłość boską, tutaj robisz?

Zrobił niepewny krok w jej stronę.

– Przyjechałem, by cię odnaleźć.

– Po co? Myślałam, że wyraziłam się wystarczająco jasno ostatnim razem, gdy rozmawialiśmy.

Wskazał dłonią na ławkę.

– Może usiądziemy na chwilę i pozwolisz mi wytłumaczyć?

Maggie potrafiła jedynie skinąć głową i usiadła oniemiała. Nigdy by nie uwierzyła, że Neill będzie w stanie opuścić ich miejscowość. Wyśmiewał jej pragnienie podróżowania i zwiedzania, powtarzając, że jest marzycielką i musi się nauczyć żyć w rzeczywistym świecie. A jednak, był tutaj. Zaciśnęła drżące dłonie i położyła je na kolanach, czekając na to, co jej powie.

Neill przysiadł się obok niej. Zdjął kapelusz i bawił się w palcach rondem.

– Maggie, jestem ci winien przeprosiny za to, w jaki sposób potraktowałem naszą... sprzeczkę. Dałem się ponieść i jest mi z tego powodu bardzo przykro. – W jego oczach widać było szczerłość.

Maggie nie miała wątpliwości, że on naprawdę żałował tamtego wybuchu gniewu i słów, które rzucał wobec niej. Zawsze mu było przykro po kłótni, ale to nigdy nie powstrzymało go przed powtórzeniem tego samego zachowania następnym razem, gdy się sprzecali.

Skłoniła głowę i odparła:

– Przyjmuję przeprosiny, choć jest mi ciężko uwierzyć, że przemierzyłeś ocean po to, by mi je złożyć.

Jego twarz zmieniła się gwałtownie.

– Kocham cię, Maggie. Nie wierzysz w to? Kochałem cię, odkąd sięgam pamięcią i zrobię, co tylko będzie konieczne, by ci to udowodnić. – Wyrzucił w górę ręce. – Mogę nawet opłynąć dookoła całego świata.

W głowie Maggie kotłowały się różne słowa odpowiedzi. Po ostatnim razie, gdy próbowała go odrzucić, nauczyła się, że szczerłość tylko zaostrza jego gniew.

Tymczasem on sięgnął po jej dłoń i ująwszy ją, gładził kciukiem.

– Nie byłem świadomy tego, jak wiele dla ciebie znaczą podróże. Gdy tylko dowiedziałem się,

że wyjechałaś, postanowiłem tu przybyć i towarzyszyć ci w tej podróży.

Maggie nie umiała zdobyć się na to, by wyznać mu, że ta jej podróż nie uwzględnia powrotu do Irlandii. Nie była jeszcze gotowa, żeby przyznać się do tego przed kimkolwiek.

– Neill, dziękuję za przeprosiny. To naprawdę wiele dla mnie znaczy, że próbujesz mnie zrozumieć.

W jego oczach błysnęła iskierka nadziei.

– Ale... – kontynuowała nieśmiało. – Nie zmieniałam zdania... jeśli chodzi o nas.

Widziała, jak zacisnął zęby i przygotowywała się już na jego podniesiony głos. Jednak zamiast krzyknąć, wydawał się zapaść w sobie.

– Ty też mnie kochasz, Maggie. Ja to wiem. Gdybyś tylko dała mi kolejną szansę, wynagrodziłbym ci to wszystko. Przysięgam.

Jakaś część w niej pragnęła, żeby to wszystko mogło być takie proste. Żeby mogli nadal być narzeczonymi i dalej snuć dawne plany na przyszłość. Ale to nigdy nie była *jej* przyszłość, *jej* marzenia. Dla Neilla liczyła się jedynie praca w pubie ojca i perspektywa, że pewnego dnia przejmie ten interes. Praca Maggie w szkole, jej miłość do muzyki... dla niego to w ogóle nie było ważne. Kiedy powiedział jej, że po ślubie będzie musiała porzucić uczenie i pracować w kuchni pubu do czasu, aż nie będą mieli dzieci, to był już dla ich związku gwóźdź do trumny.

– Neill, nic się nie zmieniło – oznajmiła stanowczo. – Nie porzucę muzyki czy też uczenia. A tym bardziej nie mam ochoty pracować w pubie. – Szczególnie nie *Pod Znużoną Koniczyną*, dosyć sprośnym lokalu, gdzie mężczyźni nagabywali ją za każdym razem, gdy tam się zjawiała.

Dostrzegła, jak gniew przyćmił jego wzrok i już poczuła, że uczucia wymykają mu się spod kontroli.

– Żona powinna wspierać swojego męża i pracować u jego boku jako pomoc.

Maggie zacisnęła dłonie w pięści, ściskając materiał spódnicy oraz starając się oddychać głęboko, by uspokoić emocje.

– A co ze wsparciem męża wobec żony? Pragnieniem uszczęśliwienia jej? – Ostry ton tej wypowiedzi przeciął powietrze jak brzytwa. Wszelka niechęć, która nagromadziła się w niej podczas tych ostatnich tygodni spędzonych w Irlandii, wróciła z całą mocą.

Neill otworzył usta i zaraz potem je zamknął. Jednak gniew widoczny w jego oczach mówił jej wszystko, co powinna wiedzieć. On się nie zmienił, ani trochę. To duma, a nie miłość, popychała go do działania. W swojej dumie nie potrafił znieść tego, że ją stracił.

– Postaram się, żebyśmy wypracowali jakiś kompromis, Maggie. Ale ty też musisz tego chcieć. W małżeństwie trzeba umieć dawać i brać.

Delikatnie, ale stanowczo cofnęła dłoń.

– O to chodzi. I pewnego dnia, gdy wyjdę za mąż, będę szczęśliwa, osiągając taki kompromis. – Przerwała i nieznacznie zaczęła podnosić się z ławki. – Problem polega na tym, że nie chcę poślubić *ciebie*.

Oczy Neilla zaszkliły się i Maggie poczuła przebiegający po jej plecach dreszcz. Skoczyła na równe nogi, w dłoniach zaciskając mocno przed sobą swoją torebkę. Szybko rzuciła okiem na okolicę i z ulgą dostrzegła jakąś parę zmierzającą w ich kierunku. Neill nie ośmieli się wyzywać swojego gniewu na niej publicznie.

On także podniósł się i wydawało się, że zdołał się opanować. Wygładził marynarkę i poprawił krawat.

– Cóż, wygląda na to, że nic tu po mnie. Ale jednego możesz być pewna, Maggie. Odzyskam cię. Do czasu, gdy postawimy żagle w podróż powrotną, będziesz znowu moja.

Maggie z trudem starała się zachować spokój, którego tak jej teraz brakowało.

– Tracisz swój czas. Nie mam ochoty cię więcej widzieć.

Zanim zacząłby się dalej z nią spierać, Maggie ruszyła za mijającą ich ławkę parą i wyszła za nimi z parku. Nie śmiała nawet spojrzeć za siebie, żeby nie dać Neillowi choćby cienia zachęty.

Dreszcz niepokoju towarzyszył jej przez całą drogę powrotną do domu. Obawiała się, że może wcale nie będzie tak łatwo się pozbyć Neilla.

Zza rosnącego z boku domu wiązu Adam obserwował nieustający napływ samochodów i powozów, które przybywały na przyjęcie z okazji ukończenia studiów jego siostry. Musiał przyznać, że bolało go bardzo, że nie mógł uczestniczyć w uroczystościach. Nie chodziło nawet o to, że tęsknił do tłumu nienagannie ubranych ludzi, którzy prawią sobie wzajemnie sztuczne uprzejmości, ale chętnie pogratulowałyby Briannie tak ważnego osiągnięcia. Wiedział, że z całego rodzeństwa, to właśnie jego siostra o tak czułym sercu przyjąłaby go do domu i pomogła wrócić do rodziny.

Cofnął się o krok, chowając w cieniu, by pozostać niewidocznym dla innych. Gdy tylko pewny był swojej anonimowości, dalej obserwował grupę ludzi wysiadających ze znanego mu samochodu, którym kierował Sam Turnbull. Sam często siadał za kierownicą należącego do ojca Forda T, gdy trzeba było zawieźć gdzieś członków rodziny i dzisiejszego wieczora było podobnie.

Rylan Montgomery wysiadł przez tylne drzwi i trzymał wyciągniętą w stronę auta dłoń. Za nim wyszła Colleen – olśniewająca w swojej wieczorowej sukni – i posłała pełen miłości uśmiech mężowi. Ostre, wwiercające się w serce poczucie żalu przeszło jego pierś. Jako dzieci, on i Colleen byli sobie najbliżsi... do czasu, gdy Adam zszedł na drogę, która zniszczyła całkowicie zaufanie rodziny do niego.

Z samochodu wysiadła kolejna postać. Adam drgnął i poczuł, jak każdy jego zmysł skupia się na tej osobie. Od razu ją rozpoznał. To była ta dziewczyna z sierocińca, do której dzieci zwracały się „panno Montgomery”. Nagle zrozumiał. Ciemne włosy, irlandzki akcent. Ta kobieta nie była zwykłym pracownikiem, ale krewną Rylana.

Wyprostowała się i wygładziła dłonią rozkloszowaną suknię. Jej ciemne jak noc włosy spływały kaskadami na odsłoniętych ramionach. Nawet z takiej odległości jej piękno odjęło Adamowi oddech.

Jakby to musiało być, gdyby mógł czekać w środku z rodzicami i gdyby został odpowiednio przedstawiony tej uroczej istocie? Gdyby mógł ucałować jej dłoń, zaprosić ją do tańca i trzymać w swoich ramionach?

Na chwilę oddał się tym marzeniom, które migotały niczym fatamorgana i zaraz zniknęły. To nigdy nie będzie możliwe. Wyrzekł się prawa do zabiegania o szanowaną kobietę.

Zacisnął dłonie w pięści. Dlaczego jego niechęć do ojca wymknęła się mu tak bardzo spod kontroli, do tego stopnia, że chęć rewanzu zrujnowała całkowicie jego własne życie? Jakimż niedojrzałym był głupcem.

Nie potrafiąc oderwać wzroku, patrzył, aż panna Montgomery nie zniknęła z jego pola widzenia i weszła do domu. Następnie westchnął ze wstrętem i oddalił się chyłkiem, ginąc w cieniu obory... z powrotem do zwierząt, wśród których było teraz jego miejsce.



Ceglana rezydencja O’Learych była większa niż jakikolwiek dom, który Gabe miał okazję widzieć, nie wspominając o przepychu białych kolumn, które zdobiły podwójne frontowe drzwi, i kryształowego żyrandola zawieszzonego w wejściowym holu.

W ciągu wielu lat słyszał, jak jego matka mówiła o dalekiej kuzynce, Kathleen O’Leary, która mieszkała w Ameryce, ale nigdy nie wyobrażał jej sobie jako kobiety żyjącej w takim luksusie.

Sądząc po urzeczeniu, które malowało się na twarzy Maggie, podejrzewał, że jego siostra była tak samo jak on pod wrażeniem tego przepychu. Gabe uśmiechnął się do siebie. Jego młodsza siostrzyczka jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, z tymi włosami upiętymi w misterne dzieło loków i wstążek. Odziana w zieloną jedwabną suknię pożyczoną od Colleen, Maggie przypominała jakąś księżniczkę z bajki.

Z kolei Gabe czuł się jak nadziewany indyk, owinięty w jeden z wymyślnych garniturów Rylana. Wolałby mieć na sobie strażacki ubiór zamiast tego ciasnego krawata wokół szyi. Zazwyczaj Gabe nie miał nic przeciwko udzielaniu się towarzysko, ale wolał bardziej przytulne miejsca, takie jak pub Declana w Irlandii, gdzie znał wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. A nie takie ogromne sale jak tu, gdzie było prawie sto nieznanym mu twarzy.

I nagle wtedy uświadomił sobie, że Maggie była dziwnie milcząca podczas całej podróży na Long Island i nawet teraz wydawała się jakaś wycofana. Zwykle, w związku z takimi wielkimi okazjami, trąkotałyby cały czas o eleganckich gościach i wspaniałym wystroju.

– Źle się czujesz, Maggie? Jeśli tak, mogę zawieźć cię do domu.

Zamrugła oczami i spojrzała na niego.

– W porządku. Czemu pytasz?

– To do ciebie niepodobne, że jesteś taka milcząca.

Uciekła wzrokiem, wyjaśniając szybko:

– Po prostu mam dużo na głowie.

Zanim dowiedział się, cóż to takiego mogło ją tak zajmować, podeszła Colleen i przeprowadziła ich przez zatłoczony salon w kierunku pianina ustawionego obok drzwi balkonowych wychodzących na taras. Wytworny mężczyzna stał obok kobiety, która była tak podobna do Colleen, że nie było możliwości pomyłki.

– Mamo, tato. – Podeskcytowany głos Colleen przeciął harmider rozmów wybrzmiewających w pokoju.

Twarz kobiety rozpromieniła się.

– Colleen – wyrzekła i ruszyła, żeby wziąć w objęcia córkę, a potem pozwoliła, by zięć na powitanie ucałował ją w policzek.

Rylan po powitaniu, wskazując dłonią, przedstawił swoich krewnych:

– Kathleen, Jamesie... to mój brat, Gabriel, i moja młodsza siostra, Maggie.

Kathleen podeszła i uściśnęła Gabe'a oraz Maggie.

– Bardzo się cieszę, że mogę was poznać. – Ujęła twarz Maggie w dłoń i dodała: – Ależ, Maggie, wyglądasz jak twoja najdroższa matka, gdy miała tyle lat, co ty. Byłyśmy sobie bliskie jak

siostry, zanim nie wyjechałam z rodziną do Ameryki.

Maggie uśmiechnęła się.

– Wiem, mama często o was mówiła.

Kathleen zwróciła się w stronę Gabe'a.

– A ty, młody człowieku... Jesteś tak przystojny, jak twój brat. I nawet macie takie same dołeczki.

Gabe uśmiechnął się szeroko, bo trudno było się oprzeć rozweseleniu tej kobiety.

– To nasza rodzinna cecha.

James O'Leary wystąpił do przodu, żeby także uściskać dłoń Gabe'a.

– Miło cię poznać, chłopcze. Czy podoba ci się w Ameryce?

– Tak, sir. Nowy Jork jest naprawdę fascynującym miastem.

Kathleen ujęła pod ramię męża i dodała:

– Rozumiem, że mieszkacie na poddaszu u Colleen i Rylana. Jeśli byłoby wam wygodniej, mamy tu dosyć przestrzeni i chętnie możemy was gościć.

Gabe kątem oka dostrzegł jakiś ruch na drugim krańcu pokoju. Jego uwagę przykuły nagle migoczące klejnoty oraz połyskujące złote włosy. Stał tak z zapartym tchem, gdy najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział, odwróciła głowę i ich spojrzenia skrzyżowały się.

Maggie trąciła go w bok łokciem.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie Kathleen.

– Och, przepraszam. Rozproszyło mnie to... całe piękno wokół nas.

Maggie parsknęła niezbyt grzecznie.

– Dziękujemy z całego serca za tę propozycję, Kathleen, ale obecnie zgłosiłem się na ochotnika do pracy w straży pożarnej kilka przecznic od domu Rylana, więc wolałbym mieszkać w pobliżu.

Rozmowę przerwało zjawienie się uśmiechniętej młodej kobiety o rudych włosach i zielonych oczach. Podeszła szybko do nich i zarzuciła ramiona wokół szyi Colleen, która z radością odwzajemniła ten uścisk.

– Gratulacje, Bree. Jesteśmy z ciebie tacy dumni.

Po przedstawieniu gościa honorowego, Maggie została pochłonięta żywą rozmową z Brianną i Colleen. Patrząc ponad ich głowami, Gabe przeszukiwał pokój w nadziei, że może dojrzy znów złotowłosą dziewczynę, którą zauważył przedtem.

Ogarnęło go jednak rozczarowanie, bo nigdzie jej nie znalazł. A może była tylko wytworem jego wyobraźni. Potrząsnął głową, żeby wyrzucić z pamięci te głupie fantazje.

Goście przemieścili się tak, że teraz Gabe stał sam. Wykorzystał okazję i wymknął się drzwiami balkonowymi na kamienny taras. Gdy już był na zewnątrz, z radością wdychał wonne nocne powietrze, przesycone zapachem kwiatów z rozciągającego się poniżej ogrodu. Tutaj, w miejscu, gdzie mógł spokojnie wziąć oddech, ta niewidoczna pętla napięcia zwalniała swój ucisk.

Podszedł do kamiennej balustrady i zapatrzył się w rozciągające się przed nim tereny. Jego matka z pewnością zachwyciłaby się różnorodnością kwiatów upiększających ogród Kathleen. Żałował, że nie czuła się wystarczająco dobrze, by móc odbyć z nimi tę podróż przez ocean.

Gabe odsunął od siebie myśli o domu i przemierzył długość balkonu. Nagle odczuł silne pragnienie spacerowania się pośród zieleni. Zszedł po płytkich schodach na dróżkę prowadzącą do ogrodu i dalej przechadzał się krętymi ścieżkami, chłonąc cudowne zapachy. W przytłumionym świetle zmierzchu wszystkie kolory wydawały się nieco przygaszone. Chętnie wróciłby tu za dnia, by podziwiać kwitnące przestrzenie w pełni ich żywiołowości.

W ciszy rozległo się głośnie trzaśnięcie, które postawiło Gabe'a w stan czujności.

– Weź te ręce natychmiast.

Bez wątpienia był to kobiecy, zdenerwowany głos. Wyszedł zza zakrętu i spostrzegł zmagającą się ze sobą parę. Mężczyzna trzymał ramię dziewczyny, a na jego policzku widać było czerwony ślad po uderzeniu. Kobieta stała plecami do Gabe'a, więc nie mógł dostrzec jej wyrazu twarzy. Niezbyt uśmiechało mu się wkraczać w kłótnię zakochanych, ale jednak nie mógł odejść, nie upewniwszy się wcześniej, że kobieta była bezpieczna.

Wydawało się, że mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z obecności Gabe'a, gdyż dalej patrząc na dziewczynę, mówił:

– A co ty myślisz, że po co cię tu zapraszałem? Na intelektualną wymianę zdań?

Kobieta walczyła w jego uścisku.

– Uwierzyłam ci na słowo, że chcesz się spacerować po ogrodzie.

– Nikt chyba nie jest taki naiwny.

Teraz już Gabe wyszedł z cienia.

– Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna gwałtownie poderwał głowę.

– To zwykłe nieporozumienie – warknął. – Nie pański interes.

Gabe zwrócił całą swoją uwagę na kobietę i musiał mocno ze sobą walczyć, żeby nie gapić się z otwartymi ustami. To była ta dziewczyna, którą dostrzegł poprzednio w pokoju. Jej porcelanowa skóra podkreślała szeroko otwarte, wypełnione strachem oczy i idealnie zarysowane usta. Włosy o jasnożółtym

odcieniu ułożone były w aureolę loków otaczających jej twarz. Gabe przełknął, starając się przypomnieć sobie o języku.

– Czy potrzebuje pani pomocy, panienko?

Mężczyzna pociągnął ją za sobą wzdłuż ścieżki, odpowiadając za nią:

– Ależ nie.

– Tak, potrzebuję. Ten mężczyzna mnie napastuje.

Nuta paniki w jej głosie wzbudziła odruch opiekuńczy u Gabe’a.

– Proszę ją natychmiast puścić.

Mężczyzna zatrzymał się.

– Albo co?

– Albo zmuszę cię do tego – odparł spokojnie Gabe.

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo, przyglądając się mu od stóp do głów.

– Myślisz, że się boję jakiegoś irlandzkiego elegancika?

Z widocznym wysiłkiem Gabe opanował swoje wzburzenie. Ten człowiek najwyraźniej próbował zdobyć nad nim przewagę tym obraźliwym tonem, jednak Gabe nie zamierzał dać mu satysfakcji.

– Nadal trzymasz tę damę.

Mężczyzna warknął nisko i rzucił się na Gabe’a, ale ten zrobił tylko krok w bok, pozwalając, by jego przeciwnik wylądował w pobliskich krzakach.

Gabe wrócił obok dziewczyny, która teraz stała, rozcierając obolałe ramię.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, dziękuję. – Nagle zrobiła wielkie oczy. – Uważaj, za tobą!

Gabe obrócił się na pięcie, ale nie zdążył uchylić się przed pięścią mężczyzny, która uderzyła go prosto w szczękę. Cios wywołał ból pulsujący ostro w policzku, gdy Gabe cofnął się. Otrząsnął się, odzyskał równowagę i natarł w przód. Choć miał nadzieję, że uda się uniknąć fizycznego starcia, wyglądało na to, że dla tego prostaka to był jedyny argument, by zostawił dziewczynę. Ciesząc się w duchu z faktu, że dzięki strażackim treningom był w dobrej kondycji, Gabe uchylił się przed kolejnym ciosem. Następnie, jednym płynnym ruchem, przerzucił przeciwnika przez ramię i dostrzegłszy niedaleko fontannę, przeskoczył w tamtą stronę i wrzucił gbura do płytkiego zbiornika.

– Ochłódź się tu trochę i może na następny raz nauczysz się, że należy uszanować prośbę damy.

Mężczyzna charczał i wymachiwał rękami, starając się odzyskać równowagę.

Gabe powrócił do dziewczyny.

– Chyba lepiej będzie, jeśli odprowadzę panią do środka, zanim on tu znowu wróci – powiedział, oferując jej ramię.

Ona skinęła i oparła się na nim. Razem przeszli z powrotem na tylny taras. Przy drzwiach balkonowych, przez które wyszedł, zatrzymał się. Szczupła dłoń dziewczyny drżała na jego ramieniu. Spuścił wzrok, próbując upewnić się co do jej stanu emocjonalnego.

– Czy chce pani wejść do środka? A może mogę kogoś zawołać do pani? – Choć Gabe bardzo pragnął być jej jedyną pomocą, był świadomy, że tak naprawdę przecież go nie znała.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie mogę się teraz spotkać z moim ojcem.

Widok łez w tych wspaniałych niebieskich oczach sprawił, że wnętrzności Gabe'a ścisnęły się z żalu.

– Proszę powiedzieć, co mam zrobić. Tylko proszę nie płakać!

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał jej. Ona otarła policzki i pociągnęła nosem, a potem wskazała na ławeczkę na tarasie.

– Możemy usiąść na chwilkę? Nie sądzę, żeby Jared miał wrócić, skoro jest cały przemoczony. Jest zbyt próżny, by pokazywać się w takim stanie.

Gabe podprowadził ją do ławki.

– Ten Jared, to pani adorator?

Usiadła, poprawiając wokół siebie niebieską suknię. Na jej czole zarysowała się nieznaczna zmarszczka.

– Nie, to tylko znajomy. Choć mój ojciec pewnie wolałby, żeby był moim adoratorem.

– Dlaczego? – Gabe nie potrafił odgadnąć, czemu jakkolwiek ojciec mógłby chcieć takiego partnera dla swojej córki.

– Tata chce mnie wydać za mąż. Naciska, bym poznawała kolejnych potencjalnych kandydatów przy każdej nadarzającej się okazji.

Smutek w jej głosie i przygarbione ramiona sprawiły, iż Gabe zapragnął osłonić ją przed wszystkimi problemami.

– Dlaczego tak bardzo zależy mu na wydaniu pani? Nie wydaje mi się, żeby mogła pani mieć problemy ze znalezieniem męża. No chyba, że ma pani pod spódnicą ukrytą jakąś dodatkową nogę.

Dziewczyna rozdziawiła usta, a potem, na co liczył Gabe, odrzuciła głowę i roześmiała się. Ten dźwięk był osłodą dla jego serca.

– Żadnych dodatkowych nóg, przyrzekam.

– Uff! Dobrze wiedzieć. – Posłał jej szeroki uśmiech. – A tak w ogóle, to nazywam się Gabriel Montgomery.

– Aurora Hastings.

Popatrzył jej prosto w oczy.

– Aurora. Dobre imię dla kogoś, kto jak słońce rozświetla każde pomieszczenie, w którym przebywa.



Aurora wpatrywała się w przystojnego Irlandczyka siedzącego obok niej. Gdyby jakiś inny mężczyzna sprawił jej taki beczelny komplement, wydawałby się głupcem. Ale te słowa wychodzące z jego ust sprawiły, że jej serce zatańczyło w piersi.

Różany odcień pokrył jego oblicze.

– Najmocniej przepraszam. Nie powinienem się tak do ciebie zwracać.

– Nic nie szkodzi – odparła cicho. – Podoba mi się sposób, w jaki mówisz. Czy przyjechałeś do Ameryki ostatnio?

– Tak. Parę tygodni temu. Jestem tu z moją siostrą, Maggie. Przyjechaliśmy na lato w odwiedziny do naszego brata Rylana.

Aurora zamrugła.

– Rylana Montgomery’ego?

– Zgadza się. Znasz Rylana?

– Tak. Robi wiele dobrego dla sierot. – Spłonila się. – Pracuję w ramach wolontariatu u Świętej Rity, gdy tylko mam okazję.

– Miło słyszeć, że tak cenisz mojego brata. – Gabriel posłał jej kolejny uśmiech, ukazując połyskujące białe zęby. – Poczekaj jednak, aż spotkasz moją siostrę. Jest bardziej uparta niż nasz osiołek, co może potwierdzić reszta moich braci.

Aurora roześmiała się, stwierdzając jednocześnie, że nie ma co wspominać o spotkaniu z Maggie na zebraniu sufrażystek.

– Ilu masz braci?

– Trzech. Tommy, Paddy i Rylan. Maggie jest z nas najmłodsza i musi wytrzymywać nasze ciągle starania, by ją chronić.

Aurora westchnęła cicho.

– Zawsze chciałam mieć rodzeństwo. Kiedyś zazdrościłam znajomym, że mogą się kłócić z braćmi lub siostrami.

Przechylił nieznacznie głowę, nie odrywając od niej wzroku.

– Jesteś jedynaczką?

– Tak. Co też jest kolejną przyczyną tego, że mój ojciec tak mnie... kontroluje.

– Rozumiem. Cóż, najwyraźniej nie ma dobrego gustu w kwestii adoratorów, co można wywnioskować po Jaredzie.

Potrząsnęła głową.

– Jared to nie jedyny niezbyt dobrany mężczyzna, z którym próbował mnie zeswatać ojciec. Ale to opowieść na inną porę. – Wzruszyła ramionami przepraszająco. – Bardzo miło mi się z tobą rozmawia, ale muszę już wracać. – Z pewną niechęcią podniosła się z ławki.

Gabe również wstał.

– Chyba nie podziękowałam ci za pomoc. – Zmarszczyła czoło i wskazała na jego szczękę. – Mam nadzieję, że nie zrobił ci krzywdy?

– Ten marny cios? Ledwie to zauważyłem.

Przygryzła wargę, by powstrzymać chichot. Damy nie chichoczą, jak często napominał ją tata.

Gabe ujął jej dłoń i pochyliwszy się, ucałował. Poczowała drzenie w sercu.

– Miło było cię poznać, Auroro. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Aurora poczuła, że traci oddech.

– Też mam taką nadzieję.

Kiedy odprowadzał ją z powrotem do wypełnionego gwarem salonu, Aurora próbowała się otrząsnąć wewnętrznie. To było bez sensu żywić jakieś nedorzeczne wyobrażenia o mężczyźnie, który żył po drugiej stronie oceanu.

Jej przyszłość była tutaj, w Nowym Jorku. I jeśli wszystko potoczy się korzystnie, być może zwiąże się z przystojnym doktorem, z którym dzieliła pasję do medycyny.

Stałym, godnym zaufania mężczyzną. A nie uroczym irlandzkim łobuzem.

W jej życiu nie było miejsca na takiego człowieka.

Upewniwszy się, że w boksach znajdowała się świeża, czysta słoma, a wszystkie konie miały co jeść i pić, Adam udał się do warsztatu Sama. Wiedział, że nie zmruży oka, mając świadomość, że tam bez niego odbywa się przyjęcie, dlatego zamierzał ukoić zranioną dumę, pracując nad skrzynią, którą zaczął jakiś czas temu. Sam był na tyle miły, że dostarczył mu materiały i pomógł odświeżyć w pamięci tajniki tworzenia mebli. Nie trzeba było wiele czasu, by palce Adama przypomniały sobie dotyk drewna i lekkość, z jaką posługiwał się tokarką.

Gdy chwilę później usłyszał kroki w korytarzu, uniósł głowę znad opracowywanego kawałka drewna. Widocznie Sam nie położył się jeszcze lub też nie mógł spać. Drzwi warsztatu otworzyły się ze skrzypnięciem. Adam zamarł i papier ścierny wypadł mu z rąk.

W wejściu stała panna Montgomery – zjawa w zielonym jedwabiu, z ciemnymi włosami upiętymi misternie wokół głowy, a pojedyncze pasemka delikatnie opadały na jej ramiona.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i wtedy ona bezwiednie rozwarła usta.

– Pan jest tym mężczyzną z sierocińca. Co pan tutaj robi?

Adam otrzepał ręce z wiórków, starając się odzyskać opanowanie.

– Pracuję tutaj. – Obszedł stół w jej stronę, ale zatrzymał się nagle, widząc rezerwę w jej oczach.
– Przepraszam, jeśli wzbudziłem pani niepokój. Usłyszałem śmiech dzieci i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie popatrzeć przez chwilę, jak się bawią.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Być może trochę przesadziłam. Ale wyglądał pan jak jakiś przybłęda z tymi zapuszczonymi włosami.

– To dobrze, że zdążyłem je obciąć od tamtego czasu – odparł, tłumiąc śmiech.

Uśmiechnęła się z widoczną ulgą.

– Bez wątpienia to znaczna poprawa.

Oparł się biodrem o ławkę.

– Co pani tutaj robi... to znaczy w oborze?

Uniosła brodę, a na jej policzki wypłynęły rumieńce.

– Chciałam zobaczyć konie. Goście chwalili bardzo pogłowie pana O’Leary’ego, ale jeśli mam być szczerą, wyglądają mi na całkiem zwyczajne zwierzęta.

Starając się bardzo, by nawet nie drgnęły mu usta, Adam wyjaśnił:

– To dlatego, że tutaj są tylko konie pociągowe. Te rasowe trzyma się w głównej stajni.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

– To ten budynek po lewej stronie?

– Tak, właśnie ten.

Jej ręce opadły.

– Nie do wiary, że to luksusowe miejsce to dla zwierząt. U nas, w Cork, to byłby pałac godny króla.

Adam nie mógł oderwać wzroku od tej uroczej istoty. Jej prostolinijna szczerłość była wyjątkowo miłą odmianą po tych wszystkich spotykanych przez lata dziewczętach, które starały się zaimponować mu swoim wyglądem albo rodzinną fortuną.

– Pani jest z Irlandii?

– Tak. Przyjechałam w odwiedziny do brata. Jestem Maggie Montgomery.

– Miło mi cię poznać, Maggie. Ja mam na imię Adam. – Nie było sensu ujawniać swojego nazwiska. Mógł pozostać dla niej po prostu anonimowym stajennym. Człowiekiem bez wstydlivej, kryminalnej przeszłości. – Nie podoba ci się na przyjęciu? – Zbliżał się do niej, stawiając ostrożnie krok za krokiem, jakby chciał podejść do płochliwej młodej klaczy i bał się, by znów jej nie wystraszyć.

Złożyła dłonie z przodu i rzekła:

– Ależ oczywiście, jest wspaniale, ale obawiam się, że chyba nie jestem przyzwyczajona do tylu gości. Potrzebowałam... złapać oddech. – Rozejrzała się dookoła, patrząc na stół, przy którym szlifował.
– Jesteś stolarzem?

– Zajmuję się tym w wolnym czasie jako hobby. – Przerwał, wahając się, co odpowiedzieć dalej.
– Jestem... stajennym. – Oczekiwał, że jej postawa wobec niego zaraz się zmieni, że się odsunie. Ale zamiast tego ona podeszła bliżej, a na jej twarzy malowało się wyraźne zainteresowanie.

Wskazał na podłogę.

– Uważaj proszę na suknię. Tutaj jest dość brudno.

Wtedy dopiero spojrzała w dół, na stopy, w miejscu, gdzie rąbek jej sukni zmiatał wióry drewna.

– Tak. Gdyby to była moja własna suknia, pewnie bym się nie przejmowała, ale pożyczyłam ją od mojej bratowej. – Poczucie żalu przesłoniło jej wyraz twarzy. – Chyba powinnam wracać...

– A może chciałabyś zobaczyć konie, zanim pójdziesz? – Cóż go podkusiło, żeby złożyć jej tę propozycję? Powinien trzymać się możliwie najdalej od Maggie Montgomery. Dla jej własnego dobra, jeśli nie z innych powodów.

Jej szare oczy o lekko zielonym odcieniu błysnęły, a uśmiech ukazał powabne dołeczki w obu policzkach.

– Z przyjemnością.

Adam odwiązał w pasie fartuch i odłożył go na ławkę.

– Pozwól zatem, że cię tam zaprowadzę – powiedział, oferując jej ramię.

W pomieszczeniu rozległ się jej perlisty śmiech.

– Nie wyglądasz na stajennego. Zawsze pracowałeś z końmi?

Ironia tego pytania dotknęła Adama niczym rozpalone ostrze. Jeszcze trzy lata temu pogardzał wszystkim, co wiązało się z końmi. Teraz ich doglądał.

– Wychowałem się wśród nich.

– Szczęściar z ciebie. Ja zawsze chciałam mieć własnego konia. Najbliżej tego marzenia okazało się posiadanie osiołka o imieniu Tygrys. Ciągnie wózek, gdy idziemy do miasta po zakupy.

Adam wyprowadził ją bocznymi drzwiami, wiodącymi do głównej stajni.

– Mówiłaś, że przyjechałaś w odwiedziny do brata. Jak duża część twojej rodziny żyje w Ameryce?

– Tylko Rylan. Przyjechał tu też ze mną drugi brat, Gabe. Moi pozostali, starsi bracia, Tommy i Paddy, ożenili się i założyli w kraju rodziny. Zajmują się mamą podczas naszej nieobecności.

Adam uświadomił sobie, że mógłby słuchać śpiewnego akcentu tej dziewczyny bez przerwy i nigdy by mu się nie znudziło.

Doszli do stajni i Adam przytrzymał drzwi, by mogła wejść. Pstryknął włącznik i elektryczne oświetlenie rozjaśniło wnętrze. Stojąca za jego plecami Maggie westchnęła z podziwem.

– Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak uroczego. Musisz bardzo cieszyć się z tego, że możesz tu pracować na co dzień.

– Robię to dla zarobku.

Wpatrywała się w niego, jakby wyrosły mu na głowie rogi, a potem nagle jej pełen niedowierzania wzrok zmienił się.

– Ach, chyba już rozumiem.

– Naprawdę?

Pokiwała głową, nadal go obserwując.

– Twoją prawdziwą miłością jest tworzenie mebli, a nie konie, i wolałbyś zajmować się tamtym.

Adam zatrzymał się nagle pośrodku korytarza. W ciągu kilku minut zdążyła go przejrzeć. Maggie

Montgomery trafnie ujęła istotę jego konfliktu z ojcem. James O'Leary nigdy nie potrafił zaakceptować faktu, że jego syn nie podzielał jego pasji do koni. Stolarstwo było dla pospólstwa, klasy robotniczej. Nie dla spadkobiercy Irlandzkich Łąk.

– Mądra z ciebie kobieta, Maggie.

– Moi bracia zawsze mi to powtarzają. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie martw się, Adamie. Daj sobie czas, a zobaczysz, że w końcu będziesz mógł robić to, co kochasz.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Zmusił się do kolejnego kroku.

– Pozwól, że pokażę ci najlepszego konia stadniny. Tego, który ostatnio wygrał Kentucky Derby.

– Z przyjemnością. – Ponownie ujęła go pod ramię, ale zanim doszli do mahoniowego boks z mosiężnymi okuciami, z hukiem otworzyły się główne drzwi.

Adam obrócił się, żeby zobaczyć, kto wchodzi o takiej porze i poczuł, jak odpływa z niego cała krew. Wykrzywiona gniewnie twarz jego ojca przesłoniła wszystko.

– Co tu się, do diabła, wyprawia?

☞☞☞

Maggie poczuła, jak Adam zamarł i powoli cofnęła rękę z jego ramienia.

– Ja tylko oprowadzam pannę Montgomery po stadninie, sir. Nie ma się o co gorączkować.

Maggie zmarszczyła czoło. Dlaczego ktoś miałby się o to gorączkować? I co tu robił pan O'Leary? Przecież raczej nie brakowało mu jej wśród tylu dostojnych gości.

Lawina kolejnych kroków odbiła się echem i nagle w otwartych drzwiach pojawił się Rylan.

– Och, Maggie. Tutaj jesteś. Martwiliśmy się o ciebie.

– Maggie, czy ten mężczyzna cię niepokoił? – Gniewny wyraz twarzy pana O'Leary'ego mogła nieźle każdego wystraszyć.

Wyprostowała się i odparła:

– Ani trochę, sir. Był na tyle uprzejmy, iż zaproponował, że pokaże mi konie.

Pan O'Leary posłał Adamowi miażdżące spojrzenie, którego Maggie nie mogła pojąć. Nawet jeśli Adam złamał jakieś zasady o tym, że stajenni nie powinni zadawać się z gośćmi, reakcja pana O'Leary'ego wydawała się przesadna.

Rylan skinął na nią.

– Wracajmy do domu, Maggie. Gabe i Colleen zamartwiają się o ciebie.

Ogarnęło ją poczucie wstydu.

– Przepraszam. Nie chciałam nikogo martwić. – Odwróciła się twarzą w stronę Adama. Jego mina zmieniła się całkowicie. Nie było już miłego stajennego, który spełniał jej zachcianki. Zamiast tego zacięty, pełen gniewu mężczyzna patrzył wściekle na pana O’Leary’ego. Maggie obserwowała otwartą niechęć pomiędzy tym dwojgiem.

– Dziękuję ci bardzo, Adamie – powiedziała. – Będę musiała jeszcze kiedyś wrócić, żeby obejrzeć konie.

Jego oblicze złagodniało nieco, kiedy popatrzył na nią i skinął.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Maggie. Mam nadzieję, że miło spędzisz swój czas w Ameryce.

– Dziękuję. – Dlaczego miała wrażenie, że już nigdy go nie ujrzy? I dlaczego to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie? – Powodzenia przy tworzeniu mebli.

Czerwone plamy zakwitły na policzkach Adama. Maggie miała tylko nadzieję, że nie powiedziała niczego, co mogłoby go wpędzić w kolejne problemy przed panem O’Learym.

Rylan ujął ją za łokieć i praktycznie wyciągnął na zewnątrz. Przyspieszyła kroku, by się z nim zrównać. Zanim doszli do domu, Maggie wyrwała się z jego uścisku i zapytała:

– Może zechcesz mi powiedzieć, co cię wprawilo w taki amok?

Rzadko u niego spotykany grymas niezadowolenia przeciął czoło Rylana.

– Nie możesz się tutaj tak włóczyć, Maggie. Nie jesteś u siebie w Irlandii. Tu wszystko jest inne.

– Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć te wspaniałe konie, o których wszyscy tyle opowiadali. Czy to taka zbrodnia? – Chłodny wieczorny powiew poruszał kosmykami jej włosów na odsłoniętych ramionach i Maggie zdrząła, żałując, że nie wzięła swojego szala.

– Powinnaś wziąć kogoś ze sobą. Dziewczęta – *damy* – nie chadzają samotnie. Tutaj to może być niebezpieczne.

Spojrzała na niego badawczo.

– Sugerujesz, że Adam jest niebezpieczny? Bo chyba nie mógłbyś się bardziej mylić.

Rylan zrobił głęboki wydech.

– To przestępca, Maggie. Nie wolno ci z nim więcej rozmawiać.

Rozdziawiła szeroko usta, a z głowy uleciały jej wszelkie logiczne myśli.

– Czy ty masz w zwyczaju dowiadywać się o przeszłości wszystkich pracowników pana O’Leary’ego?

Obejmując ją ręką z tyłu, Rylan poprowadził ją w górę schodów na werandę okalającą dom.

– Adam nie jest zwykłym stajennym. To starszy brat Colleen. – Nachylił się bliżej niej i dodał: – Wypuścili go z więzienia jakiś tydzień temu.

Maggie poczuła, jak ugięły się pod nią kolana. Opadła na wiklinowy fotel, a słowa brata z trudem do niej docierały.

– Nie rozumiem.

Rylan usiadł obok niej.

– Nikt nie chce zatrudniać byłego skazańca, więc pan O’Leary pozwolił pracować Adamowi w oborze, ale to nie znaczy, że mu ufa. Pomiędzy nimi panuje ogromna wrogość. – Rylan westchnął ciężko. – Zaufaj mi, Maggie, lepiej, żebyś zapomniała, że w ogóle spotkałaś Adama O’Leary’ego.



– Co ty sobie wyobrażałeś, będąc tu sam na sam z tą dziewczyną?

Adam patrzył uważnie na zaczerwienioną twarz ojca.

– Miałem zamiar jej pokazać konie, tak jak mnie prosiła. Dlaczego widzisz w tym coś strasznego?

– Czy nie zdajesz sobie sprawy, że nawet zwykłe pojawienie się w twoim towarzystwie może zniszczyć jej reputację? A może społeczne konwenanse już się dla ciebie w ogóle nie liczą?

Adam zacisnął usta. Choć wcale nie chciał tego przyznawać, jego ojciec miał rację.

– Przepraszam, nie pomyślałem...

– I na tym polega twój problem, chłopcze. Działasz, zanim zaczniesz myśleć. Z pewnością nigdy się nie zastanowiłeś, jakie konsekwencje niesie twoje postępowanie wobec innych. Możesz zniszczyć swoje życie, jeśli chcesz, ale zostaw w spokoju nasze.

Widząc pełen wściekłości wyraz twarzy swojego rozmówcy, Adam obawiał się, że ojciec znów może dostać kolejnego zawału. Być może fakt, że przyszedł tu za pracą był jednym wielkim błędem. Niezależnie od tego, co postanawiał zrobić, zawsze okazywało się to złe. Jego obecność powodowała tylko kolejne spięcia pomiędzy rodzicami, a ostatnią rzeczą, której pragnął, było unieszczęśliwianie matki.

– Masz rację. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się łudziłem, że to mogłoby się udać. – W słowach Adama przebijała wyraźna gorzycz.

Ojciec znieruchomiał na chwilę.

– Myślę, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś znalazł inną posadę. Możesz zostać u nas do tego czasu.

Z gardła Adama dobył się szorstki śmiech.

– To mogłoby trwać latami. Nie przejmuj się. Rano już mnie tu nie będzie. – Przeszedł po ubitej ziemi głośnym krokiem.

– Nie zapomnij się pożegnać z matką przed wyjazdem – zawołał jeszcze za nim ojciec. – Zrób to tak, żeby myślała, że naprawdę masz gdzieś lepszą ofertę.

Adama irytowała perspektywa przystania na żądanie ojca, ale dla dobra matki zrobi to. Wszystko, byle tylko wynagrodzić jej cierpienia, których jej przysporzył.

Adam skinął sztywno głową i wyszedł z budynku. Zamiast skierować się jednak do swojej kwatery, ruszył w stronę ogrodzenia otaczającego tor wyścigowy. Oparł ramiona na górnej belce i zwiesił głowę, starając się skupić całą uwagę na regularnym oddechu. Chwilę potem wyczuł czyjąś obecność obok siebie.

– Nie wyglądasz na najszcześniejszego. – Pełen współczucia głos Sama sprawił, że Adam rozluźnił nieco spięte mięśnie pleców.

– Miewałem już dużo gorsze chwile. – Obrazy ponurych dni spędzonych w celi za kratami mignęły mu przed oczami. Westchnął głośno. – Ten układ nie działa, Samie. Niezależnie od tego, co robię, mój ojciec gotów jest powiesić mnie na najbliższym drzewie, nawet bez stawania przed sądem.

Sam położył rękę na ramieniu Adama.

– Przykro mi, chłopcze. Cieszyłem się, że wróciłeś, że mogę współdzielić z tobą moją oborę.

Adam zerknął na niego.

– Ja też.

– Dokąd się teraz udasz?

– Mam w mieście znajomego. Może on pokaże mi jakiś nowy kierunek.

Krzaczaste brwi Sama złączyły się w jedną linię.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz wrócić do tych zbirów, którzy wrobili cię w ten cały syf.

Adam zaprzeczył ruchem głowy.

– Zaufaj mi. Nauczyłem się niejednego pod tym względem. To znajomy, który odwiedzał mnie w więzieniu. John jest uczciwym człowiekiem... mądrym ponad swój wiek. Często miał do czynienia z ludźmi... w mojej sytuacji.

Sam odepchnął się od ogrodzenia i nacisnął mocniej kapelusz na czoło.

– Mój brat ma ranczo w Wyoming. Mógłbym cię tam posłać, nikt by o nic nie pytał.

Adam poczuł, jak w gardle zbiera mu się gula na myśl o takim prostym zaufaniu, jakim darzył go ten człowiek. Skinął, mówiąc:

– Dziękuję ci, Samie. Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby, ale dobrze wiedzieć, że istnieje taka opcja.

Sam uściskał ramię Adama muskularną dłonią.

– Powodzenia, synu. I daj znać, jakbyś potrzebował czegokolwiek.

Po tym stwierdzeniu Sam powoli oddalił się ścieżką prowadzącą do obory.

Adam pozostał jeszcze na zewnątrz, pewny, że i tak długo nie mógłby zasnąć. Rysy twarzy Maggie Montgomery jak żywe przesuwały mu się przed oczami, gdy tak wpatrywał się w ciemność i drwiły z niego, kusząc go marzeniami, które nie mogły się ziścić.

Dlaczego Adam kiedykolwiek wierzył, że powrót do Irlandzkich Łąk miał być dobrym pomysłem? Jego ojciec nie należał do ludzi, którzy potrafili zapomnieć o przeszłości... nawet dla dobra mamy. Czas i odległość mogły być jedynym rozwiązaniem dla Adama.

Jego umysł kręcił się w kółko i Adam zwrócił się do jedynej źródła pokoju, które odkrył z więzieniu.

Panie, wiem, że powinienem kochać swojego ojca, ale czy to musi być takie trudne? Pomóż mi odnaleźć w sercu przebaczenie dla niego i by on także mógł mi wybaczyć. Pomóż mi, bym był pokorny i przyjął konsekwencje swojego postępowania. A jeśli chcesz uczynić cud, pozwól, bym wynagrodził to wszystko rodzinie... jeśli to w ogóle możliwe.

Adam skupił się, by przywołać w pamięci ostatnią wizytę Johna McNabba w więzieniu i przyrzeczenia, które złożył w jego obecności – że podejmie wszystkie możliwe kroki, by odpokutować za swoje błędy i pogodzić się z rodziną. Że odda się pełnieniu woli Bożej i zacznie nowe życie z miłosiernym sercem. John uprzedził go, że aby to uczynić, będzie musiał wyrzec się wszelkiej niechęci i swojej dumy.

Gdy pierwsze promienie poranka ukazały się nad horyzontem, Adam zacisnął zęby w odnowionym postanowieniu. Nawet jeśli będzie miało to oznaczać starania do końca życia, nawet jeśli będzie trzeba sprzątać gnój stąd aż po wieczność, sprawi, by matka mogła być z niego znowu dumna. A dzięki temu, jak miał nadzieję, może pewnego dnia uda mu się uzyskać też w końcu uznanie ojca.

Ponad chodnikiem unosiła się jeszcze poranna mgła, kiedy Adam przemierzał Park Avenue. Postawiony kołnierz chronił go przed chłodnym powietrzem. Skręcił w ulicę 11, zerkając spod runda czapki na mijane budynki. Nie powinien mieć trudności z odnalezieniem kościoła, jednak nie był do końca pewien, jak ma wyglądać to miejsce. Podejrzewał, że różniło się znacznie od katedry Świętego Patryka.

Bładym świtem Adam zebrał swoje nieliczne rzeczy i nie chcąc budzić matki o tej porze, zostawił dla niej liścik u gospodyni. Być może zachowywał się jak tchórz, ale nie umiał stanąć przed nią twarzą w twarz, dopóki nie miał nowego planu na swoje życie. Nie wspominając o tym, że nie chciał się ponownie spotkać z ojcem. Dlatego też wsiadł w najwcześniejszy pociąg z Long Island do miasta i skierował się w stronę kościoła Johna.

Przeszedł parę kolejnych przecznic, aż dotarł pod adres, który kazał mu zapamiętać John McNabb, i tam zatrzymał się przed Kościołem Pasterza Dobrej Nadziei. Tak wcześnie rano szary kamienny budynek wydawał się opuszczony i, pierwszy raz od chwili, gdy wyjechał z Irlandzkich Łąk, Adam poczuł, że opuszcza go odwaga. Co on sobie wyobrażał, przyjeżdżając w to święte miejsce? Na pewno mury zaczną drżeć i kruszeć w oburzeniu, gdy tylko wejdzie do środka. Jak jednak inaczej miał odnaleźć Johna?

Z ołowianych chmur zaczęła padać delikatna mżawka. Adam zadrżał i chuchnął w zmarznięte palce, przekładając torbę do drugiej ręki. Wspiął się po schodach i spróbował otworzyć główne drzwi, ale były zamknięte. Na drewnianej tabliczce wypisane było, że pierwsze nabożeństwo rozpoczyna się o 8.30 rano. Z pewnością John otworzy kościół przed tym czasem. Adam po prostu przespaceruje się w okolicy, aż zobaczy, że ktoś się kręci w środku.

Podczas drugiego okrążenia, z radością zauważył światło migające w bocznych oknach kościoła. Wyprostował plecy i ponownie wszedł po schodach. Tym razem, pod naporem jego zeszywniałych palców, drzwi poddały się i otworzyły ze skrzypnięciem.

Adam zamarł. Czy pojawi się kościelny i zażąda, by opuścił budynek? Nie było słyhać żadnego ruchu, więc przeszedł przez kolejne drzwi do głównego pomieszczenia.

Z przodu kościoła wysoki mężczyzna kładł Biblię na pulpicie. Kiedy podniósł głowę i zauważył Adama, zapytał:

– W czym mogę panu pomóc?

Adam podszedł bliżej.

– Witaj, John.

Zdziwienie, a potem radość, wymalowały się na obliczu mężczyzny.

– Adam? To ty? – Przeszedł szybko głównym przejściem, wyciągając rękę, by uściskać serdecznie znajomego. – Nie spodziewałem się zobaczyć cię tu tak szybko. Wszystko dobrze, mam nadzieję... – Zmarszczył brwi i na jego wysokim czole wyrysowały się zmarszczki.

– Bywało lepiej. Czy masz chwilkę, żeby porozmawiać? Wiem, że dzisiaj jesteś najbardziej zapracowany...

– Oczywiście, oczywiście. Chodźmy na plebanię, napijemy się kawy.

– Z chęcią. Dziękuję.

Wyszedł za Johnem bocznymi drzwiami i wąskim chodnikiem w stronę małego, ceglanego domku. John otworzył drzwi i zaprosił gestem Adama, by wszedł za nim.

Dziecięce głosy i stukot naczyń dotarły do uszu Adama. Zawahał się w progu.

– Twoja żona nie będzie miała nic przeciwko?

– Wcale. Chodź, poznasz moją rodzinę.

Taka zwykła otwartość tego człowieka przyjmującego przestępcę pod swój dach, by mógł poznać jego żonę i dzieci, zawstydziła Adama.

Podczas swoich wizyt w więzieniu John często cytował fragmenty Pisma Świętego i mówił o swoich przekonaniach, ale teraz Adam zobaczył, że te słowa nie były próżnym głosem służącym tylko temu, by zwabić uspięne owieczki. Ten człowiek żył tym, w co wierzył.

Adam zdjął czapkę z głowy, postawił torbę na wycieracze, a potem wszedł do przytulnej kuchni.

– Anne, mamy gościa. To Adam O’Leary. Adamie, to moja żona i nasi synowie, David i Michael.

Atrakcyjna szatynka odwróciła się od zlewu i uśmiechnęła do Adama.

– Miło pana poznać, panie O’Leary – wyrzekła, a potem położyła dłoń na ramieniu młodszego, siedzącego przy stole chłopca, który wyglądał na jakieś cztery albo pięć lat.

– Mnie również, pani McNabb. Przepraszam, że przeszkadzam podczas śniadania. – Rzucił okiem na żeliwną patelnię na kuchni, skąd unosił się kuszący zapach i skwierczenie.

– Ależ nie ma za co! Proszę do nas dołączyć. – Zdjęła z patelni bekon i położyła pełen talerz na stole.

Zanim zdążył zaprotestować, John wysunął zza stołu dodatkowe drewniane krzesło dla Adama.

– Usiądź, proszę, a ja przyniosę kawę.

Adam zajął miejsce i świadomy zaciekawionych spojrzeń ze strony chłopców, starał się przybrać łagodny wyraz twarzy, obawiając się, żeby jego wykrzywiona w grymasie twarz ich nie przeraziła.

John postawił dwa kubki parującej kawy na stole i posłał żonie znaczące spojrzenie. Kobieta skinęła głową.

– Chłopcy, chodźcie, czas ubierać się do kościoła. – Uśmiechnęła się w stronę Adama. – Macie chwilę, żeby spokojnie porozmawiać. Tu są jeszcze bułeczki i dżem.

John ucałował żonę w policzek.

– Dziękuję, kochanie.

Adam nie odezwał się słowem, gdy John napełniał dwa talerze jedzeniem i zajął miejsce naprzeciw niego.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał cicho John.

Adam nabrał spory kawał bekonu do ust i przeżuł go starannie, zanim odpowiedział.

– Sprawy z moim ojcem nie mają się najlepiej. Wytrzymałem tydzień, pracując jako stajenny, a potem oskarżył mnie o... niestosowne zachowanie i musiałem opuścić dom.

John odłożył widelec i potrząsnął głową.

– Chciałbym móc powiedzieć, że jestem zaskoczony. Niestety prawda jest taka, że będziesz musiał się zmagać z wieloma uprzedzeniami ze strony innych ludzi. Potrzeba czasu, byś mógł udowodnić, że można ci zaufać i żebyś na nowo odzyskał szacunek wśród ludzi. Pamiętaj jednak, że Bóg jest z tobą, niezależnie od tego, jak traktują cię inni.

Wystarczyło tylko posłuchać, z jakim spokojem i prostotą przemawiał ten człowiek, by pokój powrócił do duszy Adama. Przypominały mu się wspaniałe dyskusje, które prowadzili, gdy John odwiedzał go w więzieniu. Kapelan akceptował go i nie oceniał, przez co przyciągnął do siebie Adama i powoli obudził w nim wiarę. Wiarę, która teraz miała przejść próbę.

– Czy posłuchałeś mojej rady i porozmawiałeś z ojcem?

Adam przełknął kęs bułki.

– Nie do końca.

John napił się kawy, skupiając wzrok na brzegu kubka i czekając, aż Adam rozwinie swoją wypowiedź.

– Miałem nadzieję, że dowiodę swojej wartości podczas pierwszej pracy, a potem, gdy nadejdzie stosowny czas, dotknę tego tematu.

John pokiwał głową.

– Rozumiem twoją chęć wypracowania dojścia do tej szczególnej rozmowy – podsumował i odstawił kubek na stół. – Co zamierzasz teraz zrobić?

Adam poczuł, że nagle zaschło mu w gardle. Łyknął szybko zbyt gorącej kawy.

– Właśnie dlatego tu jestem. Miałem nadzieję, że skoro pracujesz ze skazanymi, może mógłbyś mi poradzić od czego zacząć. – Nie potrafił powstrzymać nuty frustracji w głosie.

John rozsmarował grubą warstwę dżemu na bułce.

– Porozmawiam z kilkoma osobami ze wspólnoty. Zobaczą, czy ktoś potrzebuje pomocy albo wie o jakiejś pracy.

– Mogę wykonywać każdą fizyczną robotę – zapewnił cichym głosem Adam. – Nie ma dla mnie zbyt upokarzającego zajęcia.

– Masz się gdzie zatrzymać w międzyczasie?

– Jeszcze nie.

John zmarszczył czoło.

– A nie miałaś siostry tutaj, w mieście?

– Mam. Ale po tym, co się wydarzyło wczoraj, wiem, że nie będzie mnie chciała przyjąć. – Wspominając to, w jaki sposób Rylan praktycznie siłą odciągnął Maggie z dala od niego, Adam podejrzewał, że nie będzie mile widziany także w pobliżu własnej siostry.

John westchnął cicho.

– Chciałbym móc zaproponować ci mieszkanie u mnie. I chociaż moja żona jest bardzo tolerancyjna, obawiam się, że nie zgodziłaby się na to, nawet gdybyśmy mieli wolny pokój.

– Rozumiem. – Adam dokończył swój bekon i odsunął się od stołu. – Nie przejmuj się. Znajdę sobie jakiś nocleg.

John również podniósł się, mówiąc:

– W piwnicy pod kościołem jest magazyn. Nie ma tam zbyt wiele miejsca, ale mógłbym ci tam wstawić łóżko.

Adam wyprostował się.

– Ale tylko pod warunkiem, że w zamian za pokój będę wykonywał jakąś pracę. Nie chcę jałmużny.

Początkowo wydawało się, że John będzie się z nim spierać, ale za chwilę tylko skinął głową.

– Dobrze, zawsze nam się przyda pomoc przy drobnych naprawach w kościele.

Choć Adam zdawał sobie sprawę, że John najprawdopodobniej właśnie wymyśla jakieś zajęcia, by ratować jego poczucie dumy, doceniał te wysiłki.

– Dobrze.

Zegar w korytarzu wybił pełną godzinę. Wkładając swój talerz do zlewu, John stwierdził:

– Omówimy to wszystko później. Teraz muszę się już przygotować do nabożeństwa. – Podeszedł do drzwi. – Zobaczymy się w kościele? – zaproponował delikatnie, ale bez jakiegokolwiek przymusu.

Adam zawahał się. Czy był gotowy na powrót do kościoła? Tam, gdzie miał się zmierzyć z krytyką innych ludzi, świadom, że niekoniecznie przyjmą go z taką otwartością jak John?

– Jeszcze nie dzisiaj. Ale któreś niedzieli na pewno, obiecuję. – Adam wyjął czapkę z kieszeni marynarki i nasunął na czoło. Poczuł, jak fala ulgi pomaga rozluźnić się jego spiętym mięśniom. Przynajmniej ma miejsce, gdzie złożyć głowę. Reszta przyjdzie z czasem.

– Dziękuję ci, John. Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy twoje wsparcie.

– Cieszę się, że mogę ci w jakikolwiek sposób pomóc. – John odprowadził Adama do drzwi. – Jednak chciałbym też prosić cię o coś w zamian.

– Mów.

– Idź i porozmawiaj ze swoją siostrą i szwagrem. Wyjaśnij sytuację z nimi jako pierwszy krok na drodze zadośćuczynienia swojej rodzinie.

Na twarzy Adama widać było wyraźne wahanie, ale w końcu skinął.

– Masz rację. Jestem od dawna winien Colleen przeprosiny. – Otworzył drzwi, a potem jeszcze stojąc na wprost wielebnego, rzekł: – Dziękuję ci, John, za twoją gościnność i pomoc. Nie zawiodę cię.



Maggie wygładziła narzutę po swojej stronie łóżka, które dzieliła z Delią i przeszła ostrożnie po drewnianej podłodze, starając się nie zbudzić dziewczynki. Gdy była już w holu, westchnęła cicho. Tamto spotkanie z Neillem oraz wczorajsze odkrycie na temat Adama, sprawiały, że czuła się dosyć zaniepokojona.

Stwierdziła, że nie będzie nic mówić o Neillu ani Gabe'owi, ani Rylanowi, gdyż wiedziała, że obaj z pewnością za bardzo by się tym przejęli i w związku z tym zbyt mocno ograniczyli jej wolność. Ponadto Maggie chciała oszczędzić Gabe'owi wieści o tym, że prawdopodobnie cała ich podróż do Ameryki poszła na marne. Okazało się bowiem, że Neill nie tylko nie przyjął zakończenia ich związku, ale na dodatek jeszcze ruszył jej śladem. Nadal nie potrafiła pojąć jego wyczynu. Gdy byli w Irlandii, Neill pilnował każdego grosza, który miał wydać, i przeznaczał praktycznie każdy zarobiony pieniądź z powrotem na rodzinny pub. Nie miała pojęcia, jak to możliwe, że zebrał teraz pieniądze na podróż przez ocean. Modliła się tylko w duchu, by wkrótce dotarło do niego, że ona nie zamierza być jego narzeczoną i wracać do kraju. Jakiś nieśmiały głos w jej duszy jednak podszeptował jej, że on pewnie nie odpuści tak łatwo i będzie starał się ją przekonać.

W myślach prześladowały ją też mimowolne obrazy Adama O'Leary'ego, aż prosząc się o porównanie z jej byłym narzeczoną. Choć nie miał on tej klasycznej urody co Neill, biła od niego jakaś męska surowość, która przykuwała jej uwagę. Ostre rysy jego twarzy, przysłonięte starannie przyciętą kasztanową brodą, ukazywały niewypowiedziane trudy życia – pewne znużenie tym światem. Teraz już wiedziała dlaczego. Doświadczył pobytu w więzieniu.

Właściwie powinna być pełna odrazy wobec zwykłego przestępcy, człowieka, który uciekł się do nielegalnych poczynań, by osiągnąć jakiś cel. A jednak w duszy tęskniła za nim. Sądząc po dwóch dotychczasowych spotkaniach z nim, nie potrafiła uważać go za złego. Poza tym Maggie zawsze uważała, że ma dobrą intuicję, jeśli chodzi o ludzi i rzadko się myli w swojej ocenie. A teraz

instynktownie czuła, że Adam O'Leary był dobrym człowiekiem.

Schodząc wąskimi schodami do kuchni, Maggie postanowiła, że przy najbliższej nadarzającej się okazji wypyta Colleen o jej tajemniczego brata.

Zastąpiła bratową mieszającą coś w dużym garnku przy kuchni. Brudne naczynia na stole świadczyły o tym, że część rodziny już zjadła owsiankę, której teraz doglądała Colleen.

– Spóźniłam się na śniadanie?

Colleen odwróciła się w jej stronę z uśmiechem. Włosy miała starannie upięte w koczek na karku.

– Ani trochę. Wstaliśmy dzisiaj wcześniej. Rylan i Gabe poszli jeszcze do sierocińca doglądać paru kwestii przed wyjściem do kościoła – wyjaśniła, nakładając porcję owsianki do miseczki. – Na stole masz mleko i miód.

– Dziękuję. A ty już jadłaś?

– Tak, ale chętnie dołączę do ciebie na herbatę. – Przeniosła imbryk na stół i naląła dwie filiżanki herbaty.

Maggie usiadła i zabrała się do śniadania. Czuła kłębzące się w żołądku nerwy, zastanawiając się wciąż, jak zacząć rozmowę z Colleen. Wszystko wskazywało na to, że jej brat był delikatnym tematem w rodzinie. Maggie potrzebowała więc podejść do tego ostrożnie.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym obcym mężczyźnie, którego przyłapałam na podglądaniu dzieci w sierocińcu parę dni temu?

– Tak – odparła Colleen, marszcząc czoło.

Maggie zawahała się, a potem mówiła dalej:

– Okazuje się, że to był Adam.

Colleen zrobiła wielkie oczy i zapytała:

– Naprawdę?

– Tak. Poznałam od razu, gdy spotkałam go w waszej oborze, chociaż nie wiedziałam jeszcze, że to twój brat. – Naląła sobie trochę mleka do herbaty. – Teraz już rozumiem tę tęsknotę wypisaną wtedy na jego twarzy.

Colleen odstawiła filiżankę z głośnym brzęknięciem i zagryzła dolną wargę, wyraźnie starając się opanować emocje.

Maggie także musiała poskromić swoją niecierpliwość, by nie wybuchnąć serią pytań i czekała, aż Colleen wytrze kąciki oczu brzegiem fartucha.

– Czy w dzieciństwie byliście sobie bliscy z Adamem?

– Bardzo bliscy – odparła Colleen z bladym uśmiechem. – Można powiedzieć, że oboje, Adam i ja, byliśmy czarnymi owcami w rodzinie. Zanim poznałam Rylana, byłam niezłą intrygantką i... – Przerwała, spuszczać wzrok na stół. – ...niezbyt uczciwą dziewczyną. Rylan to wszystko zmienił.

– Na pewno nie byłaś taka zła, jak to przedstawiasz. W przeciwnym razie nie zdołałabyś zdobyć serca mojego brata.

Twarz Colleen złagodniała.

– Bo on dostrzegał dobro pod przykryciem zła.

Ciekawe, że Maggie czuła to samo w stosunku do Adama. Lepiej jednak, żeby zachowała dla siebie to spostrzeżenie.

– A Adam? – zapytała nieśmiało. – Co sprawiło, że zszedł na złą drogę i trafił do więzienia?

Colleen potrząsnęła głową i westchnęła.

– Adam i tata nigdy nie dogadywali się ze sobą, a sprawy pogorszyły się, gdy tata przyjął Gila pod opiekę. Gil podzielał miłość taty do koni, co zawsze było obce Adamowi. Nabral więc... uprzedzeń wynikających z faktu, że tata wołał Gila, a nie jego.

Maggie wyprostowała się sztywno na krześle, współodczuwając wręcz poczucie niesprawiedliwości Adama.

– Jak to możliwe, że ojciec faworyzował inne dziecko bardziej od własnego? Przecież to nie ma sensu.

Colleen dodała łyżeczkę miodu do herbaty i teraz mieszała napój.

– Szczerze mówiąc, Adam nie ułatwiał tego... zawsze wdawał się w kłopoty w szkole, unikał obowiązków, płał figle Gilowi i Danny'emu.

– Kim jest Danny?

Cień smutku przesłonił żywiolowe fioletowo-niebieskie oczy Colleen, aż Maggie pożałowała, że nie ugryzła się w porę w język.

– Danny był naszym młodszym braciszkiem. Utonął, gdy miał osiem lat. Jego śmierć tylko wszystko skomplikowała, ponieważ tata oskarżył Adama za ten wypadek. – Colleen zacisnęła mocno usta, jakby chciała się powstrzymać przed dalszymi komentarzami.

– Tak mi przykro... Jak wasza biedna matka poradziła sobie z taką tragedią?

– Było jej bardzo ciężko, ale mama jest silną kobietą. – Colleen westchnęła. – Jednak nie potrafiła zrobić jednego... Naprawić relacji Adama i taty.

Maggie zamieszała łyżką owsiankę w misce, nie ważąc się nawet podnieść wzroku na Colleen, podczas gdy zadawała kolejne pytanie:

– Dlaczego Adam wylądował w więzieniu? – Nie chciała naciskać, ale musiała wiedzieć.

Colleen otarła mokre policzki i odsunęła się od stołu, szurając krzesłem.

– Hazard. – Ta lakoniczna odpowiedź wybrzmiewała echem w milczeniu, które zapanowało w kuchni. – I dogadywanie się z gangsterami. Adam dostarczał poufne informacje dotyczące klientów taty i ich koni grupie bandytów, którzy zajmowali się nielegalnymi zakładami. – Podeszła do blatu i zaczęła skrobać zlew, a jej ręce poruszały się szybko i chaotycznie.

Hazard? To nie brzmiało jakoś strasznie. Hazard był normalny w pubach w Irlandii. Nawet niektórzy policjanci od czasu do czasu stawiali zakłady w meczach piłki nożnej czy w wyścigach konnych.

– Przykro mi ze względu na wszelkie cierpienia, przez jakie musiała przejść wasza rodzina. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci przykrości swoją wścibskością.

– Ależ nie, Maggie. Jesteśmy rodziną. – Colleen przerwała szorowanie zlewu i wytarła ręce w ręcznik. – Poza tym uważam, że należało cię ostrzec w kwestii Adama. Powinnaś wiedzieć, że znacznie odszedł od moralnego wychowania, które wyniósł z młodości. Nie wiem, czy kiedykolwiek zostanie z powrotem przyjęty do rodziny. – Wyglądziła dłonią spódnicę. – A teraz, wybac mi, ale muszę iść obudzić Delię.

Cierpienie malujące się na milej twarzy Colleen, które Maggie dostrzegła, gdy bratowa wychodziła z kuchni, wystarczyło, by poczuła żal, że w ogóle wywołała ten temat. Mieszała bezładną papkę płatków owsianych w misce i czując, że opuścił ją apetyt, westchnęła tylko.

Colleen wysłowiła się wystarczająco wyraźnie w temacie swojego brata. Niezależnie od tego, jak bardzo Maggie współczuła Adamowi, nie mogła mu ufać.

Musiała go wyrzucić ze swoich myśli na zawsze.

Adam wszedł po schodach z eleganckiego brunatnego piaskowca i zapukał do drzwi. Czuł między łopatkami spływającą strużkę potu. Zdenerwowany, ściągnął z głowy czapkę i czekał, aż jego siostra albo Rylan mu otworzą, licząc, że nie wyszli jeszcze do kościoła.

Zapukał kolejny raz, z pewnym poczuciem ulgi, że jednak nikt się nie pojawił. Miał już się wymknąć, gdy zatrzymało go skrzypnięcie otwieranych drzwi.

W wejściu stała mała blondyneczka, patrząc na niego pełnymi szczerości, niebieskimi oczami.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Adam O’Leary. Szukam Colleen... eee... pani Montgomery.

Dziewczynka przechyliła głowę na bok i jeszcze uważniej mu się przypatrywała.

– Moja mama miała kiedyś na nazwisko O’Leary. Czy jesteś z nią spokrewniony?

Adam zamrugnął. Nie było go tylko trzy lata. Jak to możliwe, że Colleen miała córkę w tym

wieku? A potem przypomniał sobie o adoptowanym dziecku, o którym Colleen wspominała mu w listach.

– Colleen to moja siostra – odpowiedział ostrożnie. – Czy jest w domu?

– Delio, kto tam przyszedł? – Kobięcy głos zabrzmiał od strony schodów.

– Twój brat.

Takie proste, dziecięce stwierdzenie poruszyło sercem Adama. Czy Colleen go wpuści, czy da się porwać irlandzkiemu temperamentowi i zruga go?

Colleen otworzyła drzwi szerzej i stała, gapiąc się na niego.

– Adam?

Starął się uśmiechnąć.

– Cześć, Colleen. Dobrze wyglądasz. – Przez te parę lat, gdy go nie było, jego siostra wydorosłała i stała się piękną kobietą.

– Co ty tutaj robisz? – Zerknęła badawczo na ulicę za nim, jakby spodziewała się, że zaraz zza jego pleców wyskoczy banda rzezimieszków.

– Mogę wejść? Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli znajdziesz chwilkę. – Zawahała się i położyła rękę na ramieniu córeczki. – Nie zajmę ci długo, obiecuję. A potem zostawię was w spokoju.

Westchnęła cicho.

– Dobrze. Wejdz.

Gdy tylko przeszedł przez próg, zamknęła za nim drzwi.

– Adamie, to nasza córka, Delia. Delio, to jest... twój wujek, Adam. – Nieznaczne drgnięcie głosu Colleen wskazywało na emocje, które starała się stłumić.

– Witaj, Delio. Miło cię poznać. – Ukłonił się przed dziewczynką, która zachichotała.

– Teraz mam wielu wujków.

– Delio, za dziesięć minut wychodzimy do kościoła. Idź szybko na górę i przebierz się w swoją elegancką sukienkę.

– Dobrze, mam. – Dziewczynka posłała mu ostatnie spojrzenie i czmychnęła po schodach.

– Wejdz do salonu. Jak słyszałeś, nie mamy zbyt wiele czasu.

Smutek przeszył jego serce. Nie będzie miłych uścisków ani wylewnych powitań ze strony jego siostry. Ale przynajmniej zgodziła się go wysłuchać. Powinien być i tak za to wdzięczny.

Adam wszedł za nią do przytulnego pokoju dziennego, tak różnego od reprezentacyjnego salonu w Irlandzkich Łąkach, ale jednocześnie bardzo uroczego na swój sposób. Zajęli miejsca na przeciwnych krańcach pokrytej wielbłądzią sierścią sofy.

Zacisnął dłonie na drewnianym podłokietniku.

– A więc masz córkę?

Skinęła, uśmiechając się.

– Wzięliśmy Delię z sierocińca. Jest dla nas wyjątkowo ważna.

– To widać. Z pewnością jej obecność wynagradza wam wydane pieniądze.

Usta jego siostry drgnęły i przez chwilę w jej oczach dostrzegł znajomy figlarny błysk.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

Roześmiał się, ale zaraz się uspokoił.

– Przejdę od razu do meritum sprawy. Przyszedłem tu, by przeprosić za wszelkie problemy, które spowodowałem wczoraj wieczorem. Nie miałem pojęcia...

– W porządku, Adamie. Maggie wyjaśniła, w jaki sposób znalazła się w twoim towarzystwie w tej oborze. To nie twoja wina.

– Miło, że tak mówisz. Ale prawdę powiedziawszy, powinienem od razu odesłać ją do domu. Mam nadzieję, że nie dotknęły ją żadne... konsekwencje?

– Poza burą od Rylana, nie. Jej reputacja pozostała nietknięta.

– Dzięki Bogu! – Pochylił się w przód, odczuwając nerwowe zaniepokojenie. – Przyszedłem też przeprosić za wstyd, jaki przyniósł wam mój pobyt w więzieniu. – Wytrzymał jej spojrzenie, a potem kontynuował: – Ale przede wszystkim, chciałem powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, że nie zjawiłem się na twoim ślubie. Nawet nie wiesz, jak bardzo tego żałuję.

W kąciakach jej oczu zebrały się łzy.

– Trudno zaprzeczyć, że to rzuciło się niemiłym cieniem na tym dniu, szczególnie dla mamy.

– Tak mi przykro, Colleen. Jeśli to dla ciebie cokolwiek warte, chciałbym, żebyś wiedziała, że się zmieniłem i zamierzam ciężko pracować, by wynagrodzić wszystko naszej rodzinie. – Przerwał i wziął głęboki wdech. – Bóg sam wie, że nie zasługuję na twoje wybaczenie, ale jeśli tylko możesz to uczynić, będę najszczęśliwszym człowiekiem.

Zegar na gzymsie kominka tykał, odmierzając sekundy. W końcu Colleen skinęła.

– Ja mogę ci wybaczyć, Adamie. Ale nie tylko mojego wybaczenia potrzebujesz. – Popatrzyła mu prosto w twarz. – To tata musi ci też wybaczyć.

Adam powstrzymał parsknięcie.

– Wątpię, by kiedykolwiek miało to nastąpić.

Zaskoczyła go, ujmując w swoje ręce jego dłonie.

– Spróbuj, Adamie, proszę. Dla dobra całej rodziny, musicie się pogodzić.

Adam miał wrażenie, że zaciskająca się na jego szyi pętla poczucia winy zaraz go udusi. Gdyby to tylko mogło być takie proste. Jednak miał mocne przesłanki, by podejrzewać, że nic, cokolwiek by powiedział albo zrobił, nie da rady zmienić podejścia Jamesa O’Leary’ego.

– Postaram się, ale nie mogę obiecać, że ojciec mnie w ogóle wysłucha.

Colleen uśmiechnęła się.

– Tęskniłam za tobą, Adamie. Nawet bardziej, niż się spodziewałam.

– Ja też za tobą tęskniłem. – Odchrząknął i podniósł się z siedzenia. – Cóż, chyba już powinienem zostawić cię twoim obowiązkom. Dziękuję, że zgodziłaś się mnie wysłuchać.

Jej suknia zaszeleściła, gdy wstawiała.

– Domyślam się, że nie będziesz już pracować w Irlandzkich Łąkach. Co zamierzasz? – Na jej idealną twarz wypłynęła troska.

– Kapelan więzienny ma zapytać, czy ktoś w parafii nie chciałby mnie zatrudnić. – Starał się uśmiechnąć pocieszająco. – Nie martw się. Znajdę gdzieś pracę.

Przeszli razem w stronę wąskiego wejścia.

– Poczekaj. – Colleen położyła dłoń na jego ręce, żeby go zatrzymać. – Dozorca w sierocińcu jest już posunięty w latach i nie radzi sobie ze wszystkimi obowiązkami. Może Rylan mógłby...

Uścisnął jej rękę, przerywając jej tym samym.

– Doceniam twoje starania, ale nie chciałbym być źródłem problemów pomiędzy tobą a mężem.

Smutek przygasił blask jej oczu. Milczała, a to było dla niego tylko dowodem, że miał rację.

– W jaki sposób mogę się z tobą skontaktować?

– Przez wielbnego Johna McNabba w Kościele Pasterza Dobrej Nadziei. Bądź zdrowa, Colleen.

Zaskoczyła go ponownie, kiedy wzięła go w objęcia i musiał ze wszystkich sił starać się opanować emocje. Gdy cofnął się, jego wzrok powędrował w głąb korytarza. Na końcu, jakby ją zamurowało, stała Maggie z ręką na słupku barierki schodów.

Delia przebiegła obok niej, a jej kroki zadudniły na drewnianej podłodze.

– Idziesz z nami do kościoła, wujku Adamie?

Adam nie mógł oderwać wzroku od zdumionej twarzy Maggie.

– Nie mogę dzisiaj, kochanie. Może innym razem.

Skręcało go od środka, ale zmusił się, by przestać spoglądać na udręczone oczy Maggie. O czym myślała? Czy darzyła go nienawiścią... teraz, gdy już wiedziała, że był przestępcą?

Adam założył czapkę i skinął krótko w kierunku Colleen, a potem od razu wyszedł na zewnątrz. Jednak niezależnie od tego, jak szybko szedł, wydawało mu się, że nie da rady prędko zapomnieć o przepelnionym bólem spojrzeniu Maggie.

Gabe pogwizdywał, czyszcząc chromowany zderzak zmotoryzowanego wozu strażackiego zaparkowanego w remizie. Z zadowoleniem myślał, że kiedy tylko zjawi się tu komendant Witherspoon, blask samochodu olśni go.

– Hej, ty, Irlandczyk! Zderzak zaraz odpadnie. Już się nie da go bardziej doczyścić. – Will Spack, jeden ze strażaków o parę lat tylko starszy od Gabe’a, rzucił w niego mokrą gąbką, która uderzyła go prosto w pierś i wylądowała w kałuży na betonowej posadzce.

Po drugim tygodniu w remizie, Gabe znał większość strażaków na tyle, że nie przejmował się już ich zaczepkami.

– Akurat, boisz się, że przeze mnie gorzej wypadniesz – zripostował.

Jerry O’Donnell wychylił głowę zza samochodu.

– Dobrze gadasz, Montgomery. Spack się martwi, że komendant go wywali, a zamiast niego zatrudni ciebie.

Lekki dreszcz przeszył Gabe’a. Jakby to było, stała praca w straży, bycie prawdziwym członkiem tej ekipy, która niestrudzenie dokłada wszelkich wysiłków, by utrzymać bezpieczeństwo w mieście? Jednak wspomnienie o ukochanej matce sprawiło, że ten obraz wyparował szybciej niż płamy wody na betonie. Nigdy nie mógłby sprawić jej takiego cierpienia, jakie wywołałaby strata kolejnego syna na rzecz Ameryki.

To oraz niestabilna sytuacja w kraju czyniły pozostanie tu zupełnie niemożliwym.

– Chłopaki, jesteście głodni? – Z piętra, gdzie mieściły się kwatery strażaków, zagrzmiął tubalny głos komendanta Witherspoona. – Dzięki uprzejmości pani Witherspoon mamy gar gulaszu.

Jerry wydał donośny okrzyk i skoczył w stronę schodów.

Gabe roześmiał się i schylił po gąbkę, a potem wrzucił ją razem ze szmatą do kubła stojącego pod ścianą. Wytrzeł mokre ręce w spodnie i czuł już, jak leci mu ślinka na myśl o smacznym posiłku.

I wtedy powietrze rozdarł sygnał alarmu. Cała ekipa zamarła, słuchając numeru zawartego w sekwencji dźwięków, a potem skoczyła do działania. Gabe stał, obserwując tę gorączkę.

Komendant przebiegł obok niego i zawołał:

– Nie stój tak tutaj, Montgomery. Gotuj się!

– Ja też jadę? – Gabe poczuł we krwi uderzenie adrenaliny.

– Będziemy potrzebować każdego. Jedziemy do domu Arthura Hastingsa.

Gabe odrzucił na bok wszelkie obawy i pobiegł w stronę wieszaków na ścianie, gdzie złapał za wolny sprzęt.

– Skąd wiecie, że to u Hastingsów? – Nałożył hełm na głowę, ciesząc się, że już wcześniej do mycia samochodu założył buty strażackie.

– Ich dom zajmuje całą kwaterę. Posiada swój własny kod alarmu. – Komendant wcisnął na siebie hełm. – Ruszać się.

Mężczyźni wskoczyli do wozu i już chwilę później z rykiem silnika i dźwiękiem syreny wyjeżdżali z remizy.

Gdyby nie fakt, że działali, zapobiegając potencjalnej tragedii, Gabe zapewne byłby do cna przejęty jazdą zmotoryzowanym wozem pierwszy raz w życiu. Jednakże teraz starał się przygotować na to, co miało nadejść. Wiedział już, że Arthur Hastings, którego portret wisiał w remizie, był ojcem tej uroczej dziewczyny z przyjęcia u O’Learych. Przeszywał go więc niepokój na myśl, że jej rodzinny dom stoi w płomieniach. Modlił się, by była gdzieś poza domem tego wieczoru. Gdziekolwiek, byle dalej od niebezpieczeństwa.

Wzięli ostry zakręt. Spack włączył syrenę, która donośnie wyła na ulicach, sprawiając, że przechodnie uskakiwali z drogi, a potem odwracając się, patrzyli na nich.

Gabe chwycił się kurczowo boku auta, kiedy przechylili się na jedną stronę. Gdy tylko dotarli przed rezydencję, mężczyźni wyskoczyli na ulicę i zaczęli rozwijać wąż. Komendant Witherspoon podbiegł do drzwi wejściowych, przy których, załamując bezradnie ręce, stała kobieta w mundurku.

– Szybko, proszę – zawołała. – Panienska Aurora jest na piętrze.

Gabe gwałtownie poderwał głowę znad sprzętu, z którym się siłował.

– Gdzie jest jej pokój? – wrzasnął komendant.

– Z tyłu, pierwsze piętro, pokój pośrodku.

Komendant wykrzykiwał rozkazy.

– O’Donnel, przynieś drabinę z tyłu do środkowego okna. Spack, Jackson, dawać tu węże.

Gabe nie czekał na nic więcej. Z własnego doświadczenia wiedział, że wahanie, nawet przez ułamek sekundy, może kosztować czyjeś życie. Skoczył w stronę drzwi wejściowych, ignorując wszystko dookoła. Gęsty dym unosił się w marmurowym holu, ale bez problemu udało mu się znaleźć schody. Przeskakując stopnie po dwa na raz, w głowie powtarzał zasady pomocy w przypadku pożaru, których nauczył się podczas szkolenia w kraju. Przemknął przez spocznik schodów, dotarł szybko na piętro i skręcił w głąb korytarza, licząc kolejne mijane pokoje. Gdy znalazł się w miejscu, które mniej więcej wydawało mu się środkiem budynku, zaczął otwierać drzwi. Już za drugim razem trafił na zdecydowanie kobiecego pokój. Atak kaszlu zwolnił go na chwilę, a dym przyprawił go o łzy. Na szczęście nie dostrzegł śladu płomieni, gdy wszedł do pomieszczenia.

– Panno Hastings? – wołał. Pomimo okoliczności czuł się jak drań wdzierający się do kobiecej alkowy.

Olbrzymie łoże z baldachimem stanowiło centralny punkt pokoju. Zasłony zaciągnięte były

dookoła łóżka. Gabe zerwał materiał na bok. Nie miał wątpliwości, że pod kołdrą leży śpiąca osoba. Potrząsnął ją za ramię, sam siebie ganiąc za dziwne odczucia, które go przenikały. Gdyby to był ktoś obcy, nie wahałby się ani przez chwilę, by wynieść nieznaną ofiarę w bezpieczne miejsce, ale wyobrażając sobie piękną Aurorę, nie umiał pozwolić sobie na taką bezczelność.

W końcu kobieta drgnęła i przekręciła się na bok, a blond włosy opadły na jej czoło.

– Panno Hastings. Dom stoi w płomieniach.

– Co takiego? – Powoli wróciła do żywych i wydała zduszony okrzyk.

Starł się wyobrazić sobie, jak musiała się czuć w tym momencie, budząc się i widząc nad sobą obcego człowieka ubranego w strażacki mundur i hełm.

– Auroro, musisz się pospieszyć.

Usiadła, podciągając pod brodę pościel.

– Skąd znasz moje imię?

– To ja, Gabriel Montgomery. Spotkaliśmy się u O’Learych.

– Och! – Wpatrywała się w niego, a potem mrugnęła dwa razy. – Tam na krześle jest moje okrycie – rzekła, pokazując na drugi kraniec pokoju.

Chwyił odzienie i podał jej, odwracając się plecami, gdy ona się ubierała. Chwilę później zerknął przez ramię i zobaczył, że zawiązuje już szlafrok w pasie i zakłada kaptcie. Bez słowa chwycił ją za ramię i wyprowadził na korytarz. Dym zgęstniał jeszcze bardziej.

– Staraj się nie brać głębokich oddechów. – Objął ją ramieniem i tak schodzili po schodach.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, obojgiem wstrząsał kaszel i rozpaczliwie łykali świeże powietrze. Od razu podbiegła do nich gospodyni.

– Och, chwała Bogu, panienko! Tak bardzo się martwiłam!

– Pani Forrester. Czy wszyscy już opuścili budynek?

– Tak. Przepraszam, że nie dałam rady dotrzeć na piętro. Płomienie w kuchni były takie...

Aurora położyła dłoń na ramieniu kobiety.

– Proszę się nie martwić. Już dobrze.

Gabe podszedł bliżej.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę iść pomóc innym.

– Oczywiście, dziękuję. – Zadrżała lekko.

– Pod żadnym pozorem nie wolno nikomu wracać do domu. Zrozumiano? – Gabe zmierzył obie kobiety surowym wzrokiem, aż zgodnie skinęły.

Choć nie miał ochoty odchodzić, Gabe znał swoje obowiązki. Złapał wąż i pobiegł za innymi na tył domu, gdzie nadal tlił się ogień, a potem pomógł pozostałym mężczyznom go ugasić.

Dwadzieścia minut później komendant Witherspoon ogłosił, że sytuacja została opanowana. Na szczęście strażakom udało się ograniczyć pożar tylko do kuchni, choć reszta rezydencji ucierpiała od dymu. Ale i tak mieli szczęście.

Komendant posłał dwóch mężczyzn, żeby dokładnie sprawdzili cały budynek i upewnili się, że każdy opuścił dom i nie ma już żadnego innego zagrożenia.

Kiedy taszczyli węże z powrotem do auta, komendant rzucił Gabe'owi ostre spojrzenie.

– Coś mi się wydaje, że musimy omówić to, w jaki sposób przeprowadzamy tutaj ratowanie ofiar.

Gabe poczuł wyrzuty sumienia. Zareagował impulsywnie, a to nie zawsze było dobre.

Komendant założył ręce na piersi.

– Skoro to już powiedziałem, chcę dodać, że cieszę się, iż udało ci się wyprowadzić pannę Hastings całą i zdrową. Jestem pewien, że jej ojciec będzie równie wdzięczny.

Ulga przeniknęła spięte ciało Gabe'a.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, pójdę teraz do dam i upewnię się, że jakoś sobie radzą z szokiem.

Krzaczaste brwi komendanta uniosły się.

– Ależ proszę.

Gabe spuścił głowę, by ukryć rumieniec, który oblał jego policzki. Nie było nic niezwykłego w tym, co robił. Zachowałby się tak samo wobec każdego, kogo wyratowałby z pożaru.

Fakt, że jedna z tych kobiet sprawiała, że przyspieszało mu tętno, nie miał przecież nic z tym wspólnego.

Nic a nic.

Straszny dreszcz przeszył ciało Aurory, tak że nie mogła powstrzymać drżenia. To było naprawdę głupie. Przecież nic jej się nie stało. Dom, przynajmniej w większości, nie był uszkodzony. Dlaczego więc siedziała tu i płakała?

Bo jedyną osobą, która z tobą została, by cię pocieszyć, jest gosposia.

Jej rodzice prowadzili tryb życia obfitujący w wiele spotkań, co oznaczało dla niej niejedną samotną chwilę spędzoną tylko w towarzystwie służby. Tak jak dzisiaj. Mama namawiała ją na wspólne

wyjście, ale Aurora, zmęczona po długim dniu, z bolącą głową, postanowiła zostać w domu i położyć się spać wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj dobrze radziła sobie z samotnością i cieszyła się towarzystwem swojego kota.

Petunia!

Aurora poważnie się zaniepokoiła. Czy jej pupil był jakoś ranny?

Pobiegła z powrotem w stronę domu, ale dwóch strażaków wychodzących z korytarza zagroziło jej drogę.

– Nie może panienka tu wchodzić. Trzeba poczekać do czasu, aż komendant odwoła alarm.

– Ale moja kotka... Muszę ją odnaleźć.

– Nie pozwolimy panience ryzykować zdrowia dla zwierzaka.

Starła się przecisnąć między nimi, ale oni nie ugięli się.

– Proszę, ona jest dla mnie bardzo ważna... – Zaczęły dławić ją łzy, gdy wyobraziła sobie swoją najdroższą towarzyszkę leżącą gdzieś tam, w domu, duszącą się od dymu.

– Panno Hastings? Czy tam w środku jest jeszcze ktoś? – Obok niej stanął Gabe Montgomery z wyraźnie zmarszczonym czołem.

Od razu ogarnęło ją uczucie ulgi.

– Moja kotka. Proszę. Muszę ją znaleźć.

Położył swoją odzianą w rękawicę rękę na jej ramieniu i ten ciężar uspokoił nieco jej nerwy.

– Na pewno się wydostała. Większość zwierząt potrafi instynktownie odnaleźć wyjście podczas pożaru.

– Ale ona śpi ze mną w pokoju. Drzwi były zamknięte, aż do twojego przyjścia. A co, jeśli jest gdzieś uwięziona i nie może się wydostać? – Myśl, że jej ukochany zwierzak może udusić się w dymie był dla niej nie do zniesienia. Łzy popłynęły po jej policzkach. – Proszę, musisz sprawdzić, czy jest bezpieczna.

Kolejna zmarszczka przecięła czoło Gabe'a ukryte pod hełmem. Rozejrzył się dookoła, a potem westchnął donośnie.

– Pójdę tam, jak mi obiecasz, że tu zostaniesz.

Wydawał się taki olbrzymi w tym stroju strażackim. Olbrzymi, dający poczucie bezpieczeństwa i godny zaufania. Skinęła i otuliła się ramionami w pasie.

– Obiecuję.

Teraz pojawiła się obok pani Forrester.

– Zostanę z nią, sir.

Ruszył, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Jak wygląda ta kotka? Tylko proszę nie mówić, że jest cała czarna. – Sadza na jego obliczu dodała odrobinę satyry do jego strapionego wyrazu twarzy.

Przez moment, pomimo zmartwienia, Aurora miała ochotę się roześmiać.

– Jest bielutka, więc będzie ją łatwo zauważyć.

Uśmiechnął się szeroko.

– To dobrze. Zaraz wracam – rzucił i zniknął, zanim zdążyła wziąć kolejny wdech.

– Jejku, czyż on nie jest uroczy? – Pani Forrester westchnęła. – Jeśli oni wszyscy tacy są w tej Irlandii, może powinnam się zaopatrzyć w bilet na najbliższy rejs.

Aurora zaśmiała się nerwowo, ocierając resztki łez z policzków. Choć wciąż się martwiła, czuła, jakby ktoś zdjął z jej ramion wielki ciężar. Nie wiedzieć czemu, ufała, że Gabe na pewno odnajdzie Petunię.

Czekając przed domem, Aurora chodziła w kółko i modliła się o ich bezpieczeństwo. Wiedząc, jak wiele pokoi było w domu, to mogło zająć mu całą wieczność, żeby przeczesać budynek. Czy Gabe naprawdę da radę to zrobić?

Wreszcie pojawił się w głównych drzwiach z rozczochraną futrzaną kulką w ramionach.

– Znalazłeś ją! – Rzuciła się, by wziąć Petunię na ręce, i zanurzyła twarz w cuchnącej dymem sierści kotki. Zaskoczony zwierzak zadrżał, ale gdy tylko znalazł się w ramionach Aurory, zdawał się uspokoić.

Aurora podniosła oczy na Gabe'a. Trzy krwawe strużki spływały po jego policzku.

– Czy to jej sprawka?

Uśmiechnął się żałośnie.

– Panna Petunia nie była zbyt szczęśliwa, że musi wyjść spod twojego łóżka.

Aurora przełożyła kotkę na drugą rękę.

– Tak mi przykro. Musiała być przerażona. Zazwyczaj jest bardzo przyjacielska. – Wyciągnąwszy dłoń, dziewczyna delikatnie starła kciukiem krew z jego twarzy. – Dziękuję ci. Stałeś na wysokości zadania, a nawet ponad.

Obdarzył ją szerokim uśmiechem, a w jego policzkach, pod warstwą sadzy, ukazały się dwa dołeczki.

– Nie slyszalaś nigdy, że od strażaków wymaga się ratowania kotów? To leży w zakresie szkolenia.

Nie dała rady się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. I po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna Aurora nie czuła się taka samotna.

– Pan Montgomery przyjmie pana teraz. – Pani Taft, wysoka, surowa z wyglądu kobieta, prowadziła Adama przez wyłożony dywanem korytarz domu dziecka imienia Świętej Rity.

Adam był zaskoczony, kiedy Rylan zadzwonił do kościoła Johna i poprosił go o spotkanie. Czego szwagier mógł od niego chcieć? Mając na uwadze sposób, w jaki Rylan odciągnął od niego Maggie, gdy zastał ich razem w stajni, nie liczył na zbyt wiele po tym spotkaniu.

Adam obracał w rękach czapkę i szedł szybko za panią Taft, podziwiając z pewnym zaskoczeniem wystrój wnętrza. Spodziewał się, że budynek sierocińca będzie raczej surowy i niezbyt zachęcający, a nie tak radosny i ciepły jak to miejsce.

Gdy dotarli do drzwi oznaczonych tabliczką „Kierownik”, pani Taft zapukała krótko i otworzywszy drzwi, zaanonsowała przybycie Adama, a potem wycofała się w głąb korytarza.

Adam obciągnął brzeg wełnianej marynarki, mając nadzieję, że jego fryzura nie jest zbyt niedbała. W pamięci stanęły mu obrazy pierwszego spotkania z dalekim kuzynem. Rylan, który wtedy uczył się w seminarium jeszcze przed poznaniem Colleen, był uprzejmy, przyjazny i otwarty. Adam wyszeptał pod nosem cichą modlitwę, by szwagier nadal pamiętał o chrześcijańskich przymiotach i potrafił przebaczyć mu jego przeszłość. Tak wiele zależało od nastawienia Rylana w kwestii przyszłej relacji Adama z Colleen.

Wszedł do miłego pokoju, w którym rozciągały się rzędy regałów z książkami i drewnianych szafek. Rylan siedział za wielkim, mahoniowym biurkiem, a promienie słoneczne sączyły się przez okno za jego plecami. Podniósł wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

– Adam. Dziękuję, że przyszedłeś. Proszę, usiądź.

– Chciałeś się ze mną spotkać? – Adam usiadł na drewnianym krześle dla gości.

Rylan złożył obie dłonie przed sobą na biurku.

– Tak. Colleen poinformowała mnie, że nie udało ci się z pracą w Irlandzkich Łąkach.

Choć słowa te wypowiedziane były bez złośliwości, Adam poczuł bolesne ukłucie. Nie oderwał jednak wzroku od rozmówcy.

– Naprawdę nic dziwnego, biorąc pod uwagę moje relacje z ojcem.

Rylan skinął.

– Nie zamierzam oceniać waszych relacji z Jamesem. To sprawa między wami. Jednakże Colleen pytała mnie, czy moglibyśmy znaleźć dla ciebie pracę tutaj.

Adama irytowało to, że musiał błagać o pracę, ale odsunął od siebie poczucie dumy. Zrobi, co tylko będzie trzeba, by już nigdy nie musieć wracać do więzienia.

– Przyjmę każdą pracę.

Rylan obserwował go uważnie, a w jego spojrzeniu zagościło lekkie zaciekawienie.

– A co to za kościół, w którym teraz się zatrzymałeś? Pracujesz tam?

Adam złożył ręce na kolanach.

– Wykonuję drobne naprawy w zamian za możliwość noclegu. Wielebny McNabb był dla mnie nieocenionym przewodnikiem podczas mojego pobytu w więzieniu. Pomaga mi wrócić do społeczeństwa.

– Cieszę się, że znalazłeś przyjaciela, który się o ciebie troszczy. – W brązowych oczach Rylana było widać empatię. Już samo to, że Adam nie wyczuwał u niego niechęci, było dla niego wielką ulgą.

Rylan podniósł pióro i postukał nim w biurko. Na jego czole pojawiła się teraz zmarszczka.

– Colleen postawiła mnie w trudnej sytuacji tą swoją prośbą. Jestem odpowiedzialny za to miejsce. Nie tylko wobec dzieci, ale też sióstr, pracowników oraz wolontariuszy.

Adam poczuł w żołądku ucisk rozczarowania, a jego optymizm zaczynał niknąć.

– Rozumiem. Nikt nie chce mieć w pobliżu byłego więźnia. – Wstał z wygodnego krzesła, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. – Dziękuję za spotkanie, Rylanie. I podziękuj ode mnie Colleen. – Obszedł krzesło i ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj. Nie dałeś mi skończyć.

Adam zatrzymał się i zwrócił twarzą do Rylana, który zdążył już wyjść zza biurka.

– Jako chrześcijanin, wierzę mocno w bezwarunkowe przebaczenie Boga... i w możliwość kolejnej szansy. Dlatego też doszedłem do pewnego kompromisu ze swoim sumieniem i mam nadzieję, że to usatysfakcjonuje nas obu.

Adam przełknął ciężko, bojąc się nawet pozwolić sobie na nadzieję.

– Jaki to kompromis?

– Nasz dozorca, pan Smith, jest już dość posunięty w latach i nie może wykonywać wielu cięższych prac, szczególnie tych związanych z utrzymaniem budynku na zewnątrz. Gdybyś zechciał zająć się tymi dorywczymi zajęciami w miarę potrzeb, myślę, że moglibyśmy się jakoś dogadać.

Adam poczuł, jak rozlewa się w nim poczucie ulgi. Dzięki zarobkom uzyskanym w sierocińcu mógłby dużo szybciej stanąć na nogi, niż się spodziewał.

– To więcej, niż mi się należy. Dziękuję za twoją hojność.

Wyciągnął dłoń w stronę Rylana, licząc, że nie zostanie odrzucony. Rylan jednak nie wykonał żadnego ruchu.

– Jeszcze jedno. Muszę cię prosić, byś trzymał się z dala od Maggie. Nie mogę ryzykować, że jej

reputacja zostanie zniszczona. Możesz dać mi na to słowo?

Serce Adama ścisnęło się na myśl o miłej twarzy Maggie. Musiał jednak z bólem przyznać, że Rylan miał rację. Nie miał nic do zaoferowania tak wspaniałej kobiecie. Westchnął przeciągle.

– Zgoda.

Rylan podszedł do niego i wtedy dopiero uściśnął jego dłoń.

– Przyjdź jutro, a będę miał już dla ciebie gotową listę prac do wykonania.

To było znacznie więcej, niż Adam mógł oczekiwać.

– Dziękuję ci, Rylanie. Naprawdę to doceniam.

Kiedy kierował się do wyjścia z sierocińca, ścierały się w nim euforia i rozczarowanie. Wzniósł w niebo krótką modlitwę, aby miał w sobie na tyle siły, by dotrzymać obietnicy danej Rylanowi, choć wiedział, że do tego będzie musiał trzymać się z daleka od kuszącej panny Maggie.



Gabe wetknął ręce w kieszenie i skręcił w Madison Avenue. Nagłe zdenerwowanie podpowiadało mu, że być może to, co robi, nie jest najmądrzejszą rzeczą. Komendant Witherspoon najprawdopodobniej nie pochwalałby jego niezapowiedzianej wizyty w rezydencji państwa Hastingsów. Jednakże w jego ojczyźnie, gdy zdarzało się, że któryś z sąsiadów ucierpiał wskutek pożaru, cała społeczność jednoczyła się i zbierała tyle jedzenia, że można byłoby wyżywić brytyjską armię, oraz wszelkiego rodzaju dary dla ofiar kataklizmu. Zatem nie powinno dziwić, że chciał odwiedzić ich i wypytać się o stan domu... i jego mieszkańców.

Na samą myśl o ponownym zobaczeniu się z Aurorą, Gabe poczuł, że przyspiesza mu tętno. Choć spotkał się z nią zaledwie dwa razy, wiedział, że to nie tylko jej oszałamiająca uroda przykuła jego uwagę. Jej urocze zachowanie, to, jak kochała swoją rodzinę, martwiła się o kota i troszczyła o swoją gospodynię dodawało jej wdzięku.

W pamięci stanął mu obraz wyrachowanych, zielonych oczu Brigidy oraz jej ciętego języka. Jej kokieteryjny styl bycia, coś, co niegdyś Gabe niesłusznie uznawał za skierowany tylko do niego, pochlebiał mu. Ale nic z kaprysów Brigidy i aroganckich całusów nie mogło równać się z dystygowaną i wytworną panną Hastings. Teraz nawet nie umiał sobie przypomnieć, jak wyglądała Brigida, gdyż za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział tylko twarz Aurory.

Po raz pierwszy od wyjazdu z kraju Gabe poczuł ukłucie żalu, że będzie musiał wrócić do Irlandii, gdy skończy się lato. Gdyby mógł zostać dłużej, być może miałyby czas, żeby zobaczyć, czy mogłoby się coś między nimi zrodzić. Zwolnił kroku, gdy doszedł do domu Aurory i po raz kolejny nie mógł się nadziwić wielkości tej rezydencji. Rzeczywistość spadła na niego niczym kubek zimnej wody. Ależ był głupcem... Dziewczyna o takim statusie społecznym i wychowaniu co Aurora nie będzie nawet chciała mieć nic wspólnego z biednym strażakiem z małej irlandzkiej wioski.

Przebierał w palcach drobne monety ukryte w kieszeni. Ich przyjemne dzwonienie uspokajało go. Przyszedł tu tylko, by wypełnić sąsiedzki obowiązek, i tyle. Dopyta się, czy wszyscy zdrowi, a potem wróci do remizy. Jeśli komendant nie będzie miał dla niego nic do roboty dzisiaj, zobaczy, czy nie przyda się do czegoś Rylanowi w sierocińcu.

Póki miał jeszcze odwagę, Gabe wszedł po schodach i zastukał mosiężną kołatką do głównych drzwi. Chwilę później otworzyła mu gospodyni z wyjątkowo brudną twarzą. Gabe patrzył ze zdumieniem, pewien, że zazwyczaj raczej nie pokazywała się odwiedzającym w takim stanie.

– Dzień dobry, jestem Gabriel Montgomery, wczoraj przeprowadzaliśmy tu ze strażą akcję ratowniczą.

Uśmiech rozpromienił jej brudne policzki.

– Pamiętam, panie Montgomery. Jestem pani Forrester, gospodyni państwa Hastingsów. Cieszę się, że mogę znów panu osobiście podziękować.

Gabe stał w progu.

– Nie ma za co dziękować, proszę pani. Wykonywaliśmy po prostu swoją pracę.

– Nawet nie ma pan pojęcia, jak wiele uczyniliście, żeby ocalić moje zdrowie psychiczne. Nigdy nie wybaczyłabym sobie, jeśli cokolwiek stałoby się panience Aurorze. Nie potrafiłam przezwyciężyć tego dymu i iść na piętro. – Jej podbródek zaczął się trząść.

– To normalna reakcja w przypadku pożaru. Nie ma się czego wstydzić. – Odkaszlnął, wciąż czując w gardle lekkie drapanie dymu. – Czy zastałem może pannę Hastings?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jak się pan pewnie domyśla, właśnie sprzątamy kuchnię i państwo Hastingsowie przenieśli się całą rodziną do hotelu, do czasu wyjazdu do ich letniej rezydencji na Long Island.

Gabe wziął głęboki wdech, odczuwając jednocześnie ulgę i rozczarowanie, że nie uda mu się zobaczyć z Aurorą.

– Hmm... chciałem się po prostu upewnić, że wszyscy mają się dobrze.

Pani Forrester uśmiechnęła się.

– Jak najbardziej. Panienska Aurora jest zdrowa jak ryba. Nawet tej nieznośnej kotce nic nie jest.

Gabe roześmiał się.

– Proszę przekazać pozdrowienia dla całej rodziny. Miłego dnia pani życzę. – Uchylił czapki i wolnym krokiem wrócił do remizy, zdecydowany zapomnieć o Aurorze. Być może właśnie w ten sposób dobry Bóg wysyłał mu wiadomość. A jeśliby tak było, pewnie lepiej, żeby jej więcej nie spotkał.

Remiza, która zazwyczaj tętniła od życia, wydawała się teraz dziwnie cicha. Skierował się w stronę mieszczącego się z tyłu budynku biura komendanta. Podniósł już dłoń, by zapukać, gdy do jego uszu dotarł kobiecy głos.

– Chciałam przyjść i osobiście pochwalić pana Montgomery'ego za jego odwagę wczoraj wieczorem.

Gabe poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Po drugiej stronie biurka komendanta Witherspoona siedziała Aurora Hastings z dłońmi wdzięcznie złożonymi na kolanach i przykrytym koszykiem ustawionym obok krzesła.

– Doceniam pani starania, panno Hastings. Jednak obawiam się, że pan Montgomery złamał pewne obowiązujące zasady...

Wyprostowała się sztywno na oparciu.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan w żaden sposób go dyscyplinować, gdyż jestem szczerze przekonana, że to on uratował mi życie... a także życie mojej kotki.

Gabe stłumił jęknięcie. Wiedział, że jeśli komendant dowie się o Petunii, będzie mieć jeszcze większe problemy.

– Chce pani powiedzieć, że wrócił się jeszcze... po kotkę? – Wrzaskliwy głos przełożonego sprawił, że Gabe'owi włosy stanęły dęba.

Teraz już nie miał wyboru – musiał wejść do pomieszczenia.

– Proszę mi wybaczyć, sir. Ale przypadkiem usłyszałem...

– Montgomery – wydusił z siebie komendant, najwyraźniej ze wszystkich sił starając się pohamować gniew. – Panna Hastings przyszła tu, by podziękować za twoje bohaterstwo podczas pożaru.

Aurora wstała szybko.

Gabe przełknął z trudem i spojrzał w te dwa niebieskie jeziora, w których malowała się teraz troska. Czy to tylko wyobraźnia płatała mu figle, czy ona naprawdę milcząco przepraszała go za to, że powiedziała zbyt wiele?

– Nie ma za co dziękować, panno Hastings. Cieszę się, że mogłem pomóc. – Posłał jej uśmiech, który wydawał mu się najlepszym z jego możliwości.

Różowy odcień oblał jej oblicze.

– Och, przyniosłam taki drobny upominek w podziękowaniu. – Schyliła się, sięgając po stojący u jej stóp koszyk i wręczyła mu go. – To dla wszystkich strażaków, którzy pomagali przy ratowaniu naszego domu – dodała pośpiesznie.

Jego dłonie musnęły jej rękę, gdy brał koszyk i pozwolił, by ten dotyk trwał nieco dłużej, niż to konieczne.

– Są tam bułeczki i ciasteczka do herbaty z lokalnej piekarni, gdyż nasza kuchnia w tym momencie nie nadaje się do użytku.

Uniósł ściereczkę i zajrzał do środka, wdychając z zadowoleniem miłą woń.

– Dziękuję za życzliwość.

– Z pewnością wszyscy się bardzo ucieszą. – Mina komendanta złagodniała już trochę, ale zdecydowany błysk w oku podpowiadał Gabe’owi, że czeka go wykład na temat ratowania zwierząt.

– Czy pozwoli się pani odprowadzić do domu, panno Hastings?

Zawahała się, zerkając niepewnie na jego szefa.

– Jeśli nie będę odciągać pana od pracy...

Gabe czekał na decyzję komendanta. Mężczyzna sapnął tylko i machnął ręką.

– Idź. Ale chcę z tobą porozmawiać, jak wrócisz.

– Oczywiście, sir. – Wspólny czas z Aurorą był wart nawet tej nieuniknionej reprimendy. Odwrócił się i podał jej ramię.

Dziewczyna rozpromieniła się w uśmiechu.

– Będę zaszczycona pańskim towarzystwem, panie Montgomery.

Aurora jeszcze nigdy nie czuła się tak skrępowana, przechadzając się okolicznymi ulicami. Wiele razy wychodziła w towarzystwie mężczyzny, który pragnął się z nią spotykać, ale jeszcze nigdy tak się nie martwiła o to, co powie, że robi zbyt drobne kroczyki, albo tym, że wiatr potarga jej włosy. Tego poranka nie pragnęła niczego bardziej niż ponownie spotkać się z Gabem, a teraz, gdy cała jego uwaga była skupiona na niej, nie umiała otworzyć ust. Spacerując u boku tego przystojnego strażaka, Aurora ścisnęła kurczowo swoją torebkę, żałując, że nie należy do tych gadatliwych osób, które mogą rozmawiać z każdym o byle czym.

– Słyszałem, że wasza rodzina zatrzymała się na parę dni w hotelu, a potem wyjeżdżacie do letniej rezydencji.

Aurora spojrzała na niego gwałtownie.

– Skąd to wiesz?

Ze zmieszaniem uniósł w górę ciemną brew.

– Udałem się rano do twojego domu, by zobaczyć, jak... hmmm, jak się miewa wasza rodzina. Gospodyni mi wszystko powiedziała.

– Och! To miło z twojej strony. – Roześmiała się cicho. – Wygląda na to, że oboje wpadliśmy na ten sam pomysł. – Tylko Aurora nie była pewna, czy kierowało nim to samo, co nią. Starła się zachować spokój.

– Wydawało mi się, że pani Forrester wspominała coś o Long Island. Czy wasz dom może mieścić się gdzieś niedaleko Irlandzkich Łąk?

– Tak. Jesteśmy praktycznie sąsiadami.

– To dlatego byłeś u nich na przyjęciu. Przyjaźnicie się z Brianną i Colleen?

Aurora poczuła, że odpowiedź utknęła jej w gardle. Oblizła wargi, starając się dobrać wystarczająco uprzejme słowa. W końcu Gabe był spokrewniony z rodziną O’Learych.

– Razem z Brianną pracowałyśmy w kilku akcjach organizowanych przez kościół.

Wbiła wzrok prosto przed siebie, nie przerywając kroku, ale wiedziała, że on patrzy na nią.

– Dlaczego mam wrażenie, że jest coś, o czym nie chcesz mówić?

Aurora uniosła dłoń, przytrzymując kapelusz, by nagły powiew wiatru nie zerwał jej nakrycia głowy. Gabe przesunął się, starając się osłonić ją od kurzu, który poderwany ruchem powietrza zaczął zataczać wokół nich kręgi.

– Dziękuję. – Otrzeпаła suknię i ruszyła dalej. – Masz rację. Moje relacje z rodziną O’Learych są... dość skomplikowane. – Zrobiła dwa kolejne kroki. – Przez pewien czas byłam zaręczona z Gilbertem Whelanem.

Gabe zatrzymał się nagle.

– Narzeczoną Brianny O’Leary?

– Tak. – Aurora szła przed siebie, zmuszając go do dotrzymania jej kroku.

– Wybacz mi, ale wydaje mi się, że to niezbyt dobrany partner dla ciebie.

– Tata nie podzielał tej opinii. Po ukończeniu studiów Gil pracował u niego w banku. Tacie wydawało się, że to wschodząca gwiazda. Był naprawdę zrozpaczony po tym, jak Gil zerwał nasze zaręczyny.

– Podejrzewam, że ty również.

– Przez jakiś czas chyba byłam w nim zakochana, ale okazało się, że on żywi poważne uczucia wobec Brianny – odparła, westchnąwszy.

– Dlaczego więc spotykał się z tobą, skoro darzył sympatią kogoś innego?

– Tak jak wspominałam, to skomplikowane. Gil zrobił to, by przypodobać się panu O’Leary’emu, który chciał uzyskać pożyczkę u mojego ojca. – Aurora uniosła wysoko brodę. Dlaczego opowiadała Gabe’owi o tym całym upokorzeniu, którego doświadczyła ze strony O’Learych? Zamrugnęła ze zdziwieniem, gdy Gabe sięgnął po jej dłoń i zmusił ją do zatrzymania się.

– Kobieta tak urocza jak ty nie powinna nigdy stać się pionkiem w rozgrywkach mężczyzn. Zaslugujesz na to, by cię adorować i szanować. – Rumieniec pokrył jego twarz, jakby nagle pożałował swoich słów.

Stała, patrząc na niego, nie do końca pewna, co teraz powinna powiedzieć.

– Jesteś bardzo uprzejmy, ale dziękuję za troskę. Nie martw się. Ja już sobie z tym poradziłam. –
Przynajmniej w większości.

Wrócił na swoje miejsce przy jej boku i przez pewien czas szli dalej w milczeniu.

– A więc, co lubisz robić w wolnym czasie, Auroro?

W pamięci od razu stanęły jej obrazy dzieci w szpitalu. Uśmiechnęła się.

– Pracuję w ramach wolontariatu w szpitalu Bellevue. Przede wszystkim na oddziale dziecięcym. Tata tego nie pochwała, ale akceptuje jako kaprys, który przejdzie mi, gdy tylko wyjdę za mąż i się ustatkuję.

Gabe poprowadził ją w bok, na ulicę 34.

– To bardzo szlachetna pasja.

– O, tak! Gdybyś mógł zobaczyć te dzieci, jak bardzo się cieszą, gdy ktoś im czyta i bawi się z nimi. Moje serce raduje się ogromnie, gdy słyszę ich śmiech.

Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem i nagle poczuła się głupio z powodu tego, że tak uzewnętrzniła swoje skryte uczucia. Następnie na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech.

– *Moje serce raduje się, gdy choć raz widzę, że naprawdę się uśmiechasz. Cieszę się, że masz coś, co przynosi ci takie szczęście.* – Ujął ją pod ramię, gdy przechodzili przez krawężnik. – A co zamierzasz robić na Long Island w ciągu lata? Będziesz wolontariuszką w tamtejszym szpitalu?

Wyprostowała się sztywno.

– Nie zamierzam jechać na Long Island. Tata jeszcze o tym nie wie, ale już poczyniłam pewne ustalenia, by zostać u znajomych w mieście. Nie mogłabym opuścić swoich pacjentów.

– Twoich pacjentów? To brzmi jakbyś była lekarką. – W jego oczach błysnęły żartobliwe iskiarki.

Zawahała się przez chwilę, a potem pochyliła się bliżej i zapytała:

– Mogę ci zdradzić pewien sekret?

– Jak najbardziej. Umiem dobrze dochowywać tajemnicy.

– Zamierzam zapisać się do szkoły pielęgniarskiej tej jesieni. Jeden z lekarzy pozwala mi przyglądać się pracy pielęgniarek, gdy jestem w szpitalu. Jak dotąd wydaje się zadowolony. Nie zdarzyło mi się ani razu zemdleć.

Gabe roześmiał się serdecznie.

– To dobrze. Nikt nie chciałby, żebyś mdlała na widok krwi.

– Z pewnością nie – odparła, chichocząc.

Wtedy on uspokoił się i rzekł:

– Myślę, że pielęgniarstwo to bardzo szlachetny zawód. Trzeba mieć szczególną osobowość, by opiekować się chorymi.

– Chciałabym robić coś wartościowego w życiu. Nie tylko spędzać czas na bankietach i spotkaniach towarzyskich. – Westchnęła. – Obawiam się jednak, że będę musiała stoczyć bój z tatą, żeby go przekonać.

Dotarli do hotelu Vanderbilt i Aurora zatrzymała się przed zdobionymi drzwiami wejściowymi.

– To tutaj. Dziękuję za to, że dotrzymałeś mi towarzystwa.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Podszedł bliżej, przepuszczając w wejściu jakąś parę. – Auroro, jesteś jedną z najbardziej godnych podziwu kobiet, jakie kiedykolwiek poznałem. Będę się modlił, żeby wszystko poszło po twojej myśli. – Puścił jej oko, a ona poczuła, jak serce mocniej jej zabiło. – Ty również możesz wzywać przychylności Pana, by pomógł odmienić opinię twojego taty. Będziesz zaskoczona, gdy zobaczysz, czego może dokonać modlitwa. – Uniósł jej dłoń do ust. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Przekaż najlepsze życzenia twojej rodzinie.

– Przekażę. Dziękuję.

Zawahał się na chwilę. Jej dłoń nadal była w jego uścisku.

– Przepraszam, że pytam, ale czy zostanie pielęgniarką jest dla ciebie równoznaczne z porzuceniem myśli o zamążpójściu?

Serce stanęło jej w piersi, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Nie mam nic przeciwko małżeństwu – odparła wolno. – Wierzę, że jeśli Bóg chce, bym wyszła za mąż, postawi odpowiedniego mężczyznę na mojej drodze we właściwym czasie.

Na twarzy Gabe'a rozciągnął się uśmiech.

– Bardzo mądra odpowiedź, panno Hastings. – Skłonił się, uchylivszy czapki. – Miłego dnia życzę.

Pogwizdując dziarsko, odwrócił się i oddalił niespiesznie.

Aurora obserwowała go przez jakiś czas, a w środku odczuwała jakiś mglisty niepokój. Mówiąc teraz o mężu, ani przez chwilę nie pomyślała o Philipie Reardonie. Zamiast tego jej wyobraźnię wypełniał zawadiacki uśmiech Gabe'a i jego uroczy irlandzki akcent.

Nie ważyła się nawet zastanawiać, co tak naprawdę mogło to oznaczać.

Niech sam Bóg o tym zadecyduje.

Adam wszedł tylnym wejściem do sierocińca, starając się pozbyć uczucia jakby był niepożądanym intruzem. Zgodnie ze wskazówkami Rylana odczekał aż dzieci opuszczą zabudowania i dopiero potem wszedł do środka. Z tego, co było mu wiadomo, teraz w budynku byli jedynie pani Norton, kucharka i stary pan Smith, który sprzątał sypialnie dzieci na piętrze. Nawet siostry były poza domem na specjalnym nabożeństwie w kościele.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko Adam usłyszał dźwięki muzyki, zatrzymał się w korytarzu, a potem cicho podszedł do drzwi sali, w której widział kiedyś duże pianino. Dźwięk był coraz donośniejszy, a drewniane drzwi wibrowały pod dotykiem jego dłoni. Ktokolwiek grał, musiał mieć za sobą wiele godzin ćwiczeń. Opierając się na swoim lichym wykształceniu muzycznym nabytym od swojej matki, która sama znakomicie grała, udało mu się rozpoznać utwór. Jeśli się nie mylił, był to Bach albo Beethoven.

Jego ciekawość mogło zaspokoić tylko jedno – musiał dowiedzieć się, kim była grająca osoba. Pchnął lekko drzwi, by zajrzeć do środka. Po drugiej stronie pokoju, przy pianinie, z zamkniętymi oczami siedziała Maggie. Wyraz jej twarzy był bliski ekstazie, a jej ręce poruszały się płynnie po klawiszach. Siła muzyki oraz oszałamiające piękno artystki uwiodło Adama. Stał, wpatrując się w nią i upajając się tą sceną tak, iż nagle poczuł się jak podglądacz. Kiedy tempo zwolniło, odsunął się i pozwolił, by drzwi zamknęły się bezszelestnie. Zanim ktokolwiek zdołałby zauważyć, jak śledził siostrę Rylana niczym jakiś zadurzony głupiec, udał się w swoją stronę do pomieszczenia gospodarczego, skąd miał wziąć narzędzia potrzebne do naprawy dwóch zepsutych biurków w klasopracowni. Gdy schodził do piwnicy, wciąż prześladowała go tamta melodia, a także eteryczne piękno twarzy Maggie.

☞ Maggie dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało tego uczucia – radości dźwięków rozbrzmiewających w jej duszy, gdy tylko wydostają się spod jej palców. Była coraz bardziej pewna siebie, kiedy tak grała, a zapomniana rozkosz przenikała ją za każdym razem, gdy muzyka dotykała jej duszy. Już dawno zauważyła, że zachwyty nad muzyką jest porównywalny z rapsodią nieskończonej Bożej miłości wobec niej.

Dziękuję Ci, Panie, za ten cudowny dar. Za uzdrawiającą moc muzyki.

Gdy w końcu zaczęły ją boleć palce, niechętnie odsunęła się od pianina. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły ją, żeby nie przeciągać struny swoich możliwości, zwłaszcza po dłuższej przerwie od grania. Musiała powoli przyzwyczaić się do codziennych ćwiczeń.

Zamknęła pokrywę wspaniałego instrumentu, a potem podniosła się powoli z siedzenia, ostrożnie, żeby nie obciążać zbyt mocno nogi, którą nadwyrężyła dzień wcześniej podczas gry z dziećmi. Lekko utykając, skierowała się do klasopracowni, lekceważąc kłujący ból. Choć bardzo pragnęła dołączyć do Colleen i dzieci podczas ich wyjścia, spuchnięta kostka uniemożliwiała jej to.

W zamian za to Maggie postanowiła pocieszyć się samotnością spędzoną na grze na pianinie, a potem chciała zapoznać się z materiałami złożonymi w klasopracowni. Szczególnie interesowały ją niektóre książki dotyczące historii Ameryki. Jeśli miała zostać tu nauczycielką, musiała dowiedzieć się czegoś o historii tego kraju. Nie było lepszego czasu na rozpoczęcie nauki. Miała nadzieję zrobić wrażenie na siostrach swoją gorliwością i gotowością do zdobywania wiedzy oraz poświęceniem w pracy z dziećmi. Jeżeli uda jej się uzyskać dobre referencje od siostrzyczek, może mogłaby w jesieni

znaleźć posadę w jednej z tutejszych szkół. To oraz możliwość pracy jako organistka w kościele, pomogłoby jej utrzymać się w Nowym Jorku.

Drzwi skrzypnęły, gdy wchodziła do klasopracowni, tak dziwnie cichej, bez zgiełku dzieci. Promienie popołudniowego słońca wlewały się przez wysokie okna, rzucając smugi światła na szkolne ławki.

Książki, o których myślała, ustawione były na najwyższej półce szafki z samego tyłu, pewnie po to, żeby dzieci nie zniszczyły materiałów wykorzystywanych przez nauczycieli. Maggie westchnęła z determinacją i przyciągnęła w tamtą stronę taboret. Wyciągnęła się wysoko, by sięgnąć do najwyższej półki i wyjęła jedną książkę, wzniesając nad głowę chmurę kurzu. Najwyraźniej nie używano tych pomocy zbyt często.

Poczuła nagłą potrzebę kichnięcia. Poruszyła nosem, starając się opanować i sięgnęła dalej po jeszcze jedną pozycję.

– Co ty, do licha, tu wyprawiasz? Chcesz skrócić sobie kark?

Maggie pisnęła i drgnęła na stołku, obciążając nadmiernie nadwyręzoną stopę. Książka wyslizgnęła się z jej rąk. Chciała ją chwycić, ledwie świadoma tego, że Adam właśnie wbiega do pomieszczenia. Jej noga w kostce wygięła się nienaturalnie i w jednej chwili z przerażeniem uświadomiła sobie, że skręcona kostka to może być jej najmniejszy problem.

Kiedy książka uderzyła o podłogę z głośnym trzaskiem, mocne dłonie uchwyciły ją w pasie, zdejmując ją z taboretu. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Adam postawił ją mocno na ziemi. Krzyknęła z przejmującego bólu, który przeszył jej nogę i sprawił, że straciła równowagę, lądując twarzą wprost w lekko gryzącą, wełnianą marynarkę Adama.

Złapał ją za łokcie i wyprostował, trzymając tak, by nie obciążała chorej nogi.

– Spokojnie!

Jego łagodny głos przedarł się przez mgłę bólu i był taki kojący. Ten mężczyzna, przed którym wszyscy ją ostrzegali, trzymał ją delikatnie w ramionach, aż się uspokoiła i uniosła głowę.

– Moja kostka... – wyszeptała. – Jest skręcona.

– Ale ty przecież nawet nie uderzyłaś w podłogę.

– Uszkodziłam ją wczoraj i chyba teraz znowu ją wykręciłam.

Zmarszczył gniewnie czoło.

– Dlaczego więc wspinałaś się z uszkodzoną kostką?

– Chyba dlatego, że jestem uparta. – Starła się roześmiać, by ukryć zakłopotanie, i odsunęła się, pamiętając, by przenieść ciężar ciała na zdrową nogę. – Dziękuję. Powinam już dać sobie teraz radę.

Adam schyliwszy się, podniósł leżącą na ziemi książkę i starł kurz ze skórzanej oprawki.

– To dla tego ryzykowałam życiem i zdrowiem? – Lekka konsternacja malująca się na jego obliczu sprawiła, że poczuła się głupio.

– Tak. Dziękuję. – Wzięła od niego książkę i wetknęła pod pachę, a potem zawahała się. – Co ty tutaj robisz? Myślałam, że pracujesz na zewnątrz. – Maggie była zdumiona, że Rylan zgodził się najać Adama... nawet do prac zewnętrznych.

– Rylan kazał mi naprawić dwa biurka podczas wyjścia dzieci.

Dopiero wtedy zauważyła skrzynkę z narzędziami, którą rzucił za drzwiami, gdy skoczył jej na pomoc.

– Och... hmm. – Przelknęła, starając się nie wspominać tej chwili, gdy trzymał ją w swoich objęciach. – Chyba już nie będę ci przeszkadzać w pracy. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Stał, patrząc na nią, nie mrugnawszy nawet okiem.

– Słyszałem wcześniej, jak grałaś na pianinie. Masz naprawdę niesamowity talent.

Intensywny błękit jego oczu wyprowadzał ją z równowagi, tak samo jak przedtem dotyk jego dłoni obejmujących ją w pasie. Potrząsnęła przecząco głową.

– Obawiam się, że już trochę zardzewiałam. Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio grałam.

Uniósł w niedowierzaniu jedną brew.

– Jak ty zardzewiałaś, to nie wiem, jak musi to brzmieć, gdy jesteś w pełnej formie.

Komplement zupełnie zbił ją z pantafelku. Zaczęła się wycofywać i już prawie wyszła, gdy jej kostka ponownie odmówiła posłuszeństwa. Po raz kolejny Adam złapał ją w silnym uścisku. Jej wszystkie zmysły wyostrzyły się nagle, sprawiając, że ból był jakby nieobecny. Czowała wokół siebie jego męski zapach – połączenie mydła i świeżego powietrza. Wtedy popełniła kolejny błąd i podniosła wzrok na jego twarz, a emocje płonące w jego oczach sprawiły, że serce zaczęło jej szybciej bić. Przeniosła wzrok na jego pełne usta, otoczone przyszyżoną brodą i wąsami. Tak bardzo pragnęła dotknąć jego zuchwy, by sprawdzić, czy ten zarost był miękki czy szorstki. By przyciągnąć ku sobie jego twarz i...

Nagle on wyprostował się sztywno i odsunął ją od siebie.

– Chyba już powinnaś iść i dać odpocząć swojej nodze.

Palące poczucie wstydu zalało jej twarz. Czyżby było widać po niej, o czym myślała? Zrobiła krok w tył i wygładziła spódnice.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Odwróciwszy się, odeszła, kulejąc z całą godnością, na jaką ją było teraz stać.



Adam założył ręce na piersi, starając się zignorować to szalone pragnienie, by złapać tę upartą kobietę i pomóc jej, by nie musiała tak kuśtykać jak kaleka. Ale złamał już jedną zasadę, choć przez

przypadek, gdy przebywał w tym samym pomieszczeniu, co ona. A jednak jej obolały wyraz twarzy nękał go.

– Maggie, poczekaj chwilkę.

Obróciła się z zaskakującą zwinnością jak na kogoś, kto ma skręconą kostkę.

– Tak?

– Nie chciałem, żebyś źle odebrała moje słowa. Chodzi o to, że... hmm, z pewnością twój brat wspominał o tym, pod jakim warunkiem zgodził się zatrudnić mnie tutaj.

Zaprzeczyła ruchem głowy, więc mówił dalej:

– Mam się trzymać z dala od dzieci... – Przerwał, by zwiększyć efekt wypowiedzi. – A szczególnie z dala od ciebie.

Jej oczy przesłoniła nagle mgła.

– Rylan nie ma prawa dyktować, z kim mogę rozmawiać a z kim nie.

– Jako zatroskany twoim dobrem brat, chyba ma.

Machnęła w niebo wolną ręką, w której nie miała książek, a na jej twarzy wymalowało się jawne oburzenie.

– Mam serdecznie dość moich braci, którzy wciąż próbują mnie ochronić przed wszystkim. Jakbym nie miała swojego rozumu.

Przez chwilę Adam miał wrażenie, że zaraz tupnie nogą ze złości. Ale ona tylko przekrzywiła na bok głowę i rzekła:

– Wybacz, jeśli Rylan sprawił, że poczułeś się...

– Jak trędowaty? – Uśmiechnął się smutno. – *Ja jestem* trędowaty, Maggie. Człowiek, który siedział w więzieniu nie jest nigdzie mile widziany. To cena, którą muszę zapłacić i przyjmuję to. – Po raz pierwszy przyznał przed nią, że jest byłym skazańcem. Stał prosto, czekając na jej reakcję.

Z uznaniem zauważył, że nie drgnęła ani nie odwróciła wzroku. Jediną oznaką zmiany w jej zachowaniu był cień żalu, który przemknął przez jej twarz.

– Nie chcę robić nic, co mogłoby zagrażać twojej pracy tutaj. Ale nie będę cię lekceważyć, gdy zdarzy nam się spotkać. – Zrobiła krok w jego stronę. – W głębi serca jesteś dobrym człowiekiem, Adamie O’Leary. Popełniłeś błąd, ale starasz się to odpracować. Nie mogłabym ci mieć tego za złe.

Adam był tak zaskoczony, że nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa, więc tylko patrzył, jak kuśtykając, oddalała się od niego.

Słowa Maggie powracały w nim przez całe popołudnie, jeszcze długo po zakończeniu drobnych napraw dwóch szkolnych ławek. Jej pełna współczucia reakcja na informację o jego pobycie w więzieniu

dowodziła, że była niesamowitą kobietą, a to jeszcze bardziej utrudniało mu wyrzucenie jej z pamięci.

Adam westchnął ciężko i chwycił za sekator. Przeniósł się na zewnątrz, żeby przyciąć żywopłot okalający teren sierocińca. To była ciężka praca, po której będzie cały spocony. Kiedy na chwilę zrobił sobie przerwę, jakiś szelest z drugiej strony ogrodzenia przykuł jego uwagę. Czyżby ktoś był na ścieżce pomiędzy sierocińcem a sąsiednim budynkiem? Już wcześniej zauważył dziwnego mężczyznę, który w ostatnich dniach kręcił się kilka razy w okolicy. Jeśli to był ten sam człowiek, Adam musi uświadomić mu, że nie jest tutaj mile widziany.

Odłożył narzędzia na ziemi i cicho otworzył bramę, żeby wyrzeć. Szelest sukni oraz mignięcie fioletu to jedyne, co zauważył, gdy jakaś osoba zniknęła na Lexington Avenue. Tknięty podejrzeniem Adam ruszył w stronę tej ulicy. Kobieta ubrana w fioletową suknię rzuciła przez ramię ukradkowe spojrzenie.

Adam zamarł na chwilę. Rozpoznał ją. To była Jolene Winters, która pracowała w knajpie, do której kiedyś uczęszczał... i nie zajmowała się tam tylko podawaniem drinków. Co ona robiła w tej części miasta?

Zatrzymała się i przez chwilę Adam zastanawiał się, czy go widziała. Ale zaraz potem odwróciła się i szybko odeszła. Coś w jej zachowaniu niepokoiło Adama, ale zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego tak myślał. Już to, że zobaczył tak jawne wspomnienie własnej przeszłości, sprawiało, że coś się w nim przewracało. Otrząsnąwszy się ze złych przeczuc, chciał wrócić z powrotem do swojej pracy.

Przy bramie prowadzącej na zaplecze sierocińca Adam zwolnił. Spod listowia wystawał jakiś kawałek kolorowego materiału. Zmarszczył brwi. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej?

Adam pochylił się i spróbował wyciągnąć materiał, który wyglądał mu na starą kołdrę. Ponieważ nie dał rady, uklękł i pochwycił go w dwie ręce. Jakiś szósty zmysł ostrzegł go, więc z wielką ostrożnością wyciągnął zawiniątko. Wilgotnymi z nerwów dłońmi rozwinął materiał i nic nie rozumiejąc, gapił się na twarz śpiącego niemowlaka. Przełknął ciężko. *Miał nadzieję*, że ono tylko spało. Przyłożył niepewnie palec do szyi dziecka i z ulgą stwierdził, że skóra jest ciepła i da się wyczuć delikatny puls.

Podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Czy to Jolene zostawiła to dziecko tutaj? Czy było jej... a może którejś z innych dziewcząt pracujących w knajpie? Nikogo nie było w pobliżu, więc Adam uniósł delikatny pakunek i z pewnym wahaniem ruszył na poszukiwanie Maggie, modląc się w duchu, żeby ona wiedziała, co zrobić z dzieckiem.



Maggie siedziała w świetlicy na parterze z chorą kostką uniesioną na stołku i starała się skupić na lekturze. Jednakże słowa rozmazywały się jej przed oczami i zupełnie gubiły znaczenie. Z jakiegoś powodu, którego nawet nie próbowała odgadnąć, po spotkaniu z Adamem O'Learym była bardzo niespokojna i nie mogła odzyskać duchowej równowagi.

Była zła na Rylana za to, że żądał od Adama, by jej unikał i to urągało jej dumie. Choć wiedziała też, że nie może winić brata za to, iż stara się ją uchronić przed mężczyzną, którego uważał za przestępcę. A jednak była dorosłą kobietą, która sama mogła się o siebie troszczyć. Była przekonana, że odseparowanie od niej Adama nie jest konieczne... chyba że Rylan obawiał się, że między nimi mogłoby się zrodzić coś niepożądanego.

Jej serce drgnęło zdradliwie. Szczerze powiedziawszy, nie mogła zaprzeczyć, że Adam ją fascynował. W jakiś zupełnie inny sposób niż Neill. W ciągu tego czasu, gdy się spotykali, odkryła, że atrakcyjny zewnętrzny wygląd i urocza osobowość jej byłego narzeczonego kryły autokratyczną naturę, co ostatecznie odepchnęło ją od niego. Zadrzała. Nie, Maggie z pewnością wolałaby łagodnego mężczyznę, takiego jak Adam, a nie Neilla.

Gdzieś na drugim końcu budynku usłyszała trzaśnięcie drzwi. Maggie nasłuchiwała, oczekując, że usłyszy zaraz śmiechy i głosy dzieci, ale do jej uszu dotarł tylko odgłos donośnych kroków. Kroków zbyt żywiołowych, by należały do pana Smitha. A Adam opuścił budynek jakąś godzinę temu. Pani Taft, recepcjonistka, miała dzień wolny i z tego, co było jej wiadomo, Maggie była teraz sama.

Z pewnością Neill nie ośmieliłby się...

Wyprostowała się na oparciu, starając się uspokoić. Odgłos kroków minął jej drzwi i zmierzał w kierunku klasopracowni. Wstrzymała oddech, czekając i słuchając, jak drzwi sali lekcyjnych otwierały się i zamykały.

Nie potrafiła już dłużej usiedzieć, więc kuśtykając doszła do drzwi świetlicy i otworzyła je. Wysunęła głowę na zewnątrz i z zaskoczeniem oraz poczuciem ulgi dostrzegła na korytarzu Adama. Stał, trzymając kurczowo przed sobą jakieś zawiniątko.

– Maggie. – Choć był jeszcze daleko, na jego twarzy dostrzegła wyraźne wytchnienie. Odwrócił się i podszedł do niej. – Potrzebuję twojej pomocy. Ktoś zostawił niemowlaka koło tylnej bramy.

Maggie otworzyła ze zdumieniem usta.

– Dziecko?

Skinął.

– Zobaczyłem koc wystający spod krzaków.

Bojąc się nawet odetchnąć, wzięła od niego zawiniątko i ułożyła główkę na ramieniu, wpatrując się w piękną małą buźkę.

– Ale kochane.

– Myślisz, że jest zdrowe? Może powinienem pójść po lekarza? – Niepokój przebijał przez jego słowa.

– Przyjrzyjmy się mu bliżej. – Weszła z powrotem do świetlicy i położyła dziecko na sofie. Bardzo delikatnie odwinęła tkaninę. Niemowlak miał na sobie jasne bawełniane ubranko. – Muszę sprawdzić pieluchę, więc jak jesteś zbyt wrażliwy to...

Obdarzył ją nieco nieufnym wzrokiem, a potem wzruszył ramionami.

– Nie krępuj się.

Kiedy Maggie odwinęła ubranko i rozpięła pieluchę, niemowlę zaczęło się wiercić.

Chwilę później Maggie uśmiechnęła się, zapinając z powrotem materiał.

– To dziewczynka. Jest piękna, chociaż jeszcze bardzo malutka i ma suchą pieluchę, co nie zawsze jest dobrą oznaką. Pamiętam, jak moja bratowa zawsze sprawdzała pieluchy bliźniaków, mówiąc, że sucha może wskazywać na odwodnienie dziecka. – Owinęła kwilące dziecko kołderką i wzięła je na ręce. Stała, kołysząc malutką, tak jak to wielokrotnie czyniła ze swoimi bratanicami i bratankami. Wkrótce dzidzius uspokoił się i zasnął.

– Widzę, że wiesz, jak się zajmować niemowlakami. – Adam przestępował z nogi na nogę, miętosząc w dłoniach czapkę.

– Mam czterech bratanków i dwie bratanice, więc mam trochę doświadczenia. – Spojrzała na niego. – To dziecko ma tylko kilka tygodni. Trzeba będzie jakoś ją nakarmić, bo wkrótce będzie głodna. – Przeniknęło ją poczucie smutku. – Kto mógłby zostawić takie kochane dziecko w krzakach? Jej matka musiała być zdesperowana.

Adam zamarł i zacisnął mocno szczęki. Maggie znieruchomiała, widząc jego zachowanie i zapytała:

– Co się stało?

Zaczął coś mamrotać pod nosem i nerwowo chodzić po pokoju, przeczesując dłonią włosy. W końcu stanął przed nią i powiedział:

– Chyba mógłbym się dowiedzieć, gdzie znaleźć jej matkę.

Poczuła przeszywający ją dreszcz niezbyt dobrego przecucia.

– Gdzie?

Jego brwi utworzyły teraz jedną linię.

– Wyjaśnię ci później. Ale najpierw pójde po doktora. Nie mógłbym żyć z myślą, że coś się stało temu dziecku. – Nacisnął czapkę na rozczochrane włosy. Dwoma susami dotarł do drzwi, a potem zatrzymał się. – Czy dasz sobie z nią radę sama? – Spuścił wzrok na jej chorą nogę.

Zamrugnęła, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że nawet nie czuła bólu, gdy lulała w ramionach niemowlaka, choć podejrzewała, że uraz odezwie się pewnie dopiero później.

– Damy sobie radę. Idź już. – Posłała mu uśmiech na zachętę, a w głębi serca poczuła ciepło na myśl o tym, że najpierw zatroszczył się o dobro jej i dziecka, zamiast obawiać się konsekwencji wobec siebie.

– Wróć tak szybko, jak tylko będę mógł.

Maggie usiadła z dzieckiem na sofie i poczuła się dziwnie samotna, gdy usłyszała zamykające się drzwi wyjściowe.

Dwadzieścia minut później z korytarza ponownie dobiegł ją hałas. Maggie uświadomiła sobie, że jej tętno raptownie przyspieszyło. Tłumaczyła sobie, że to po prostu ulga ze względu na dziecko, ale

nie potrafiła opanować w sobie niecierplivej radości na myśl o spotkaniu z Adamem.

Gdy tylko usłyszała tupot wielu stóp, któremu towarzyszył dziecięcy szczebiot, poczuła mocne rozczarowanie. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że istniała tylko ona i Adam.

– Maggie? – Colleen zajrzała do pokoju. – Wróciliśmy. Jak twoja kostka? – Zatrzymała się w pół ruchu, całą uwagę skupiając na zawiniątku w ramionach Maggie. – Czy to jest dziecko?

– Tak. – Maggie zawahała się, bojąc się powiedzieć cokolwiek więcej na temat udziału Adama w całej sprawie, by nie zagrozić jego posadzie w sierocińcu. Chociaż Colleen i Rylan z pewnością i tak wkrótce się wszystkiego dowiedzą.

Colleen pobladła i przez moment Maggie obawiała się, że bratowa zemdleje. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak trudne to może być dla niej, która tak bardzo pragnęła własnego dziecka.

– Czy mogę potrzymać? – zapytała Colleen ledwie słyszalnym szeptem.

– Oczywiście. – Maggie wyciągnęła niemowlę w jej stronę. – To dziewczynka... bardzo młoda, z tego co mi się wydaje.

Colleen ujęła dzieciątko, jakby było z porcelany.

– Jak... skąd ją masz?

– Ktoś zostawił ją pod żywoplotem koło bramy. – Maggie pokuśtykała przez pokój i opadła ostrożnie na sofę.

Colleen usiadła obok niej i położyła dziecko na kolanach.

Słowa Maggie zaczynały do niej powoli docierać i dopiero teraz Colleen przeszła ją wzrokiem.

– A co ty robiłaś na zewnątrz? Miałaś zostać i dać odpocząć nodze.

Maggie przygryzła wargę.

– Adam znalazł dziecko i przyniósł je tutaj. Poszedł po doktora, żeby ją zbadał.

Z korytarza dobiegła donośna wymiana zdań. Maggie rozpoznała głos Rylana, ale nie potrafiła rozróżnić słów.

Głosy ucichły i wszedł Rylan, a za nim mężczyzna z walizką lekarską. Maggie patrzyła na wejście, czekając na Adama. Kiedy jednak się nie pojawił, wiedziała już, że Rylan musiał go odesłać. Poczucie niesprawiedliwości ścisnęło jej sercem.

Rylan natychmiast podszedł do Colleen i chcąc się upewnić, zapytał:

– Ktoś podrzucił dziecko?

– Tak. Czyż nie jest piękna? – wyrzekła nabożnie Colleen.

– Jak najbardziej – odparł i posłał żonie czuły uśmiech. – Przyszedł doktor Reardon, żeby ją zbadać.

Kiedy lekarz otwierał swoją walizkę, Maggie wymknęła się na pusty teraz korytarz. Stłumiła westchnienie rozczarowania, a potem utykając przeszła na tył budynku, żeby sprawdzić, w którą stronę odszedł Adam. Przeszła przez kuchnię i wyszła tylnymi drzwiami.

Na końcu podwórka dostrzegła fruujące we wszystkie strony gałązki żywopłotu, wzbijane w powietrze żywiołowymi ciachnięciami nożyc Adama. Maggie zebrała się na odwagę i ostrożnie przeszła przez trawnik. Czuła pulsujące w żyłach tętno, kiedy skierował na nią rozłoszczone spojrzenie.

– Wracaj do środka. Nie powinnaś tu przychodzić.

Przykuśtykała bliżej.

– Czyżby Rylan zganił cię za to, że rozmawiałeś ze mną?

Odwrócił się do niej plecami, stojąc na wprost żywopłotu.

– Wyraził swoje... uczucia w tym temacie.

Twarz Maggie wykrzywiła się w grymasie. Dlaczego jej brat, który zwykle potrafił zachować jasność umysłu, był tak zacięty wobec Adama?

– Jestem pewna, że kiedy mu wyjaśnię...

– Nie przejmuj się. – Mięśnie na jego plecach wyraźnie się napięły, gdy Adam mocniej uciął gałęzie. – Złamałem naszą umowę. Ma wszelkie prawo, by mnie wyrzucić, jeśli tak zdecyduje.

Jej serce przeszły oburzenie i szok.

– Nie pozwolę mu na to. Kiedy dowie się, jak dobry byłeś dla tego dziecka...

Adam obrócił się w jej stronę.

– Przestań, Maggie. Przestań robić ze mnie świętego. Udawaj, że mnie nie dostrzegasz, tak jak reszta świata.

Łzy wypełniły jej oczy i poczuła ucisk w gardle. Przełknęła z trudem.

– Przepraszam, ale nie wiem, czy tak potrafię.

Jej wzrok stopił się z jego. Chciała, żeby wiedział, że ona w niego wierzyła, że dzieliła jego cierpienie.

W jego oczach na chwilę błysnęła niewypowiedziana męka, ale zaraz potem jakaś zasłona zakryła jego twarz, tak jakby wzniósł pomiędzy nimi niewidzialny mur.

– Nic dobrego nie wyniknie dla ciebie z zadawania się z przestępcą. Jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, lepiej, żebyś o tym pamiętała.

Maggie starała się wysunąć jakiś kontrargument, żeby go przekonać, ale on odwrócił się znów plecami i zaczął przycinać krzewy, porzucając jej uczucia jak spadające gałązki z żywopłotu, które leżały teraz bezładnie na ziemi. Zaczęła oddalać się utykając, jednak troska o dziecko kazała się jej jeszcze zatrzymać.

– Powiedziałeś, że mógłbyś znaleźć matkę niemowlaka. Podjąłbyś się tego?

Zacisnął szczękę, ale w końcu skinął nieznacznie głową, nawet nie patrząc na Maggie.

– Może mi to zająć dzień albo dwa.

Patrząc na jego niewzruszony profil, Maggie westchnęła z rezygnacją.

– Powiem o tym Colleen i doktorowi.

Dlaczego w ogóle wspomniał o tym, że mógłby wiedzieć, kto podrzucił dziecko do sierocińca?

W szopie na zapleczu kościoła Johna Adam wbijał gwoździe w deskę z taką siłą, że aż czuł pulsowanie w ramieniu. John dał Adamowi resztki tarcicy, która służyła do remontu w kościele, żeby mógł w wolnym czasie zająć się robieniem mebli. Ale nawet ten intensywny wysiłek fizyczny nie pomagał mu pozbyć się strachu na samą myśl o powrocie w to miejsce, gdzie został aresztowany. Tylko pamięć o tym niewinnym dzieciątku, które potrzebowało matki, oraz obraz wielkich przepelnionych błaganiem oczu Maggie, sprawiały, że nie potrafił odmówić jej prośbie.

Nie mógł ich zawieść.

Jeszcze tego dnia rano Adam wysiadł z tramwaju parę przecznic przed celem, planując przejść resztę trasy na piechotę. Szanujący się ludzie nie pojawiali się w takich miejscach, do jakiego on właśnie teraz zmierzał. A oprócz przebaczenia matki, Adam nie pragnął niczego bardziej niż bycia uznanym za godnego szacunku.

Nacisnął mocniej czapkę na czoło, ciesząc się, że jego krótko przystrzyżone kasztanowe włosy prawie w ogóle nie wystają spod nakrycia głowy. Mogłaby go zdradzić broda, jednak wtedy, gdy pojawiał się w tej knajpie, Adam najczęściej był gładko ogolony.

Z przygarbionymi ramionami i rękami wetkniętymi w kieszenie, szedł w stronę podupadłej speluny. W wejściu zawahał się, zwracając uwagę na łuszczącą się farbę i zgniłe drewno. Jak człowiek prowadzony na szafot, otworzył ciężkie drzwi i wszedł do środka.

Jego oczy nie od razu przystosowały się do ciemnego wnętrza. Znana mu woń zwiędłego piwa i dymu papierosów przyprawiły go o skurcze żołądka. Te same zniszczone stoliki stały poustawiane tak samo, jak je zapamiętał, gdy widział je po raz ostatni. Jakiś staruszek siedział zgarbiony na krześle przy stoliku w rogu. W głębi po lewej barman Marty podniósł głowę i unosząc brwi pod coraz bardziej rzednącą linią włosów, zawołał ze zdziwieniem:

– O’Leary? To naprawdę ty?

Adam skulił się, słysząc dźwięk swojego nazwiska odbijający się echem w opustoszałym pomieszczeniu. Poszedł do baru i odparł:

– To ja.

Marty z głośnym stuknięciem odstawił na blacie szklanę, którą właśnie wycierał.

– Doszły nas słuchy, że siedziałeś.

Adamowi drgnął mięsień żuchwy.

– Wyszędłem parę tygodni temu. – Rozejrzył się po sali. – Wolałabym, żebyś zachował to dla siebie.

Marty pokiwał znacząco głową. Choć pracował w tym obskurnym lokalu, potrafił trzymać się

z dala od nielegalnych spraw, które się tu dokonywały.

– Masz rację. Nalać ci coś?

Adam spojrział na rząd butelek stojących na półce za plecami Marty'ego i powstrzymał wyraz obrzydzenia. Ileż to razy zdarzało mu się przedobrzyć i kolejnego dnia budzić się ze szczątkami wspomnień tego, co działo się poprzedniego wieczoru? *Panie, wybacz mi.*

– Nie, dzięki. To kolejna wada, której udało mi się pozbyć.

Marty otarł mokre dłonie o poplamiony fartuch przewiązany w pasie.

– Co cię tu w takim razie sprowadza?

Adam przechylił się nad barem i ścisząc głos, powiedział:

– Szukam Jolene. Pracuje tu jeszcze?

Jolene podawała drinki specjalnym klientom knajpy... wraz z dodatkowymi usługami, które świadczyła w pokojach na piętrze.

Marty zawahał się. Adam mógł dostrzec kropelki potu, które zebrały się na jego skroniach.

– To ciekawe, że pytasz. Zniknęła na sześć, siedem miesięcy, a teraz dwa dni temu znów się pojawiła i chciała swoją dawną posadę.

– Czy Max pozwolił jej wrócić?

Marty potrząsnął przecząco głową.

– Nie do baru, ale... – Pobiegł wzrokiem w stronę wahadłowych drzwi prowadzących na zaplecze, gdzie Max i jego kołesie dobijali swoich targów. Adam modlił się tylko w duchu, żeby o tej porze wciąż jeszcze byli w łózkach, odsypiając poprzednią noc.

– Myślę, że Max mógł dać jej pracę na piętrze... jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Adam powiódł wzrokiem w stronę tylnych schodów i wzdrygnął się. Czyli będzie musiał wspiąć się na górę, by ją znaleźć. Każdy włos na jego głowie jeżył się na samą myśl o tym.

– Nie ma jej tam teraz, jeśli o tym myślisz. Ale jest Fran. Może ona wie coś więcej.

Marty miał rację. Fran i Jolene były współpracowniczkami, ale też najlepszymi przyjaciółkami. Jeśli ktoś miał wiedzieć, gdzie obecnie przebywała Jolene, to z pewnością była to Fran.

– Czyżbym słyszała swoje imię? – Kobięcy głos wybrzmiał zza rogu.

– Cześć, Frannie – zawołał Marty. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Adam odwrócił się i zobaczył dziewczynę, która, pomimo grubego makijażu pokrywającego jej bladą twarz, wyglądała o dziesięć lat starszej niż ostatnim razem, gdy miał okazję ją widzieć. Wyblakłe

brązowe włosy wysuwały się z upiętego wysoko koczka i opadały byle jak po obu stronach zapadniętych policzków. Mocno wydekoltowana czerwona sukienka, niezbyt na miejscu o tak wczesnej porze, opinała jej szczupłą sylwetkę.

Wolno i zalotnie podeszła do Adama.

– A niech mnie, jeśli to nie jego wysokość pan O’Leary we własnej osobie.

– Cześć, Francine. Jak się masz? – Choć brzydziło go to, musiał być dla niej grzeczny, jeśli chciał uzyskać jakieś informacje.

– W porządku, złotko. Zdecydowałeś się w końcu na moją propozycję? – spytała, pocierając dłonią jego rękaw.

Delikatnie cofnął rękę, licząc, że nie widać po nim obrzydzenia.

– Przyszedłem o coś prosić – wyrzekł cicho.

Uśmiechnęła się wymownie i pochyliła bliżej niego.

– Dla ciebie wszystko, skarbie.

Adam przełknął.

– Możemy gdzieś porozmawiać na osobności.

– Jasna sprawa. – Puściła mu oko.

Rzucił błagalne spojrzenie w stronę Marty’ego.

– Możecie skorzystać z mojego gabinetu. – Marty wskazał ręką na wąski korytarz. – Drugie drzwi po prawej.

– Dzięki, Marty.

Adam poprowadził Francine do obskurnego pokoju, który służył Marty’emu za gabinet, choć w zasadzie był to raczej rodzaj składziku. Zamknął drzwi tuż za plecami, dokładając starań, by nikt nie podsłuchiwał ich rozmowy.

– Widziałaś się ostatnio z Jolene? – zapytał bez ogródek.

Twarz Francine przybrała surowy wyraz.

– A o co ci chodzi?

Adam modlił się o odpowiednie słowa, by przekonać Francine, żeby mu zaufała. Starał się przybrać pełną łagodności postawę.

– Słuchaj, Fran, wydaje mi się, że Jolene ma kłopoty. Staram się pomóc, tylko tyle.

Zagryzła pomalowaną wargę, wpatrując się w niego długo swoimi brązowymi oczami.

– Dlaczego miałbyś chcieć pomóc Jolene?

– Czyż nie traktowałem was zawsze z szacunkiem? – Starał się mówić spokojnym tonem.

– Taaa, byłeś prawdziwym dżentelmenem. – W jej ustach nie brzmiało to jak komplement.

Adam rozważał w myślach różne możliwości i w końcu postawił na prawdę.

– Któregoś dnia widziałem Jolene przed sierocińcem Świętej Rity. Wydaje mi się, że to ona podrzuciła tam dziecko.

Fran uciekła wzrokiem. Skrzyżowała ramiona na brzuchu i przeszła parę kroków po pokoju. Adam ruszył za nią.

– Czy Jolene miała dziecko?

Cisza.

– A może ty?

Obróciła się gwałtownie.

– Nie jestem taka głupia.

– W takim razie kto?

Kobieta zacisnęła usta milcząco, a jej kroki stukały na krzywych deskach podłogi.

– Daj spokój, Fran. Życie tej małej dziewczynki może zależeć od tego, czy uda mi się odnaleźć jej matkę. – Trochę przesadził, ale miał nadzieję, że dzięki temu osiągnie cel. Nie wiedział zbyt wiele na temat dzieci, poza tym, że lepiej im było z matką, a fakt, że trzymał to kruche życie w ramionach sprawiał, że Adam czuł się odpowiedzialny za dobro tej dziewczyneczki.

Błysk współczucia złagodził surową minę Fran.

– Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– Teraz tak, ale będzie jej lepiej, gdy będzie z matką.

Fran wysunęła rozklekotane krzesło zza stołu i opadła na nie, westchnąwszy z drżeniem.

– Masz rację. To córka Jolene. Prosiła, żebym nic nie mówiła. Ona potrzebuje tej roboty tutaj, a jeśli Max dowiedziałby się o dziecku, mógłby jej nie przyjąć.

– Zatrudnił ją?

Fran skinęła potakująco.

– Zaczyna dziś wieczorem. – Wzniosła umęczone spojrzenie na Adama. – Nie wiem, jak ona chce to zrobić. Nadal jest bardzo słaba po porodzie.

Adam zdusił w sobie przekleństwo.

– Czy Jolene chciała zatrzymać dziecko?

Fran uśmiechnęła się blado.

– Dałaby wszystko, żeby to było możliwe. Ale nie ma gdzie żyć, jak zarabiać inaczej niż... to. – Machnęła dłonią, wskazując na swoją tanią sukienkę.

Adam kiwnął głową.

– Gdybym tylko miał jak to zmienić, zrobiłbym to. Ale sam dopiero wyszedłem z więzienia i jest mi ciężko.

– A więc te plotki były prawdziwe.

– Tak i wolałbym, żeby Max nie dowiedział się, że tu byłem. – Adam się zawahał. – Przekażesz Jolene, co mówiłem? Może mnie znaleźć w sierocińcu.

Fran wstała i wygładziła sukienkę.

– Powiem jej. Ale nie mogę obiecać nic ponad to.

Adam skinął.

– To wystarczy. Trzymaj się, Francine. – Ruszył w stronę drzwi. – Podziękuję ode mnie Marty'emu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Adam wyszedł na korytarz, a potem na zewnątrz bocznymi drzwiami. Poprawił czapkę, rozejrzał się dookoła, by upewnić się, że nikt go nie widział i ruszył ulicą, gdzie pierwszy raz od wejścia do knajpy mógł spokojnie odetchnąć.



Siedząc przy wspólnym stole z Colleen i Rylanem podczas niedzielnego obiadu, Maggie podała Gabe'owi półmisek z groszkiem. Uśmiechnął się szeroko i puścił jej zalotnie oko. Obserwowała go, nakładając łyżką sos na ziemniaki. Jak na kogoś, kto nie chciał przyjeżdżać do Ameryki, jej brat wydawał się ostatnio wyjątkowo radosny. Coś mówiło jej, że ta odmiana w jego zachowaniu może być związana z czymś więcej niż tylko pracą w straży pożarnej.

Miała przeczucie, że to ma jakiś związek z kobietą. A jeśli tak, być może Gabe wcale nie będzie się tak spieszył z powrotem, gdy skończy się lato.

Colleen schyliła się, by szepnąć coś pieszczotliwie do Ivy, jak zaczęła wołać na dziewczynkę, która leżała w wiklinowym koszyku u jej stóp. Od czasu pojawienia się niemowlaka, Colleen nie spuszczała jej z oczu. Nie pozwoliła też, by Ivy została w sierocińcu, mimo zapewnień siostry Weroniki, że dziecku będzie z nimi dobrze.

– Ten dzidzius potrzebuje stałej opieki – stwierdziła Colleen. – A ja z wielką chęcią się tym zajmę.

Zatroskany wyraz twarzy Rylana, objawiający się, gdy patrzył na żonę, podpowiadał Maggie, że on tak samo jak ona martwił się o zbytne przywiązywanie się Colleen do dziecka. Jeśli matka wróci po nią albo jeśli jakaś para zaadoptuje tę kruszynkę, Colleen będzie mieć złamane serce.

Colleen wyprostowała się, najwyraźniej ciesząc się z faktu, że Ivy była zadowolona. Uśmiechnęła się ponad stołem, mówiąc:

– Pomóc ci z ziemniakami, Delio?

Dziewczynka zmagala się, próbując nałożyć sobie jedzenie na talerz.

– Ciocia Maggie może mi pomóc – odparła, patrząc błagalnie w kierunku Maggie.

– Oczywiście.

Od chwili pojawienia się dziecka, Maggie miała wrażenie, że Delia czuje się wykluczona i gdy tylko to było możliwe, starała się poświęcać jej jak najwięcej uwagi.

Colleen wzięła bułkę z koszyka.

– Słyszałam, że państwo Hastingsowie przeprowadzili się do hotelu na czas trwania remontu w ich domu.

Maggie zauważyła z zaciekawieniem, że Gabe ożywił się na samo wspomnienie tego nazwiska. Colleen podała szwagrowi koszyk i ciągnęła dalej:

– Biedna Dorothy i Aurora. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co one muszą czuć. Wiedzieliście, że to wszystko przez ich kucharkę? Zostawiła garnek na kuchni i poszła spać.

– Mieli szczęście, że kobieta tak szybko wszczęła alarm. Cały dom mógłby spłonąć. – Poważny ton Gabe'a dobrze pasował do jego miny.

– Myślę, że po tym wszystkim Dorothy poszuka sobie nowej kucharki. A właśnie, à propos kucharek, pani Norton najęła dorywczo kobietę do kuchni w sierocińcu. Rylanowi udało się tak zagospodarować budżetem, by pozwolić jej na dodatkową pomoc. Mary zaczyna więc pracę od jutra.

– Muszę się zatem jej przedstawić. – Maggie smarowała bułkę masłem, mając nadzieję, że ta nowa kucharka będzie choć trochę tak dobra jak pani Norton, która dostarczała państwu Montgomery większość wypieków.

U drzwi wejściowych rozległo się pukanie. Rylan zmarszczył brwi i zapytał:

– Spodziewamy się kogoś?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Kiedy przeprosił i odszedł od stołu, by otworzyć drzwi, Maggie poczuła, że opuścił ją apetyt.

A co jeśli Adam odnalazł matkę Ivy i kobieta przyszła teraz, żeby odebrać swoją córkę? Do jej uszu dotarł męski szept. Chwilę później Rylan stanął w wejściu.

– Colleen, przyszedł Adam. Chce z tobą rozmawiać.

Serce Maggie podskoczyło do gardła. *O Boże, pomóż Colleen znieść to, czego Adam się dowiedział.*

Colleen podniosła się z krzesła.

– Maggie, przypilnujesz dziecka?

– Oczywiście.

Delia zeskoczyła z siedzenia, wołając:

– Chcę się zobaczyć z wujkiem Adamem.

– Nie dzisiaj, Delio. – Wyjątkowo surowy głos Rylana zmroził Delię w pół kroku. – Proszę cię, skończ obiad. Wrócimy za parę minut.

Marszcząc buntowniczo czoło, Delia wspięła się z powrotem na krzesło, a Colleen wyszła za Rylanem z pokoju. Gabe odłożył widelec.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Maggie stłumiła westchnienie.

– Obawiam się, że Adam wie coś o... – Wskazała gestem na dziecko, nie chcąc wyjawiać zbyt wiele przy Delii.

– Och. W takim razie mam nadzieję, że to dobre wiadomości. – Ale jego mina mówiła jej, że dzielił jej wątpliwości.

Maggie nie potrafiła zmusić się do kolejnego kęsa. Każdym zmysłem starała się wyłapać to, co działo się w pokoju na końcu korytarza. Musiała wiedzieć, o czym oni tam mówili.

– Chyba brakuje sosu. – Chwyliła za naczynie i odeszła od stołu.

– Maggie. – Ostrzegawcze warknięcie Gabe'a nie zdołało jej powstrzymać. Przyzwyczyła się już do tego, by ignorować braci.

– Miej oko na dziecko – szepnęła, przechodząc koło jego miejsca.

Zamiast jednak udać się do kuchni, Maggie przystanęła przed drzwiami do salonu, ciesząc się, że nie były do końca zamknięte i bez trudu mogła usłyszeć głęboki głos Adama.

– Czy Maggie mówiła wam o kobiecie, którą widziałem przed sierocińcem tamtego dnia, gdy znalazłem dziecko? – zapytał.

– Nie, nic nie wspominała – odpowiedział Rylan pełnym podejrzliwości głosem.

– Poznałem ją. Pracowała w knajpie, w której niegdyś bywałem.

Przerwał, a Maggie wytrzymała słuch, żeby dowiedzieć się więcej. Usłyszała ciężkie westchnięcie.

– Nie wiem, jak mam to powiedzieć. Ta kobieta to... prostytutka.

Colleen stłumiła okrzyk. Maggie poczuła ukłucie w żołądku, starając się nawet nie wyobrazić sobie, skąd Adam mógł znać taką kobietę.

– Poszedłem tam, by ją odnaleźć, ale jej nie było.

– Wróciłeś w takie miejsce? – nieomal wysyczała Colleen.

– Nie chciałem, wierz mi. Ale zrobiłem to dla dobra dziecka. Ona potrzebuje matki.

– Nie takiej matki.

Maggie wzdrygnęła się, słysząc ton Colleen, który przepelniony był pogardą i histerią.

– Czy jako chrześcijanie nie powinniśmy traktować wszystkich z szacunkiem? – Spokojne pytanie Adama dotarło aż na korytarz. – Ponieważ sam popełniałem błędy, nie czuję się uprawniony oceniać Jolene za jej uczynki.

Jolene? A więc znał ją po imieniu. Maggie była dumna z faktu, że Adam nie osądza innych, ale poczuła jednocześnie nagły przypływ zazdrości. Czy znajomość z Jolene to było coś więcej? Nawet nie śmiała o tym myśleć.

– Skoro ta Jolene jest takim niewiniątkiem, dlaczego porzuciła swoje biedne dziecko pod krzakiem?

– Daj spokój, Maggie. – Dobiegł ją łagodny głos Rylana. – Wysłuchajmy do końca tego, co Adam chce nam powiedzieć.

– Rozmawiałem z inną kobietą z knajpy, która przyznała, że to dziecko Jolene. Matka chciała zatrzymać córeczkę, ale jej styl życia nie sprzyja zbytnio opiece nad noworodkiem.

Serce Maggie ścisnęło się z żalu i współczucia dla kobiety, która nie mogąc zmienić okoliczności życia, musiała porzucić własne dziecko.

– Zostawiłem Jolene informacje, gdzie może mnie szukać. Nic więcej nie mogłem zrobić.

– Czy... czy myślisz, że ona wróci po Ivy?

– Ivy?

– Tak ją nazywamy. Wydaje nam się, że do niej pasuje.

– Bardzo. Piękne imię, Colleen – odpowiedział z uśmiechem.

Maggie nie mogła już dłużej wytrzymać. Musiała zerknąć do środka. Gdy zobaczyła współczucie malujące się na twarzy Adama, o mało co się nie popłakała.

Colleen pociągnęła nosem.

– Myślisz, że będzie chciała wziąć Ivy z powrotem? – zapytała ponownie.

Adam wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Może to była pochojna decyzja, której będzie później żałować. – Mówiąc to, położył rękę na ramieniu siostry. – Nie przywiązuj się zbytnio, Colleen. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Colleen miętoszyła w rękach chusteczkę.

– Obawiam się, że już za późno. Kocham tę malutką i chcę ją zatrzymać.

– Posłuchujesz, ciociu Maggie?

Maggie podskoczyła na dźwięk głosu Delii tuż przy swoim boku. Sos wychlapał się i pobrudził jej suknię.

– Ależ mnie wystraszyłaś, Delio!

Dziewczynka patrzyła jej prosto w twarz.

– Tata mówi, że to nieładnie posłuchiwać.

Rylan stanął w wejściu.

– Masz rację, Delio. Ciocia Maggie dobrze wie, że nie powinno się podsłuchiwać.

Ciepło rozpalilo policzki Maggie, gdy tylko przeniosła wzrok z Rylana na rozbawioną twarz Adama. Colleen stanęła u boku męża.

– Maggie ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Przecież ona jako pierwsza opiekowała się Ivy.

– Dziękuję, Colleen. – Maggie starała się odzyskać godność i rzuciła bratu lodowate spojrzenie.

– A teraz, wybaczcie, muszę sprzątnąć rozlany sos.



Adam stłumił śmiech, gdy tylko Maggie wymaszerowała do kuchni razem z Colleen.

– Podejrzewam, że Maggie była bardzo niesforną dziewczynką.

Rylan przewrócił oczami.

– Nawet nie wyobrażasz sobie, ile czasu matka spędziła na kolanach w jej intencji. – Posłał Adamowi żaloszny uśmiech. – Współczuję mężczyźnie, który zostanie jej mężem. Ujarczmienie jej będzie

nie lada wyzwaniem.

Obaj uśmiechnęli się i wtedy ich uwagę zwrócił ruch przy wejściu. Do salonu wszedł ciemnowłosy mężczyzna, tak podobny do Rylana, że Adam od razu wiedział, iż to musi być jego brat.

– Colleen prosiła przekazać, że poszła odłożyć małą do łóżeczka. – Zawahał się, stojąc koło drzwi. – Ty musisz być Adam. Jestem Gabe.

Adam skłonił głową.

– Miło cię poznać.

Gabe podszedł i uściśnął jego dłoń.

– Colleen mówiła, że ciężko pracujesz, żeby wrócić na dobrą drogę. Bardzo to doceniam.

– Dziękuję. – Adam usztywnił się, czekając już na kolejny komentarz, który zwykle potem następował.

– To dobrze, że Rylan mógł ci zaoferować pracę, która pomoże ci przetrwać. – Gabe zawahał się, a jego czoło przecięła drobna zmarszczka. – Tym samym myślę, że rozumiesz, skąd wynikają nasze obiekcje dotyczące wszelkiego rodzaju... związków... pomiędzy tobą a naszą siostrą. Nie byłoby zbyt właściwe dla młodej damy, żeby zadawała się z przestępcą.

Choć słowa te wypowiedziane były z grzecznością, Adam poczuł się, jakby dostał z pięści prosto w żołądek. *Przestępca*. To taką etykietkę będzie nosił do końca życia... nieważne, co zrobi, żeby się zrehabilitować. Tych dwoje, stojących ramię w ramię, wystarczająco wyraźnie o tym świadczyło.

– Rozumiem – odparł cicho. – Możecie być pewni, że nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby skrzywdzić Maggie albo przyczynić się do uszczerbku na jej reputacji. – Nacisnął na głowę czapkę. – Miłego popołudnia, panowie.

Adam nie mógł winić Gabe'a i Rylana za ich ostrożność. Czułby dokładnie to samo, gdyby którakolwiek z jego siostr zaczęła się zadawać z kimś takim jak on. A jednak, to nie pomagało zagoić rany.

Wychodząc, nie śmiał nawet spojrzeć w stronę kuchni, żeby nie napotkać wzroku Maggie. Nie chciał jej spotkać w takim stanie, w jakim się obecnie znajdował. Pchnięciem otworzył drzwi, zbiegł szybko po schodach na chodnik i dopiero wtedy wziął oddech.

Kiedy za jego plecami otworzyły się drzwi, spał się, oczekując kolejnej konfrontacji.

– Wujku Adamie? Nie pożegnałeś się.

Cienki głosik wywołał poczucie winy przesywające jego serce. Obrócił się i zobaczył, że na schodach stoi Delia, a w jej szeroko otwartych oczach przeblyskuje poczucie krzywdy.

– Przepraszam, Delio. Chyba trochę się spieszylem. – Musiał się powstrzymać, żeby nie porwać siostrzenicy w objęcia, na wypadek gdyby Rylan obserwował ich przez okno. Zapewne szwagier nie cieszyłby się z kontaktów Adama ze swoją córką, tak samo jak z siostrą.

– Czy tatuś jest na ciebie zły?

To pytanie zaparło mu dech w piersi. Jej domyślność przypomniała mu, że dzieci często rozumieją dużo więcej, niż dorośli podejrzewają.

– To długa historia. – Usiadł na jednym ze stopni, zaskoczony dotykaniem małej rączki na swoim ramieniu.

– Lubię historie.

Jej szczerze niebieskie oczy przeszywały go na wskroś. Był winien temu dziecku wyjaśnienie i tylko prawda mogła pomóc.

– Wiesz, co to jest więzienie?

Pokiwała poważnie główką.

– To tam, gdzie idą źli ludzie.

Źli ludzie. Jakoś takie określenie bolało go jeszcze bardziej niż bycie nazwanym przestępcą.

– Nie każdy, kto idzie do więzienia jest zły. Niektórzy muszą tam iść, bo popełnili błąd.

– Czy ty popełniłeś błąd, wujku Adamie?

Wytrzymał jej spojrzenie, a potem odrzekł:

– Tak. I za karę musiałem iść do więzienia.

Kątem oka dostrzegł ruch, a potem nagle poczuł ciężar na kolanach. Ramiona Delii otuliły jego szyję i dziewczynka pocałowała go w zarośnięty policzek.

– Ty nie jesteś złym człowiekiem. Gdybyś był, to bym się ciebie bała.

Olbrzymia jak gładka kula stanęła Adamowi w gardle. Ucałował ją w czubek głowy, a jej blond włoski łaskotały go w nos.

– Dziękuję ci, kochanie. – Niechętnie odciągnął jej rękę ze swojej szyi. – Ale musimy uszanować wolę twojego taty. Lepiej, żebyś już wracała, zanim zaczniesz się o ciebie martwić.

– Dobrze. – Zawahała się jeszcze, stojąc z ręką na barierce. – Kocham cię, wujku Adamie.

Adam poczuł jak przeszywa go kolejny cios.

– Ja ciebie też, Delio. Bądź dobra dla mamy i taty.

Skinęła ze smutkiem w jego stronę, jakby rozumiejąc, że przez dłuższy czas się nie zobaczą, a potem bez słowa wróciła do domu.

Aurora wyszła z oddziału mieszącego się na pierwszym piętrze i wzięła głęboki wdech, ciesząc się powietrzem wolnym od ostrych szpitalnych woni. Przyglądała się badaniu dwóch chorych na polio i po pewnym czasie spędzonym wśród zapachu ciał i środków antyseptycznych nie mogła się już doczekać, kiedy pooddycha świeżym powietrzem.

Ruszyła korytarzem wyłożonym kafelkami, ale zatrzymała się, gdy spostrzegła, że za jej plecami pojawił się doktor Reardon.

– Panno Hastings, jeśli ma pani chwilkę, może mogłaby mi pani towarzyszyć podczas wyjścia do sierocińca Świętej Rity? Mam tam wizytę kontrolną u noworodka oraz badanie kilkorga innych dzieci.

Aurora stanęła na wprost niego. Pierwszy raz zdarzyło się, że doktor Reardon zapytał o to, by towarzyszyła mu w wizytach lekarskich poza szpitalem. Za każdym razem, gdy chodziła do sierocińca, było to w celu odwiedzin u dzieci... nic związanego z medycyną.

– Pochlebia mi pańska propozycja. Czy kryje się za tym jakiś szczególny wzgląd?

Czyżby to tylko jej wyobrażenia, czy on naprawdę się zarumienił?

– Pomyślałem, że to będzie dla pani cenne doświadczenie.

Nie do końca mu uwierzyła, ale to nie było teraz ważne. I tak planowała wstąpić do sierocińca, zwłaszcza że dowiedziała się ostatnio o nowoprzybyłym dziecku.

– Z chęcią się tam z panem wybiorę.

– Wspaniale. Spotkajmy się przed szpitalem za pięć minut.

Jazda samochodem doktora była bardzo przyjemna. Okazał się dobrym kierowcą i z łatwością manewrował przez zatłoczone ulice miasta. Gdy zatrzymali się przed domem dziecka, szybko wysiadł i obszedł auto, aby otworzyć przed nią drzwi oraz podać jej dłoń, pomagając przy wysiadaniu. Podniosła wzrok na jego twarz i w jego oczach dostrzegła jednoznaczny wyraz zainteresowania jej osobą.

Jego dłoń zatrzymała się nieco dłużej na jej ręce i przez chwilę miała wrażenie, że pochylił się i ucałuje ją. Jej serce drgnęło, ale wycofała dłoń i ruszyła przed siebie, o mało co nie przewracając się na krawężniku.

– Proszę uważać – zawołał doktor Reardon, chwytając ją za łokieć.

Złapała się za rękaw jego marynarki i poczuła, jak przyspiesza jej oddech. Świeży zapach mydła i wełny otoczył ją, gdy starała się odzyskać równowagę i spokój wewnętrzny.

Jakiś urwany śmiech rozległ się za jej plecami.

– Witam ponownie, panno Hastings.

Ten charakterystyczny irlandzki akcent sprawił, że bicie serca Aurory przyspieszyło do galopu.

Odwróciła się i spostrzegła szeroko uśmiechniętego Gabe'a Montgomery'ego.

– Gabriel. Nie spodziewałam się ciebie tu spotkać. – Żałowała, że nie potrafi ostudzić rozpalonych policzków.

– Czy na pewno dobrze się pani czuje, panno Hastings? – Doktor Reardon zbliżył do niej zatroskaną twarz.

Odsunęła się, zachowując między nimi pewien dystans.

– Mam się świetnie. Dziękuję panu, doktorze.

Gabe podszedł i stanął u jej boku.

– Cóż za zbieg okoliczności, że się tu spotkaliśmy. – Jakaś jawna wesołość zagościła w jego spojrzeniu.

Gdyby tylko doktor Reardon nie obserwował jej tak uważnie jak badacz przyglądający się swojemu okazowi w laboratorium, może mogłaby wykrztusić z siebie jakąś sensowną odpowiedź.

– Towarzyszę doktorowi Reardonowi podczas wizyty u dzieci. Doktorze, to jest Gabriel Montgomery, brat Rylana.

Twarz doktora rozjaśniła się.

– A, tak. Rzeczywiście dostrzegam podobieństwo. Miło pana poznać, panie Montgomery.

– Mnie również, panie doktorze.

Weszli razem po schodach i do środka budynku. Aurora była zaskoczona, a równocześnie nieco zaniepokojona, kiedy Gabe poszedł za nimi. Jak będzie miała wykazać się profesjonalizmem i skupić się na dzieciach, kiedy on nie opuści ich ani na krok?

Zdjęła rękawiczki i kapelusz, a potem odłożyła je w szatni, żałując, że w pobliżu nie ma lustra, w którym mogłaby sprawdzić, jak wygląda. Opuszkami palców przyglądała włosy i poszła za doktorem Reardonem w głąb głównego korytarza do małego pokoju, z którego korzystał podczas badania pacjentów. Colleen siedziała na krześle za drzwiami, w ramionach tuląc niemowlaka. Gdy doktor witał się z nią, Aurora odwróciła się do Gabe'a, który wciąż szedł za nimi.

– Co ty tutaj robisz? – Nie chciała brzmieć niegrzecznie, ale musiała zachować trzeźwość umysłu, a w towarzystwie Gabriela Montgomery'ego zupełnie nie potrafiła normalnie funkcjonować. Fakt, że przyłapał ją w dość kompromitującej sytuacji z doktorem Reardonem wcale nie pomagał.

– Przyszedłem tu, żeby zobaczyć się z bratem – rzekł, przechyliwszy głowę na bok. – Wydaje się, że nie cieszysz się z mojej obecności. Mógłbym się obrazić.

Aurora z całych sił starała się powstrzymać frustrację.

– Bynajmniej. Po prostu... – Machnęła dłonią w kierunku doktora.

– Panno Hastings, możemy zaczynać. – Gniewny wyraz twarzy doktora Reardona sprawił, że Aurora poczuła ucisk w żołądku. Już zdążyła go rozczarować.

– Chyba nie powinienem ci przeszkadzać w pracy. – Gabe pochylił się nad jej dłonią. – I tak zobaczymy się dziś wieczorem na kolacji.

– Słucham?

Uniósł jedną brew i w jego oczach widać było isierki tańczące w rytm irlandzkiego stepa.

– Czyżby twój ojciec nic ci nie powiedział? Zaprosił mnie dzisiaj na wspólną kolację z wami w hotelu Vanderbilt.

– Och! – skwitowała słabym głosem. – W takim razie do zobaczenia później.

Aurora patrzyła, jak Gabe odchodzi, pogwizdując. Starła się odsunąć od siebie niepokój, który przeszywał jej wnętrze. Miała nadzieję, że tata po prostu zamierzał podziękować Gabe'owi za jego odwagę, chociaż, znając ojca, pewnie kryło się za tym coś jeszcze.

Coś, co Gabe'owi niekoniecznie będzie się podobało.

Adam wykonał ostatnie pociągnięcia lakieru na ławce kościelnej, którą naprawiał i cofnął się, by podziwiać efekt. John zagwizdał cicho i podszedł bliżej, stwierdził:

– Masz rękę do drewna.

– Dziękuję. – Adam pozwolił, żeby przyjemne uczucie rozlewało się w jego duszy. Miło było czuć się docenianym, nawet za coś tak prostego. Wytrzeł dłoń w czystą ścierkę.

– Powiedz mi, John, słyszałeś może, czy któryś z twoich parafian potrzebował, żeby coś u nich zrobić?

Uśmiech zniknął z twarzy Johna.

– Niestety, każdy z kim rozmawiałem mówił, że na razie nic nie potrzebuje.

Adam spodziewał się takiej odpowiedzi, a jednak przeniknęło go poczucie rozczarowania. Trzymał się nadziei, że może ktoś da mu szansę, nawet jeśli miałyby to być tylko ze względu na Johna.

– Cóż, dzięki, że próbowałeś. Naprawdę to doceniam.

Będzie musiał jeszcze jakiś czas pracować w sierocińcu, choć stawało się to dla niego powoli formą męczarni, gdy był tak blisko Maggie i nie mógł z nią rozmawiać. Mimo że bardzo mu to doskwierało, wiedział, że Rylan i Gabe mieli rację. Nie miał po co zadawać się z Maggie, a tym bardziej snuć marzeń. Im szybciej zdoła oddalić się od niej, tym lepiej.

John podszedł do ambony i umieścił tam księgę.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie, ale patrzyłem na te meble, które stworzyłeś

w szopie.

– Nie ma problemu.

– One są wspaniałe, Adamie. Tak dobre, że mógłbyś spokojnie je sprzedawać.

– Dziękuję. – Adam przykrył wieczkiem puszkę lakieru i wytarł pędzel w ścierkę.

– Myślałeś kiedyś, żeby otworzyć swoją firmę? – John podszedł bliżej i schylił się, by pomóc mu pozbierać gazety, którymi zabezpieczona była posadzka.

– Czy myślałem? Już od dziecka o tym marzyłem. Ale mój ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. Traktował to jako zawód gorszej kategorii.

– I dlatego zwróciłeś się na drogę przestępczości? Całkiem logiczne.

Adam zeszywniał na chwilę, ale zaraz uświadomił sobie, że John tylko się z nim przekomarza.

– Wiesz, że nie zamierzałem złamać prawa. Gdy sobie uświadomiłem, w co się wpakowałem, było już za późno, żeby się wycofać.

John spoważniał.

– Wiem.

– Szkoda, że nie liczą się zamiary.

– W istocie.

Wyszli razem tylnymi drzwiami i przeszli przez podwórko do szopy, w której Adam przechowywał to, co stworzył.

John otworzył drzwi, mówiąc:

– Naprawdę, Adamie, uważam, że powinieneś się ujawnić z tymi meblami.

– Mam taki zamiar – odparł Adam, odstawiając narzędzia. – Ta cedrowa skrzynia to prezent ślubny dla mojej siostry Brianny. Wychodzi za mąż pod koniec sierpnia.

– Jest piękna. – John schylił się i przesunął dłonią po prawie ukończonej już kołysce. – To też dla niej?

– Nie, to dla porzuconego niemowlaka, którym opiekuje się Colleen. Nie ma nawet dla tego dziecka specjalnego łóżeczka.

– To bardzo miłe z twojej strony. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że jej mąż nie był dla ciebie zbyt życzliwy.

Adam odłożył puszkę lakieru na półce.

– Rylan dał mi pracę, a to i tak więcej, niż zrobiłby ktokolwiek inny.

Głęboka zmarszczka przecięła czoło Johna.

– Ale nie potrafił ci wybaczyć. Odgania cię z dala od swojej siostry, jakbyś był jakimś potworem.

– Trudno go za to winić. On tylko stara się chronić swoją rodzinę. Mój własny ojciec traktuje mnie gorzej.

John wyprostował się.

– A właśnie, skoro mowa o twoim ojcu, zrobiłeś coś w tym względzie?

Adam poczuł napięcie w karku i zaczął ręką rozcierać to miejsce.

– Jeszcze nie. Być może wcale nie jestem gotowy na to, by poznać prawdę.

John skrzyżował ręce, przyjmując taką postawę, która podpowiadała Adamowi, że ma jeszcze w zanadru coś do powiedzenia.

– Kiedyś mówiłeś, że te podejrzenia dotyczącego twojego ojca prześladowały cię od lat. Czy ci się to podoba, czy nie, Adamie, musisz poznać prawdę, by móc raz na zawsze poradzić sobie z cierpieniem z dzieciństwa.

Adam westchnął ciężko.

– Masz rację... jak zawsze.

– Schlebiasz mi. – John poklepał Adama po ramieniu. – A może zrobisz sobie dzisiaj już dzień wolny? Chyba zdążyłbyś jeszcze złapać najbliższy pociąg na Long Island.

John miał rację. Adam odkładał to już zbyt długo.

– Dziękuję. Chyba tak zrobię.

Kiedy tylko John wyszedł, Adam postarał się jeszcze, by wszystko w szopie zostało w jak najlepszym porządku, a potem, nie szukając już żadnych wymówek, wyszedł, zamknął za sobą drzwi i skierował się w stronę dworca.

Jazda pociągiem na Long Island, a potem spacer do miasteczka dały Adamowi czas, aby utwierdzić się w postanowieniu, że to, co ma się teraz wydarzyć, jest szczególnie ważne, by mógł uzyskać spokój duszy.

Pierwszym przystankiem była od dawna odkładana wizyta na cmentarzu znajdującym się za małym kościołem, do którego zwykle chodzili całą rodziną. Adam przeszedł pośród rzędów nagrobków, ściskając w dłoni pęczek przywiędniętych stokrotek, które zebrał po drodze i zatrzymał się w końcu, w dobrze mu znanym miejscu, gdzie wznosił się zdobiony nagrobek jego młodszego brata. To było to miejsce, które wzbudzało w nim mnóstwo niemiłych wspomnień.

Jakże bardzo nienawidził przychodzenia tu rok w rok na rocznicę śmierci Danny'ego. Wydawało

mu się to torturą, która miała mu przypominać raz za razem, jak bardzo zawiódł swoją rodzinę.

Daniel James O'Leary, lat osiem.

Adam poczuł jak ścisną mu się gardło, gdy w pamięci błysnęły wspomnienia. Burza ciemnych włosów jego brata, który jako jedyny odziedziczył kolor po ojcu, drobne piegi koło nosa i łobuzerski uśmiech.

– Powinienem być cię wziąć, żebyśmy razem popływali, tak jak mnie prosiłeś Danny, a nie ulotnić się gdzieś ze znajomymi. Powinienem być dla ciebie lepszym bratem.

Piekły go oczy, gdy ta brutalna prawda dotarła do jego duszy. Był zazdrosny o swojego brata... zazdrosny o to, że ojciec okazywał Danny'emu więcej uczuć niż jemu. Zazdrosny o to, że Danny był podobny do ojca, a on nie.

Adam zmusił się do szczerego wyznania. Ani Danny, ani Gil nie zasługiwali na jego niechęć. Nawet Gil, który nie zrobił nic, co by uzasadniało nienawiść Adama, a jego jedyną winą była sympatia do koni, którą współdzielił z Jamesem. W rzeczywistości, prawdziwym źródłem gniewu Adama był sam ojciec.

Schylił się i położył stokrotki u podstawy szerokiego kamienia. Dotykając jednym kolaniem wilgotnej trawy, wyrecytował modlitwy, które zawsze kazała im mówić matka, i teraz dopiero znalazł w tych słowach pocieszenie. Gdy skończył, przesunął palcem po wyrzeźbionych kamiennych literach, prosząc brata o wybaczenie.

– Zasługiwałaś na dużo więcej, Danny. To ja powinienem być utonąć. Wtedy ty mógłbyś dalej żyć i wypełniać marzenia naszego taty.

– Czy to ty, Adamie O'Leary? – Ksiądz Filmore przemierzał trawnik, idąc w jego kierunku.

Adam przetarł dłonią oczy i podniósł się z klęczek, ze wszystkich sił starając się opanować emocje.

– To ja, księżo. Jak się ksiądz miewa?

– Całkiem dobrze, mój chłopcze. Dobrze cię znów widzieć – odpowiedział i uścisnął dłoń Adama.

Czyżby duchowny nie słyszał, gdzie przez parę ostatnich lat przebywał Adam? Z pewnością nie, w przeciwnym razie nie cieszyłby się tak z tego spotkania. Ksiądz Filmore złożył dłonie na brzuchu i zapytał:

– Co cię tu sprowadza w to piękne popołudnie?

– Chciałem odwiedzić grób brata. Sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni byłem w... domu.

– To prawda. Mieszkasz u rodziców, tak?

– Nie, w mieście.

– Dobrze wiedzieć, że znów stajesz na nogi. Hm, przekaż rodzicom wyrazy uszanowania.

Adam dołączył do niego i razem szli w stronę kościoła.

– Nie wiem, czy będę się z nimi dzisiaj widział. Ale jest coś, w czym ksiądz mógłby mi pomóc.

Wielebny Filmore odwrócił się i zmierzył go wzrokiem spod swoich okularów.

– W czym rzecz, synu?

– Chciałbym zobaczyć swój wpis chrzcielny.

Proboszcz zatrzymał się i przez krótką chwilę Adam bał się, że mu odmówi. W końcu jednak wielebny skinął i powiedział:

– Chodź ze mną. Trzymam księgi w swoim gabinecie.

Ksiądz szybko odnalazł na półce odpowiednią księgę i przeniósł ją na biurko.

– Jaki to był rok?

Adam przełknął.

– Urodziłem się w listopadzie 1889 roku – odparł, w myślach dodając: *Jeśli powiedziano mi prawdę.*

Ksiądz Filmore przeglądał księgę, aż dotarł do odpowiedniego przedziału. Przesuwał palcem przez pożółkniełe karty i zatrzymał się na wpisie pośrodku strony.

– Tutaj jest, mój drogi. Twoja mama chciała, żeby dzieci były chrzczone już parę tygodni po narodzeniu.

Adam wstrzymał oddech, starając się skupić na literach.

Adam Francis O'Leary, ochrzczony 24 listopada 1889. Data urodzenia: 18 listopada 1889. Matka: Kathleen Agnes O'Grady. Ojciec: James Francis O'Leary.

Nic niezwykłego. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że mogłoby tu być jakieś inne nazwisko w rubryce „ojciec”? Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – Wielebny Filmore patrzył na niego przepelnionym zaciekawieniem wzrokiem.

– Tak, chyba tak. – Adam nadal nie był przekonany, czy rzeczywiście był synem Jamesa. – Czy zawarcie sakramentu małżeństwa moich rodziców też jest tu odnotowane?

Ksiądz Filmore wyprostował się, a jego twarz przybrała nagle nieufny wyraz.

– Brali ślub w tym kościele?

– Wydaje mi się, że tak.

– Dobrze zatem. Popatrzmy. – Podeszedł do szafki i wybrał z półki inną księgę, a następnie położył ją na stole.

Krew pulsowała Adamowi mocno w żyłach, kiedy zaglądał księdzu przez ramię, gdy ten przeszukiwał zapiski, cofając się przez kolejne miesiące. Wreszcie palec proboszcza zatrzymał się przy nazwisku O’Leary.

– O, tutaj jest.

Adam spojrział na datę w kolumnie po lewej stronie. *25 marca 1889*. Zacisnął usta, szybko w głowie dokonując obliczeń. Osiem miesięcy. Wziął gwałtowny wdech i zrobił krok wstecz.

– To nic, synu. Nie ma się czym przejmować. Pewnie urodziłeś się parę tygodni przed terminem. A jeśli nie... cóż, to twoi rodzice nie byłiby pierwszą parą, które nie czekała na noc poślubną, jeśli wiesz o co mi chodzi. – Zamknął księgę z głuchym trzaśnięciem.

Adam stanął prosto.

– Z pewnością ma ksiądz rację.

Wielebny Filmore odprowadził Adama do wyjścia i położywszy rękę na jego ramieniu, rzekł:

– Porozmawiaj z rodzicami, synu. To pomoże rozwiązać twoje zmartwienia.

Adam założył czapkę i już miał wychodzić z budynku. Gdyby tylko to mogło być takie proste.

– Dziękuję, księżo. Będę pamiętał o księdza radzie.



– Puśćmy go, ciociu Maggie – zapiszczała z zachwytem Delia, zauważając silniejszy powiew wiatru.

Maggie uśmiechnęła się.

– Postaram się, ale musisz mi pomóc. Trzymaj wysoko sznurek, a ja będę biegła – zarządziła, unosząc nieco bezładnie wyglądający latawiec ponad głowę. Następnie zaczęła biec truchtem przez trawnik, uważając, żeby nie przewrócić się na rąbku spódnicy.

Obiecała Delii, że zabierze ją do parku i będą puszczać latawiec, który zrobiły dzień wcześniej. Patrząc na wiejący dzisiaj wiatr, Maggie miała na dzieję, że uda im się poderwać go w powietrze.

Gdy tylko poczuła, że zbliża się korzystny powiew, Maggie wypuściła zabawkę na pastwę żywiołu. Latawiec zapikował i podskoczył i wydawało się, że się waha, czy zostać w powietrzu, a potem nagle złapał wiatr i poszybował w górę.

Maggie wróciła do Delii, na wypadek gdyby ta potrzebowała pomocy przy trzymaniu linki.

– Doskonale. Świetnie ci idzie.

Zbudowany z listewek i papieru latawiec utrzymywał się w górze. Delia zagryzła wargę w skupieniu, trzymając sznurek, tak jakby wszystko od niej zależało.

Wykręcając głowę w górę, Maggie obserwowała nieporadny lot latawca i śmiała się głośno z zachwytem. Nie wiedzieć czemu, jej myśli poszybowały do Adama i zapragnęła, by mógł też tutaj być i dzielić radość swojej siostrzenicy.

– Wspaniały latawiec.

Maggie poczuła, że przeszły ją ciarki. Obróciła się gwałtownie i dostrzegła, że autorem tych słów był stojący za plecami Delii Neill. Delia uśmiechnęła się do niego szeroko.

– To ciocia Maggie pomogła go zrobić.

– Hm, masz wielkie szczęście, że masz taką miłą ciocię. – Mówiąc to, Neill wpatrywał się w Maggie.

Delia zmarszczyła nosek i zauważyła:

– Brzmisz tak samo jak ona. Czy ty też pochodzisz z Irlandii?

– Tak, zgadza się.

Co Neill tutaj robił? Ponieważ Maggie nie miała od niego żadnych wieści, stwierdziła, że pewnie się poddał i wrócił do kraju. A teraz był tu znowu. Czyżby obserwował ją przez cały ten czas? Serce Maggie waliło nierówno. Zrobiła krok w przód i położywszy rękę na ramieniu Delii, powiedziała:

– Delio, to pan Fitzgerald. Mój znajomy z kraju. – Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie ponad głową dziewczynki. – Neill, może usiądziemy na ławce, a Delia jeszcze popuszcza sobie latawca?

– Z przyjemnością.

Irytacja zmieszana ze strachem przesywała wewnątrz Maggie, ale usiadła na drewnianej ławce. Rozejrzała się wokół po małym parku, z wdzięcznością zauważając, że na popołudniowy spacer wybrała się także jakaś inna rodzina.

– Co ty robisz? Śledzisz mnie?

– A jak inaczej miałabym cię odzyskać, skoro nie chcesz mnie widywać? – Spojrzał na nią poważnie. – Nie powiesz braciom, że znów się spotykamy? Wtedy mógłbym ci normalnie złożyć wizytę w domu. – Uchwycił jej dłoń. – Cieszymy się razem tym czasem, Maggie. Możemy wspólnie pozwiedzać Muzeum Historii Naturalnej, popłynąć promem do Statuy Wolności.

Przez jeden idiotyczny moment poczuła się jak w dzieciństwie, kiedy ona i Neill z grupą znajomych z sąsiedztwa biegali po łąkach, wspinali się na drzewa i zwiedzali opuszczone stodoły w okolicy. Ale wtedy byli dziećmi, a teraz tak wiele się zmieniło. Westchnęła i cofnęła rękę z jego uścisku.

– Parę dni zwiedzania nie zmieni faktu, że podążamy dwoma różnymi drogami.

Wyprostował się sztywno, a wszelki entuzjazm zniknął z jego oblicza.

– Co masz na myśli? Oboje kochamy nasze miasto, oboje chcemy tam założyć rodzinę. Mam dobry interes, który jest źródłem stałego dochodu. Zamieszkamy nad pubem do czasu, aż będziemy mogli sobie pozwolić na własny dom.

Maggie potrząsnęła przecząco głową.

– Nie mogę wyjść za ciebie, Neill. Lubię cię, ale nie kocham cię tak, jak żona powinna kochać męża. I obawiam się, że nic tego nie zmieni.

Rysy twarzy Neilla stały się surowe.

– To nieprawda, Maggie.

Westchnęła. Był tylko jeden sposób, by on mógł to zrozumieć.

– Ja nie wracam do Irlandii.

Na jego czole pojawiły się zmarszczki.

– Nie przed końcem lata. Ale gdy tylko nasycisz się tym podróżowaniem, będziesz gotowa, by wrócić i osiąść.

– Ciociu Maggie, popatrz!

Maggie podniosła się z ławki, i mrużąc oczy, spojrzała na latawiec, który wycinał na niebie zwariowany wzór. Pomachała do Delii.

– Świetnie ci idzie, kochanie.

Wznosząc w duchu modły, aby Neill w końcu raz na zawsze zaakceptował fakt, że ich związek się skończył, odwróciła się do niego.

– Nie wracam – powtórzyła. – Zostaję w Nowym Jorku na stałe.

Neill skoczył na równe nogi, a w jego oczach tliło się niedowierzenie.

– Nie mówisz poważnie.

– Tak. Ja...

Bez słowa ostrzeżenia, chwycił ją brutalnie i pocałował. Kiedyś, gdy sądziła jeszcze, że mogliby wieść wspólne życie, lubiła jego pocałunki. Ale dzisiaj jego twarde usta wymierzały jej karę i wyrażały zaborczość. Odepchnęła go od siebie i otarła dłonią wargi. Z wyraźnym wysiłkiem udało jej się opanować gniew.

– Narzucanie się nic ci nie da. A teraz proszę, bądź tak dobry i nie próbuj się już więcej ze mną kontaktować.

Maggie uniosła rąbek spódnicy i szybkim krokiem podeszła do Delii, akurat w chwili, gdy latawiec spadł z nieba i uderzył w ziemię. Delia śmiała się i podbiegła do zabawki.

– Widziałaś, ciociu, jak długo był w powietrzu?

Maggie zmusiła się do uśmiechu.

– Widziałam. Doskonale sobie radzisz z puszczeniem latawca.

Kiedy zwijały sznurek, Maggie zerknęła za siebie na ławkę. Neill stał, patrząc się, a w jego oczach błyszczała niechęć. Potem wcisnął stanowczo kapelusz na głowę i odszedł ścieżką.

– Spróbujemy jeszcze raz? – zapytała dziewczynka.

Maggie miała wrażenie, że uleciała z niej cała siła i była teraz wiotka jak ten latawiec, który trzymała w rękach.

– Może jutro, kochana. Na dzisiaj już wystarczy.



Adam wyciągnął zegarek z kieszeni i sprawdził godzinę. Do odjazdu pociągu powrotnego na Manhattan było jeszcze dwie godziny, co oznaczało, że miał wystarczająco czasu na szybkie odwiedziny w Irlandzkich Łąkach. Spiał się na myśl o spotkaniu z ojcem, bo nie czuł się jeszcze gotowy na starcie. Ale od dawna już odkładał odwiedziny u Brianny. Jeśli miałby trochę szczęścia, może udałoby się z nią porozmawiać na osobności.

Dwadzieścia minut później Adam szedł już drogą w kierunku domu rodziców. Ominął główne wejście i skierował się w stronę drzwi dla służących. Zajrzał do małego przedpokoju prowadzącego do kuchni. Zatrzymał się, by ściągnąć czapkę, a potem nasłuchiwał wszelkich odgłosów, które mogłyby świadczyć o tym, że pani Harrison pracowała w swoim królestwie. Charakterystyczne stukanie garnków i naczyń mówiło mu, że rzeczywiście tam była.

– Panicz to ma zamiar tak czaić się w wejściu cały dzień, czy wejdzie i przywita się ze starą kucharką?

Adam był zdumiony szczególną zdolnością tej kobiety, która doskonale wyczuwała moment, gdy ktoś kręcił się koło kuchni. Wszedł do środka.

– Dzień dobry, pani Harrison.

Otarła ręce o fartuch i podeszła bliżej, a jej okrągła twarz schowana pod białym czepkiem promieniała.

– Och, Adamie O’Leary, cóż za widok dla tych starych oczu! – Pochwyciła go w mocnym uścisku i po raz kolejny Adam był zaskoczony tym, że służący w Irlandzkich Łąkach byli dla niego bardziej życzliwi niż własna rodzina.

– Jak się pani miewa, pani Harrison?

– Całkiem niezłe. Jeśli szuka panicz rodziców, obawiam się, że nie zastanie ich, bo wyjechali na cały dzień.

Odetchnął z ulgą.

– W zasadzie, miałem nadzieję porozmawiać z Brianną, jeśli jest w domu.

– Ma panicz szczęście. Jakąś godzinę temu wróciła z biblioteki.

– Adam? – Rozległ się głos siostry, a sekundę po nim dźwięk kroków zbliżających się do kuchni.

– To ty. Właśnie wydawało mi się, że cię słyszałam. – Brianna rzuciła się i objęła go mocno w drugim już dzisiaj tak serdecznym uścisku.

Jej pełna miłości akceptacja wprawiła go w zakłopotanie.

– Dobrze cię widzieć, Bree. Wyglądasz wspaniale. – Rzeczywiście zmieniła się w piękną kobietę. Włosy w odcieniu cynamonu spięte miała na karku w gustowny kok.

Gdy się cofnęła, w jej oczach błyszczały łzy.

– Jak sobie radzisz? Mama nie chce nawet o tobie wspominać, żeby nie denerwować taty.

– Dobrze. – Adam zerknął na panią Harrison i inne służące, które zbiegły się do kuchni. – Możemy porozmawiać na osobności?

– Oczywiście. Może w twoim dawnym pokoju? Nikt nam tam nie będzie przeszkadzał.

Skinął i puścił jej oko.

– Boisz się, że Gil może cię szukać?

Rzuciła mu pełne uszczypliwości spojrzenie, kierując się w stronę schodów dla służby.

– Wychodzę za tego mężczyznę, ale to nie znaczy, że może mi zakazać rozmawiania z własnym bratem. Daj spokój!

Adam roześmiał się i ruszył za nią w górę schodów.

– Cieszę się, że w końcu nabrałaś charakteru.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Tylko taką miałam możliwość... albo to, albo musiałabym do końca życia wypełniać rozkazy taty. Niezbyt ciekawy wybór.

Na piętrze przeszli do sypialni Adama znajdującej się na końcu korytarza. Gdy już byli w środku, Brianna zajęła miejsce w fotelu pod oknem, a Adam wziął krzesło z za biurka i usiadł okrakiem. Rozejrzał się wokół, starając się nie zwracać uwagi na przenikającą go nostalgię.

– O co chodzi? – zapytała bez zbędnych wstępów Bree. – Widzę, że coś ci chodzi po głowie.

– Masz rację. – Zmarszczył brwi, patrząc w okno za jej plecami.

– Lepiej, żeby to nie chodziło o Gila. Teraz, gdy zamierzamy się pobrać, chciałabym, żebyś już dał sobie spokój z tymi nedorzecznymi animozjami.

Zachichotał, słysząc ten jej zażarty ton.

– Na pewno ucieszy cię, gdy powiem, że usilnie nad tym pracuję. Uświadomiłem sobie, że to tak naprawdę nigdy nie była wina Gila, że ojciec wolał jego, a nie mnie.

– Och, Adamie! – W jej zielonych oczach widać było współczucie. Dotknęła dłonią jego ręki. – Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tata był dla ciebie tak surowy. Myślałam, że może żywił wobec ciebie największe wymagania, gdyż byłeś najstarszy.

Adam stłumił prychnięcie.

– To na pewno częściowo prawda. – Przesunął dłonią przez włosy. – Mogę cię o coś zapytać... bez twoich dodatkowych pytań?

Popatrzyła na niego z niepokojem.

– O co?

– O rodziców. Czy wiesz coś na temat tego, jak się spotkali, jak wyglądał ich związek?

Jej oblicze rozjaśniło się.

– Oczywiście.

– Tak myślałem, że jeśli ktoś ma to wiedzieć, to z pewnością będzie to moja przepełniona romantyzmem siostra.

Roześmiała się i wygładziła swoją spódnicę w paski.

– Mama i tata spotkali się w składzie kupieckim, który należał do naszych dziadków. Pewnego dnia, gdy tata przyjechał ze swoim ojcem, by zakupić potrzebne produkty, była tam akurat mama. Okazało się, że od samego początku skradła serce taty.

Adam rozważał przez chwilę to, co właśnie usłyszał, a potem zapytał:

– Ile mama wtedy miała lat?

– Około siedemnastu.

– Długo trwało ich narzeczeństwo?

– Wydaje mi się, że to potoczyło się dość szybko, o ile dobrze pamiętam z opowiadań mamy. – Brianna przybrała rozmarzony wyraz twarzy. – Pobrali się w tym samym kościele, w którym ja niedługo stanę na ślubnym kobiercu.

Adam musiał jakoś odreagować, więc wstał z krzesła i przeszedł na łożo z baldachimem. Nieobecny duchem, przesuwając palcami po narzucie z niebieskim wzorem, która zdobiła jego łóżko od czasów dzieciństwa.

– A co z innymi adoratorami? Czy nie obiecano jej ręki komuś innemu wcześniej, zanim spotkała tatę?

Jasne brwi Brianny zmarszczyły się, tworząc wspólną linię ponad oczami.

– Masz rację. Ojciec mamy ustalił ze swoim znajomym, panem Drake’iem, że ona wyjdzie za jego syna. – Brianna stuknęła parę razy w zamyśleniu palcem o wargi. – Nie pamiętam, jak miał na imię ten syn. Ale wiem, że mamie nie zależało na nim. Kiedy tylko poznała tatę, wiedziała, że nie mogłaby nigdy poślubić nikogo innego. – Rozmarzony wyraz twarzy powrócił na jej oblicze.

– Wiesz coś więcej o rodzinie Drake’ów?

– Nie, raczej nie. O co chodzi, Adamie? – zapytała, a z jej ust zniknął uśmiech.

Adam wysunął żuchwę i sparował:

– Mówiłem, żadnych pytań, czyż nie?

Podniosła się z krzesła i położyła na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie.

– To niesprawiedliwe...

– Czy mama mówiła coś na temat ich dwudziestej piątej rocznicy ślubu tej zimy?

Brianna rozdziawiła usta ze zdziwieniem.

– Nie zdawałam sobie sprawy... – Popatrzyła na niego uważnie. – Ty teraz skończysz dwadzieścia pięć lat w jesieni, prawda?

– Tak.

– W takim razie, to musiała być ich dwudziesta szósta rocznica. – Przygryzła dolną wargę.

Adam westchnął, nie chcąc rozwiewać złudzeń siostry.

– Pewnie masz rację. Musiały mi się pomieszać daty.

Brianna zamyśliła się wyraźnie.

– Zastanawiam się, dlaczego nikt nie wspomniał nic o tym w zeszłym roku. Dziwne...

Podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

– Bądź tak dobra i zapomnij w ogóle, że pytałem. To nieważne. Poza tym teraz powinnaś się skupić na własnym ślubie.

Wybieg podziałął i jej twarz od razu się rozpogodziła.

– Nie mogę uwierzyć, że to już. W końcu zostanę panią Whelan.

W jego sercu zakiełkowała czułość wobec siostry.

– Musisz go bardzo kochać, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak, Adamie. Gil jest dobry, troskliwy i taki życzliwy. Zobaczysz, gdy tylko dasz mu szansę.

Adam przełknął wzbierającą w nim gorycz i zmusił się, by skinąć głową.

– Dla twojego dobra, Bree, postaram się zrobić, co mogę.

Gabe stał w pokoju na poddaszu w domu Rylana i przyglądał się swojemu odbiciu w okazałym lustrze. Musiał się pochylić, żeby zobaczyć włosy na czubku głowy, wysmarowane pomadą, co do której Rylan uparł się, że każdy elegancki dżentelmen w Nowym Jorku powinien ją mieć. Gabe usiłował poprawić muszkę, ale w końcu poddał się, stwierdzając, że nie da się jej bardziej wyprostować.

Odwrócił się, by zabrać portfel ze stolika nocnego i zwrócił uwagę na leżący obok list. Z ciężkim sercem podniósł kopertę, a ciężar zapisanych w środku słów wzmógł jego niepokój. Mama pisała mu o wciąż rosnących niepokojach w kraju i o tym, że martwi się, iż jeśli sprawy się pogorszą, może dojść do wojny domowej i jego dwóch starszych braci będzie walczyć. Co się stanie z matką, gdy Tommy i Paddy wyjadą? W czasie, gdy Gabe dobrze się bawił i zastanawiał się nad przedłużeniem swojego pobytu w Ameryce, sytuacja w ojczyźnie wymagała jego obecności.

Gabe skarcił się w myślach za to, że dał się uwieść łatwemu życiu w Ameryce. Praca w straży pożarnej i piękna Aurora zupełnie odciągnęły jego myśli od ciężkiej doli krajan. Jak mógł zapomnieć o konflikcie, który rozgorzał w jego ojczyźnie? Od teraz będzie to miał przede wszystkim na uwadze... to i swoje pragnienie, by jak najszybciej wrócić do kraju.

Westchnął i wetknął kopertę pod poduszkę. Na razie odsunie od siebie zmartwienia i postara się miło spędzić wieczór w towarzystwie Aurory i jej rodziny.

Gabe zszedł na parter i skierował się do kuchni.

Colleen odwróciła się od kuchenki, za którą stała i zawołała:

– Ojejku, ależ jesteś przystojny. Garnitur Rylana leży na tobie idealnie.

Gabe skinął nieznacznie głową.

– Takie wyrzeczenie, którego mogę się podjąć, by gościć w słynnym hotelu Vanderbilt. – *Oraz by zaimponować pięknej Aurorze.* Sama myśl o tym, że miał zjeść wykwintny posiłek z nią tak, jakby to była randka, sprawiła, że serce zabiło mu szybciej.

Colleen odłożyła drewnianą łyżkę na płycie kuchennej i otarła ręce o fartuch.

– Jak myślisz, dlaczego pan Hastings zaprosił cię na kolację?

– Zapewne po to, by podziękować mi, że pomogłem uratować jego... dom od pożaru. – Lepiej trzymać Aurorę z dala od rozmowy. Nie było sensu dawać bratowej pożywki na zbyt wybujałą wyobraźnię.

– Ale dlaczego ciebie? Dlaczego nie komendanta Witherspoona albo innych strażaków?

Gabe zakołysał się w tył i w przód w pożyczonych od brata butach, które uwierały go w palce.

– Moja droga, to on ci nic nie powiedział? – Rylan wkroczył do kuchni z Delią na ramionach. – Gabe uratował Aurorę z jej pokoju. Nic dziwnego, że ojciec chce mu podziękować.

Rylan postawił Delię na ziemi.

– Biegnij się umyć do kolacji, kochanie.

Gabe szarpnął za muszkę, czując się skrępowany pod uważnym wzrokiem Colleen. Nagle z koszyka ustawionego na kuchennym stole dobyło się kwilenie i Colleen szybko ruszyła, by wziąć dziecko na ręce. Gabe jeszcze nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy, słysząc płacz niemowlaka.

– Cóż, chyba już powinienem iść. Nie chciałbym się spóźnić.

– Na Boga, nie! Co by sobie wtedy o tobie pomyślała Aurora? – Śmiech Colleen towarzyszył mu, gdy wychodził na zewnątrz.

Nim zdążył dotrzeć przed imponujące wejście hotelu Vanderbilt, gdzie zamożni goście mijali go, wchodząc przez masywne drzwi, Gabe był już kłębkim nerwów. Co on wyprawiał, udając, że pasuje do takich luksusów? Pochodził z małej wioski, gdzie większość jego znajomych żyło w chatach krytych strzechą, hodowało owce i po obiedzie spotykało się w pubie na piwie.

Gabe wyprostował plecy i starając się wykrzesać możliwie najwięcej pewności siebie, wszedł do hotelowego holu, który wprawił go w osłupienie zdobieniami i wystrojem. Błyszczące marmury i kryształy odbijały światło dookoła niego. Mężczyźni i kobiety siedzieli na eleganckich kanapach lub przechadzali się szerokimi korytarzami. Gabe otrząsnął się z oniemiaenia i postanowił odszukać jadalnię.

Maître d'hôtel uniósł głowę na widok Gabe'a i zapytał:

– W czym mogę pomóc, sir?

– Jestem umówiony na kolację z państwem Hastings.

– Doskonale. Proszę za mną – odparł mężczyzna, przechyliwszy głowę.

Mając świadomość, że wszystkie oczy w pomieszczeniu są skierowane na niego, Gabe musiał się powstrzymać, żeby na nowo nie zacząć poprawiać muszki. Kluczyli przez labirynt stolików, aż w końcu kelner zatrzymał się.

– To tutaj, sir – oznajmił.

– Dziękuję. – Gabe zastanawiał się, czy powinien dać mu napiwek, ale ponieważ nie miał przy sobie drobnych, skupił się na osobach siedzących przy stole.

Pan Hastings, niewysoki, korpulentny mężczyzna z podkreconymi do góry wąsami, wyglądający dokładnie tak jak na portrecie w remizie, podniósł się i uściśnął dłoń Gabe'a.

– Panie Montgomery... Cieszę się, że udało się panu do nas dołączyć.

– Dziękuję za zaproszenie, sir. – Gabe odwzajemnił uścisk, powstrzymując chęć zerknięcia na Aurorę, która razem z matką podeszła w jego stronę.

– Proszę pozwolić, że przedstawię moją żonę, Dorothy.

Gabe skłonił się nad dłonią starszej kobiety. Była piękna jak na swój wiek, o zadbanych brązowych włosach zaczesanych do tyłu i połyskujących niebieskich oczach. Teraz już wiedział, po kim Aurora odziedziczyła urodę.

– A moją córkę już pan poznał.

Promienny uśmiech Aurory wypełnił pomieszczenie. Była tak piękna jak z obrazka w swojej żółtej sukni, z misternie upiętymi blond lokami.

– Wspaniale panią widzieć, panno Hastings. Obie panie wyglądacie cudownie.

Pani Hastings zaśmiała się nerwowo jak nastolatka.

– Oj, oj... Cóż za uroczy akcent.

Kątem oka Gabe dostrzegł irytację na twarzy pana Hastingsa.

Matka Aurory położyła mu rękę na ramieniu.

– Tak się cieszę, że w końcu mogę pana poznać osobiście, panie Montgomery. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się martwiliśmy o naszą córkę, gdy dotarła do nas informacja o pożarze.

Gabe za wszelką cenę nie chciał pokazać po sobie napływającego na jego policzki gorąca.

– Dziękuję, pani Hastings. Cieszę się, że mogłem tam być i pomóc.

Zajęli miejsca przy stole i od razu pojawił się kelner, jakby stał za rogiem, patrząc tylko, kiedy ma nadejść.

– Proszę pozwolić, że ja wybiorę coś dla pana, młody człowieku. Z pewnością nie jest pan przyzwyczajony do takich restauracji w pańskiej ojczyźnie.

Gabe wstrzymywał się z odpowiedzią, aż pan Hastings obdarzył go wymownym spojrzeniem.

– Polegam na pańskim wyborze, sir.

– Mają tu bardzo dobrą kaczkę. Kucharz wspaniale ją przyrządza.

Chociaż Gabe wolałby gruby kawał steka, nie odrzucił propozycji gospodarza.

Gdy już złożono zamówienia, pani Hastings wyraźnie starała się pokierować rozmową, zadając Gabe'owi mnóstwo pytań na temat życia w Irlandii. Z każdą odpowiedzią Gabe miał nieodparte wrażenie, patrząc po grymasie malującym się na twarzy pana Hastingsa, że jego odpowiedzi nie są dobre. Dlaczego ten człowiek miałby go zapraszać, skoro wyraźnie odnosił się do niego z dezaprobatą?

Jedynie fakt, że Aurora skupiała na nim całą uwagę sprawiał, że czas kolacji był znośny. Gabe żałował, że nie siedzą tu sami we dwoje, przy osobnym stoliku.

Gdy skończyli przepyszne crème brûlée podane na deser, Arthur Hastings otarł serwetką wąsy i odkaslnął.

– Zatem powiedz, Gabrieliu, kiedy wracasz do Irlandii?

Było wyraźnie czuć, że mężczyzna najchętniej odesłałby go za ocean najbliższym odpływającym z portu statkiem. Gabe zauważył, że Aurora nagle pobladła. Starał się ją pocieszyć, kierując w jej stronę uśmiech.

– Razem z moją siostrą Maggie zamierzamy spędzić tutaj całe lato. Mamy wykupiony bilet na powrót pod koniec sierpnia.

Twarz pana Hastingsa przybrała wyraz niechęci.

– Cóż za szczęście, że wasza rodzina mogła sobie pozwolić na tak długi wyjazd. Jestem też zaskoczony, że twój pracodawca zgodził się zachować dla ciebie posadę.

Gabe odstawił filiżankę herbaty z głośnym brzękiem.

– Myślę, że to zaleta życia w miasteczku, gdzie wszyscy się znają. Pan Connors to nie tylko mój pracodawca, ale też mój przyjaciel. Z radością przyjmie mnie do pracy po moim powrocie.

Zapadła krępująca cisza.

– Taka społeczność to musi być wspaniała sprawa – oznajmiła trochę zbyt radośnie Aurora. – Mamy podobne odczucia wśród bliskich sąsiadów na Long Island, gdzie spędzamy lato.

Gabe uśmiechnął się znowu, by dać jej znać, że jest wdzięczny za to, że próbuje poprawić nastrój.

– Rzeczywiście widziałem to podczas tamtego wieczoru na przyjęciu u O’Learych. Choć muszę przyznać, że nasze domy w Irlandii dalekie są od majestatu Irlandzkich Łąk.

– Raczej jak chatki, nieprawdaż? – zapytał pan Hastings wyraźnie protekcyjnym tonem.

Ręka Gabe’a zacisnęła się na widelczyku, podczas gdy on starał się bardzo powstrzymać sarkastyczną ripostę. Aurora pochyliła się nad stołem, przesywając wzrokiem ojca, a potem spojrzawszy na Gabe’a, rzekła:

– Z pewnością u was w kraju jest pięknie.

– O, tak – włączyła się pani Hastings. – Słyszałam, że widoki zapierają dech w piersiach. Mam nadzieję, że kiedyś będzie mi dane wybrać się w podróż do Irlandii, gdy Arthur już przejdzie na emeryturę. – Zaśmiała się, jakby nie oczekiwała nawet, że kiedyś może nadejść taki dzień.

– Wątpię, żebyś zdołała namówić tatę na wejście na pokład statku i przepłynięcie przez ocean, mamu. Nie po tym, co się stało z Titanikiem.

– Tu akurat masz rację, córciu. – Pan Hastings odsunął się od stołu i wstał. – Na mnie chyba już czas. – Odwrócił się i wyciągnął rękę. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko, co pan zrobił dla mojej córki podczas pożaru, panie Montgomery. Życzę miłego pobytu i bezpiecznego powrotu do Irlandii.

Czy Gabe’owi przywidziało się, czy rzeczywiście w tym silnym uścisku i poważnym zachowaniu

kryła się ukryta pogroźka? Po co ten człowiek miał mu stawiać kolację i dziękować za służbę, skoro jego osoba najwyraźniej budziła odrazę bankiera?

Gabe spał się nagle. Czyżby ojciec Aurory zauważał podziw, jakim on darzył jego córkę? Być może prawdziwym powodem kryjącym się za tym zaproszeniem było przekazać mu jasno, że panna Hastings była poza jego zasięgiem.

Gabe wziął kapelusz z wolnego siedzenia obok i skłonił się przed panią Hastings i Aurorą.

– Życzę paniom dobrego wieczoru. Dziękuję za miłe towarzystwo.

Pan Hastings klepnął dłonią w plecy Gabe'a.

– Odprowadzę pana do wyjścia. Dorothy, Auroro, zobaczymy się zaraz na górze.

Gabe przełknął ciężko, marząc już o tym, żeby rozwiązać krępującą go muszkę. Zanim wyszedł za panem Hastingsem z jadalni, obdarzył jeszcze Aurorę ostatnim spojrzeniem i dojrzał w jej wzroku przygnębienie. Nie chcąc zostawiać jej w takim stanie, puścił do niej oko i z radością dostrzegł, że jej usta drgnęły, a na jej policzki wystąpił ujmujący rumieniec.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, panno Hastings.

– Ja także, panie Montgomery. – Zmarszczka wyrażająca zmartwienie wciąż przecinała jej czoło ponad lekko zadartym nosem.

Choć nie miał ochoty, zmusił się do opuszczenia pomieszczenia. Dostrzegł, że pan Hastings czeka w holu i podszedł do niego ostrożnie, sam nie wiedząc, czego powinien się spodziewać.

– Jeszcze raz dziękuję panu, sir, za ten wieczór, który na długo pozostanie w mojej pamięci.

Mężczyzna nawet się nie uśmiechnął.

– Tak, żeby wszystko było jasne, panie Montgomery... Spodziewam się, że to ostatni raz, kiedy ma pan kontakt z moją córką. Jakkolwiek doceniam pańską... troskę... o jej dobro, jestem przekonany, że rozumie pan, że wszelka znajomość pomiędzy wami nie jest stosowna.

Serce Gabe'a przepelniło oburzenie.

– Cóż jest w tym takiego niestosownego?

Mężczyzna uniósł brew, najwyraźniej zdziwiony sprzeciwem Gabe'a.

– Nie widzę najmniejszego sensu w nawiązywaniu jakichkolwiek relacji, skoro żyje pan po drugiej stronie globu. Poza tym zamierzam ogłosić zaręczyny Aurory z odpowiednim kandydatem do końca lata.

Płomień gniewu jeszcze bardziej palił Gabe'a. Jedynie dzięki wyjątkowej zdolności samokontroli udało mu się utrzymać język za zębami. W końcu ten człowiek był ojcem Aurory i Gabe nie mógł dodawać jej zmartwień.

– Postawił pan sprawę wystarczająco jasno. – Gabe nasunął melonik na głowę i poprawił go. – Nie będę szukał towarzystwa Aurory, jeśli jednak napotkam ją ponownie podczas tego pobytu, nie zamierzam jej ignorować. – Uchylił kapelusza i dorzucił: – Dobrej nocy.

Wyszedł głównym wyjściem, zanim pan Hastings zdołał coś jeszcze powiedzieć. Gdy był już na zewnątrz, natychmiast zerwał muszkę i wetknął ten uciążliwy kawałek materiału do kieszeni. Chłodne wieczorne powietrze owionęło go, gdy odchodził, z każdym krokiem przeżywając burzącą się w nim frustrację. Kiedy przypadkiem zerknął w jedną z mijanych witryn, dostrzegł w niej odbicie osoby, którą był ledwie w stanie rozpoznać. Ten wypacykowany mężczyzna w szybie to nie był on. Jęknąwszy, rozburzył dłonią sztywne włosy, tak że pojedyncze pasemka opadły mu na czoło. Cóż to była za farsa! Wystrojony jak lalusz, udający kogoś, kim nie był... wszystko to na nic.

W pamięci stanęła mu twarz Brigidy. Dość tego! Więcej nie da się tak przerobić, tylko po to, żeby zaimponować kobiecie. Nie warto.

Tego właśnie potrzebował, by nakierować się na odpowiedni cel. Nie mógł sobie pozwolić, żeby jakaś przelotna sympatia go rozpraszała.

Jego ojczyzna, jego rodzina potrzebowały go dużo bardziej.

Aurora przechadzała się tam i z powrotem po pluszowym dywanie w hotelowym apartamencie, czując, jak rozpala ją gniew. Jeszcze nigdy nie czuła się bardziej upokorzona takim ordynarnym zachowaniem własnego ojca. Ton jego głosu przez cały wieczór pełen był protekcjonalności. Z pewnością Gabe także musiał to zauważyć.

Aurora zatrzymała się koło okna i odsunęła na boki zasłonę, wytężając wzrok, by dojrzeć Gabe'a wracającego do domu. W ciemności jednak nie była w stanie odróżnić mijających się na ulicy postaci. Westchnąwszy, zasunęła z powrotem kotary. Co takiego mogło zatrzymać tatę? Czyżby wstąpił do salonu dla mężczyzn na brandy? To było całkiem możliwe.

Trudno, poczeka tak długo, jak będzie trzeba. Dzięki Bogu, mama stwierdziła, że jest zmęczona i udała się prosto do łóżka. Aurora chciała porozmawiać z tatą sama, bez nieustających zabiegów matki, by utrzymać spokój.

Drzwi do apartamentu otworzyły się i do środka wszedł ojciec. Zdjął kapelusz i odłożył ozdobną laskę na stojaku koło drzwi.

– Auroro, myślałem, że już się położyłaś.

Podeszła do niego, wcale nie hamując gniewu.

– Chciałam z tobą porozmawiać, tato.

Obciągnął kamizelkę i przeszedł przez pokój do małego stolika koło kominka, skąd podniósł swoją ulubioną fajkę.

– O czym?

Założyła ręce na piersi.

– O tym, jak niegrzecznie potraktowałeś Gabe’a.

– W jaki sposób byłem niegrzeczny dla pana Montgomery’ego? – Zapalił zapałkę i przyłożył płomień do fajki.

– Bardzo dobrze wiesz. Twoja protekcyjność była upokarzająca... dla Gabe’a i dla mnie. Po co zapraszałeś go na kolację z nami, żeby potem traktować go jak wieśniaka?

Podniósł na nią oczy i spojrzał bez najmniejszej skruchy.

– Właśnie po to. Na wypadek gdyby ten fircyk cokolwiek sobie zaczynał wyobrażać, jeśli chodzi o ciebie. Czulem, że to mój obowiązek jako ojca, żeby uświadomić mu, gdzie jego miejsce.

Spodziewała się, że będzie zaprzeczał, zapewniał, że nie zrobił nic złego. Ale gdy przyznał się bez ogródek do tak haniebnej intrygi, Aurorze odebrało mowę. Tata wypuścił kłęb dymu.

– A na wypadek gdyby moje subtelne wskazówki nie padły na podatny grunt, podczas gdy opuszczał hotel, upewniłem się jeszcze, że pan Montgomery dokładnie mnie zrozumiał.

Zwinęła dłonie w pięści.

– Co ty mu powiedziałaś?

– To, co zamierzam powiedzieć też tobie. Nie wolno ci się kontaktować z tym młodym człowiekiem. On jest poza twoim zasięgiem.

Ze ściśniętego gardła Aurory dobył się pisk protestu.

– Aby mieć pewność, że to do niego dotrze, zakomunikowałem mu, że pod koniec lata zamierzam ogłosić twoje zaręczyny. – Tata wyciągnął fajkę i zacisnął usta. – Co za dużo, to niezdrowo, Auroro. Zmarnowałaś już ostatnie trzy lata życia. Przyszedł wreszcie czas, żebyś dojrzała i wybrała odpowiedniego męża. Jeśli ty tego nie potrafisz zrobić, ja z pewnością sobie poradzę.

Usiadł na sofie i otworzył gazetę, tym samym zupełnie ją ignorując.

Aurora stała, a w piersi palił ją gniew. Chciałaby móc rzucić się, wykrzyknąć oburzenie, tak żeby ojciec w końcu musiał posłuchać. Ale nie było sensu spierać się z tatą, kiedy był tak zaciętrzewiony. Dlatego też wycofała się po prostu do swojej sypialni i rzuciła na łóżko, zastanawiając się, co powinna dalej czynić.

Następnego dnia porozmawia z doktorem Reardonem i podejmie kolejne kroki w celu zapisania się do szkoły pielęgniarskiej. A przy najbliższej nadarzającej się okazji, podzieli się tą nowiną z ojcem.



Światło księżyca oświetlało drogę Maggie, gdy schodziła na parter uśpionego domu i do pustej kuchni. Nie chcąc rozświetlać całego pokoju, zapaliła pojedynczą świecę i ustawiła obok kuchenki.

Nie miała pojęcia, która jest godzina. Wiedziała tylko, że przewracała się z boku na bok już od wielu godzin. Myśli o Neillu prześladowały ją od czasu ich spotkania w parku i doszła do niezbyt

pocieszającego wniosku, że skoro Neill nie wykazuje chęci powrotu do Irlandii, ona nie może już dłużej ukrywać tego przed braćmi. Jutro, gdy będą wszyscy razem, powie im.

Zegar w salonie wybił pełną godzinę. Maggie liczyła uderzenia i była zdziwiona, że to dopiero jedenasta. Wzięła butelkę mleka z lodówki i nalała trochę do rondelka, stawiając go na kuchni, żeby podgrzać. Może ciepłe mleko pomoże jej zasnąć przed północą.

Otworzyły się drzwi wejściowe i zaraz potem w kuchni pojawił się Gabe.

– Maggie? – Wydawał się zaskoczony, że widzi ją jeszcze na nogach.

– To musiała być niezła kolacja, że tak późno wracasz do domu.

Gabe wcale się nie uśmiechnął, tylko zmarszczył brwi.

– Spacerowałem parę godzin. I w ogóle mi to nie pomogło się uspokoić.

Maggie dostrzegła teraz jego rozmierzwione włosy oraz rozchełstany ubiór i w jej sercu zakiełkował niepokój. Uniosła garnek z ognia.

– Nie podobał ci się wieczór spędzony z rodziną Hastingsów?

Gabe przesunął dłonią przez rozburzone włosy.

– Niezbyt... nie.

Rylan powiedział jej, że pan Hastings pragnął podziękować Gabe'owi za uratowanie swojej córki. Cóż zatem mogło pójść nie tak? Maggie wyjęła dwa kubki i podzieliła ciepłe mleko między nich.

– Czyżby hotel Vanderbilt nie spełnił twoich oczekiwań?

Gabe opadł na jedno z kuchennych krzesel.

– Hotel jest piękny.

– Czy zatem panna Hastings nie była wdzięczna za twoje bohaterstwo? – Ponownie jej próba rozweselenia Gabe'a poszła na marne.

Posłał jej pełne zaciekłości spojrzenie.

– Aurora była wspaniała. Jej ojciec, tymczasem, okazał się pompatycznym odyńcem. – Wziął kubek i wypił zawartość jednym haustem.

Maggie usiadła i czekała, aż jej brat wyjaśni coś więcej.

– Okazuje się, że głównym powodem, dla którego pan Hastings zaprosił mnie na kolację, było popisanie się swoim bogactwem i próba odstraszenia mnie od jego córki. – Odstawił kubek z hukiem na stół.

Maggie łyknęła powoli ciepłego mleka i zapytała:

– Przecież jesteś tu tylko na okres wakacji. Dlaczego miałby się tym martwić? – Rumieniec pokrył oblicze Gabe’a. – Przecież nie byłbyś taki głupi, żeby zaczynać coś z nią, prawda? – Jej wiarołomna myśl skierowała się od razu do Adama. Wygląda na to, że powinna sama skorzystać ze swoich dobrych rad.

– A niby po co, skoro wyjeżdżamy? – zapytał, a jego szczeka drgnęła nerwowo. – Po prostu bardzo nie podobało mi się to, jak mnie potraktował. Gorzej, niż jakbym był jakimś służącym.

Siostra położyła mu rękę na ramieniu.

– Cóż, ja zaś tymczasem wiem, jakim wartościowym człowiekiem jesteś. Wyświadczyłeś tej rodzinie wielką przysługę. I na tym koniec.

Uporczywy wzrok Gabe’a przeniósł się na ścianę za jej plecami. Maggie wiedziała, że to *nie* koniec. Ani trochę.

Tak jak to nie był koniec z Neillem. Dlaczego sercowe sprawy muszą być tak skomplikowane?

Przez chwilę Maggie zastanawiała się, czy zwierzyć się teraz Gabe’owi ze swoich zmartwień, ale patrząc na jego ponurą minę, stwierdziła, że to nie najlepszy czas. Lepiej rozmawiać z braćmi, kiedy są w dobrym humorze.

Jak będzie miała szczęście, to może uda jej się powiedzieć im jutro... zanim Neill będzie miał kolejną okazję ją nachodzić.

O co znów chodziło z nim i tymi przybłędami?

– Najpierw dziecko, teraz pies. – Adam kopnął kamień na drodze, kiedy szedł w stronę domu dziecka Świętej Rity. Jakby nie był wystarczająco podenerwowany, kundel snuł się za nim, odkąd mężczyzna wyszedł z kościoła Johna. I choć wielokrotnie próbował go odgonić, pies płątał mu się gdzieś za plecami, zachowując na tyle dystansu, żeby człowiek nie mógł mu nic zrobić.

Kiedy Adam skręcił w boczną uliczkę, przy której mieścił się sierociniec, głupi zwierzak sunął dalej za nim. Adam podrapał się po brodzie i zajrzał przez tylną bramę, czy w pobliżu nie było żadnych dzieci.

– Coś mi się wydaje, że nie powinienem się na tobie wyżywać z powodu mojego paskudnego nastroju. Poczekaj tu minutkę, to zobaczę, czy pani Norton ma jakieś resztki dla ciebie, ale potem będziesz musiał sobie stąd iść.

Paskudnie nawet w połowie nie opisywało tego, jak Adam czuł się od paru minionych dni. Nakrzyczał na Maggie, żeby go zostawiła w spokoju, a ona patrzyła na niego oczami jeszcze smutniejszymi niż ten kundel. Wiedział, że zranił jej uczucia, ale na dłuższą metę, to i tak dla jej dobra. Wszelkiego rodzaju znajomość z nim mogła prowadzić tylko do porażki, a on nie chciał zrobić nic, co mogłoby ją krzywdzić.

Rozmowa, którą przeprowadził z Johnem McNabbem przed wyjściem rano, jeszcze bardziej popsowała mu humor, przesłaniając wszystko ciemnymi, wiszącymi nad nim chmurami. Adam źle zrobił, że powiedział Johnowi, czego dowiedział się na temat małżeństwa swoich rodziców i o swoim głębokim przekonaniu, że James nie był faktycznie jego ojcem.

– Dlaczego po prostu nie zapytasz rodziców? – zasugerował delikatnie John. – To chyba lepiej niż tak spekulować.

I choć wcale nie cieszyła go taka perspektywa, Adam musiał się zgodzić.

– Być może masz rację. Nigdy nie uzyskam spokoju, jeśli w jakiś sposób nie dowiem się prawdy. Ale będę musiał się zastanowić, jak najlepiej to zrobić. – Nie mógł po prostu wtargnąć do Irlandzkich Łąk, rzucając oskarżenia. To tylko jeszcze bardziej oddaliłoby go od rodziny. Potrzebował logicznego planu działania.

Głośnie wycie ściągnęło go z powrotem na ziemię, do czekającego u jego stóp psa.

– Jasne, resztki. Zostań tu.

Wszedł tylnymi schodami prowadzącymi do kuchni. Choć pani Norton nie znosiła nawet widoku Adama, miał nadzieję, że ulituje się nad biednym psem i da mu coś do jedzenia.

Kiedy wszedł do pomieszczenia, z czapką w dłoniach, gotów już, by ukorzyć się, jeśli tylko będzie taka potrzeba, od zlewu odwróciła się młoda kobieta, a na jej okrągłej, prostej twarzy malował się miły uśmiech. Do jego nozdrzy docierał kuszący zapach pieczonego chleba i mimo że zjadł przyzwoite śniadanie, zaburczało mu w brzuchu.

– Dzień dobry. Czy jest tu gdzieś pani Norton?

– Niestety, wyszła po sprawunki. Może mogę jakoś pomóc?

– Mam na imię Adam, zajmuję się utrzymaniem budynku na zewnątrz i...

– Wiem, kim jesteś. – Dziewczyna puściła mu oko. – Jestem Mary, nowa pomoc kuchenna.

Adam przełknął.

– Miło cię poznać, Mary. – Najwyraźniej nikt nie poinformował jej o jego przeszłości. – Czy są może przypadkiem w kuchni jakieś resztki albo kości, których już nie będziesz potrzebować? Z tyłu jest pies przybłąda, który jest głodny.

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Na pewno coś mamy. Zaraz sprawdzę.

– Poczekam na zewnątrz. – Adam wyszedł szybko, na wypadek gdyby w pobliżu zjawili się Rylan albo Maggie. Poszedł do małej szopy na podwórku i wyjął wiadro oraz worek cementu. Korzystając z nieobecności dzieci, będzie mógł naprawić spękania na frontowych schodach. Wyliniały kundel nie odstępował go na krok.

Wkrótce otworzyły się drzwi na zapleczu i Mary pomachała do niego.

– Dałam mu tu trochę do miski.

Adam przeszedł przez podwórko i wziął od niej naczynie.

– Dziękuję ci, Mary. Mam nadzieję, że nie będziesz miała przez to problemów u pani Norton. – Starał się miło uśmiechnąć, ale usta odmawiały mu posłuszeństwa.

– Och, nie. Pani Norton nie będzie miała nic przeciwko. Tylko przynieś mi z powrotem miskę, jak zje.

W ciągu paru sekund pies wymiół wszystkie resztki, a gdy skończył, Adam napelnił miskę wodą i pozwolił mu się napić.

– Wiesz, jakbyś się wykąpał, może nawet nie wyglądałbyś tak źle. – Adam siłą rzeczy przypomniał sobie ten dzień, gdy wyszedł z więzienia i to, jak dużo lepiej poczuł się po prostej toalecie.

Wziął metalowe wiadro z szopy i oddał miskę do kuchni, ciesząc się w duchu, że nie było tam akurat wtedy Mary. Napelnił wiadro wodą, wziął kostkę ługu i czystą szmatę, a potem wyszedł z powrotem na zewnątrz. Dopiero wtedy pomyślał, że pies mógł zniknąć, gdy już miał pełen brzuch, ale kundel znalazł sobie miejsce w cieniu i tam leżał. Nie poruszył się nawet, kiedy Adam podszedł z wodą. Zwierzę ze stoickim spokojem znosiło zimną kąpiel i szorowanie ługiem. W chwili, gdy Adam gratulował sobie wykonania porządnej roboty i zabrał się do splukiwania psa wodą, ten nagle zaczął protestować. Wyrwał się, wywracając wiadro i oblewając buty Adama pozostałą wodą.

– Na wszystkich świętych – wyburczał Adam, schylając się, żeby poprawić wiadro.

Kundel skoczył z powrotem, otrzepując nadmiar wody z futra. Tym prysznicem zmoczył całkowicie twarz Adama, który charcząc, ocierał wodę spływającą z oczu i brody. Krzyknął na zwierzaka stojącego teraz z wywieszonym językiem, jakby uśmiechał się do Adama.

Za nimi rozległ się zdecydowanie kobiecy chichot.

– Ciekawe, kto tu komu robi prysznic.

Adam stanął na baczność, słysząc głos, który mógłby poznać wszędzie. Obejrzał się i zobaczył rozbawienie błyskające w szarych oczach Maggie. Rumieniec zażenowania palił go na karku i chwycił szybko szmatę, którą przygotował dla psa, a następnie wytarł nią własną twarz. Ciemne mokre plamy znaczyły jego koszulę i spodnie. Nagle z żalem zapragnął mieć na sobie swoją dawną garderobę... wytworne garnitury i koszule, jedwabne krawaty i wypolerowane na błysk buty. Może wówczas mógłby dumnie trzymać wysoko głowę, będąc w towarzystwie tej pięknej kobiety.

– Czyj to pies? – Najwyraźniej nie zauważając nawet mokrego futra, Maggie głaskała kundla po łbie. Marnie wyglądający ogon wybijał szczęśliwy rytm na trawie.

– To przybłęda.

– To dlaczego ty kąpiesz przybłędę? Nie masz nic lepszego do roboty? – Maggie z zuchwałym uśmiechem wyjęła ręcznik z dłoni Adama i schyliła się, żeby wytrzeć sierść psa.

Ciepło ponownie pokryło jego kark. Skierował wzrok na to kłopotliwe stworzenie, które siedziało teraz, niczym wzór potulności, rozkoszując się pieszczotami Maggie.

– Ojej, ale on piękny – powiedziała. – Popatrz, jaką ma śliczną, kasztanową sierść.

Adam mało co nie jęknął, ze wstydem uświadamiając sobie, że już prawie stał się zazdrosny o bezdomnego zwierzaka.

– Jak on się tu dostał? Bo przecież nie wspiął się przez bramkę. – Maggie wyprostowała się, odgarniając włosy z twarzy.

Adam patrzył się na jej długie, ciemne pukle. Jakby to musiało być, gdyby mógł zanurzyć palce w tych lokach? Z trudem oderwał wzrok i spojrzał z powrotem na psa, który rzeczywiście wyglądał teraz dużo lepiej.

– Przyszedł tu za mną. Wydawał się głodny... – Adam przerwał, uświadamiając sobie, jak głupio to musi brzmieć.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

– Och, więc nakarmiłeś i umyłś go? Świetny sposób, żeby się go pozbyć.

Wzruszył ramionami.

– Co ja mogę powiedzieć? Zrobiło mi się go żal.

Jej dłoń znieruchomiała zanurzona w psim futrze.

– To tylko dowodzi, że miałam rację, Adamie O’Leary. Jesteś dobrym człowiekiem o wielkim sercu.

Nie wiedział, co powiedzieć i tylko wpatrywał się w jej oczy – tak szczere i jasne, odbijające piękno jej duszy. Ona przekrzywiła głowę na bok i przypatrywała mu się uważnie.

– Myślę, że pies dobrze ci zrobi.

Wyprostował się i jęknął.

– Nie potrzebuję psa. Nie mam dla niego miejsca tam, gdzie mieszkam. – Patrzył jej w oczy. – Czyli w mojej klitce w podziemiach kościoła. – Powinna wiedzieć, jakiego rodzaju życie prowadził.

Maggie wygładziła suknię.

– Cóż, Delia bardzo chciała pieska. Może uda mi się dziś porozmawiać z Rylanem i dowiem się, co on sądzi na ten temat.

– Ten pies mógłby być dobrym stróżem w sierocińcu. – Adam zmarszczył czoło. – Co przypomniało mi... być może będziesz chciała powiedzieć Rylanowi, iż zauważyłem dziwnego mężczyznę, który kręci się tu o różnych porach dnia.

Maggie zadrżała i otuliła się ciasniej szalem, a w jej oczach nagle pojawił się niepokój.

– Kiedy?

– Raz w zeszłym tygodniu z samego rana, innym razem później w ciągu dnia. A co?

Wzruszyła ramionami, ale unikała patrzenia mu w oczy.

– Możliwe, że też go widziałam.

W Adamie odezwał się głośno instynkt opiekuńczy.

– Maggie, musisz zwracać uwagę, żeby nie wychodzić sama. Miasto może być bardzo niebezpieczne.

Uniosła podbródek.

– Dam sobie radę. A teraz, wybacz... Muszę dać znać Rylanowi, że wróciłam ze spaceru. – Poklepała jeszcze raz psa po grzbiecie. – Bądź zdrow, Adamie.

– Ty też, Maggie. – Stał, patrząc za nią, aż nie zniknęła mu całkiem z oczu.

Chwilę później dotknięcie mokrego psiego nosa na ręce przywróciło go do rzeczywistości. Odetchnął nierówno. Naprawdę musiał znaleźć inne miejsce pracy... gdzieś, gdzie nie będzie codziennie myśleć o czymś, co nigdy nie miało być możliwe.

Następnego dnia, kiedy Adam wrócił, żeby skończyć naprawy, z zaskoczeniem odkrył, że pies siedzi u podnóża schodów i merda ogonem. Być może karmienie kundla to nie był najlepszy pomysł.

– I co ja mam z tobą zrobić? – sapnął z teatralnym zniecierpliwieniem i pochylił się, żeby podrapać go za uchem.

Przyjrzał się psu dokładniej. Ktoś musiał znowu rano dać mu coś do jedzenia. Oczy psa były jasne i zniknął już ten głodny wyraz. Wydawał się zadowolony, może nawet szczęśliwy.

– Dobrze, że choć jeden z nas znalazł swój dom – oświadczył, obiecując sobie, że gdy tylko zobaczy Rylana, zapyta, czy może zbudować schronienie dla zwierzęcia, gdyby okazało się, że pies zostanie na stałe w sierocińcu.

Adam zmieszał wodę i cement, żeby załatać spękania, a potem skierował się w stronę głównych schodów i kielnią zaczął nakładać warstwę mieszanki. Jakiś ruch w głębi ulicy przykuł jego uwagę. Znieruchomiał, gdy poznał mężczyznę, który ostatnio kręcił się w okolicy sierocińca.

– Hej, ty tam! – zawołał Adam. – Mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna zawahał się przez chwilę, a potem zamiast wycofać się, podszedł bliżej. Jego drogi ubiór wskazywał, że nie był zwykłym przybłądą szukającym zapomogi, choć widoczna na jego policzku blizna zastanawiała nieco Adama.

– Być może. Szukam kobiety o nazwisku Maggie Montgomery.

Adam wyprostował się i poczuł dziwne ukłucie w żołądku. Słyszając charakterystyczny irlandzki akcent, zaczął zastanawiać się, czy to nie jest czasem jej kolejny brat.

– Co chciałeś od niej?

Szatyn podszedł bliżej w stronę schodów.

– A więc, znasz ją?

Stojący u boku Adama pies warknął.

– Być może. Co chciałeś od niej? – Wewnątrz Adama rozległ się sygnał ostrzegawczy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nazywam się Neill Fitzgerald. Jestem narzeczoną Maggie.

Kielnia z nałożonym betonem wysunęła się z ręki Adama i wylądowała z głośnym pacnięciem na chodniku. Z pewnością Maggie wspomniałaby, że ma narzeczonego. W zasadzie ten firecyk mógł blefować.

– Nigdy nie wspominała, że jest zaręczona.

Fitzgerald zaśmiał się tylko.

– Cała Maggie... Wiesz może, czy jest tutaj? Z tego co rozumiem, jej brat prowadzi ten sierociniec.

Mięśnie twarzy Adama spięły się. Żałował, że nie potrafi znaleźć jakiejś dobrej wymówki, by zełgać i powiedzieć, że Maggie tu nie ma. Ale przyrzekł sobie, że gdy tylko wyjdzie z więzienia, będzie żył w prawdzie. Czy mógłby teraz skłamać, powodowany jedynie niejasnym brakiem ufności, który mógł mieć więcej wspólnego z zazdrością niż jakimkolwiek racjonalnym uzasadnieniem? Westchnął i wytarł ręce w ścierkę wystającą z jego kieszeni.

– Zobaczą, czy pan Montgomery jest na miejscu. – Wskazał na schody. – Możesz tu poczekać.

Ponieważ pracownicy mieli używać tylnych drzwi, Adam obszedł sierociniec, mając nadzieję, że Rylan zrozumie, dlaczego uznał za konieczne wejście do budynku, podczas gdy w środku przebywała Maggie. Z tego, co wiedział, dzieci akurat wyszły, a siostry powinny być w kaplicy na prywatnych modlitwach.

Tak cicho, jak tylko potrafił, Adam skierował kroki do gabinetu Rylana. Zapukał raz, a gdy nie było odpowiedzi, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Pomieszczenie spowite było ciemnością. Wyglądało na to, że Rylan także gdzieś wyszedł.

Adam zawahał się. Czy powinien wpuścić tego mężczyznę, by zobaczył się z Maggie? A może powinien mu kazać przyjść innym razem? Choć wolałby poczekać i porozmawiać z Rylanem, pomyślał, że przecież Maggie ma prawo sama podejmować decyzje w takich kwestiach. Być może chciałyby się spotkać z tym człowiekiem.

Rozważał wszelkie za i przeciw, a potem w końcu z pewnym ociąganiem ruszył, by ją odnaleźć.



Maggie siedziała w świetlicy przy pianinie i kończyła właśnie grany utwór. Melodia okazała się dużo bardziej skomplikowana, niż jej się wydawało. W każdym razie ta kompozycja nie nadawała się do nauki dla dzieci. Przejrzała strony z nutami, mając nadzieję, że natrafi na jakieś prostsze dzieło.

Skrzypnięcie otwieranych drzwi ostrzegło ją o czyjejś obecności. Poczula się rozczarowana. To pewnie pan Smith chciał zmyć podłogę, korzystając z nieobecności dzieci i sióstr. Liczyła, że będzie miała więcej czasu, by poćwiczyć, zanim wszyscy wrócą.

– Jeszcze chwileczka i wychodzę. – Maggie obróciła się na siedzeniu i zamarła. Nuty wysunęły się jej z rąk i rozsypały po podłodze.

Neill przeszedł przez pokój w jej kierunku.

– Widzę, że talent cię nie opuszcza.

– Neill. – Maggie zerwała się na równe nogi, chwytając się mocno pianina. Jego promienny uśmiech nie zwiódł jej ani na minutę. – Co ty tutaj robisz?

Ponieważ nie miała od niego żadnych wiadomości od tamtego dnia, gdy była z Delią w parku, miała nadzieję, że odpuścił i wrócił do kraju. I naiwnie nie powiedziała o nim swoim braciom.

– Przyszedłem po ciebie, tak jak obiecałem. – Neill podszedł tak blisko, że mogła wyczuć zapach torfowca i słonej morskiej wody, którymi przesiąknięty był jeszcze jego płaszcz. – Najwyższy czas, żebyś wróciła już tam, gdzie twoje miejsce i została moją żoną.

Jej palce stężyły na gładkim drewnie. Ze wszystkich sił starała się normalnie oddychać.

– Zdaje się, że zapomniałeś, że nie jesteś już moim narzeczonym. – Schyliła się, by zebrać z podłogi nuty. Wszystko, byleby tylko na niego nie patrzeć.

– To nieprawda. Mieliśmy małą sprzeczkę, i tyle. A teraz czas dać sobie buziaka i już się pogodzić.

Fala mdłości podeszła jej do gardła, gdy uświadomiła sobie, w jakim odosobnieniu teraz się znajdowali. Przesunęła się bliżej drzwi.

– Przykro mi, Neill. Ale tak jak już ci to wielokrotnie powtarzałam, nie chcę wychodzić za ciebie.

Podszedł do niej, a jego oczy pełne były gniewu.

– Nie odrzucisz mnie kolejny raz.

Jej sercem ścisnął lodowaty strach, który popychał ją do ucieczki. Obróciła się na pięcie, odwracając od niego, ale w pośpiechu poślizgnęła się.

Neill chwycił ją za włosy. Maggie krzyknęła z bólu, gdy wrywając jej pukle z głowy, przysunął ją tak, że znalazła się o parę milimetrów od niego. Zionął prosto w jej twarz, a jego kwaśny oddech budził w niej odrazę.

– Możemy wziąć ślub tu, w Nowym Jorku, jeśli zajdzie taka potrzeba. A naszą podróż poślubną spędzimy podczas rejsu do kraju. – W jego oczach błysnęła bliska fanatyzmu iskra.

Przeniknęła ją panika, a rosnący strach prawie uniemożliwiał jej oddychanie. W tym momencie dopiero uświadomiła sobie pełnię obsesji, która nim powodowała.

On nigdy się nie podda. Nigdy nie zostawi jej w spokoju.

Dobry Boże, ratuj mnie!

Adam zamaszystym krokiem przemierzał główny korytarz sierocińca. Jakieś uczucie spięcia przenikało jego mięśnie z powodu nienaturalnego bezruchu, jaki panował teraz w budynku. Jeśli Maggie trzymała się rutyny, powinna teraz grać na pianinie, korzystając z nieobecności innych osób. A jednak, mimo że bardzo wyęźał słuch, nie dochodziły do niego znane mu tony.

Gdy wyszedł zza zakrętu do jego uszu dotarł jednak dźwięk podniesionych głosów. Krew zaczęła mu pulsować szybciej i w niejednostajnym rytmie. Ruszył biegiem w stronę, skąd dobiegał hałas. Bez zastanowienia wpadł do świetlicy i zamarł na widok, który tam zastał. Rozgniewany Fitzgerald trzymał Maggie wyraźnie zbyt blisko, jak w imadle ściskając jej ramię.

Rozburzone włosy kobiety opadały bezładnie na ramiona, a jej otwarte szeroko oczy skierowane były na Fitzgeralda.

Adam zwinął dłonie w pięści. Z największym wysiłkiem starał się wykorzystać umiejętność, którą nabył w więzieniu, a którą określał surową samokontrolą w celu opanowania gniewu.

– Maggie? Wszystko w porządku? – Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł, że jej drobna sylwetka drżała... może od strachu, może od gniewu, nie umiał tego określić.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i malująca się na jej twarzy ulga mówiła mu wszystko.

– Adam. – To jedno wydyszane słowo przepelniło go determinacją.

– Czy ten mężczyzna cię niepokoi?

– O, tak.

Adam wyprostował się, z zadowoleniem stwierdzając, że jest o piętnaście centymetrów wyższy od Fitzgeralda.

– Chyba lepiej, żebyś już sobie poszedł.

Przez oblicze Fitzgeralda przemknął służalczy uśmiech i zwolnił uścisk, w którym trzymał Maggie.

– To zwykle nieporozumienie. Moja narzeczona po prostu była zaskoczona moim niespodziewanym zjawieniem się, prawda, kochanie?

Maggie odsunęła się od niego.

– Nie jesteś moim narzeczonym ani nikim dla mnie.

Kiedy Fitzgerald wykonał groźny zwrot w jej kierunku, Adam zagroził mu drogę.

– Daję ci pięć sekund na odejście albo będę zmuszony odprowadzić cię do wyjścia.

Fitzgerald nadal nie ruszał się, a cała jego uwaga skupiona była na Maggie.

– Nie zamierzam się poddać, Maggie. Wkrótce zostaniesz moją żoną.

Adamowi zaczynało już brakować cierpliwości, więc chwycił Fitzgeralda za ramię, a potem wyprowadził rzucającego się mężczyznę na korytarz i na zewnątrz. Dopiero, gdy zeszli po frontowych schodach, Adam zwolnił uścisk. Zmierzył Fitzgeralda piorunującym wzrokiem.

– Jeśli zobaczę cię tu gdzieś w okolicy albo gdziekolwiek w pobliżu Maggie, przepłyniesz ocean, ale w drewnianej jesionce. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

W stalowym spojrzeniu mężczyzny rozgorzała czysta nienawiść.

– Jeszcze zobaczymy. – Zapiął guziki marynarki i poprawił kapelusz, a potem odmaszerował ulicą.

Adam patrzył za nim, aż zniknął w bocznej drodze, a potem stał jeszcze chwilę, dopóki upewnił się, że mężczyzna nie wróci. Następnie wszedł do środka, żeby sprawdzić, czy Maggie nic się nie stało.

Zastał ją przy pianinie, gdzie siedziała przygarbiona z włosami rozburzonymi wokół twarzy, a całe jej ciało drżało. Niepokój wstrząsnął Adamem.

– Czy on ci zrobił krzywdę?

Jej głowa drgnęła i uniosła się ze zduszonym krzykiem, sprawiając, że znów poczuł się winny, że ją zaskoczył. Zanim zdołał rzec cokolwiek, ona rzuciła się mu w ramiona. Złapał ją i przytulił do siebie. Jej oddech był szybki i urywany, a jej przyspieszone bicie serca przenikało łomotem przez jego wełnianą marynarkę. W sercu poczuł przypływ instynktu opiekuńczego. Zrobiłby wszystko, co tylko byłoby konieczne, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Już dobrze. Poszedł sobie. – Adam ściszył głos, by pocieszyć ją, ale jej twarz nadal wciśnięta była w jego pierś, a dłonie zaciskała kurczowo na jego koszuli.

Uniósł rękę, wahając się przez chwilę, a potem pozwolił sobie na luksus pogładzenia jej jedwabistych włosów. Delikatny zapach jaśminu muskał jego nozdrza. Z wolna, po kilku minutach, drżenie ustało i zaczęła rozluźniać spięte mięśnie.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że przyszedł tu za mną – wyszeptała.

– To naprawdę twój narzeczony? – Drażniło go nawet wypowiedzianie tego słowa.

Zesztywniała i uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Przez pewien czas byliśmy zaręczeni, ale zerwałam z nim przed wyjazdem z Irlandii. Wiem, że ciężko to zniósł, ale nigdy nie przypuszczałam...

Adam przeniósł wzrok z burzliwych emocji kryjących się w spojrzeniu Maggie na jej pełne usta, które delikatnie drżały. Do głębi wstrząsnęła nim pokusa, by spróbować tej słodczy. Z ogromnym wysiłkiem skupił swoją uwagę na tym, co do niego mówiła.

– Czy on nachodził cię tam, w Irlandii?

Skinęła.

– Dlatego też moi bracia zgodzili się, że powinnam pojechać do Ameryki. Żeby dać Neillowi czas na pogodzenie się z rozstaniem.

Wspomnienie o jej braciach gwałtownie przywróciło go do gorzkiej rzeczywistości, zupełnie niwecząc tę intymną chwilę. Gdyby Rylan albo Gabe przyłapali Maggie w jego ramionach... Adam wzdrygnął się na myśl o konsekwencjach. Wyprostował się i delikatnie odsunął ją od siebie.

– Bardzo pragnąłbym zostać tu cały dzień, ale lepiej będzie jeśli odejdę... zanim wróci Rylan.

Maggie złapała go mocno za ramię, zaciskając palce niczym stalową obręcz.

– Proszę, nie idź. N-nie chcę być sama. – Rzuciła nerwowo wzrokiem w stronę drzwi.

Adam westchnął długo i kiedy ona zwróciła na niego ten błagalny wzrok, wiedział, że niezależnie od konsekwencji, nie mógłby jej odmówić. Zwłaszcza że w pobliżu nie było nikogo oprócz starego pana Smitha, kto mógłby ją obronić.

– Dobrze, ale aby uniknąć jakichkolwiek pomówień, może dotrzymasz mi towarzystwa, gdy będę pracował na zewnątrz.

Maggie pokiwała głową.

– Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Spięte mięśnie ramion Adama rozluźniły się w chwili, gdy wyszli z budynku. Wskazał na wiaderko i narzędzia leżące przed nimi na chodniku.

– Beton już pewnie stwardniał. Będę musiał zrobić nowy.

– Pójdę z tobą.

Adam z przykrością zauważył, że nadal nerwowo zerkała na ulicę.

– Nie martw się. Nie sędzę, żeby tu dzisiaj wrócił.

– Nawet nie wiesz, jaki nieustępliwy potrafi być Neill.

– To chodź w takim razie. Możesz mi opowiedzieć coś więcej o tym wstrętnym typie, gdy będę mieszał cement.

Poszła za nim do szopy na końcu podwórka. Pies wybiegł, żeby się z nim przywitać, wtykając pod jego dłoń swój mokry nos. Adam zapomniał, że zostawił psiaka przy tylnych drzwiach, gdy poszedł szukać Rylana. Maggie przykucnęła koło zwierzęcia i pogłaskała go, a na jej ustach zagościł uśmiech.

– Dałeś mu już jakiś na imię?

Adam wyprostował się, sięgając na półkę po potrzebne materiały.

– To zadanie dla jego nowego pana – skwitował, wydrapując niewykorzystany beton z wiaderka, które następnie oplukał i wykorzystał do wymieszania nowej porcji.

– Hm, ktoś powinien nadać imię temu biednemu stworzeniu. Myślę, że Chester by mu pasowało. A ty co sądzisz, mały?

Pies szczeknął krótko, tak jakby rozumiał, co do niego mówiła Maggie. Kobieta roześmiała się.

– Cieszę się, że się zgadzasz. Zatem niech będzie Chester.

Adam podniósł wzrok znad wiaderka. Skoro Chesterowi udało się rozśmieszyć Maggie i odpędzić jej troski, Adam winien mu jest dobrą kość w nagrodę.

Gdy tylko mieszanka osiągnęła właściwą konsystencję, Adam poprowadził całą trójkę w stronę frontowych schodów. Maggie i Chester przysiedli na najwyższym stopniu, a Adam pracował niżej. Pomimo nieprzyjemnej sceny, której doświadczył wcześniej, wypełniało go poczucie zadowolenia. Uświadomił sobie, iż chciałby, żeby tak wyglądało jego życie. Pracował w domu, który dzielił z Maggie, a ona i ich zwierzak mogli na niego patrzeć.

– Zanim zmarł mój tata, on i pan Fitzgerald zawarli umowę, że ja i Neill zostaniemy małżeństwem. – Łagodny głos Maggie ściągnął uwagę Adama od bujania w obłokach. – Miałam wtedy tylko osiem lat, Neill jakieś dwanaście. Ale wiele lat później, gdy obaj nasi ojcowie już zmarli, Neill przyszedł, by wypełnić obietnicę taty. Mama uważała, że Neill był porządnym młodym człowiekiem i pozwoliła, byśmy się spotykali.

Ręka Adama znieruchomiała na kielni, gdy słuchał, jak Maggie kontynuuje swoją opowieść.

– Spotykaliśmy się przez jakiś miesiąc, a potem Neill ogłosił nasze zaręczyny i zaczął się zachowywać trochę... śmielej. Staralam się ze wszystkich sił go unikać. A kiedy się nie dało, zawsze zabiegałam o to, byśmy nie byli sami. To, że był sfrustrowany, to mało powiedziane. – Westchnęła przeciągle. – Gdyby to była jego jedyna wada, może i mogłabym się zgodzić, żeby za niego wyjść.

– Czy stało się coś jeszcze?

Delikatny powiew poruszył jej włosami, wprawiając je w cudowny taniec na jej ramionach.

– Pewnego dnia poszłam do sklepu w wiosce i zobaczyłam, że Neill towarzyszy innej kobiecie. Stali tak razem, z głowami blisko siebie, co sprawiało wrażenie dużo większej zażyłości niż zwykła znajomość. – Wzruszyła ramionami. – Najwyraźniej próbował ulżyć swojej frustracji z innymi chętnymi na to dziewczętami z miasta.

Adama przepełniło obrzydzenie i rzucił kielnię do pustego już wiadra.

– Mężczyzna, który zdradza, nie jest wart nawet drobinki pyłu na twoich butach.

Maggie potarła dłońmi ramiona.

– Wierz mi, że powiedziałam mu to równie obrazowo.

Odgłos kroków sprawił, że Adam gwałtownie obrócił głowę. Był w takim nastroju, że mógłby z radością wykopać Fitzgeralda aż do samego portu. Przed budynkiem pojawili się jednak jego siostra i Rylan z dziećmi idącymi za nimi parami. Colleen zatrzymała dziecięcy wózek z pytającym wzrokiem. Adam postarał się rozluźnić mięśnie twarzy, nie chcąc straszyć dzieci swoim grymasem. Rylan zatrzymał się przed schodami, patrząc to na Maggie, to na Adama.

– Dlaczego jesteś tu na zewnątrz, Maggie? Myślałem, że chciałaś poćwiczyć na pianinie. – Z jego tonu przebijał wyrzut.

Maggie podniosła się ze schodów i złożywszy dłonie przed sobą na sukni, rzekła:

– Neill Fitzgerald jest tutaj. Próbował mnie zmusić do wyjazdu z nim. Gdyby Adam nie wkroczył, nie wiem, jakby się to skończyło.

Rylan zacisnął zęby.

– Colleen, proszę, zabierz dzieci, a ja porozmawiam z Adamem i Maggie w świetlicy.

Maggie stuknęła stopą w dywan w świetlicy sierocińca. Sądząc po surowym wyrazie twarzy Rylana, podejrzewała, że zareaguje zbyt gwałtownie, tak jak zawsze to czynili jej bracia. Gdy tylko zobaczy się z Gabem, będzie musiała też jemu o wszystkim powiedzieć. Stłumiła westchnięcie, zastanawiając się, jak on zareaguje, gdy dowie się, że człowiek z powodu którego przepłynęli ocean, przybył tutaj za nimi.

Odruchowo Maggie poklepywała po głowie Chestera. Chyba nikt nawet nie zauważył, że pies wślizgnął się do środka. Miło jej było czuć ciepłą obecność zwierzaka, który wtulał się w jej nogę, jakby wyczuwał, że potrzebuje pocieszenia. Uniosła głowę i spostrzegła, że Adam ją obserwuje. Ledwo zauważalnie skinął w jej stronę, a potem skupił całą uwagę na Rylanie, który zamknął drzwi świetlicy z wyraźnym trzaśnięciem.

Maggie żałowała, że nie ma tu jej bratowej, która mogłaby być mediatorką pomiędzy Adamem a Rylanem. Ale wyglądało na to, że Rylan specjalnie kazał trzymać się Colleen z dala od tej rozmowy.

Rylan usiadł na kanapie.

– Teraz opowiedzcie mi wszystko od początku.

Już po raz drugi tego dnia, Maggie zrelacjonowała swoją skomplikowaną historię z Neillem Fitzgeraldem.

Kiedy skończyła, Rylan wstał i zaczął przechadzać się przed kominkiem.

– Teraz już rozumiem, dlaczego mama tak nalegała na długi pobyt. – Przerwał, a potem spojrzał przeciągle na siostrę. – Byliście zaręczeni. Kochałaś go, Maggie?

Poczuła, jak za jej plecami Adam spał się.

– Lubiłam Neilla, bo razem dorastaliśmy i miałam nadzieję, że pewnego dnia go pokocham. Ale zbyt wiele nas różniło, by było to możliwe.

Adam podniósł się ze swojego miejsca i z ponurą miną wtrącił:

– Czuję, że to częściowo moja wina. – Patrzył na Rylana. – Powiedziałem Maggie, że zauważyłem mężczyznę, który kręcił się ostatnio w okolicy. Ale powinienem był powiedzieć tobie. Przepraszam.

Wyrzuty sumienia przepełniły także Maggie.

– W zasadzie, to moja wina. – Wpatrywała się w swoje dłonie. – Wiedziałam, że Neill jest tutaj, ale nikomu o tym nie powiedziałam.

Zapadła martwa cisza. Wzrok Maggie powędrował od Rylana do Adama. Obaj mieli zagniewany wyraz twarzy.

– Skąd wiedziałaś, że on tu jest? – zapytał w końcu Rylan. – Czy rozmawiałaś z nim już wcześniej?

– Tak. – Maggie westchnęła. – Znalazł mnie niedługo po naszym przyjeździe, przeproszał za wszystko i prosił, bym dała mu kolejną szansę. – Spojrzała Rylanowi w oczy. – Odmówiłam mu. Ponieważ nie miałam od niego żadnych wiadomości, myślałam, że wrócił do kraju. Ale on znalazł mnie po raz kolejny, kiedyś, gdy byłam w parku z Delią. – Zawahała się. To, co zrobiła brzmiało teraz bardzo głupio. – Powiedziałam mu, że marnuje swój czas i żeby wracał do domu.

Rylan chodził tam i z powrotem po pokoju.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś, Maggie? Chyba mieliśmy prawo o tym wiedzieć. – Cierpienie w jego oczach poruszyło do głębi Maggie, bardziej, niż mogłyby to sprawić pełne gniewu słowa.

– Wiem. Przepraszam.

– Chcemy cię tylko chronić.

– Taaak, ale czasem bycie pod ochroną wydaje się więzieniem.

Grdyka Rylana skakała w górę i w dół i Maggie obawiała się, że zraniła uczucia brata. W końcu westchnął długo.

– Cieszę się, że Adam był tutaj i mógł zamiast mnie interweniować. Dziękuję ci za to.

Adam znieruchomiał, a mięśnie jego ramion zwarły się w jeden supeł.

– Oddałbym życie, by ją chronić, jeśli zaszłaby taka konieczność.

Serce Maggie nieomalże stanęło w piersi na to wyznanie. Łzy, które do tej pory udało się jej powstrzymać, teraz wypełniły jej oczy i mrugała, próbując je opanować.

– Obecnie wszyscy musimy zachować czujność – ciągnął Rylan – do czasu, aż nie wymyślimy, co z tym zrobić.

Otworzyły się drzwi i do środka weszła Colleen, ze wzrokiem utkwionym w swoim mężu. Rylan pocierał dłonią zuchwę.

– Jeśli Gabe się zgodzi, myślę, że powinniście oboje wracać do domu, tak szybko jak tylko uda nam się zorganizować...

Maggie skoczyła na równe nogi.

– Nie! Ja nie wracam. – Nie chciała jeszcze mówić braciom o swoich planach, ale nie mogła pozwolić, by jej życie zmieniło swoje tory kolejny raz z powodu Neilla.

Rylan zrobił gniewną minę.

– Wróciłabyś po prostu parę tygodni wcześniej, niż planowałaś.

– Nie, Rylanie. Zostaję w Nowym Jorku. Na zawsze.

W pokoju zapadła cisza, którą przerywało jedynie tykanie stojącego na kominku zegara.

Rylan sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał wybuchnąć, a wyraz twarzy Adama był zupełnie nieodgadniony. Colleen stanęła przy boku męża i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Być może to nie jest najlepszy czas na podejmowanie pochopnych decyzji. Kiedy wróci Gabe, powiemy mu o wszystkim, co się wydarzyło i razem zdecydujemy, co najlepiej zrobić w tej sytuacji.

Fala ulgi przepełniła Maggie. Colleen będzie umiała poskromić gniew męża. Pomoże Rylanowi trzeźwo spojrzeć na sytuację.

Rylan posłał żonie wymuszony uśmiech.

– Tak, to brzmi sensownie.

Adam opuścił ręce.

– Chyba się umyję i już sobie pójdę. Gdybyście mnie potrzebowali, kontaktujcie się z Johnem McNabbem w kościele. On mi przekaże wiadomość.

Rylan zrobił krok w jego kierunku.

– Coś mi się wydaje, że jestem ci winien przeprosiny. Tu w sierocińcu wiążą mnie pewne przepisy, ale w moim własnym domu powinienem być być dla ciebie bardziej gościnnie. W końcu jesteśmy jedną rodziną. – Wyciągnął do niego rękę. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Adam bez wahania przyjął jego dłoń.

– Nie ma czego.

Serce Maggie pękało z dumy na ten honorowy gest ze strony Adama. Mógł mieć Rylanowi za złe, a jednak nie żywił wobec niego urazy. Może teraz jej bracia dostrzegą prawdziwą naturę Adama.

Adam wskazał na Chestera, który nadal siedział koło krzesła Maggie.

– Wygląda na to, że on polubił Maggie. Może byłoby dobrze zatrzymać go jako stróża. Mogę zbudować mu na zewnątrz budę, jeśli chcesz.

Rylan skinął.

– To doskonały pomysł.

– Panno Hastings, czy możemy porozmawiać?

Aurora podniosła wzrok znad książki, którą czytała na głos, zaskoczona widokiem doktora Reardona stojącego u wejścia na oddział dziecięcy. Serce ścisnęło jej się niemiło, gdy zobaczyła jego zmarszczone brwi. Czyżby przyczyniła się jakoś do jego niezadowolenia?

Wręczyła książkę jednemu ze starszych dzieci, mówiąc:

– Constance, będziesz czytać dalej? Zaraz wrócę.

Skinąwszy krótko pielęgniarki na dyżurze, Aurora wyszła za doktorem Reardonem z sali i zamknęła za sobą drzwi.

– Tak, doktorze? Czy coś się stało?

– Właśnie dostałem telefon od pani Montgomery ze Świętej Rity. Zdaje się, że kilkoro dzieci dostało gorączki.

– Ojej. Tak mi przykro.

– Chcą, żebym przyjechał tam i zbadał je. Czy mogłaby mi pani towarzyszyć?

Zmarszczyła czoło.

– Jest pan pewien, że nie chce pan wziąć ze sobą wykwalifikowanej pielęgniarki?

Jego szyja pokryła się rumieńcem.

– Niekoniecznie, dopóki nie zobaczę, jaka jest sytuacja. Jeżeli to coś poważniejszego, zawsze mogę przywieźć kogoś innego. – Uśmiechnął się żałośnie. – Dzieci dużo pozytywniej reagują na panią niż na mnie i zapewne będą lepiej współpracować, jeśli będzie tam pani, by je uspokoić.

W tym, co mówił, tkwiło jakieś ziarenko prawdy. Niektóre dzieci bały się doktora, zwłaszcza że zwykle dawał im zastrzyki albo niesmaczne lekarstwa. Za to ogromnie cieszyły się z obecności Aurory.

– Dobrze więc. Chętnie z panem pojedę.

– Świetnie. Ruszamy od razu. Mam tylko nadzieję, że uda się nam zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby między dziećmi.



Adam mozolnym krokiem dotarł pod wejście Irlandzkich Łąk, modląc się w duchu o odwagę, żeby umiał spokojnie i godnie stanąć twarzą w twarz z matką.

Po skończonym dniu pracy w sierocińcu uświadomił sobie, że po raz kolejny rozmyśla nad swoim pochodzeniem i doszedł do wniosku, że musi podjąć jakieś działanie, bo w przeciwnym razie odejdzie od zmysłów wskutek snucia tych wszystkich przypuszczeń. Dlatego też wsiadł do pociągu zmierzającego

na Long Island. Fakt, że tego dnia ojciec spędzał wieczór w klubie dla mężczyzn, sprawiał, że był to idealny czas, by porozmawiać z matką na osobności.

Wszedł do holu swojego domu z dzieciństwa i zaraz potem zjawiała się pani Johnston.

– Panicz Adam. Cóż za niespodzianka! Czy pańska rodzina oczekuje panicza?

Adam prawie roześmiał się na tę próbę zachowania subtelności.

– Nie, to taka spontaniczna wizyta. Czy zastałem mamę? – Nagle dotarło do niego, że mama też mogła gdzieś wyjść.

– Jest w salonie. Chwileczkę, zaraz jej powiem, że panicz przyjechał.

Adam chciał zaprotestować, mówiąc, że nie trzeba go zapowiadać, ale w rzeczywistości to już nie był jego dom.

Zaraz potem rozległ się odgłos kroków.

– Adamie, cóż za cudowna niespodzianka! – Matka się uśmiechnęła, choć z lekką rezerwą. – Co cię sprowadza?

Pochylił się, żeby ucałować ją w policzek i dobrze znany mu zapach perfum lawendowych przywiódł wspomnienie dzieciństwa.

– Muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

– Ależ oczywiście. Wejdz. Alice, przynieś nam, proszę, kawę i ciasteczka.

– Dobrze, proszę pani.

Adam wszedł za matką do salonu. Zapach dymu z kominka mieszał się z wonią cytrynowego środka do pielęgnacji mebli, odświeżając w jego pamięci chwile spędzone w tym pokoju razem z rodzeństwem. Przełknął ciężko i skupił się na celu swojej wizyty. Kiedy mama usiadła w fotelu, zajął miejsce na sofie obok niej.

– Co to za ważna sprawa, o której chcesz porozmawiać? – Mama podjęła swoją robótkę i położyła ją na kolanach.

– Obawiam się, że to nieco nieprzyjemny temat, mamó, ale taki, którym należy się zająć... raz na zawsze.

– Cóż, to brzmi dosyć przerażająco. – Nerwowy śmiech mamy odbił się echem w pomieszczeniu.

Adam spuścił wzrok na swoje złożone dłonie i modlił się o to, by odpowiednio dobrać słowa. Westchnął powoli i zaczął:

– Przede wszystkim chciałem przeprosić za rozczarowanie, którego powodem stałem się dla ciebie przez te wszystkie lata. Wiem, że moja relacja z ojcem była źródłem konfliktów w waszym małżeństwie. – Uniósł dłoń, by powstrzymać jej sprzeciw. – Nie zaprzeczaj, mamó. Bardzo bolało cię

to, że nie potrafiliśmy się dogadać. Że nigdy nie sprostalem jego oczekiwaniom. – Przerwał na chwilę, by się uspokoić. – Przez te minione lata wiele zastanawiałem się, dlaczego mój ojciec wolał Gila, syna innego człowieka, bardziej niż własnego potomka.

– Och, Adamie! To nie jest prawda. – W oczach matki błysnęło współczucie.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Wiesz, mamó, że tak jest. I jedyny wniosek, do jakiego doszedłem to taki, że nie jestem synem Jamesa O’Leary’ego. – Ściszył głos i spojrzał jej prosto w oczy. – Jestem, mamó?

Zanim zdążyła zakryć twarz rękami, z jej ust dobył się straszliwy jęk, wyrażający przerażenie i zaskoczenie. Ciche łkanie wstrząsnęło całym jej ciałem, sprawiając, że poczucie winy przeszło serce Adama. Właśnie dlatego nie chciał poruszać tego tematu wcześniej. Myśl, że mógłby sprawić matce jeszcze więcej żalu rozdzierała jego duszę.

– Patrzcie go. Cóż panicz narobił? – Pani Johnston nieomalże rzuciła wyładowaną tacę na stół i ze wstrętem spoglądając na Adama, stanęła przy boku swojej pani.

– Przepraszam. Ja nie chciałem...

– Nigdy panicz nie chce, a jednak niszczy wszystko, gdzie tylko się pojawi – odwarknęła i położyła dłoń na rozedrganym ramieniu pani O’Leary, jakby chciała ją chronić. – Lepiej, żeby panicz wyjechał, zanim wróci ojciec. On nie przyjmie tego tak spokojnie, że panicz zasmuca matkę.

Adam podniósł się, pchany mocnym postanowieniem, by jak najszybciej opuścić ten dom i nigdy tu już nie wracać. Jednak na miejscu zatrzymała go potrzeba poznania odpowiedzi na swoje pytanie. Reakcja mamy mówiła mu, że trafił w sedno, ale musiał to usłyszeć z jej ust. Wręczył matce chusteczkę.

– Nie wyjadę, dopóki nie dostanę odpowiedzi, po którą tu przyjechałem.

Mama otarła twarz, starając się opanować.

– Już dobrze, Alice. Proszę, zostaw nas samych.

– Ale pani O’Leary...

– Natychmiast. – Autorytarny ton mamy sprawił, że starsza kobieta stanęła na baczność.

– Dobrze. Jak mnie będzie pani potrzebować, proszę tylko zadzwonić – wycedziła sztywno, najwidoczniej zraniona tym, jak potraktowała ją matka.

Adam wetknął ręce w kieszenie, bawiąc się znajdującymi się tam monetami, i czekał, aż mama przemówi. Ona gestem wskazała na sofę i rzekła:

– Usiądź, synu. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Nieco sztywno przysiadł na krawędzi kanapy, żałując, że nie może nic zrobić, by ulżyć cierpieniu malującemu się na twarzy matki.

– Masz rację – zaczęła w końcu ze wzrokiem wbitym w dywan. – James nie jest twoim biologicznym ojcem. Byłam... byłam w ciąży już, gdy braliśmy ślub.

Napór emocji był niewyobrażalny. Ulga, gniew, rozczarowanie i żal... wszystko to zbiło się w wielką gulę w gardle Adama. Jednym szarpnięciem rozpiął guzik koszuli pod szyją, z trudem łapiąc powietrze.

– Jak...? Kto? – Nie wiedział nawet, o co najpierw pytać.

Mama westchnęła z cierpieniem.

– Nazywał się George Drake. Byłam z nim zaręczona, zanim poznałam twojego ojca. – Przerwała, starając się opanować.

Adam wpatrywał się w przeciwległy kraniec pokoju, próbując przetrwać te wiadomości.

– Kochałaś go? – zapytał cicho.

Musiała go kochać, wnosząc po tym, co zrobiła. Ale jak to możliwe, że tak szybko jej uczucia do Jamesa zwyciężyły?

– Nienawidziłam go. – Jej nozdrza drżały, a wokół zaciśniętych warg utworzyła się siateczka zmarszczek.

– Nie rozumiem. W takim razie jak mogłaś... – Zamknął usta. Nie był w stanie zadać matce tak osobistego pytania.

Uniosła drżący podbródek.

– Kiedy George dowiedział się o uczuciach, którymi darzyłam Jamesa, i o tym, że zamierzałam zerwać zaręczyny, wtedy... wziął mnie siłą.

Adam zerwał się na równe nogi. Był do głębi wstrząśnięty. Jego matka została zgwałcona?

– George myślał, że gdy... wejdzie ze mną w intymny kontakt... że James już nie będzie mnie chciał, a jako upadła kobieta, będę musiała poślubić jego.

Adam chodził nerwowo po dywanie rozłożonym przed kominkiem, próbując przyswoić tę okropną wiadomość.

– Kazałaś go aresztować?

Opuściła wzrok i potrząsając głową, rzekła:

– Na początku było mi tak wstyd, że nie chciałam nikomu o tym mówić.

– Ale powiedziałaś Jamesowi... a on i tak cię poślubił? – Adama przeniknęło niedowierzanie. Nawet wiedząc, jak bardzo James kochał jego matkę, nie potrafił sobie wyobrazić, że tak po prostu przyjął to wszystko.

– Nie powiedziałam mu od razu – wyznała cicho. – Wiedziałam, że James zabiłby George’a.

Adam doskonale to rozumiał. Gdyby ktoś zgwałcił Maggie, trzeba byłoby chyba całej armii, żeby powstrzymać go przed zniszczeniem tego człowieka.

– Zatem wyszłaś za niego i dopiero wtedy powiedziałaś mu, że spodziewasz się dziecka?

Matka zmierzyła go stalowym spojrzeniem.

– Naprawdę myślisz, że byłabym zdolna do takiego oszustwa?

Adam obrócił się gwałtownie, a gniew burzył się w jego piersi.

– Wydaje mi się to całkiem możliwe, skoro okłamywałaś mnie przez całe życie.

Pożałował swoich słów już w chwili, gdy opuściły jego usta... gdy twarz matki zmiażdżył wyraz żalu.

Drzwi salonu otworzyły się z hukiem. Do pokoju wpadł James, zatrzymując się zaledwie o parę centymetrów przed twarzą Adama, a jego rozszerzone nozdrza drżały w gniewie.

– Masz natychmiast przeprosić matkę albo wyrzucę cię za fraki z tego domu raz na zawsze.

Nagle z sykiem gniew opuścił Adama w jednym wydechu, jakby całe powietrze z niego zeszło. Upadł na jedno kolano przed nią i ujął jej dłoń w swoje ręce.

– Wybacz mi, mamó. Nie miałem prawa mówić do ciebie w ten sposób.

Uniosła przepełnione cierpieniem oczy i spojrzała na niego, a potem z czułością położyła dłoń na jego policzku.

– Nigdy nie chciałam, żebyś się dowiedział – wyszeptała. – Nigdy nie chciałam, żebyś czuł wstyd z powodu twojego poczęcia. Dlatego ukrywałam prawdę.

Budząca mdłości rzeczywistość docierała do wnętrza Adama niczym jakaś trucizna. Zaciśnął mocno powieki, ale nawet kojący dotyk jej dłoni nie mógł wymazać bólu, który promieniował z jego duszy.

– Gdy dowiedziałam się, że spodziewam się dziecka, musiałam powiedzieć Jamesowi. Kochał mnie tak bardzo, że i tak postanowił mnie poślubić i przyjąć cię jako swojego syna.

Adam podniósł się sztywno i stanął na wprost Jamesa.

– Tylko, że nigdy mnie nie zaakceptowałaś. Nic dziwnego, że nigdy nie mogłem nic zrobić dobrze w twoich oczach.

Mięśnie twarzy Jamesa drgnęły.

– Bóg wie, jak bardzo się starałem. Ale im byłeś starszy, tym bardziej go przypominałeś.

Nic dziwnego. Ludzie od zawsze zauważali, że najstarszy syn Jamesa nie jest podobny do ojca. Mama zawsze się z tego śmiała, twierdząc, że Adam odziedziczył wygląd po jej rodzinie.

– Co się stało z Georgem? Stawiłeś mu czoła?

W oczach Jamesa błysnął niebieski płomień.

– Dopilnowałem, żeby już nigdy nie niepokoił Kathleen.

Nie trzeba było wiele, żeby wyobrazić sobie, jaką karę mu wymierzył. Adam zmarszczył brwi.

– Dlaczego nigdy nie kazał cię aresztować za napaść?

– Nie śmiał. Powiedziałem mu, że Kathleen uda się do władz i będzie musiał zapłacić za swoją zbrodnię.

Adam podszedł do kominka i wpatrywał się w palenisko, tak zimne i szare jak jego umęczona dusza. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła nowym spojrzeniem. Te same ściany zdawały się teraz z niego drwić, przypominając mu poszarpane wspomnienia z dzieciństwa.

– Czy Drake... czy on wiedział o mnie? – Nie miał pojęcia, dlaczego to miałoby mieć znaczenie, ale musiał się dowiedzieć.

– Nie. Po raz kolejny wszedł w konflikt z prawem i wylądował w więzieniu. – Lapidarna odpowiedź Jamesa nie pozostawiała wątpliwości, co miał na myśli. *Jaki ojciec, taki syn.* – Zmarł w więzieniu parę miesięcy przed twoim narodzeniem.

Adam potrząsnął głową, a myśli wirowały mu jak cyklon. Był synem przestępcy, który zmarł w więzieniu... Jego istnienie było wynikiem brutalnego czynku. Choć czuł ulgę z powodu tego, że wreszcie zna prawdę, pozostawał w nim rozdzierający ból... jęcząca rana, która być może nigdy nie zostanie uleczone, świadomość, że jest źródłem żalu matki już od momentu poczęcia.

Ciche łzy lały się po białych policzkach mamy. James stał za nią, jedną ręką otulając troskliwie jej ramiona.

– Tak mi przykro, Adamie – wyszeptwała.

Adam wyprostował się, chwytając się resztek dumy, jakby to była jego zbroja.

– To nie twoja wina, mamo. To ty byłaś ofiarą w tym wszystkim.

– Ty także. Powinnaś być mocniej postarać...

– Proszę cię, przestań. – Uniósł dłoń, a potem pozwolił, żeby bezwiednie opadła. – Zrobiłaś, co mogłaś, zważając na sytuację. – Adam nie był w stanie spojrzeć na Jamesa. Nie mógł znieść widoku pogardy – albo jeszcze gorzej... litości – jaki mógł gościć teraz w jego wzroku.

Kolejna fala łez zalała twarz matki.

– Adamie, zawsze cię kochałam. Proszę, byś nigdy, ani na chwilę w to nie zwątpił.

Cierpienie wyryło się w sercu Adama tak mocno, że niemalże czuł fizyczny ból. Gdyby pozostał w tym pokoju choćby jedną minutę dłużej, udusiłby się.

– Wiem o tym, mamó. Ja też cię kocham – wyrzekł zdławionym głosem.

A potem, z widokiem jej cierpiącej twarzy wyrytym w pamięci, Adam obrócił się na pięcie i wyszedł szybko z salonu, nie zatrzymując się na krok, dopóki Irlandzkie Łąki nie zmieniły się w majaczący tylko za jego plecami punkcik.

Martwa cisza panująca w domu stanowiła dla Maggie pierwszy sygnał, że coś było nie w porządku. Nie było słyhać małej Ivy domagającej się porannej porcji mleka ani nieustannego szczebiotu Delii szykującej się do szkoły, ani też podśpiewującej Colleen, która przygotowywała śniadanie dla rodziny.

Kuchnia spowita była zimną, ponurą ciszą. Ogarnęły ją złe przeczucia, a po plecach przeszły ciarki.

Zapaliła pod kuchnią, a potem udała się do salonu, by tam też rozpałić ogień, jeśli okazałoby się, że Rylan nie zrobił tego wcześniej. Przepelniało ją rozczarowanie. Liczyła, że dzisiaj rano porozmawia z braćmi, zanim udadzą się do swoich obowiązków. Minęło parę dni od tego wypadku z Neillem w sierocińcu i Maggie chciała się dowiedzieć, co postanowili. Miała nadzieję, że Colleen nakłoni ich do pójścia za głosem rozsądku i wybije im z głowy tę pochopną decyzję, by jak najszybciej kupić bilet powrotny do kraju, gdyż to nie przyniosłoby nikomu żadnego pożytku.

Chociaż to i tak nie było ważne, co zadecydują, bo Maggie nie zamierzała wracać do ojczyzny. Musieliby ją chyba spętać i siłą zaciągnąć na statek, żeby wyjechała.

Słaby blask z paleniska w salonie rozświetlał ciemność pokoju. Maggie wyteńczyła wzrok w półmroku i z trudem dostrzegła, że w kącie ktoś siedział.

– Colleen? Wszystko w porządku?

Colleen podniosła dziecko ułożone na jej ramieniu. Wydawało się, że dopiero wybudziła się z drzemki.

– Och, Maggie. Przepraszam, nie słyszałam cię.

– Gdzie są wszyscy?

Sztywnymi ruchami, jakby była dużo starsza, Colleen podniosła się z siedzenia i umieściła Ivy w koszyku stojącym u jej stóp. Wyglądziła dłonią zmiętą suknię, której wygląd wskazywał na to, że spała w niej całą noc.

– Rylan jest w sierocińcu z doktorem Reardonem i Aurorą. Najprawdopodobniej kilkoro dzieci złapało dur brzuszny.

– Dur brzuszny? To straszne. – Maggie widziała już kiedyś wybuch tej epidemii w sąsiedniej wiosce. – Które z dzieci są chore?

– Greta, Johnnie i Felicia. Możliwe, że jeszcze parę innych.

– A co z Delią?

– Dzięki Bogu, dobrze. Ale zatrzymałam ją w domu. Jeszcze śpi. W przeciwieństwie do Ivy, która nie spała przez prawie całą noc. – Colleen dorzuciła polano do ognia i zgarnęła żar pogrzebaczem.

Maggie starała się pozbierać myśli.

– Nie martw się śniadaniem. Ja się tym zajmę. Powinnaś się trochę zdrzemnąć, skoro Ivy teraz śpi.

Colleen uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Chętnie z tego skorzystam.

Maggie wróciła do kuchni, wyjęła dużą patelnię oraz postawiła w czajniku wodę na herbatę. Zrobi coś prostego, zwykły bekon i tosty, bo nie była pewna, kiedy każdy przybędzie na śniadanie.

Bekon był już prawie gotowy, gdy w kuchni pojawił się Gabe. Podeszedł do niej i ucałował ją w policzek.

– Dzień dobry, kochana. Gdzie są wszyscy?

Maggie wręczyła mu kubek herbaty i szybko wprowadziła go w bieżącą sytuację.

Jego czoło przecięła zmarszczka wyrażająca niepokój.

– Kiedy będą wiedzieć, czy to na pewno dur?

Nałożyła trochę bekonu i pieczywa, a potem postawiła talerz przed Gabem.

– Nie wiem. Doktor Reardon i Aurora spędzili tam całą noc.

Gabe uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Aurora tam jest?

– Tak, pomaga doktorowi.

Gabe odstawił głośno kubek.

– Idę tam, muszę zobaczyć, jak się mają sprawy.

Maggie zmarszczyła czoło.

– Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł. Przynajmniej nie do czasu, gdy będą mieli pewność, co to za choroba.

Gabe zdjął czapkę z wieszaka na ścianie.

– Ja i tak najprawdopodobniej mogłem się zarazić, bo przecież byłem tam prawie każdego dnia. Poza tym wydaje mi się, że Rylan może potrzebować mojego wsparcia.

Zanim zdążyła zaprotestować, Gabe wymaszerował z kuchni, pozostawiając na stole nietknięte śniadanie.

Maggie nie była pewna, co bardziej ją martwi... możliwość epidemii duru brzuszego, czy tak stanowcza reakcja Gabe'a na to, że Aurorze mogło coś grozić.



Aurora przetarła czoło pięcioletniej Greta i odłożyła moką ścierkę w misce na stolik nocny koło łóżka. Policzki dziewczynki, zaczerwienione od gorączki, pałały na tle ostrej bieli pokrywającej resztę jej twarzy. Jej wiotka sylwetka ledwie zaznaczała się pod kołderką. Czwooro pozostałych dzieci spało w oddzielnym pokoju na drugim piętrze. Znajdowały się w ciasnych pokoikach, ale była to jedyna możliwość, by odseparować chore dzieci od tych jeszcze zdrowych.

Walcząc z napływem zmęczenia, Aurora opadła na jedno z łóżek i pochyliła głowę.

– Dobry Boże, ześlij łaskę uzdrowienia tym kochanym dzieciom. Spraw, bym mogła być narzędziem w Twoich rękach i pomóc im powrócić do zdrowia. Proszę Cię w Twoje imię.

– Amen.

Nagły przeblysłk świadomości przeciął mgłę jej znużenia i sprawił, że zerwała się z cienkiego materaca.

– Gabe, nie powinienes tu przychodzić.

Stał u stóp łóżka jak anioł stróż. W jego oczach lśniła taka troska, że Aurora miała ochotę złamać się i rozplakać. Ujęła jego ramię i próbowała wyprowadzić go do drzwi, ale on nawet się nie ruszył.

– Nigdzie stąd nie idę, Auroro. Daj mi coś do zrobienia. Jestem pewien, że będę mógł jakoś pomóc.

Poczucie ulgi, które rozlało się w jej sercu, trochę ją zawstydziło. Powinna być twardsza, jeśli miała wytrwale pracować i zostać kiedyś pielęgniarką. Podczas tej nocy Aurora nie pozwoliła sobie na zmęczenie czy strach, ale teraz tamte przeżycia odbiły się na niej z całą mocą.

Musiała się zachwiać, gdyż Gabe otoczył ją ramieniem w talii.

– Powoli. Dobrze się czujesz?

– Jestem po prostu zmęczona.

Odgarnął pasemka włosów z jej twarzy i przyłożył dłoń do czoła.

– Ale nie masz gorączki? Nie możemy pozwolić, byś ty także się rozchorowała.

Miała tak ściśnięte gardło, że była w stanie jedynie potrząsnąć przecząco głową.

Jakby wyczuwając jej rozedrganie, Gabe uścisnął jej dłoń.

– Pójdę zobaczyć co u Rylana, a ty tymczasem wymyśl dla mnie jakieś zadania.

Posłał jej uśmiech, który zostawił ją bez tchu.

– Dziękuję, Gabe.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *cailín alainn*. – Puścił jej oko i ruszył korytarzem.

Nie miała pojęcia, co to znaczy, ale jego ujmujący ton rozgrzewał jej serce.

Kiedy doktor Reardon przyszedł parę minut później, Aurora wciąż jeszcze nie mogła się opanować.

– Panno Hastings, dobrze się pani czuje? Wygląda pani... – Przerwał, jakby nagle dotarło do niego, że w żaden sposób nie da się dobrze dokończyć tego zdania.

Aurora musiała się zebrać w sobie. Może i była rozpieszczoną, bogatą dziedziczką, ale ze wszystkich sił pragnęła udowodnić, że jest w stanie podołać swoim obowiązkom.

– W porządku. Sprawdźmy, co u dzieci.

Gabe wrócił w tym samym momencie, gdy lekarz kończył oględziny u Johnniego.

Doktor Reardon zdjął stetoskop, a na jego twarzy wymalował się grymas niezadowolenia.

– Co on tu robi?

– Gabe przyszedł, żeby jakoś pomóc – wyjaśniła pospiesznie Aurora.

Ponure skrzywienie ust lekarza wyraźnie świadczyło o jego niezadowoleniu.

– Czy możemy wszyscy porozmawiać na korytarzu?

– Oczywiście.

Opuścił pokój, najprawdopodobniej po to, by dzieci nie mogły usłyszeć diagnozy. Sądząc po jego poważnej minie, Aurora spodziewała się najgorszego. Razem z Gabem wyszli za nim i zamknęli drzwi.

Doktor Reardon od razu przeszedł do rzeczy.

– Obawiam się, że to wygląda na dur brzuszny. Muszę oddać do badania jeszcze parę próbek krwi i moczu. Będziemy też potrzebowali zbadać stolec. W międzyczasie trzeba ustalić możliwe przyczyny. Prawdopodobne źródła zakażenia to skażona woda lub żywność. – Stukając palcem w dłoń, kontynuował: – Trzeba będzie sprawdzić dostawy wody. Dopóki nie wykluczymy tej możliwości, należy przegotowywać wodę przed użyciem. Kluczowe znaczenie ma też odpowiednie mycie rąk. Wszelkie odpady muszą być utylizowane według moich wytycznych. – Zerknął na Gabe'a. – Dopóki nie określimy zakresu epidemii i nie zdołamy powstrzymać rozprzestrzeniania się choroby, zalecam kwarantannę.

Aurora zdawała sobie sprawę, że widać było po niej przerażenie.

– Jaki jest okres inkubacji choroby, doktorze?

– Średnio siedem do czternastu dni. – Doktor Reardon złożył stetoskop i wetknął go do kieszeni fartucha. – Będę potrzebował listy wszystkich osób, które przebywały w tym budynku w przeciągu

ostatnich dwóch tygodni. W szczególności wszystkich, którzy mogli spożywać posiłki przygotowywane tutaj w tym czasie.

Zmęczenie sprawiło, że nogi Aurory zaczęły drżeć.

– Poproszę Rylana o pomoc.

– Kto pracuje tutaj w kuchni?

Aurora potrząsnęła przecząco głową.

– Nie wiem.

Gabe zrobił krok w przód.

– Główną kucharką jest pani Norton. Panna Mary Brown została ostatnio najęta jako pomoc kuchenna. Ale wygląda na to, że wyjechała nocą – wyjaśnił. – Byłem już w kuchni i obawiam się, że pani Norton także się rozchorowała.

– O, nie... – Aurora otarła grzbietem dłoni czoło, starając się pozbierać myśli. Sytuacja wydawała się nagle wymykać spod kontroli.

Gabe podtrzymał ją w talii, a jego ciepły dotyk dodawał jej sił.

– Pomogę Rylanowi sporządzić listę wszystkich osób, które mogły być narażone na kontakt z chorobą – oświadczył.

Doktor Reardon skinął.

– Dobrze. Panno Hastings, prosiłbym panią o pomoc przy dalszym pobieraniu krwi od pacjentów.

– Oczywiście. – Aurora wyprostowała się, ale Gabe się nie odsunął.

Wpatrywał się w lekarza i rzekł:

– Proszę nie zapomnieć zbadać także pani Norton.

Doktor znieruchomiał i przez krótką chwilę Aurora wyczuwała dziwne napięcie pomiędzy dwójką mężczyzn. Zaraz potem lekarz cofnął się o krok i powiedział:

– Dziękuję, panie Montgomery. Zapraszam panią ze mną, panno Hastings.

Kiedy Aurora weszła za doktorem do sali chorych, ze znużeniem zaczęła zastanawiać się, czy teraz będzie musiała też przygotowywać posiłki.

Podróż powrotna pociągiem na Manhattan zlała się w jedno. W udręczonej głowie Adama od nowa, raz po raz przewijało się to wszystko, co się wydarzyło. Choć bardzo próbował, nie potrafił wyrzucić z pamięci pełnej cierpienia twarzy matki ani chłodu malującego się na obliczu jego ojca.

Źle... nie jego ojca.

Adam niesiony z tłumem wysiadających pasażerów przeciął stację kolejową, a potem wyszedł na zewnątrz, prosto w ciemną noc. Podmuch wilgotnego powietrza uderzył go w twarz. Kiedy zaczęła się ta burza?

Postawił kołnierz, ale o chwilę za późno i strumień zimnej wody spłynął po jego szyi i dalej na plecy. Wzdrygnął się, lecz szedł dalej. Gdyby tylko ten deszcz mógł zmyć z niego hańbę jego narodzin.

Ale nic nie mogło tego uczynić.

Wszystko, co do tej pory wiedział o sobie... o swoim życiu... okazało się okropnym kłamstwem. Jego akt urodzenia był kłamstwem, jego ojciec, jego miejsce w rodzinie – to wszystko kłamstwo. Nic dziwnego, że zawsze czuł się wyobcowany, jak okręt zacumowany w niewłaściwym porcie. Jego bracia i siostry byli owocem miłości jego rodziców. On był wynikiem przestępstwa popełnionego na jego matce. Jego poczucie zniszczyło te chwile, które miały być najszcześniejszym okresem w jej życiu, kiedy poślubiła ukochanego mężczyznę. Nie mogła ofiarować się Jamesowi jako nieskalana dziewczyna, ponieważ była upadłą kobietą, niosącą straszną tajemnicę – grzech, którego dopuścił się na niej George Drake.

Jak w ogóle jego matka mogła chcieć go zatrzymać? Dlaczego nie zostawiła go pod drzwiami sierocińca, tak jak Jolene, i nie żyła dalej własnym życiem... bez tego, który nieustannie przypominał jej o gwałcie? Nie potrafił tego pojąć.

Zupełnie już przemoczony dotarł do kościoła Johna i skierował się prosto do tylnych drzwi. Kiedy jednak znalazł się tam, nie czuł się godny, by wejść. Nawet do tej klitki w kościelnych podziemiach. Długa droga ze stacji wcale nie ukoili okropnego gniewu, który palił jego wnętrze. Potrzebował jakiegoś fizycznego wysiłku, by wyrzucić to z siebie. Lekceważąc strugi deszczu, ruszył w stronę sterty drewna leżącego w rogu podwórka i wyjął siekiere z szopy. Nie zważając na szalejący wokół żywioł, Adam uderzał na oślep siekiere w kłody, aż zupełnie rozboleły go ramiona... ale nawet takie gwałtowne zajęcie nie było w stanie ulżyć jego męce.

– Adamie, wszystko w porządku?

Poprzez ryk wiatru i szum deszczu do udręczonego Adama dotarł zatroskany głos Johna. Otarł wodę z oczu wierzchem dłoni.

– Nie, John. Nic nie jest w porządku.

John pod osłoną czarnego parasola przeszedł przez podwórko.

– Chodź do środka, porozmawiamy. Musisz się wysuszyć.

Siekiera w rękach Adama drgnęła. Spojrzał po sobie i dopiero teraz dostrzegł, że całe jego ciało się trzęsło. Upuścił narzędzie, które wylądowało na ziemi z głuchym łoskotem, a potem bez słowa

wszedł za Johnem tylnymi drzwiami kościoła.

Wielebny złożył parasol i poprowadził Adama do niewielkiego biura na parterze, gdzie w stojącym w rogu piecyku palił się ogień.

– Pracowałem właśnie nad kazaniem – wyjaśnił. Wysunął krzesło koło paleniska i zaprosił gestem Adama, by usiadł.

Mężczyzna opadł na siedzisko, a potem wyciągnął ręce w stronę źródła ciepła, nie zauważając nawet ogromnych kałuż, które zaczęły się pod nim tworzyć.

John wrócił niedługo potem z dwoma ręcznikami i koszulą. Wręczył jeden ręcznik Adamowi, a drugi rzucił na ziemię, by zetrzeć zbierającą się na podłodze wodę.

– Tu masz koszulę. Przyniosę kawy z kuchni.

John zdjął swoją przemoczoną czapkę i marynarkę, powiesił je na wieszaku za drzwiami, po czym wyszedł.

Adam wytarł włosy i twarz, a potem zdjął z siebie mokrą marynarkę i koszulę. Trząsał się gwałtownie, kiedy tarł ręcznikiem pierś i ramiona. Następnie założył suchą koszulę, którą przyniósł dla niego John. Siedząc zgarbiony na krześle, wpatrywał się w hipnotyzujący taniec płomieni, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek innego ruchu.

Parę minut później do pokoju wrócił John z kawą. Podał kubek Adamowi, zdjął koc z oparcia fotela i okrył nim mężczyznę.

Ciepło bijące od kubka powoli przenikało przez zmarznięte ręce Adama. Pociągnął łyk kawy i z wdzięcznością przyjął odczucie gorąca, które rozlewało się z jego gardła do żołądka.

John przysunął sobie krzesło obok niego.

– Będziesz miał szczęście, jak to się nie skończy zapaleniem płuc. Co cię napadło, żeby rąbać drewno w taką pogodę?

Rzeczywiście... co?

– Miałem do wyboru albo to, albo utopić smutki w whiskey. Rąbanie wygrało.

W brązowych oczach Johna błysnęła troska.

– Widzę, że coś cię strasznie zdenerwowało.

Adam wziął głęboki wdech i powoli westchnął z rezygnacją.

– W końcu dowiedziałem się prawdy o moim ojcu. To wszystko okazało się dużo gorsze, niż mogłem się spodziewać.

John nawet nie mrugnął.

– Może dobrze, żebyś to z siebie wyrzucił.

Mięśnie ramion Adama spięły się raptownie. Co John sobie o nim pomyśli? Czy nadal będzie go akceptował, gdy dowie się o jego niegodnym pochodzeniu? Adam rozważał, czy nie zataić tych wszystkich rewelacji, ale szybko odrzucił ten pomysł. John zasługiwał na szczerość.

Starając się mówić zwięźle, opowiedział całą straszną historię swojego poczęcia. Kiedy skończył, John nadal milczał, wpatrując się w ogień. Adam wiedział już z doświadczenia, że w takim momencie kapelan modlił się o to, by Bóg pokierował jego słowami.

– Tak mi przykro, Adamie. To musiał być dla ciebie ogromny szok. Jednakże to wiele tłumaczy, jeśli chodzi o stosunek Jamesa wobec ciebie.

– Pewnie dobrze, że wiem, iż jego niechęć nie była tylko owocem mojej wyobraźni. Mimo to, ta prawda nie jest w stanie naprawić mojego nieszczęśliwego dzieciństwa.

– Nie. Do tego potrzeba wiele modlitwy i otwartego na przebaczenie serca. Ale ja w ciebie wierzę, Adamie. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że z czasem uda ci się przez to przejść.

Adam podrapał się po brodzie.

– Nie jestem tego taki pewien, John. Obecnie jest we mnie tyle gniewu... Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie znowu stanąć twarzą w twarz z rodzicami.

– Na kogo się gniewasz?

Adam zamarł.

– Na człowieka, który wyrządził mojej matce coś tak strasznego. To po pierwsze.

– Na kogo jeszcze?

– Na Jamesa, za to jak mnie potraktował. To nie była moja wina, że przypominałem mojego ojca.

– Oczywiście, że nie. – Przerwał. – A jednak chciałbym, żebyś zastanowił się nad jedną rzeczą.

Adam nauczył się już kiedyś, że przez takie pozornie banalne pytania John zwykle sprawiał, że Adam uświadamiał sobie, że nie do końca miał rację.

– Jakbyś się czuł, gdyby kobieta, którą kochasz została zgwałcona w taki sposób i okazało się, że jest brzemienna? Myślisz, że byłbyś w stanie zrobić to, co James? Poślubić ją i przyjąć to dziecko jako własne?

Adam poderwał się z siedzenia, a w wyobraźni stanęły mu obrazy Neilla Fitzgeralda, wykorzystującego w ten sposób Maggie, a potem jej, noszącej pod sercem niechciane dziecko Neilla. Czy potrafiłby przejść ponad własnym gniewem i przyjąć Maggie z potomkiem Neilla?

Przeszedł w stronę małego okna za niewielkim biurkiem Johna i wpatrywał się w ulewę szalejącą w ciemności.

– Nie wiem, czy bym umiał.

– Ciężko to sobie nawet wyobrazić. Pewnie nigdy nie doświadczyłeś tego rodzaju miłości, która gotowa jest do poświęcenia samego siebie dla dobra innej osoby. – Ciepła dłoń spoczęła na ramieniu Adama. – Takiej miłości, jaką Bóg darzy każdego z nas.

Adam wypuścił z siebie powietrze z jękiem, a może łkaniem, i oparł czoło o chłodną szybę.

– Jaką miłość może mieć Bóg dla człowieka, który wyrządził kobiecie coś tak okropnego?

– Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu grzesznikami. Bóg nie kocha jednych bardziej od innych. Wszyscy jesteśmy cenni w Jego oczach, niezależnie od tego, ile razy upadaliśmy pod ciężarem grzechu. – John objął ramiona Adama i delikatnie poprowadził go z powrotem na krzesło. – Najważniejsze jest, czy szukamy Jego przebaczenia, czy umiemy podnieść się i iść dalej.

Adam zamknął oczy, pozwalając, by przez jego ciało przewalała się burza emocji. Jak miał się po tym wszystkim pozbierać? Czy mógł w ogóle zacząć naprawiać swoje poplątane życie, zdając sobie sprawę z tego, co się stało?

– Potrzebujesz czasu, przyjacielu... Na modlitwę. Na to, by przetrwać to, czego się dowiedziałeś i odnaleźć wolę Bożą w swoim życiu. Wierzę mocno, że nic nie dzieje się przez przypadek. Zawsze jest jakiś cel, tylko potrzeba czasu, by to dostrzec. Oddaj swój gniew i cierpienie Panu i pozwól Mu uzdrawiać twoje zranienia.

Adam trwał w milczeniu, ciesząc się, że kapelan najwyraźniej nie oczekuje od niego odpowiedzi.

John schylił się i podgarnął żar w piecu, a potem zamknął żelazne drzwiczki.

– Dzisiaj możesz spać tutaj, bo jest cieplej. W podziemiach często panuje większa wilgoć. – John podszedł do niego. – Będę się za ciebie modlił, Adamie. Nie zapominaj też o słowach z Pisma Świętego, które zawsze powtarzam: „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według Jego zamiaru” [1].

Adam uśmiechnął się niechętnie.

– Pamiętam. – Spojrzał Johnowi prosto w oczy i dodał: – Dziękuję ci, przyjacielu. Pomogłeś mi przejść przez okres więzienia. Mam nadzieję, że uda ci się wyciągnąć mnie też z tego kryzysu.

John poklepał go mocno po plecach.

– Zrobię wszystko, co będę mógł, albo oddam życie, starając się. A teraz prześpij się trochę. Rano wszystko będzie wyglądać inaczej.

Jednakże gdy Adam przenosił swój koc i poduszkę z pokoju w podziemiach do ciepłego biura Johna, miał wiele wątpliwości, czy jutrzejszy dzień cokolwiek zmieni.



Następnego dnia rano, po sprzątnięciu biura Johna i przeniesieniu rzeczy z powrotem do podziemi, Adam zmusił swoje styrane ciało do wyjścia i skierował się w stronę szopy. Stojąc w wilgotnym, porannym powietrzu, patrzył na porozrzucone kawałki drewna, które porąbał

poprzedniego wieczora. Leżały jak porozsypywane żołnierzyki na polu bitwy. W napadzie szału roztrzaskał kłody, które mogły nadawać się na meble. Teraz o brzasku sprzątał ślady zniszczenia.

Zebrawszy parę ocalonych brewion, otworzył szopę i wszedł do środka, wdychając miły zapach ociosanego drewna. Gdy pochylił się, by ułożyć przyniesione kawałki w koszu na rogu, tknęło go jakieś dziwne przecucie. Rozejrzał się dokładniej i odkrył, że brakowało kilku z jego dzieł. A dokładniej: małej szafki, taboretu i dwóch krzeseł. Na szczęście cedrowa skrzynia i kołyska stały nietknięte. Dlaczego ktoś miałby wziąć kilka mebli, zostawiając te dwa najlepsze?

Przesunął dłonią przez włosy, wciąż jeszcze mokre po porannej toalecie i stwierdził, że zapyta Johna, czy będzie mógł zamykać szopę na klucz. Nigdy za dużo ostrożności, zwłaszcza w miejscu, gdzie trzymał łatwopalne materiały, takie jak lakiery, które, gdyby wpadły w niepowołane ręce, mogłyby stać się przyczyną pożaru.

Adam wrócił do stosu drewna i ułożył polana przeznaczone do opalania w piecu lub kominku. Później, gdy państwo McNabb będą zajęci w ciągu dnia, Adam przyniesie drewno na plebanię. Wyprostował się i wytarł ręce z brudu. Nie zdziwił się, gdy dostrzegł, że John idzie przez trawnik w jego kierunku. Pewnie sprawdza, czy Adam nie zrobił nic głupiego przez noc.

– Dzień dobry, Adamie. Udało ci się przespać choć trochę?

John był jak zwykle świeżo ogolony, a brązowe włosy miał porządnie zaczesane. W przeciwieństwie do zmiętych ubrań Adama, jego koszula i spodnie były starannie wyprasowane.

– Trochę.

– To dobrze. Mam jedną kwestię do omówienia z tobą. Masz ochotę się przejść?

Adam starał się nie pokazać po sobie kwaśnej miny w odpowiedzi na ten dobry humor przyjaciela.

– Jeśli to nie zajmie zbyt długo. Czekam na mnie dziś praca w sierocińcu.

– Ani trochę. – John pokiwał głową, gdy Adam zrównał z nim krok.

Szli razem w milczeniu, jeśli nie liczyć rażnego pogwizdywania Johna, aż skręcili w ulicę 14, gdzie po obu stronach drogi rozciągały się rzędy sklepów.

Adam westchnął z irytacją, bo jego cierpliwość dobiegała już końca.

– Co my tu robimy, John?

– Chciałem ci coś pokazać. – Obdarzywszy go kolejnym nieznośnym uśmiechem, John zatrzymał się przed pustym lokalem wciśniętym pomiędzy sklep spożywczy a sklep z odzieżą męską. Sądząc po grubej warstwie kurzu na szybach, widać było wyraźnie, że to miejsce było już od dawna nieczynne. Nad drzwiami wisiał przekrzywiony szyld, przedstawiający kowadło i szczypce.

– Przyprowadziłeś mnie tu, żeby pokazać mi stary zakład kowalski?

– Dokładnie. – Niczym niezrażony, John wyjął z kieszeni spodni klucz i włożył do dziurki

w zamku. Po kilku mocniejszych szarpnięciach drzwi ustąpiły ze skrzypnięciem.

Z pewnym ociąganiem Adam wszedł do środka za Johnem, który zdejmował pajęczyny z nad ich głów, gdy przechodzili do wnętrza. W środku lokal wyglądał równie ponuro jak z zewnątrz. Był pusty, jeśli nie liczyć długiej lady pod ścianą po lewej stronie oraz kilku drewnianych półek za nią, a także kamiennego paleniska, na którym kowal najprawdopodobniej rozgrzewał swoje narzędzia.

– O co chodzi? Czy ktoś potrzebuje, żeby tu coś zrobić?

Może w końcu któryś z parafian Johna miał dla niego pracę. Rozejrzał się dokładniej dookoła. Jakby tu dobrze posprzątać i wyczyścić drewniane elementy, to miejsce mogłoby się nieźle zapowiadać.

John zwrócił się twarzą w stronę Adama i podparłszy się rękami na biodrach, rzekł:

– W zasadzie to tak. Myślę o otwarciu sklepu.

Adam zmarszczył brwi. To wszystko wydawało się bardzo dziwne jak na jego przyjaciela.

– Mało masz pracy w kościele i w więzieniu? Kiedy miałbyś jeszcze czas, żeby prowadzić swój sklep?

– Nie będę go prowadził. Będę tylko współnikiem i pozostawię codzienne zarządzanie kierownikowi sklepu.

Adam dostał nagle gęsiej skórki, gdy zaczęło do niego docierać, o co chodzi.

– Co to za sklep chcesz otworzyć?

John uniósł brew.

– Sklep meblarski. – Przyjrzał się bacznie Adamowi. – Pomyślałem, że razem tworzylibyśmy niezły duet. Co ty o tym sądzisz?

Adam przełknął z trudem i podszedł do lady. Przesuwał niespiesznie dłonią po drewnie, w wyobraźni już widząc, jak mógłby ją odnowić.

– Kupiłeś ten lokal?

– Wynająłem. Znam właściciela i jest chętny na to, żeby ktoś wykorzystał to miejsce. Dał mi bardzo przyzwoitą cenę.

Adam poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Bardzo pragnął skorzystać z tej okazji, jednak jego duma stanęła na drodze do spełnienia marzenia.

– Doceniam twój gest, John, ale nie mogę na to pozwolić. Twoja rodzina potrzebuje tych pieniędzy.

John wyciągnął dłoń.

– Posłuchaj mnie, proszę. Będę płacił czynsz, do czasu aż nie zaczniesz zarabiać na sprzedaży

mebli tyle, by samemu pokryć koszty. Potraktuj to jak wsparcie na początek, zanim nie staniesz na nogi.

W sercu Adama zaczęła kiełkować nadzieja, ale zaraz potem twarda, chłodna rzeczywistość zwyciężyła.

– To się nie uda. Ludzie nie będą chcieli prowadzić interesów z człowiekiem, który siedział w więzieniu.

– Nie widzę potrzeby, żeby wszystkim mówić o twojej przeszłości.

– A twoi parafianie nie wiedzą?

– Powiedziałem im tylko, że akurat teraz gorzej ci się wiedzie i szukasz pracy. Pozwoliłem sobie też pokazać twoje prace kilku osobom i wydawali się dość zainteresowani.

A więc tak zniknęły te meble.

– A co, jeśli ktoś, kto mnie zna, wygada się?

– Mam nadzieję, że do tego czasu zdobędziesz już dobrą reputację, która będzie się bardziej liczyć. – John przerwał. – Nie wydaje ci się, że warto zaryzykować?

Nadzieja rosła dalej. Zawsze marzył o takiej szansie. Teraz, gdy była na wyciągnięcie ręki, jakże mógłby odmówić. Skierował się na tył budynku i przeszedł przez drzwi wahadłowe na duże zaplecze – idealne miejsce na warsztat, gdzie mógłby tworzyć meble. Na samym końcu znajdowały się wąskie schody prowadzące na piętro.

John oparł się o futrynę i obserwował go. Adam wskazał na schody.

– Co jest na górze?

– Chyba jakieś małe mieszkanie. Idź, sam zobacz.

Adam wspinał się po stopniach do zakurzonego, ale zdatnego do użytku pokoju dziennego. Znajdował się tam piec, który służył jako źródło ciepła i miejsce do gotowania. W pomieszczeniu był stół i krzesło oraz wąskie łóżko i szafa. Wrócił na parter, gdzie oczekiwał na niego John.

– I jak?

– Idealne. – Adam westchnął powoli. – Rozumiem, że ty chcesz zaryzykować, więc ja też jestem chętny.

Uśmiechając się szeroko, John uścisnął dłoń swojego nowego wspólnika. Niespotykany entuzjazm przepełnił serce Adama. Być może, pomimo tych strasznych wiadomości dotyczących jego pochodzenia, sprawy zaczynały w końcu zmierzać w dobrym kierunku. Gdyby udało mu się z tym sklepem, może byłby w stanie zmyć z siebie hańbę przeszłości i pewnego dnia stałby się godny takiej kobiety jak Maggie.

Po raz pierwszy od lat w sercu Adama zapłonęła nadzieja.

Maggie dziarsko maszerowała ulicą. Otuliła się ciasniej szalem wokół twarzy, ciesząc się ożywczym, świeżym powiewem. Potrzebowała wyjść, musiała wreszcie uciec z zamknięcia domu Rylana i poczuć trochę wolności wśród zgiełku miasta.

Przez pięć ostatnich dni czuła się jak więzień. Wychodziła jedynie na krótkie spacerunki, żeby pobawić się z Delią i Chesterem na podwórku.

Wybuch epidemii duru brzuszego był dla wszystkich trudnym wydarzeniem. Rylan i Gabe utknęli w sierocińcu. Colleen zaś zdawała się mieć obsesję i nie spuszczała Delii i niemowlaka z oczu, żeby przypadkiem także one się nie zaraziły. Maggie pomagała w opiece nad dziewczynkami, ale niewiele była w stanie zrobić, by ukoić jej niepokój. Oprócz gotowania i sprzątanania mogła jedynie modlić się, żeby Bóg wlał w serce jej bratowej pokój.

Ponieważ nie miała czym zająć myśli, Maggie obawiała się, że w końcu zwariuje, jeśli nie uda jej się wymknąć z domu, choćby na godzinę. Poza tym ona i Colleen nie musiały przechodzić kwarantanny. Dopóki nie zaobserwowałyby u siebie żadnych objawów i przestrzegały zaleceń dotyczących czystości, nie stanowiły dla nikogo zagrożenia.

Przynajmniej tak sobie tłumaczyła Maggie, gdy szła w kierunku katedry, starając się odsunąć od siebie lekkie wyrzuty sumienia. Telefon, który otrzymała wcześniej tego dnia od pana Ungera, był najlepszą wymówką do wyjścia i nie chciała tego przegapić. Zapytał, czy nie mogliby się spotkać i zasugerował, że ma dla niej jakieś nowiny. Nie śmiała przekładać spotkania, gdyż bała się, że straci możliwość zatrudnienia. Nawet jeśli nic nie miałyby z tego wyjść, będzie mogła w końcu choć na chwilę zmienić otoczenie i może znów pograć na olbrzymich organach.

Choć na początku odczuwała głównie dreszczyk emocji związany z tą wyprawą, im dalej była od domu, tym bardziej zwracała uwagę na każdy hałas. Wiedziała, że Rylan i Gabe wściekliby się, gdyby się dowiedzieli, że wyszła sama i to psuło urok tej wycieczki.

Od pewnego czasu, gdy mijala kolejne przecznice miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Wciąż za plecami słyszała odgłos kroków, które przyspieszały zawsze wtedy, gdy ona. Serce zaczęło jej bić mocniej i oddech gwałtownie się wzmagił. Jeszcze dwie przecznice i dotrze do katedry. Przeszła przez ulicę, a myśl o kościele dodawała jej sił, by iść naprzód. Zupełnie bez sensu ryzykowała swoim bezpieczeństwem. Ale nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby Neill spędzał cały czas, czatując na chwilę, gdy ona sama gdzieś wyjdzie.

Proszę, Panie, daj, żeby to była jakaś przypadkowa osoba, która wyszła po prostu na popołudniowy spacer.

Maggie po raz kolejny przyspieszyła. Kiedy tylko dotrze do katedry Świętego Patryka, będzie już bezpieczna. Neill nie ośmieli się zaczepiać jej w świątyni. Mimo wszystko, otwierając wielkie mosiężne drzwi, czuła, jak jej dłoń drżała. Gdy już znalazła się wewnątrz, skryła się w cieniu kościelnej niszy po lewej, chcąc sprawdzić, czy ktoś rzeczywiście ją śledził. Wcisnęła plecy w ścianę, szczerze pragnąc, żeby bicie jej serca choć odrobinę się uspokoiło.

Niedługo potem drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i na linii jej wzroku pojawiły się nogi w męskich butach. Wstrzymała oddech do czasu, aż mężczyzna nie wszedł głębiej i nie ściągnął czapki.

Gdy tylko dostrzegła kasztanowe włosy i usłyszała wymamrotane pod nosem przekleństwo, Maggie ogarnął gniew.

Wyskoczyła ze swojej kryjówki, wołając:

– Co ty, na wszystkich świętych, tu robisz, Adamie O’Leary? Śledzisz mnie i śmiertelnie mnie przeraziłeś!

Obrócił się i stanął na wprost niej, a jego zmarszczone brwi wskazywały, że także był zagniewany.

– Co ja robię? A co ty robisz, wymykając się tak samotnie? – Podeszedł bliżej, wyraźnie nad nią górując. – Masz szczęście, że akurat szedłem się spotkać z Rylanem, gdy zobaczyłem, że wychodzisz.

– Ja mam szczęście? – Dźgnęła go palcem prosto w pierś. – Szczęście, że wszyscy mnie pilnują jak dzieciaka? Delia ma więcej wolności niż ja. – Maggie zdała sobie sprawę, że to co mówi jest śmieszne, ale nerwy, tłumiony niepokój, który wzbierał w niej od kilku dni, to wszystko teraz wybuchło z niej i nie potrafiła się powstrzymać.

– Może Delia zasługuje na więcej wolności, bo stosuje się do tego, co mówią jej rodzice i nie naraża ich celowo na dodatkowe zmartwienia.

Maggie otworzyła usta, zastanawiając się, jak mu się odciąć.

– Przepraszam, panno Montgomery. Czy wszystko w porządku? – Pan Unger stał pod łukiem, a na jego czole malowało się zaniepokojenie. – Wasze głosy niosą się na cały kościół.

W świątyni za jego plecami widać było ludzi, którzy zaczęli się gapić w ich kierunku.

Nagle jej gniew uleciał jak płomień świeczki zdmuchniętej powiewem wiatru.

– Bardzo przepraszam, panie Unger. Mój... znajomy i ja trochę się poróżniliśmy.

Zlekceważyła parsknięcie Adama.

Pan Unger wskazał dłonią na małe drzwi prowadzące na chór.

– Czy możemy teraz porozmawiać?

– Oczywiście. Dlatego tu przyszłam. – Odwróciła się do Adama, mówiąc: – Dziękuję, panie O’Leary, jak widać, mam się dobrze. Możesz wracać do swoich uprzednich zajęć.

Adam posłał jej miażdżące spojrzenie.

– Nie spieszę się. W zasadzie, chętnie się trochę pomodłę.

– Jak sobie życzysz. – Obróciła się na pięcie i weszła za panem Ungerem po schodach.

Choć wciąż była trochę rozsierdzona, Maggie odetchnęła z ulgą, wiedząc, że Adam będzie tu, gdy ona skończy rozmowę i uwolni ją od samotnego, długiego powrotu do domu.

Adam był w takim stanie, że nawet nie mógł się skupić na modlitwie. Musiał opanować gniew, zanim będzie gotów zwrócić się do Boga. Nie wiadomo, co mogłoby z tego wyjść.

Starając się jakoś pozbyć podłego nastroju, przemierzał szerokie przejście katedry. Jego twarz i pierś rozpalało zdenerwowanie. Jedyne, co mógł powiedzieć Bogu, to podziękować za to, że szedł do Colleen akurat w czasie, gdy Maggie wymykała się samotnie z domu. Nie chciał nawet myśleć, w jakie kłopoty mogłaby się wpakować, gdyby on nie ruszył za nią. Adam nie miał nawet cienia wątpliwości, że Fitzgerald czaił się gdzieś w pobliżu, tylko czekając, by przyłapać ją samą. A ona o mało co nie dała mu idealnej sposobności do tego.

Adam oparł się o ścianę nieopodal schodów, gotowy obserwować każdego, kto będzie wchodził do kościoła. Myślami powędrował znów w stronę nieprzyjemnego tematu... George'a Drake'a. Przez parę kolejnych dni Adam przetrwał fakt, że jego biologiczny ojciec był przestępcą i że najwyraźniej odziedziczył po nim takie skłonności. Wszelka nadzieja, że być może któregoś dnia stałby się godny uczuć Maggie, uschła jak zwiędły kwiat. Ona zasługiwała na prawego mężczyznę. Mężczyznę bez takiego obciążającego dziedzictwa. Nawet dzisiaj... to jej zachowanie od razu wprawiło go w gniew. Miał wrażenie, że to był najlepszy argument, by nie pozwolił sobie żywić do niej jakichkolwiek głębszych uczuć.

Prawie w ogóle nie dotarły do niego pierwsze tony pieśni granej na organach. Ale za chwilę, gdy dźwięki przeszły w crescendo, wyprostował się i oparł o ścianę. To grała Maggie. Dałby za to głowę.

Adam na początku nie zauważył, że ktoś go minął i właśnie wszedł do kościoła. Zwrócił na niego uwagę dopiero, gdy mężczyzna zatrzymał się i zaczął ukradkiem rozglądać się wokół siebie, jakby kogoś szukał.

Fitzgerald. Adam drgnął i odskoczył od ściany. Ten bydlak obserwował jednak Maggie. Czy wiedział, że O'Leary też tu był?

Schował się za posąg, by pozostać niezauważonym. W chwili, gdy wzrok Fitzgeralda skierowany był w stronę chóru, Adam zamarł. Sądząc po triumfalnym wyrazie twarzy Irlandczyka, domyślił się on, że to Maggie gra na organach.

Adam zacisnął dłonie w pięści, a serce waliło mu nieznośnie. Zastanawiał się, czy nie ujawnić się przed Fitzgeraldem, ale nie chciał robić scen na środku kościoła. Zamiast tego ukradkiem przeszedł w stronę schodów i przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegł w stronę wibrujących dźwięków, aż do ogromnych organów, przy których siedziała Maggie. Jej palce poruszały się biegle ponad czterema imponującymi rzędami klawiszy. Podeszedł do niej, nie zwracając nawet uwagi na marsową minę pana Ungera.

– Maggie, musisz ze mną iść. Natychmiast.

Zafalszowała i spojrzała na niego gniewnie.

– Nigdzie nie idę...

– On tu jest, Maggie. – Adam przeszył ją wzrokiem i skinął, a jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia. Odwróciła się szybko do pana Ungera, pytając:

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście?

Pan Unger patrzył to na Maggie, to na Adama, najwyraźniej wyczuwając jej niepokój.

– Są jeszcze schody po drugiej stronie.

– Dziękuję. – Adam wyciągnął dłoń w stronę Maggie, która nadal siedziała jak zamurowana na ławce.

Pan Unger pochylił się w jej stronę.

– Czy będziesz bezpieczna w towarzystwie tego człowieka, panno Montgomery?

Wstała i sięgnęła po swoje okrycie.

– W porządku, panie Unger. To ten mężczyzna na dole stanowi problem.

– Nazywa się Neill Fitzgerald. Wysoki. Ciemny płaszcz. Twierdzi, że jest narzeczonym Maggie, ale to nieprawda. – Adam pomógł Maggie okryć szalem głowę i ramiona. – Jeśli mógłby pan zatrzymać go na chwilę, żebyśmy mieli więcej czasu na wyjście, byłbym panu bardzo wdzięczny.

Organista pokiwał głową.

– Oczywiście. – Po raz kolejny zwrócił się w stronę Maggie. – Będę czekał na twoją odpowiedź, młoda damo.

– Dziękuję panu bardzo, panie Unger. Wkrótce się odezwę.

Na schodach odbiły się echem czyjeś kroki.

Adam złapał Maggie za ramię i poprowadził ją w kierunku tylnych schodów. W tym czasie pan Unger wyszedł w stronę, z której nadchodził już Fitzgerald.

Zeszli na dół i opuścili kościół głównym wyjściem tak cicho, jak tylko umieli, a potem ruszyli Piątą Aleją.

Maggie szła bez słowa, a jej twarz była surowa. W jednej chwili Adam pragnął, żeby na niego nakrzyczała. Nawet jej cięty język byłby lepszy niż to milczenie.

– No dalej. Powiedz to – wydusiła z siebie wreszcie.

Adam dostrzegł jej napięte rysy.

– Nie muszę. Sama wiesz, że to był kiepski wybór wychodzić samotnie.

Owinęła się ciaśniej szalem i westchnęła nierówno. Widok jej roztrzęsionych dłoni mówił mu, jak bezsilnie i bezradnie się czuła, więc powstrzymał pragnienie, by jeszcze ją napominać.

– Obiecaj mi, że już więcej tego nie zrobisz.

Zacisnęła mocno usta, a potem skinęła.

– Obiecuję.

Gdy szli dalej, Adam starał się znaleźć jakiś sposób, by odwrócić jej uwagę od tamtych wydarzeń.

– O jakiej to ofercie mówił ci pan Unger?

Jeszcze mocniej zacisnęła usta i przyspieszyła.

– Chyba nie była to jakaś oferta matrymonialna?

Stała w miejscu i rozdziawiła usta.

– Nie bądź niemądry. Lada dzień będzie miał sześćdziesiątkę.

– No i co?

Jej nozdrza drgały. Czekał, gdy ona walczyła ze sobą, co mu odpowiedzieć.

– Jeśli już musisz wiedzieć, zaoferował mi posadę dodatkowej organistki.

– Na pewno się z tego cieszysz.

Znowu ruszyła szybciej.

– Tak. Chociaż pensja nie wystarczy na utrzymanie. Będę musiała też uczyć.

Otoczający ich gwar ulicy był dla nich barierą ochronną. Konie stuknęły kopytami na drodze i jakieś pojedyncze samochody trąbiły. Adam ujął ją za ramię i przeszli na drugą stronę.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci, by zostać w Ameryce? Nie będziesz tęsknić za domem? – Serce podskoczyło mu do gardła na samą myśl, że Maggie mogłaby żyć po drugiej stronie oceanu.

Westchnęła łagodnie.

– Kocham Irlandię. Ale od kiedy Rylan wyjechał do Ameryki, zawsze chciałam podróżować, zobaczyć więcej świata.

– Szukasz przygód?

– Nie. Po prostu odmiany. Jestem zmęczona tym, że wszyscy we wsi wiedzą o mnie wszystko. Zmęczona tymi wszystkimi kawalerami, z którymi dorastałam, a wiem, że nie chcę poślubić żadnego z nich.

– Zatem pragniesz własnego domu i rodziny?

– Oczywiście. Jak większość kobiet... – obruszyła się.

– Chyba tak. – Jakaś tęsknota ścisnęła go w piersi, bo wiedział, że nie będzie mógł być tym, który wypełni pragnienie jej serca. Jedyne, co mógł zrobić, to chronić ją.

Maszerowali dalej w milczeniu. Adam od czasu do czasu spoglądał za siebie, upewniając się, że Fitzgerald nie podąża ich śladem.

– Adamie, czy coś jeszcze cię trapi?

Zerknął na nią i zobaczył, że bacznie się w niego wpatruje ze zmarszczonym czołem.

– A Fitzgerald nie wystarczy?

Skrzywiła nos, tak jakby trafiła w fałszywą nutę.

– Mam wrażenie, że coś jeszcze cię prześladowuje.

Fakt, że z taką łatwością umiała go przejrzeć, wprowadził go w zakłopotanie. Zaciął usta i szedł dalej.

– Czy Rylan...

– To nie ma nic wspólnego z tobą ani Rylanem.

Szła bez słowa przez jakiś czas, a potem spróbowała ponownie:

– Chodzi o matkę Ivy? Kontaktowała się z tobą?

– Nie.

– Czy to twoja...

– Dosyć. – Adam podrapał się po brodzie, żałując ostrego tonu. Być może powinien przyznać się po prostu do swojego nieszczęsnego pochodzenia. Może wtedy przestałaby go prześladować w marzeniach. Odraza malująca się na jej twarzy z pewnością wyleczyłaby go z wszelkich miłosnych urojeń.

Dotarli do domu Montgomerych i zatrzymali się przed schodami wejściowymi. Adam zwrócił się w stronę Maggie. Smutek na jej twarzy przeszywał go wyrzutami sumienia.

– Przepraszam, że na ciebie warknąłem. Chodzi o to, że... – Westchnął. – Dowiedziałem się czegoś strasznego i potrzebuję czasu, żeby się z tym uporać.

W jej oczach zapłonęło współczucie.

– Może dobrze by ci zrobiło, jakbyś o tym porozmawiał.

– Nie ma o czym rozmawiać. – Zacisnął zęby aż do bólu.

Ujęła go za rękę i czuł promieniujące od niej ciepło.

– Chodźmy do środka. Tak będzie bezpieczniej, niż stać tu i czekać, aż Neill przyjdzie za nami.

Westchnął.

– Dobrze. Ale tylko na chwilę. – Wejdzie tylko, żeby sprawdzić, czy ona jest bezpieczna. Tylko, żeby powiedzieć jej o swoich okropnych początkach i by już do końca rozwiać wszelkie złudzenia.

Weszli do środka, starając się być jak najciszej. Maggie odwiesiła szal na wieszaku, a on zdjął czapkę. Jakby rozumiejąc się bez słów, weszli oboje do salonu. Choć w pokoju nikogo już nie było, w kominku wciąż jeszcze tlił się mały ogień.

– A więc co to za straszna wiadomość? – zapytała, wygładzając suknię, gdy siadała.

Dlaczego każdy jej ruch tak go fascynował? Oderwał od niej spojrzenie i wbił wzrok w dywan.

– To, co ci powiem musi pozostać w tajemnicy, zwłaszcza przed Colleen.

– Masz moje słowo.

Napięcie rosło w nim i nie mógł już usiedzieć. Zerwał się na nogi i przeszedł przez pokój, zatrzymując się przed kominkiem.

– Dowiedziałem się, że James O’Leary nie jest moim prawdziwym ojcem.

Usłyszał jej okrzyk zdziwienia.

– Nie rozumiem. Kto zatem jest twoim ojcem?

Adam wpatrywał się w ogień, żalując, że jego życie pełne jest tajemnic i wstydu. Chciał być dla niej wzorem szlachetności. Ale nie było sensu pragnąć tego, co i tak było niemożliwe. Odwrócił się twarzą w jej stronę.

– Przestępca o nazwisku George Drake. – Zrobił pauzę, by jeszcze dodać znaczenia swoim słowom. – Mężczyzna, który zgwałcił moją matkę. Moje poczucie było wynikiem brutalnego aktu.

Zakryła usta dłonią.

– Och, Adamie!

– Drake dokonał żywota w więzieniu, co tylko potwierdza prawdziwość starego porzekadła. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Wybuchnął gorzkim śmiechem. A potem, nie chcąc patrzeć na jej odrazę, pochylił się i zaczął pogrzebaczem zgarniać żar.

Był świadom każdego oddechu Maggie, słyszał jak podnosi się z sofy, czuł drzenie jej bliskości. Kiedy wyprostował się i wytarł dłonie, ona stała przed nim, a w jej oczach błyszczały łzy.

– To nie twoja wina, Adamie.

– Jestem owocem przestępczego czynu mojego ojca. Nic dziwnego, że James nie mógł znieść nawet mojego widoku.

– Adamie...

Odsunął się od niej.

– Teraz już widzisz, dlaczego powinnaś się trzymać z dala ode mnie. Zanim skażę także ciebie. Żegnaj, Maggie.

– Poczekaj.

Dotyk na ramieniu wstrzymał go, nim dotarł do drzwi. Stanął i zamknął oczy, modląc się, by miał siłę odejść.

– Dla mnie nie liczy się, kim był twój ojciec, Adamie. Ja wiem, że jesteś dobrym i przyzwoitym człowiekiem. I nic nie zmieni tego, co sędzę.

Otworzył oczy, chcąc już zaprzeczyć, ale malujące się na jej twarzy emocje sprawiły, że odjęło mu mowę. Zanim dotarło do niego, co zamierza, ona przysunęła się bliżej niego i dotknęła wargami jego ust.

To było mocniejsze niż porażenie prądem. Zamarł na chwilę, a potem jego duszę zaczęła przenikać słodycz spływająca z jej ust. Przysunęła się jeszcze bliżej, otaczając jego szyję ramionami, swoim dotykiem oraz zapachem. Poczul ciepło w żołądku. Łomoczące serce wprawiało pierś Adama w drzenie. W końcu jej gardłowy jęk przebił się przez jego osłupienie.

Z wielkim wysiłkiem oderwał swoje usta od jej warg.

– Maggie, nie. Nie widzisz, że to niewłaściwe?

Jej palce muskały jego policzek i tylko potrzęsnęła głową.

– Widzę, jak bardzo *właściwe* to jest. Nie jesteś swoim ojcem, Adamie.

Jęknął, chcąc zaprotestować. Nie zasługiwał na jej wiarę w niego, na jej lojalność. A jednak w tych pięknych oczach widział odbicie takiego człowieka, jakim pragnął być.

Ciemne kosmyki włosów muskały jej policzek. Delikatna skóra kusiła go, aż się prosząc o to, by ją pogładzić. Musiał się wyrwać z jej upajającej bliskości, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jego wzrok spoczął na zaróżowionych, lekko wilgotnych wargach.

– Maggie. – Nie zastanawiając się więcej, pochylił się i ustami odnalazł jej usta, a potem przyciągnął ją bliżej siebie. Jej palce błądziły wśród jego włosów nad karkiem, a jej wargi złączone z jego pozostawiały lekki smak miodu. Serce waliło mu jak oszalałe. W końcu, zanim zupełnie straciłby kontrolę, odsunął się i oparł swoje czoło o jej. Palcem przesuwał po gładkiej linii jej policzka i westchnął z żalem.

– Maggie? – Dobiegł ich głos Colleen. – Z kim rozmawiasz?

W oczach Maggie błysnęła panika.

– Nie zrobiliśmy nic złego. – Ucałował jej dłoń i wyszedł na korytarz. – To tylko ja, Colleen.

Jego siostra wyglądała tak, jakby właśnie zwlekła się z łóżka. Kasztanowe włosy splecione w długi warkocz spływały na jej szlafrok.

– Co ty tu robisz o tej porze?

Adam uśmiechnął się.

– Jest dopiero dziewiąta. Nie wszyscy chodzą spać jak niemowlaki.

Otuliła się rękami.

– Musiało mi się przysnąć. Wydawało mi się, że jest już dużo później. – Wyprostowała się. – Ale wciąż nie rozumiem... dlaczego ty tu jesteś?

– Przyszedłem wcześniej, bo chciałem porozmawiać z Rylanem i wtedy zobaczyłem, jak Maggie idzie do katedry. Musiałem się upewnić, że wróci cała i zdrowa.

Colleen weszła do pokoju.

– Maggie, dlaczego tak ryzykowałeś?

Adam przewidywał, że Maggie kierowana swoim irlandzkim temperamentem może wybuchnąć w każdej chwili. A jednak schyliła tylko głowę i złożyła ręce na spódnicy.

– Przepraszam, Colleen. Tak bardzo chciałam wyrwać się choć na chwilę z domu. To się już więcej nie powtórzy.

Colleen podeszła do Maggie i wzięła ją w ramiona.

– Nie przeżyłabym, gdyby stało ci się coś złego. – Odwróciła się do Adama, a na jej twarzy wyryte było zmęczenie. – Pewnie nie słyszałeś o wybuchu epidemii duru brzuszego. Rylan i Gabe pozostaną w sierocińcu do czasu, aż zostanie zniesiony okres kwarantanny.

Adam aż podskoczył.

– Słyszałem o chorobie, ale nie wiedziałem nic o kwarantannie. Chcesz powiedzieć, że wy dwie jesteście tu same?

Colleen potwierdziła skinieniem. Przeszył go niepokój.

– Fitzgerald był w okolicy katedry, czatując na Maggie. Przecież mógłby się tutaj wedrzeć i nie miałby go nawet kto powstrzymać – wyrzekł, a jego oddech zaczął przyspieszać. Stał teraz z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Maggie opadła na jedno z krzeseł, cała pobladła, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie powagę sytuacji. Colleen bawiła się nerwowo paskiem od szlafroka.

– Tak bardzo martwiłam się o dzieci, że nawet nie pomyślałam...

Adam wyprostował się, coraz bardziej umacniając się w podjętej decyzji.

– Zostanę tu do czasu powrotu Rylana albo Gabe’a.

Colleen otuliła się ciasniej szlafrokiem, mówiąc:

– Nie sądzę...

– Żadnego sprzeciwu, Colleen. Wolę gniew Rylana niż ryzyko, że coś się którejs z was stanie.

Colleen przygarbiła się, westchnąwszy ciężko.

– Szczerze mówiąc, nie mogę nawet spać, gdy nie ma tu Rylana. Pewnie dlatego tak przysypiam, gdy tylko odłożę Ivy do snu. – W jej oczach pojawiły się łzy, a to nie był częsty widok u jego zaradnej siostry. Musiała być wykończona.

Jakiś ruch przy otwartych drzwiach do salonu sprawił, że Adam obrócił się szybko. Do pokoju weszła mała Delia. Policzki miała tak rozpalone i czerwone jak jej koszulka nocna.

– Mamo, źle się czuję. Boli mnie brzuch.

Gdy Colleen wzięła Delię w ramiona, Maggie i Adam wymienili zmartwione spojrzenia. Skinął szybko, by ją pocieszyć. Zrobi, co w jego mocy, by pomóc swojej rodzinie przejść przez ten kryzys.

I nie spocznie, dopóki życie Maggie nie stanie się znów bezpieczne.



Kolejnego ranka Maggie postawiła wodę w czajniku na kuchni i zajęła się szynką i jajkami skwierczącymi na patelni. Spodziewała się, że lada moment Adam może pojawić się na śniadaniu. Po prawie całkiem bezsennej nocy, gdy wpatrywała się w sufit, który dzielił ją od pokoju zajmowanego przez Adama, i przeżywała na nowo dreszcz jego pocałunku, Maggie była wyczerpana nerwowo.

Powinna się wstydzić swojego bezczelnego zachowania, gdy jako pierwsza pocałowała Adama, ale nie potrafiła żałować czegoś, co wydawało jej się takie właściwe. Wiedziała, że on nie pozwoliłby sobie okazać tych uczuć, że wstrzymywałyby go myśli o jego niskiej wartości i surowa samokontrola, dlatego też wzięła sprawy w swoje ręce i otworzyła przed nim swoje serce. Miała tylko nadzieję, że to nie przyniesie nieodwracalnej szkody dla ich relacji.

Maggie przewróciła jajka, wciąż zastanawiając się, ile powinna przygotować. Nie spodziewała się, żeby Colleen miała niedługo zejść. Po przyjeździe doktora Reardona przesiedziała większość nocy przy łóżeczku Delii.

Ze schodów doszedł ją odgłos ciężkich kroków i poczuła od razu dreszcz niecierpliwości. Czy Adam będzie chciał porozmawiać o ich pocałunku, czy też będzie się zachowywał, jakby nic się nie stało?

– Dzień dobry, panno Montgomery.

Odwróciła się od kuchni i ze zdziwieniem dostrzegła w wejściu doktora Reardona.

– Dzień dobry, doktorze. Nie spodziewałam się tu pana.

Sądząc po jego zmęczonym wyrazie twarzy i potarganych włosach, domyślała się, że nie spał całą noc.

– Uznałem, że lepiej będzie obserwować Delię. Nie chciałem jej prznosić w środku nocy, ale teraz rano muszę ją przewieźć do infirmerii w sierocińcu. Jej matka właśnie ją przygotowuje do drogi.

Strach ścisnął sercem Maggie.

– Ale Delia wyzdrowieje, prawda?

Doktor unikał kontaktu wzrokowego.

– Postaramy się zrobić, co w naszej mocy. Stan kilkorga pozostałych chorych dzieci ostatnio nieco się poprawił.

– Proszę usiąść i poczekać tutaj. Podam panu śniadanie.

Uśmiechnął się niewyraźnie i przysunął sobie krzesło.

– Dziękuję. Już od paru dni nie jadłem ciepłego posiłku.

Maggie wzięła przez tkaninę ucho czajnika i nalała do kubka gorącej kawy. Dopiero teraz dotarło do niej, że ostatnio nie dostali żadnych wypieków od pani Norton.

– A co z panią Norton? Chyba nie odeszła z pracy z powodu tej choroby? – Znając oddanie kucharki wobec dzieci, Maggie nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić takiej sytuacji.

– Niestety pani Norton sama się rozchorowała. A pomoc kuchenna zniknęła.

– To straszne. – Z każdą chwilą sytuacja wydawała się pogarszać, odkrywając kolejne oblicza kryzysu. Postawiła przed doktorem talerz z szynką i jajkami. – Kto w takim razie gotuje?

– Siostry robią, co mogą – wyjaśnił, rzucając się na jedzenie, jakby umierał z głodu.

Maggie odwróciła się w stronę kuchni i wbiła trzy kolejne jajka na gorącą patelnię.

– Czy udało się już ustalić przyczynę epidemii?

Doktor Reardon pokręcił przecząco głową.

– Ciężko to stwierdzić. Nie wiemy, dlaczego niektóre dzieci się zaraziły, podczas gdy inne nie. Wykluczaliśmy już wodę pitną, więc teraz podejrzewamy, że to jedzenie musiało być skażone. Wypytujemy każdego, by znaleźć jakiś wspólny element. – Przegryzł kolejny kęs i przełknął. – Tymczasem, wszyscy musicie szczególnie dbać o właściwe mycie rąk i przestrzeganie środków higieny.

Znów przeniknął ją strach.

– Oczywiście. A co z niemowlakiem? Czy Ivy coś grozi?

Ponura mina lekarza była dla niej odpowiedzią.

– Poczekamy i zobaczymy – odparł. – Ale to ze względu na Ivy stwierdziłem, że lepiej przenieść Delię.

Panie Boże, co zrobi biedna Colleen, jeśli straci jednocześnie Delię i dzidziusia z powodu tej choroby?

Maggie nawet nie chciała o tym myśleć.

Doktor Reardon otarł serwetką usta i wstał od stołu.

– Dziękuję za śniadanie, panno Montgomery. I proszę uważnie obserwować objawy. Złe samopoczucie, gorączka, ból brzucha. Jeśli tylko poczułaby się pani gorzej, proszę od razu przyjść do sierocińca.

Adam stanął w drzwiach kuchni. Maggie drgnęła z zaskoczeniem, zdziwiona, że nawet nie usłyszała go, gdy schodził po schodach. Choć był roslym mężczyzną, potrafił zachowywać się naprawdę cicho.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego chorzy nie są przewożeni do szpitala? Z pewnością tam mieliby lepszą opiekę. – W jego głosie wyraźnie słychać było wyrzut.

Doktor Reardon znieruchomiał.

– A pan to kto?

– Adam O’Leary. Brat Colleen i wuj Delii.

Maggie zajęła się przygotowaniem kawy dla Adama.

– Panie O’Leary, rozumiem pana zaniepokojenie. Jednak chcemy uniknąć rozprzestrzeniania się choroby, o ile to tylko możliwe. Przewiezienie ich do szpitala mogłoby skończyć się jeszcze większą epidemią.

Adam skinął krótko.

– Zapewne jest w tym jakaś logika.

Maggie postawiła talerz ze śniadaniem na stole i gestem zaprosiła Adama, by usiadł. Jakiś odgłos w korytarzu powstrzymał go jednak. Colleen stanęła w drzwiach, trzymając Delię na rękach. Doktor podszedł szybko, by jej pomóc.

– Pani Montgomery, trzeba było powiedzieć, że już jesteście gotowe. Zniósłbym ją na dół.

Wtulona w ramię Colleen, twarz Delii była jeszcze bardziej rozpalona i dziewczynka patrzyła szklonym wzrokiem. Alabastrowa skóra Colleen teraz wydawała się bardzo szara. Włosy miała upięte na szybko w koczek na karku.

– Mówił pan, że pański samochód jest zaparkowany przed domem?

– Zgadza się, ale pani Montgomery... – zaczął, kładąc dłoń na jej ręce. – Wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby pani tu została. Zajmiemy się Delią, obiecuję.

Jakiś rodzaj paniki przeciął twarz Colleen.

– Nie pozwolę jej jechać tam samej. Ona potrzebuje matki. – Jęk Delii tylko potwierdził te słowa.

– A co z niemowlakiem? Nie możemy ryzykować, że się zarazi i zabrać ją tam.

Łzy trysnęły z oczu Colleen.

Współodczuwając cierpienie Colleen, która postawiona była przed tak trudnym wyborem, Maggie otarła ręce o fartuch i rzekła:

– Colleen, ja się zajmę Ivy. Ty jedź z Delią.

Colleen przeniosła wzrok z Maggie na Adama i potrząsnęła głową.

– To nie będzie zbyt właściwe... wy sami tu we dwójkę, bez przyzwoitki. Rylan i Gabe się wściekną.

Adam stanął przy boku Maggie.

– W takim razie przyślij tu kogoś z nich, jeśli tak się tym martwisz. Nie zostawię Maggie i dziecka bez ochrony.

Doktor Reardon zmarszczył brwi.

– Ochrony przed czym?

– Przed mężczyzną, który prześladowuje Maggie. Jest tak samo niebezpieczny jak choroba.

Wyglądało na to, że Colleen zbiera się w sobie.

– Zastanowię się, kto mógłby tu przyjechać i zamieszkać. Może Brianna? Tymczasem jedźmy już, doktorze.

– Będę się za was modlić – zawołała za nimi Maggie, gdy już wychodzili.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, miała wrażenie, że nadmiar stresu zmiążdży ją. Maggie wzięła głęboki oddech i odwróciwszy się, zobaczyła, że Adam patrzy na nią z wielką uwagą.

– Cóż – rzekła szybko. – Chyba pójdę po dziecko. Zjedz śniadanie, zanim wystygnie.

Adam wyciągnął dłoń i zatrzymał ją. Bez słów przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona.

– Będzie dobrze, Maggie. Przejdziemy przez to... razem.

Pomimo wszelkich starań, wielka gula stanęła jej w gardle. Zamknęła oczy i cieszyła się jego kojącym zapachem, czerpiąc siłę z jego krzepiącej obecności.

– Tak. Przejdziemy. Z Bożą łaską i miłosierdziem.

Aurora zeszła głównymi schodami sierocińca na parter. Nie potrafiła przywyknąć do spokoju, który teraz panował w tym miejscu, wcześniej pełnym gwaru i radości. Nawet zdrowe dzieci wyczuwały powagę sytuacji.

Ze zmęczeniem otarła dłonią czoło, próbując sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia. Sobota? Niedziela? Od jak dawna już tkwią tu zamknięci?

Myślni wróciła do swoich rodziców i ostatniej rozmowy telefonicznej, którą przeprowadziła z matką. Chociaż mama była zmartwiona tym, że Aurora znalazła się tak blisko epidemii, przyjęła ten stan rzeczy i obiecała postarać się poskromić jakoś reakcję ojca. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała Aurora, było, by jej tata pojawił się teraz w sierocińcu i zaczął robić sceny.

Ktoś wytrwale dobijał się do drzwi wejściowych, odrywając tym samym Aurorę od jej rozmyślań. Po co pukał, pomimo wszelkich ostrzeżeń wywieszonych na zewnątrz?

Z pewną dozą nieufności Aurora uchyliła drzwi. Przed wejściem stała nieznajoma kobieta, a z jej postury było wyraźne zaniepokojenie.

– W czym mogę pomóc? – Aurora starała się nie gapić na jej twarz pokrytą grubym makijażem, która wyraźnie odznaczała się na tle nieatrakcyjnych brązowych włosów i wytartego płaszcza.

Kobieta uniosła brodę.

– Chciałabym rozmawiać z kierownikiem sierocińca.

Aurora zamrugnęła.

– Przepraszam panią, ale jak sama pani widzi, przechodzimy właśnie okres kwarantanny. Proszę może spróbować skontaktować się telefonicznie.

Błade oczy kobiety przybrały surowy wyraz.

– Moje dziecko tam jest i nie mogę pozwolić, by narażone było na takie zagrożenie. Musi wrócić ze mną do domu.

Nic z tego, co mówiła ta kobieta, nie miało sensu. Ale sądząc po tym, jak bardzo była poruszona, Aurora wątpiła, czy udałoby się dotrzeć do logiki kobiety. Najlepiej, żeby Rylan to załatwił.

– Proszę tutaj chwilkę poczekać. Pójdę zobaczyć, czy jest pan Montgomery.

Aurora poszła prosto do gabinetu Rylana, gdzie zastała go razem z Gabem pogrążonych w poważnej rozmowie. Obaj mężczyźni mieli bardzo ponure miny.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszła jakaś zrozpaczona kobieta. Mówi, że jest tu jej dziecko i chce je zabrać.

Gabe podniósł się i zapytał:

– Jak to możliwe? Czy te dzieci nie są sierotami?

Rylan zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wszystkie. Część z nich ma rodziców, którzy nie mogą ich utrzymać. – Podniósł się ze swojego miejsca przy biurku. – Czy wspominała, jak ma na imię jej dziecko?

– Nie.

Westchnął przeciągle.

– Porozmawiam z nią na zewnątrz. Uświadomię jej, jaka jest sytuacja. Trzeba się tylko modlić, żeby jej dziecko to nie było któreś z tych chorych.

Jakieś zamieszanie przed drzwiami gabinetu przykuło teraz uwagę Aurory. Rylan i Gabe wyszli na korytarz. Przed głównymi schodami, trzymając w ramionach dziewczynkę, stał doktor Reardon i tłumaczył coś Colleen.

Rylan ruszył w ich stronę.

– Colleen, kochanie... Co ty tu robisz? – Zatrzymał się w pół kroku, gdy rozpoznał dziecko. – Delia?

Colleen podbiegła do męża i rzuciła się w jego ramiona.

– Niestety ma gorączkę. – Doktor Reardon posłał Aurorze zaniepokojone spojrzenie ponad głową Rylana. – Lepiej, żebyśmy ją leczyli tutaj.

Gabe poszedł do nich i położył rękę na ramieniu brata.

– Ty zaopiekuj się swoją rodziną, ja zajmę się kobietą przed wejściem.

Rylan pokiwał głową, dziękując mu i starając się dalej pocieszać zrozpaczoną żonę.

– Musiałam zostawić Ivy z Maggie – łkała Colleen. – Doktor powiedział, że ryzyko byłoby zbyt duże.

– Ciii, kochanie. Dobrze zrobiłaś. Chodźmy umieścić Delię na jakimś łóżku.

Ciepły dotyk dłoni na ramieniu przywrócił Aurorę do rzeczywistości. Gabe wetknął jej w rękę chusteczkę i dopiero wtedy dotarło do niej, że ona też płakała.

– Czy pomożesz mi z kobietą przed wejściem?

Otarła mokre policzki.

– Oczywiście. Dziękuję ci.

Kiedy otworzyli drzwi i wyszli przed budynek, kobieta obróciła się szybko i stanęła na wprost

nich.

– Już myślałam, że o mnie zapomnieliście.

– Proszę wybaczyć zwłokę – zaczął Gabe. – Musieliśmy najpierw poradzić sobie z pewną sytuacją awaryjną.

Oczy kobiety zrobiły się wielkie.

– Co się tam dzieje?

Gabe posłał jej łagodny uśmiech.

– Proszę najpierw pozwolić, że się przedstawię. Jestem Gabriel Montgomery. Mój brat kieruje tym sierocińcem. A to jest panna Hastings, która dogląda chorych dzieci.

Kobieta cofnęła się i zakryła dłonią w rękawiczce usta i nos.

– Czy to ospa wietrzna?

– Dur brzuszny. Mogę prosić pani godność?

– Jolene Winters. Zostawiłam tu swojego noworodka parę tygodni temu, ale zmieniłam zdanie. Chcę ją wziąć z powrotem.

Aurora poczuła, że nogi zrobiły jej się jak z waty. Jedyne niemowlak w sierocińcu to była Ivy... ta, którą Colleen uważała za swoje dziecko. Posłała Gabe'owi nerwowe spojrzenie i sądząc po jego wyrazie twarzy, wiedziała, że on też się tego domyślił.

– Z pewnością ucieszy się pani z wiadomości, że pani dziecko nie przebywa w sierocińcu. Kierownik i jego żona wzięli ją do swojego domu.

Niezbyt ją to pocieszało, bo kobieta wydawała się teraz jeszcze bardziej przestraszona.

– Żądam, by mi ją natychmiast oddano.

Aurora z ulgą przyjęła fakt, że Gabe wystąpił krok w przód.

– Obawiam się, że to niemożliwe – zaczął łagodnie tłumaczyć. – To niezgodne z regulaminem.

Aurora nie miała pojęcia, czy to prawda, ale z ust Gabe'a te słowa zabrzmiały bardzo oficjalnie.

Panna Winters uniosła głowę i rzuciła:

– W takim razie chcę porozmawiać z kierownikiem osobiście. Czy on tu jest?

Gabe zawahał się. Najwyraźniej rozważał sytuację. Lekki powiew rozwiało jego włosy i teraz na jego przystojnej twarzy widać było niezdecydowanie.

– Jeśli mi pan nie powie, wrócę tu z konstabłem. Mam prawo do swojego dziecka – wykrzyczała

już na skraju hysterii.

Ludzie mijający ich na chodniku spoglądali z zainteresowaniem w ich stronę. Dom dziecka Świętej Rity cieszył się znakomitą reputacją. Tego jeszcze brakowało, żeby oprócz epidemii przybył im skandal i najazd policji.

Aurora otworzyła przed nią główne drzwi.

– Jeśli zechce pani wejść i usiąść, pójdę po niego.

Panna Winters wskazała na informację z ostrzeżeniem.

– A co z zarazą?

– Będzie pani bezpieczna w tym miejscu.

– Zgoda. – Kobieta przeszła zamaszystym krokiem obok nich i weszła do środka.

Aurora odwróciła się do Gabe'a. Jego pełen cierpienia wzrok wyrażał te same obawy, które wypełniały jej serce.

Jak Rylan i Colleen poradzą sobie ze stratą Ivy i jednoczesnym zagrożeniem utraty małej Delii?



A więc tak by to było, gdyby Maggie była jego żoną i opiekowała się ich małą córeczką.

Adam oparł się wygodnie na krześle i patrzył, jak Maggie kołysze w ramionach dzieciątko. Blask z kominka podkreślał wyraz miłości bijący od jej twarzy, gdy pieszczotliwie mówiła i śpiewała dziewczynce. Urok tej chwili, zadowolenie, które odczuwał z powodu zwykłego przebywania w ich obecności, sprawiały, że czuł w sercu ciepło.

Gdyby to tylko mogło być prawdziwe... albo chociaż prawdopodobne.

Spędzili razem bardzo miły dzień. Adam naprawił kilka rzeczy w domu Rylana, a Maggie ugotowała na obiad przepyszny pieczony kurczak z purée ziemniaczanym, kiedy mała Ivy spała. Przez chwilę wydawało się, jakby istnieli tylko oni w swoim małym bezpiecznym świecie... z dala od Neilla Fitzgeralda, z dala od tych, którzy wiedzieli o przestępczej przeszłości Adama, i z dala od groźby epidemii.

Nagle jakiś hałas w holu ściągnął uwagę Adama. Gestem pokazał Maggie, żeby nie wstawała z fotela bujanego, a sam wyszedł na korytarz. Akurat w chwili, kiedy się tam pojawił, otworzyły się drzwi i w wejściu stanął Rylan. Słowa powitania zamarły na ustach Adama, gdy tylko dostrzegł kobietę stojącą za plecami szwagra.

– Jolene. Co ty tutaj robisz? – zapytał, choć w głębi duszy znał już odpowiedź.

Podpowiadał mu ją też zbolący wyraz twarzy Rylana.

– Widzę, że się znacie. – Rylan przepuścił Jolene, by weszła.

– Tak. Dlaczego Jolene przysłała z tobą?

Przygnębiona mina Rylana wskazywała na męczarnie, które przeżywał.

– Przysłała do domu dziecka Świętej Rity... po swoją córkę.

Adam poczuł, że zaschło mu w gardle. Gdzieś w środku podejrzewał, że Jolene kiedyś w końcu zmieni zdanie i pożałuje tego, iż porzuciła Ivy.

Jolene wysforowała się.

– Czy moja córeczka jest zdrowa? Nie dostała gorączki?

– Jak dotąd zdrowa. – Mimo natłoku uczuć, Adamowi udawało się zachować spokój.

– Gdzie ona jest? – zapytał krótko Rylan.

– W salonie, z Maggie.

Zanim zdążyli wejść do salonu, Maggie już stała, kurczowo przyciskając do siebie zawiniątko. Wielkimi oczami patrzyła najpierw na Adama, potem na Rylana, a w końcu na Jolene. Mocniej przytuliła do siebie dzidziusia.

– O co chodzi?

Adam gorąco pragnął oszczędzić jej tego bólu. Ale chociaż nie podobało mu się to bardzo, to Jolene miała prawa do tego dziecka.

– Maggie, to jest Jolene. Matka Ivy.

– Moje dziecko – zawołała Jolene, mijając go szybko.

Maggie zrobiła krok w tył, osłaniając odruchowo dziewczynkę, która teraz zakwiliła. Maggie zaczęła ją kołysać.

– Ciii, kochanie. Wszystko dobrze.

Chociaż ton głosu Maggie był łagodny, w jej spojrzeniu przebijała surowość.

– Nie możesz zabrać dziecka pod nieobecność Colleen. Ona matkowała jej od początku, gdy postanowiłaś porzucić swoją córeczkę jak niepotrzebną zabawkę. – W jej oczach pojawiły się łzy, jeszcze bardziej podkreślając ich piękno. Zwróciła się do Rylana z pytaniem: – Czy Colleen wie o tym?

Skinął.

– Tak, ale nie mogła zostawić Delii samej.

Adam wszedł pomiędzy kobiety.

– Jolene, nie wiemy jeszcze, czy Ivy nie zaraziła się dudem. Potrzeba, żeby minął przynajmniej

tydzień. Może dla jej dobra zostawiłabyś ją tutaj, gdzie w każdej chwili może zbadać ją lekarz.

Jolene szarpała guzik płaszcza, a w jej oczach malowała się panika.

Adam położył jej rękę na ramieniu, licząc, że może uda mu się ją uspokoić.

– Jeśli nie będzie mieć objawów choroby w przyszłym tygodniu, będziesz mogła ją wtedy zabrać.
– To było niewiele, ale zyskaliby na czasie i Colleen miałyby okazję, żeby się właściwie pożegnać z dzieciątkiem. Modlił się w duchu, żeby troska Jolene o własne dziecko zwyciężyła w niej z rozpaczą.

Kobieta splotła dłonie.

– Wiem, co knujecie. Chcecie mnie przechytryć, żebym zmieniła zdanie. Ale nie, to się nie uda.
– Zacięła wąskie usta i rzuciła się w stronę Maggie. – Oddaj moje dziecko.

Maggie nie cofnęła się, ale też nie puściła Ivy.

– Jeśli zależy ci na dobru swojej córki, powinnaś zostawić ją tam, gdzie będzie jej lepiej. Co zrobisz, jeśli okaże się, że jest chora na dur brzuszny?

Cień strachu przemknął po twarzy Jolene, jednak zaraz potem pojawiła się jakaś surowość.

– Jak będzie potrzebować lekarza, znajdę jej jakiegoś.

– A lekarstwa? Będzie cię na nie stać? Czy masz w ogóle jakieś przyzwoite mieszkanie? – zapytała drżącym głosem Maggie.

Jolene uniosła brodę.

– Może nie tak wymyślne jak to, ale mam pokój. I zatrudnienie. I znajomych, którzy pomogą mi się nią zaopiekować, kiedy ja będę... pracować.

Adam poczuł nieznośny ucisk w środku. On wiedział dokładnie, jaki rodzaj pracy wykonywała. Ze wszystkich sił starał się odsunąć od siebie obraz knajpy i rodzaju zakwaterowania, które tam miała. Nie wiedział, co jest zgodne z prawem w tym przypadku, ale skoro Rylan pozwalał Jolene zabrać dziecko, to musiało znaczyć, że prawo było po jej stronie. Jednakże Adam obiecał sobie, że sprawdzi, czy Ivy ma odpowiednią opiekę, a jeśli tylko okaże się, że tak nie jest, powiadomi odpowiednie władze, żeby zapewnić dziecku dobrobyt.

Wydawało się, że Rylan otrząsnął się ze swojego otępienia. Westchnął ciężko i zwrócił się do Maggie:

– Obawiam się, że nie mamy wyboru, Maggie. Oddaj jej dziecko.

Przez chwilę jeszcze Maggie stała jak zamurowana, jakby do niej w ogóle nie dotarły jego słowa, ale zaraz potem, z cichym łkaniem, zdjęła Ivy z ramienia. Jej dłonie drżały, gdy odsłaniała koczek z głową dziecka.

– Niech Bóg będzie z tobą, maleńka. – Ucałowała ją w czubek głowy, a potem, zamiast podać ją Jolene, wręczyła zawiniątko Rylanowi.

Adam chyba jeszcze nie widział takiego przepelnionego cierpieniem oblicza mężczyzny, jak wtedy, gdy szwagier brał na ręce to kwilące niemowlę.

– Do zobaczenia, słodziutka Ivy. Byłaś dla nas wielkim błogosławieństwem przez ten krótki czas. Będziemy się zawsze za ciebie modlić. – Ucałował ją, a potem podał Jolene. Łzy płynęły mu po policzkach.

W przeciwieństwie do ich cierpienia, twarz Jolene pełna była radości.

– Moja słodka dziewczynka. Już dobrze. Mamusia jest tutaj.

Adam nie był w stanie patrzeć na Maggie, nie potrafił znieść jej żalu. Nie chciał nawet myśleć o prawie ukończonej kołysce, w której Ivy już nigdy nie będzie spała. Ani o cierpieniu, które musiała przeżywać jego siostra.

– Odprowadzę cię na tramwaj, Jolene.

– Poczekajcie. Przyda się jeszcze jeden kocyk. Ivy nie może się przeziębici. – Maggie wybiegała z pokoju i zaraz potem jej kroki zadudniły na schodach.

– Jeśli mi wybaczycie – powiedział Rylan zduszonym głosem – powinienem już wracać do sierocińca.

Zaraz po jego wyjściu, Maggie wróciła z czapczką i grubszym, wełnianym kocem.

– Dziękuję – powiedziała cicho Jolene, kiedy brała od niej zawiniątko.

Dolna warga Maggie drżała.

– Opiekuj się nią dobrze.

Adam marzył o tym, by zostać i ją pocieszyć, ale dla dobra dziecka chciał się upewnić, że Jolene nie będzie wracać do swojej speluny na piechotę. Tramwaj będzie szybszy i bezpieczniejszy.

– Zaraz wracam – powiedział do Maggie. – Zamknij za mną drzwi.



Aurora zatrzymała się przed izolatką i przyłożyła dłoń do brzucha. Co miała powiedzieć kobiecie, której córka walczyła o życie i która właśnie straciła niemowlę, które tak chciała adoptować?

– Dobrze się pani czuje, panno Hastings? – Usłyszała za sobą głos doktora Reardona.

– Tak. – Wyprostowała się. – Zastanawiałam się po prostu, co powiedzieć Colleen.

Doktor dotknął jej ramienia i odwróciła się do niego.

– W zawodzie pielęgniarki to jedna z wielu trudnych kwestii, jakich będziesz musiała się podejmować. Jeśli masz wątpliwości, może powinnaś przemyśleć swoją decyzję.

Stała sztywno.

– Poradzę sobie, doktorze. Nie zmienię decyzji... niezależnie od tego, jak będzie ciężko.

W jego brązowych oczach zapłonęło uznanie i skinął delikatnie głową.

– Dobrze wiedzieć. A teraz chodźmy zbadać naszych pacjentów.

Z lekkim szelestem białego kitla przeszedł do pokoju, a w każdym jego kroku przebijała pewność siebie. Osiem małych łóżek, po cztery pod każdą ścianą, wypełniało teraz ciasno to pomieszczenie. Jeśli rozchorowałyby się kolejne dzieci, musieliby skorzystać z jednej z sypialni albo przenieść łóżka do świetlicy. Doktor Reardon zajmował się też panią Norton i dwoma siostrami, które także się zaraziły, ale one przebywały we własnych pokojach.

Aurora odepchnęła od siebie myśl o zmęczeniu. Marzyła o całej przespanej nocy. Ale nawet takie pragnienie powodowało u niej wyrzuty sumienia. Jak mogła się skarżyć, kiedy te biedne dzieci tak bardzo cierpiały?

– Auroro.

Jej serce skoczyło na dźwięk własnego imienia i odwróciła się ze specjalnym uśmiechem dla Gabe'a. Jedynym błogosławieństwem wśród tego koszmaru był fakt, że mogła spędzać tak wiele czasu z nim. Gabe stanowił podporę w tej ciężkiej próbie, cicho wykonując wszystkie zadania, które zlecali mu ona albo doktor. Jego też dopadało zmęczenie. Widziała to po cieniach pod oczami i zmarszczkach wokół ust. A jednak wciąż był w stanie wykrzesać z siebie uśmiech za każdym razem, gdy się widzieli.

– Zdajesz sobie sprawę, że doktor się w tobie kocha, prawda?

Gapiała się na niego z rozdziawionymi ustami.

– O czym ty mówisz?

– Ten mężczyzna nie potrafi od ciebie oderwać wzroku. Wcale mu się nie dziwię...

Wygładziła z przodu swój fartuch, licząc, że nie widać po niej ciepła, które zalewało jej policzki.

– Gadasz głupoty, a my tu mamy pracę do wykonania.

Otrzeźwiał i dodał:

– Dlatego też przyszedłem. Chciałem się zobaczyć z moją bratanicą. Jakies oznaki poprawy?

– Doktor właśnie bada Delię. A może wejdiesz ze mną?

Skinął.

– Mam chwilkę, zanim zacznę przenosić łóżka do świetlicy. Lekarz potrzebuje więcej przestrzeni do pracy.

Weszli do pomieszczenia i Gabe podszedł prosto do miejsca, gdzie leżała Delia. Colleen i Rylan

kręcili się koło łóżka, podczas gdy doktor Reardon przeprowadzał badanie.

Aurora obeszła szybko swoich pacjentów, żeby sprawdzić, czy wszystkim dzieciom jest wygodnie, a potem dołączyła do grupy stojącej przy Delii. Dziewczynka z zamkniętymi oczami leżała nieruchomo pod kocami.

Doktor Reardon zanotował coś w karcie i podniósł wzrok, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

– Obawiam się, że Delia właśnie przechodzi najgorszy okres choroby. Jedyne, co możemy zrobić, to dopilnować, by dużo piła, i obserwować jej objawy... oraz modlić się.

Colleen wcisnęła twarz w ramię Rylana, a ciche łkanie wstrząsnęło całym jej ciałem. Gabe wyraził współczucie, a potem ze smutkiem wyszedł z pokoju, pewnie po to, by zająć się swoimi sprawami na parterze.

Aurora bardzo pragnęłaby pójść za nim, ale pacjenci jej potrzebowali.

Wyprostowała się i podeszła do pierwszego łóżka.

– Doktorze, czy mógłby pan sprawdzić stan Felicii? Wzrosła jej temperatura i wydaje się, że ma większe bóle.

– Już podchodzę.

Aurora towarzyszyła doktorowi Reardonowi podczas badania kolejnych dzieci i pomagała sporządzać notatki w ich kartach.

Gdy skończył, pocierając palcem po grzbiecie nosa, orzekł cicho:

– Martwię się o Johnniego i Felicię. Zdaje się, że nie reagują na leczenie tak dobrze, jak pozostałe dzieci. Musimy ich uważnie obserwować przez następne czterdzieści osiem godzin.

Aurora skinęła. Zauważyła to samo. Jeśli do tej pory wydawało jej się, że była zmęczona, to dopiero kolejne dni będą prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości.

Boże, proszę, pomóż nam wszystkim przejść przez te choroby.

Maggie kończyła właśnie pakować resztę ubrań i kosmetyków do swojej niewielkiej walizki. Nie miała po co zostawać w domu brata, skoro nie była już potrzebna Ivy.

Objęła wzrokiem cały pokój po raz ostatni. Starła się otrząsnąć z melancholii. Strata Ivy dotknęła ją o wiele bardziej, niż mogłaby się spodziewać. Obawiała się, że Colleen i Rylan zbyt mocno przywiązali się do tej kruszyny, a tymczasem nawet nie zdawała sobie sprawy, jak trudne to było dla niej samej. Łączyła się w bólu, który przeżywali jej brat i bratowa, oraz w ich trosce o zdrowie Delii.

Maggie zamknęła walizkę i zeszła na parter. Ponieważ przewidywała, że nieprędko tu wróci, chciała jeszcze opróżnić lodówkę i zabrać ze sobą żywność, która mogłaby ulec zepsuciu.

Gdy tylko skończyła sprzątać kuchnię, ktoś zapukał do drzwi. Maggie szybko wyjrzała przez boczne okno i spostrzegłszy na schodach Adama, wpuściła go.

Jego ponura mina mówiła jej, że dla niego to popołudnie też było ciężkie.

– Wszystko się udało z przejazdem tramwajem?

– Tak. – Wykręcał w rękach czapkę i zmarszczywszy brwi, rzekł: – Nie wiem, czy powinnaś zostawać tutaj sama, teraz gdy...

Wskazała na przygotowaną torbę stojącą w przedpokoju.

– Wiem. Jeszcze tylko skończę pakować jedzenie w kuchni.

Parę minut później zamknęli dokładnie dom i ruszyli spacerem do oddalonego o dwie przecznice sierocińca. Z Adamem u boku Maggie nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Zerknęła z ukosa na niego i zapytała:

– A ty co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie miałem bezpośredniego kontaktu z chorobą, więc nie powinno być problemu. Ale postaram się trzymać z dala od innych osób, dopóki nie upewnię się, że nie jestem zarażony.

Maggie skinęła, choć ciężko było jej się pogodzić z myślą, że będzie musiał wrócić do swojej klitki w podziemiach kościoła.

– Powinieneś także przenieść się do sierocińca. Jestem pewna, że znalazłoby się tam dla ciebie wystarczająco pracy.

Dotarli do frontowych schodów prowadzących do domu dziecka Świętej Rity. Adam zatrzymał się i zmierzył ją szczerym wzrokiem.

– Myślę, że rozumiesz, dlaczego to nie jest najlepszy pomysł. Wszystko się między nami trochę... skomplikowało. Gdybyśmy przebywali tutaj razem, to tylko wzmogłoby te uczucia, o których powinniśmy zapomnieć.

Zastanawiała się, jak on będzie się zachowywał po tamtym pocałunku. Teraz już wiedziała. Maggie westchnęła.

– A ja nie mam nic do powiedzenia w tej kwestii?

Adam uśmiechnął się ponuro.

– Obawiam się, że muszę zachować rozsądek za nas dwoje.

Już po raz drugi dzisiaj serce Maggie ścisnęło się od smutku. Nie powiedziała nic więcej.

– Jeśli będziesz mnie potrzebować, możesz skontaktować się ze mną przez Johna McNabba w Kościele Pasterza Dobrej Nadziei.

Wieczorny powiew rozwał jej włosy wokół twarzy, gdy wspinając się na palce, ucałowała go w policzek. Żałowała, że nie potrafi zdobyć się na nic więcej.

– Bądź zdrow, Adamie – wyszeptała. – Będę się za ciebie modlić.

Uniosła rąbek sukni i wspięła się po schodach, a potem, ostatni raz wpatrując się długo w jego udręczoną twarz, weszła do budynku.



Towarzyszący jej zwykle optymizm opuścił Aurorę i teraz trzymała się kurczowo resztek nadziei. Siedząc przy łóżku Delii, wyciskała w dłoniach mokrą chusteczkę. Choć wiele razy ocierała twarz dziewczynki, temperatura wcale nie spadała. Wiedziała, że powinna być wdzięczna, iż stan dziecka się nie pogarsza, ale sam widok tej niegdyś zdrowej dziewczynki, leżącej teraz w takiej bezsilności, wzmagął w niej nieuzasadniony lęk, który zdominował pocieszenie, jakie wypływało z modlitwy.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła pasemko włosów z czoła malej.

– Proszę, wracaj do zdrowia, Delio. Twoja rodzina cię potrzebuje.

Po raz kolejny Aurora walczyła ze łzami bezradności i frustracji, wynikającymi z faktu, że już nic więcej nie mogła zrobić, by ją wyleczyć. Mrugała oczami, starając się odeprzeć płacz i licząc, że pozbędzie się tego przygnębienia, które ją prześladowało.

– Panno Hastings, czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Aurora z ociąganiem zabrała dłoń z czoła dziecka.

– Oczywiście, doktorze.

Celowo nie spiesząc się, wygładziła jeszcze kołdrę, potem przystanęła przy łóżku Grety, a następnie spokojnie wyszła za doktorem Reardonem na korytarz. W powietrzu wisiała nienaturalna cisza, która dodatkowo wytrącała ją z równowagi.

– Możemy porozmawiać w gabinecie pana Montgomery'ego.

Twardy wyraz twarzy doktora jeszcze spotęgował jej niepokój. Czyżby miał jakieś złe

wiadomości? A może popełniła jakiś błąd przy którymś z pacjentów?

– Proszę usiąść.

Aurora posłuchała i czekała, aż doktor zajmie miejsce w fotelu Rylana. Gdy usiadł, złożył ręce na biurku. Jego zachowanie nie pomagało jej.

– Chciałem, żeby pani wiedziała, że poprosiłem o pomoc pielęgniarkę ze szpitala. – Posłał jej pełne skruchy spojrzenie. – Na początku byłem niechętny, by angażować kogokolwiek innego, bo nie chciałem narażać nikogo bez potrzeby. Jednakże pani Patterson przeszła już kiedyś dur brzuszny i nie wyrażała sprzeciwu wobec mojej propozycji. Przybędzie do nas jeszcze dzisiaj.

Aurora wyprostowała się sztywno na oparciu.

– Czy coś robię źle w pracy?

Uśmiechnął się, a wokół jego oczu ukazała się sieć zmarszczek.

– Nie, nie. Robi pani co może, zwłaszcza w tak ciężkich okolicznościach. Obawiam się, że to z powodu mojego egoizmu została pani uwikłana w tę niefortunną sytuację. Nie powinienem był nalegać na pani towarzystwo, zanim nie ustaliłem zakresu choroby.

Aurora spłonila się pod bezpośrednim spojrzeniem lekarza.

– To nie pańska wina. Nie wiedział pan, że to będzie takie poważne.

– Mimo wszystko. Czuję się winny z powodu ryzyka, na jakie niepotrzebnie panią narażiłem.

– To normalna rzecz, jeśli mam zostać pielęgniarką. – Podniosła się i wygładziła fartuch.

Doktor też wstał i patrzył na nią przez jakiś czas, jakby zastanawiał się, czy powinien powiedzieć coś jeszcze. W końcu skinął.

– Jestem przekonany, że pani Patterson będzie idealnym wzorem do naśladowania.

– Nie mogę się już doczekać spotkania z nią.

Doktor Reardon obszedł biurko.

– Jeszcze jedna sprawa. Nie wspominałem wcześniej, że pani ojciec był tutaj dzisiaj.

Aurora ledwo powstrzymała okrzyk przerażenia. Rozmawiała kilka razy z matką przez telefon, ale zawsze wtedy, gdy tata był w pracy.

– Czego chciał?

– Zamierzał zabrać panią do domu. – W jego oczach błysnęło rozbawienie.

Aurora zacisnęła dłoń na oparciu krzesła.

– Jak się panu udało go odesłać?

– Powiedziałem, że musi pani tu pozostać, dopóki nie będziemy mieć pewności, że się pani nie zaraziła.

– I on to przyjął? – Aurora nie potrafiła wyobrazić sobie, żeby ktoś zdołał powstrzymać ojca, gdy obrał jakiś cel, zwłaszcza jeśli tym celem była jego jedyna córka.

– Z początku nie. Ale przekonałem go, że dbam o pani dobro i że wkrótce się z nim pani skontaktuje.

Westchnęła nieznacznie z ulgą i jej wewnętrzne napięcie zelżało.

– Dziękuję panu, doktorze. Mam nadzieję, że mój ojciec nie był zbyt nieprzyjemny.

– Proszę się nie martwić. Miałem już do czynienia z gorszymi przypadkami. – Cień uśmiechu przemknął pod wąsem doktora. – Chodźmy, proszę. Wracajmy do pracy.

Gdy Aurora szła z nim z powrotem do izolatki, wzrastało w niej niejasne poczucie niepokoju. Doktor Reardon zdawał się zbyt zadowolony z siebie. A jej tata odszedł, nie żądając nawet widzenia z nią... coś musiało się tam wydarzyć. Aurora modliła się tylko w duchu, żeby to nie wiązało się z planami matrymonialnymi wobec szanownego pana doktora. Bo niezależnie od tego, z kim jej ojciec starałaby się ją zeswatać, Aurora obawiała się, że teraz już tylko jeden mężczyzna miał klucz do jej serca.

I niestety, nie był to wcale Philip Reardon.



– Na linii czeka kobieta, która prosi o rozmowę z panem albo panią Montgomery. Nie mam serca im przeszkadzać...

Maggie odwróciła się od zlewu i zobaczyła w drzwiach siostrę Weronikę.

– W porządku, siostró. Zajmę się tym.

Maggie wytarła ręce i poszła do gabinetu Rylana, gdzie podniosła słuchawkę telefonu i odezwała się:

– Tu Maggie Montgomery. W czym mogę pomóc?

Kobieta po drugiej stronie przedstawiła się jako gospodyni państwa O’Learych.

– Niestety dzwonię z niemiłymi wiadomościami – rzekła, a potem przerwała na chwilę. – Pan O’Leary kazał powiadomić panią Colleen, że jej matka zapadła na dur brzuszny.

Maggie zrobiła gwałtowny wdech. Pierwszy raz zdarzyło się, że doszły ich słuchy o przypadku duru poza sierocińcem.

– A co z pozostałymi członkami rodziny?

– Jak dotąd nikt inny się nie zaraził.

– Dzięki Bogu. Czy mam jeszcze coś przekazać?

– Proszę powiedzieć pani Colleen, że modlimy się za Delię i za wszystkie dzieci.

– Przekażę. Dziękuję za telefon. – Maggie odłożyła słuchawkę i siedziała dalej za biurkiem. Nie mogła znieść myśli, że miałyby dołożyć trosk Colleen tą kolejną niepokojącą wiadomością. Znając Colleen, chciałyby się rozdzielić. A przecież i tak dawała już z siebie wszystko dla Delii.

Maggie złapała się na tym, co zdarzało się jej często, że znów myślami zwróciła się ku Adamowi. Była przekonana, iż pomimo jego napiętej relacji z rodzicami, chciałby dowiedzieć się o stanie swojej matki. Jej sercem ścisnęło poczucie żalu. Minał już ponad tydzień, odkąd po raz ostatni się z nim widziała. Brakowało jej jego kojącej obecności. Tych chwil, gdy pracował, a ona czuła się bezpiecznie.

Przypomniała sobie jego słowa o tym, w jaki sposób można się z nim skontaktować, i ponownie podjęła słuchawkę telefonu. Poczekała aż zgłosi się operator, a potem poprosiła o połączenie z Kościołem Pasterza Dobrej Nadziei. Czekala na odpowiedź. Z nerwów miała całe dłonie spocone. W końcu po drugiej stronie zabrzmiał męski głos.

– Halo? Przy telefonie wielebny McNabb.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że będzie mi mógł wielebny pomóc. Chciałabym się skontaktować z Adamem O’Learym.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem kolejne pytanie:

– Czy mógłbym wiedzieć, kto mówi?

– Nazywam się Maggie Montgomery. Jestem daleką krewną siostry Adama.

– A, tak. Adam opowiadał nam o sytuacji w sierocińcu. Mam nadzieję, że wszystko dobrze.

Mogłaby powiedzieć wszystko mężczyźnie i poprosić go o przekazanie wiadomości Adamowi. Ale kierowana własnymi pragnieniami, Maggie chciała zakomunikować mu to osobiście... i być przy nim, by ofiarować mu pocieszenie albo wsparcie, których mógłby potrzebować.

– Dzieci sobie radzą. Jednak jest coś, o czym muszę powiedzieć Adamowi, jeśli mogłabym.

– Niestety, ale nie mieszka już przy kościele.

Zimny dreszcz strachu przeszył żołądek Maggie.

– Gdzie przebywa w takim razie?

Przez krótką chwilę na linii zapanowało milczenie.

– Adam... wykonuje renowację w lokalu przy Ulicy Czternastej. Tam nie ma telefonu, ale mogę przekazać mu wiadomość, jeśli pani chce.

Maggie zawahała się, rozważając to, czego się dowiedziała i zaraz potem podjęła decyzję.

- Nie, dziękuję. Wyślę kogoś do niego i przekażę mu to osobiście. Gdzie jest ten lokal?
- Na Ulicy Czternastej, nieopodal skrzyżowania z Czwartą Aleją. Obok składu kupieckiego.
- Dziękuję bardzo za pomoc – rzuciła szybko i rozłączyła się, zanim zdążyłby zadać kolejne pytania.

Serce było jej jak oszalałe, a w środku niej ścierały się sprzeczne uczucia. Powinna iść za radą braci i unikać Adama. Nawet on sam dał jej jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie jakiegoś głębszego z nią związku. A jednak nie mogła wymazać z pamięci siły ich pocałunku i ogromu emocji, które w niej wywołał. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła czegoś takiego. Nie mogła uwierzyć, że coś tak mocnego mogłoby być złe. Podejrzała, że Bóg postawił ich sobie na drodze nie bez przyczyny. Dlatego też zamierzała skorzystać z tej okazji i ponownie spotkać się z Adamem, choćby to miała być tylko krótka chwila.

Opuszczenie sierocińca nie powinno stanowić większego problemu, ale musi to jeszcze uzgodnić z doktorem Reardonem. A wtedy, gdy tylko już wyjdzie, wyruszy na poszukiwanie Adama i tego tajemniczego sklepu.

Wysiadłszy z tramwaju, Maggie przeszła trzy przecznice, a potem zatrzymała się, żeby złapać oddech. Miała nadzieję, że jej przyjscie tutaj nie było jedną wielką pomyłką. Ta dzielnica miasta zdawała się trochę bardziej niebezpieczna niż okolice domu Rylana. Może to jednak po prostu dlatego, że ulice nie były jej znane, a przez to przerażające.

Nękały ją wizje czyhającego na nią Neilla Fitzgeralda. Nie myślała o nim już od wielu dni, tak była zajęta epidemią w domu Świętej Rity. Rzuciła ukradkowe spojrzenie przez ramię na drugą stronę ulicy. Nikt nie wyglądał podejrzanie.

Posłała w niebo krótką prośbę o opiekę i miała tylko nadzieję, że Adam nie będzie się na nią gniewał za to, że przyszła tu sama, by go znaleźć. Na pewno, gdy tylko dowie się z jakiego powodu to zrobiła, zrozumie.

Maggie przeszła przez ulicę i pospiesznie skierowała się w stronę przesłoniętych markizami witryn w głębi ulicy. Minęła sklep z odzieżą damską, a następnie z męską i dopiero wtedy dotarła do składu kupieckiego, o którym wspominał wielbny McNabb. W lokalu obok drzwi były szeroko otwarte. Z wewnątrz na chodnik wylaływały kłęby kurzu. Zatrzymała się, żeby nie ubrudzić butów i spódnicy.

Chwilę później pojawił się Adam, wymachując miotłą, jakby to była jakaś broń. Kiedy odwrócił się i ją dostrzegł, jego oczy zrobiły się wielkie ze zdziwienia, a miotła wypadła mu z rąk.

– Maggie? Co ty tutaj robisz?

Miał na sobie płócienny fartuch, byle jak obwiązany w pasie i rękawy koszuli podwinięte za łokcie. Kiedy zobaczyła go tak na wprost siebie, takiego rzeczywistego i namacalnego, zalała ją fala ulgi i radości.

– A co to za powitanie, panie O’Leary? – rzuciła żartobliwie.

Rumieniec spowił jego policzki, gdy podnosił miotłę.

– Nie powinnaś przychodzić tutaj sama. Czyżbyś zapomniała o Fitzgeraldzie?

Uniosła wysoko podbródek.

– Już od jakiegoś czasu nie dawał znaku życia. I przyjechałam tramwajem. Nie było żadnego niebezpieczeństwa w towarzystwie tylu pasażerów.

Zmarszczył mocniej brwi.

– A jak w ogóle mnie znalazłaś?

– Wielbny McNabb powiedział mi, gdzie jesteś. Mogę wejść?

Podrapał się po głowie.

– Ale... ja... jeszcze nie skończyłem sprzątać.

– Trochę brudu mnie nie zabije. – Roześmiała się i wygładziła dłonią spódnicę, mając nadzieję, iż nie zauważy, że założyła najlepsze ubrania.

Wzruszył ramionami i gestem zaprosił ją do wejścia. Kiedy już znalazła się w środku, z podziwem oglądała rustykalne, acz bardzo przytulne wnętrze. Budynek miał w sobie ten męski charakter, który bardzo pasował do Adama. Potrafiła go sobie wyobrazić, jak pracuje w takim miejscu. Lada lśniła, a na półkach za nią nie było ani śladu kurzu.

– Widzę, że byłeś bardzo zajęty. Rozumiem, że zlecono ci renowację tego wnętrza.

Adam po raz kolejny zmarszczył brwi.

– John tak powiedział?

Maggie zawahała się.

– Niedokładnie. Czyżbym źle zrozumiała?

Adam przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i oparł miotłę w kącik.

– Dlaczego tu jesteś, Maggie? – zapytał, a potem gwałtownie obrócił się i w jego oczach błysnął strach. – Czyżby z Delią było gorzej?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Radzi sobie już dobrze. Doktor z optymizmem patrzy na jej wyzdrowienie.

Zobaczywszy ulgę na jego twarzy, Maggie miała ochotę go przytulić. Ale wiedziała, że on nie chciałby jej dotyku.

– W takim razie, po co przyszedłeś? Czy Rylan o tym wie?

– Nie.

Jego ostre spojrzenie, które miało być karcące, wcale jej nie onieśmieliło. Zignorowała ten wzrok i przeszła na zaplecze, zaglądając do środka. Chciała tak egoistycznie czerpać jak najwięcej z tych wspólnych chwil.

– Ten budynek jest bardzo uroczy. Co to będzie za sklep?

Kiedy nie odpowiadał, odwróciła się w jego stronę i zmierzyła go wzrokiem spod uniesionych wysoko brwi.

– Słucham?

– Sklep meblowy – wycedził przez zęby.

Wreszcie do niej dotarło i teraz radość przeppełniła jej duszę.

– Otwierasz swój własny sklep? To wspaniale! – Zatoczyła szeroki łuk ręką. – Jak ci się udało to wszystko zdobyć?

– John McNabb zorganizował najem – odparł, a grymas niezadowolenia wydawał się na stałe gościć na jego twarzy.

– A gdzie są meble? Tam? – Nie czekając na odpowiedź, Maggie przeszła przez drzwi wahadłowe, które prowadziły do nieskazitelnie czystego warsztatu, w którym znajdował się długi stół i rzędy narzędzi równo rozwieszonych na uchwytach. W rogu, w głębi stał ustawiony ogromny kosz, w którym znajdowało się przygotowane do obróbki drewno. Rozglądała się wokoło, pełna podziwu. Pojedyncze krzesła i stołki na różnych etapach wykończenia stały poustawiane pod jedną ścianą. Szczególnie jeden przedmiot przykuł jej uwagę – była to skrzynia.

– Piękne, Adamie. Masz taki talent!

Odwróciła się do niego i zobaczyła, że stoi w wejściu ze skrzyżowanymi na piersi umięśnionymi ramionami. Patrząc po jego nieodgadnionym wyrazie twarzy, Maggie nie była w stanie określić, co myślał.

– To wcale nie oznacza, że to się uda.

Przesunęła dłonią po kilku metalowych narzędziach, tak starannie poukładanych.

– Ale przynajmniej masz odwagę, by spróbować. – Stała na wprost niego. – Jestem z ciebie dumna, Adamie.

Dostrzegła, że zacisnął mocniej szczęki. Potem przeszedł za stół warsztatowy, jakby nie mógł znieść jej bliskości.

– Nadal nie powiedziałaś mi, dlaczego tu przyszłaś. Musiałaś mieć jakiś powód.

Stłumiła ciche westchnięcie. Starła się to odsunąć w czasie, nacieszyć się wspólnymi chwilami, ale przecież nie miała do tego prawa.

– Obawiam się, że przynoszę złe wiadomości – powiedziała w końcu. – I chciałam ci to przekazać osobiście.



Adam znieruchomiał i starał się opanować fale emocji, które przelewały się przez niego. To, że Maggie była tak blisko wprowadzało kompletny zamęt w jego duszy. Wyglądała tak pięknie w swojej zielonej sukni i dopasowanym do niej kapeluszu. Jej wspaniałe włosy opadały aż do pasa. Z wielkim wysiłkiem skupił się z powrotem na jej słowach i wziął nierówny oddech.

– Jakie to wiadomości?

Jej wzrok przepęłniło współczucie.

– Twoja matka zachorowała na dur brzuszny. Dzwoniła gospodyni, żeby nas poinformować. – Obeszła stół i zbliżyła się do niego. – Musiałam przyjść i ci powiedzieć.

Drewniana ściana za plecami uwierała go w kręgosłup.

– Jak bardzo jest źle?

Podeszła jeszcze bliżej.

– To dosyć poważne, w przeciwnym wypadku twój ojciec nie kazałby pani Johnston dzwonić.

Tysiąc myśli kłębiło się teraz w głowie Adama. Co powinien uczynić? Czy przyjmą go w Irlandzkich Łąkach po tym, gdy opuścił dom w tak strasznych okolicznościach parę tygodni temu? I co gorsze, czy jego oskarżenia wobec matki wpłynęły na jej słabe zdrowie?

Ciepło dłoni na ramieniu sprawiło, że poderwał nagle głowę.

Maggie stała tak blisko, że widział odbłaski zieleni i złota migające w jej szarych oczach. Pachniała mydłem lawendowym.

– Musisz do niej jechać, Adamie. Jeśli cokolwiek by się wydarzyło...

Poczuł nieznośny ucisk. Potrzebował powietrza. Minąwszy ją, przeszedł przez główne pomieszczenie sklepu i dalej na zewnątrz. Oparł się o metalowy słup latarni, jakby chciał czerpać siłę z jego stałości.

Jego matka mogła być umierająca. Maggie miała rację. Niezależnie od konsekwencji, musiał jechać zobaczyć się z nią jeszcze raz i zrehabilitować się, póki nie było za późno. Wziął głęboki wdech, a potem odwrócił się i zobaczył, że Maggie obserwuje go, stojąc w wejściu. Na jej obliczu malowało się współczucie.

– Przykro mi, że przynoszę ci takie okropne wiadomości. – W dłoniach trzymała zgniecioną chusteczkę. – Rozumiem, co musisz teraz czuć. My też czuwaliśmy bez ustanku nad łóżkiem Delii.

Adam przyjrzał się dokładniej jej twarzy, uświadamiając sobie, jakim był głupcem. Jak mógł nie dostrzec wcześniej cieni pod oczami i wyrazu zmęczenia wokół jej ust? Ona przechodziła wiele trudów od czasu ich rozstania, poczynawszy od utraty Ivy, poprzez zamartwianie się o Delię i opiekę nad chorymi. A jednak była tutaj, przejęta i zatroskana o niego na tyle, że gotowa była przemierzać całe miasto.

– Dziękuję za to, że mnie o tym poinformowałaś, Maggie. – Zerknął na nią. – A jak ty się trzymasz?

Uśmiechnęła się blado.

– Jestem zdrowa jak rydz, dzięki Bogu. Choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby, jak to się skończy, wreszcie się porządnie wyspać.

Chciał odwzajemnić jej uśmiech, okazać trochę serdeczności, ale wiedział, że to nic nie da. Zamiast tego, skinął głową.

– Zamknę sklep, a potem odprowadzę cię z powrotem do sierocińca i złapię jakiś pociąg na Long Island.

☼☼☼
Maggie weszła do kuchni w domu dziecka i zobaczyła, że siostra Weronika już pracuje. Woda grzała się w garnkach, a na blacie obok piętrzyły się sterty obranych ziemniaków.

– Wróciłam, siostrzo. Przepraszam, że nie zdążyłam z ziemniakami.

Zakonnica pociągnęła nosem i odparła:

– Nic nie szkodzi. I tak musiałam się czymś zająć.

Maggie podniosła wzrok, przerywając wiązanie fartucha w pasie i z zaniepokojeniem spostrzegła łzy spływające po twarzy kobiety.

– Co się stało? – wyszeptwała.

Siostra Weronika ocierała policzki przemokniętą chusteczką.

– Straciliśmy kolejną duszyczkę.

Boże, proszę, nie! Maggie przełknęła napływający do jej gardła strach.

– Ale nie Delię...

Zakonnica pokręciła przecząco głową.

– Nie, chociaż jej też się pogorszyło. Tak jak małemu Johnniemu i jego biedne serduszko nie wytrzymało już tego.

Maggie oparła się mocno o blat, żeby nie upaść. Mały psotnik, Johnnie Feeney, był ulubieńcem w Świętej Ricie. Pociągnęła nosem i przełknęła łzy, a potem podeszła do zlewu.

– Ugotujmy, co trzeba, a ja nakryję do stołu.

Siostra Weronika otarła po raz ostatni twarz, a potem włożyła do kieszeni chustkę i wyprostowała się.

– Masz rację. Wciąż mamy pod opieką pozostałych. Później będzie czas na żalobę.

Maggie wykonywała swoje obowiązki szybko i zdecydowanie, a gdy tylko znalazła chwilę, poszła sprawdzić, jak się miała Delia.

Weszła do cichego pokoju i skierowała się na przeciwległy kraniec. Żal malujący się na twarzy Rylana przyprowadził ją o łzy. Przygarbiona sylwetka Colleen, pochylającej się nad łóżeczkiem, wyrażała cały tragizm sytuacji. Maggie powoli podeszła do nich.

– Rylanie?

Brat uniósł głowę, a jego zwykle błyszczące oczy były teraz puste i przekrwione.

– Módl się za nią, Maggie. Aurora poszła po doktora Reardona do szpitala. Nie wiemy, czy Delia

przeżyje...

Zduszony jęk wybuchnął z gardła Colleen.

– Dlaczego Bóg nas tak karze, Rylanie? Najpierw zabrał Ivy, a teraz Delię.

Rylan przytulił do siebie Colleen.

– Musimy trzymać się wiary, kochanie. Delia jest silna. Przejdzie przez to.

Zmierzwiłone kasztanowe włosy Colleen drżały, gdy lkała na ramieniu męża.

Przez chwilę cierpienie zupełnie sparaliżowało Maggie, tak iż nie mogła się nawet ruszyć z miejsca. Nie potrafiła przekazać teraz Colleen kolejnych złych wiadomości o chorobie jej matki. Postanowiła, że odczeka i zobaczy, jak minie Delii noc, a potem rano podejmie decyzję.

Maggie wyprostowała się i przeszła sztywno przez pokój do kąpika modlitwy, który przygotowały siostry. Wzięła ze stolika Biblię i wróciwszy, przysiadła z brzegu łóżka Delii. Nie mogła wiele zrobić, ale mogła się modlić. Mocnym głosem zaczęła recytować Psalm 27: „Pan światłem i zbawieniem moim: kogóż mam się lękać? Pan obroną mojego życia...”.



Gabe pchnął tylne drzwi sierocińca i wyszedł na trawnik za budynkiem. Zapomniana rękawica baseballowa, skakanka oraz gumowa piłka leżały porzucone na trawie. Wszystko to świadczyło o tym, jak bardzo zostało zaburzone normalne życie dzieci. Przejęło go jakieś dziwne uczucie gniewu, prawie całkiem zapierając mu dech w piersi.

Dlaczego Bóg pozwalał na to wszystko wobec tych niewinnych dzieci, które i tak doświadczyły wystarczająco dużo cierpienia podczas swojego młodego życia?

Johnnie Feeney był taki radosny, pomimo że był sierotą, i starał się rozweselać inne dzieci, gdy coś je smuciło. A teraz już odszedł. Oł, tak po prostu. Tak samo mogła odejść Delia.

Gabe pochylił się i podniósł rękawicę oraz piłkę. Zamrugał, starając się powstrzymać piekące łzy. Jeszcze nigdy nie widział swojego brata tak bezradnego, tak pozbawionego nadziei, że nawet modlitwa mu nie pomagała. Kochał Delię jak rodzone dziecko, a może nawet bardziej. Co on i Colleen zrobiliby, gdyby stracili córkę?

Gabe usiadł na skrzynce odwróconej do góry dnem i zwiesił nisko głowę, tak bardzo żałując, że nie ma co zrobić, aby pomóc rodzinie. Z całego serca pragnął znaleźć odpowiednie słowa i modlić się.

Był w takim stanie, że praktycznie nie usłyszał szelestu sukni i zwrócił na nią uwagę dopiero, gdy poczuł ciepły dotyk dłoni na ramieniu.

– Czy jest coś, co mogłabym zrobić? – Słodki głos Aurory przenikał do jego duszy, niosąc nadzieję.

Podniósł na nią wzrok.

– Możesz powiedzieć, że Delia odzyskała przytomność.

Jej pełne smutku oczy mówiły same za siebie.

– Tak bardzo bym chciała – powiedziała cicho.

– Czemu to nie mnie się trafiło? Dlaczego te biedne dzieci? Jadałem tu wielokrotnie, dlaczego więc Bóg mnie oszczędził?

– Nie znam odpowiedzi na te pytania, Gabe. Nikt nie zna, poza samym Bogiem.

Wstał gwałtownie.

– Nienawidzę tego uczucia bezsilności, gdy nie mogę zrobić nic, tylko czekać.

– To najgorsze uczucie, zwłaszcza jeśli sytuacja dotyczy kogoś, kogo kochasz. – Pojedyncza łza popłynęła po policzku Aurory.

– Och, kochanie, nie płacz, proszę. – Wyjął chusteczkę z kieszeni i podał jej.

– Przepraszam. Przyszłam tu, żeby pomóc, a jeszcze pogorszyłam sprawy. – Otarła twarz skrawkiem tkaniny.

– Ciii. Robisz wszystko, co możesz, żeby pomóc swoim pacjentom.

– A jednak wciąż wydaje mi się, że to nie wystarcza.

Wzdrygnęła się. Gabe nie mógł się powstrzymać i wyciągnąwszy rękę, przygarnął ją do siebie i głaskał jej plecy. Ona oparła głowę na jego piersi i poczuł, jak zalała go fala miłości. Od kilku tygodni walczył wewnętrznie z uczuciami, jakie żywił do tej kobiety, tak odważnej, pięknej i dobrej. Ani razu nie myślała o sobie i o swoim interesie, ale pracowała niestrudzenie, dbając o dzieci. Złożył pocałunek na jej głowie.

– Dajesz z siebie wszystko.

Nie odpowiedziała, ale trzymała się go kurczowo, jakby ten ich fizyczny kontakt pomógł im dzielić się bólem i dawał siłę, by iść dalej.

Zza ich pleców dobiegł odgłos trzaśnięcia drzwiami i Aurora podskoczyła w jego objęciach. Doktor Reardon zszedł po schodach, pytając:

– Panno Hastings, czy wszystko w porządku? – Grymas niezadowolenia malujący się na twarzy mężczyzny zupełnie nie zgadzał się z tonem, jakim zadał to pytanie.

Otarła szybko łzy z twarzy, ale czerwone plamy znaczyły jej delikatną cerę.

– T-tak. Dziękuję.

Gabe poczuł palące pragnienie, by stanąć w jej obronie, ale powstrzymał się, wiedząc, że ona musi poradzić sobie z tym sama.

– Czy Delia...?

– Niestety, bez zmian – odpowiedział i założył ręce na piersi. – Jeśli mógłbym, chciałem prosić na słowo.

– Oczywiście.

– Nie panią, panno Hastings. Miałem na myśli pana. – Zmierzył Gabe’a wyzywającym wzrokiem.

– Jak sobie pan życzy, doktorze.

Aurora chwyciła mocno ramię Gabe’a i posłała mu pełne niepokoju spojrzenie.

– Nie martw się. Obiecuję, że będę uprzejmy. Poszłabyś zobaczyć, co u mojej bratanicy?

Posłała mu drżący uśmiech.

– Z przyjemnością.

Kiedy Aurora weszła do środka, Gabe ruszył za sztywno wyprostowaną sylwetką doktora Reardona w głąb korytarza, do gabinetu swojego brata. Pomieszczenie to nie było ostatnio zbyt często używane, jako że Rylan był zajęty swoją córką.

– Proszę usiąść – zakomenderował mężczyzna, jakby to był jego własny gabinet.

– Wolałbym postać, dziękuję. Co chciał mi pan powiedzieć?

Doktor Reardon także stał.

– Powiem szczerze. Chciałbym, aby pan opuścił sierociniec. Pańska obecność tutaj rozprasza i uniemożliwia pannie Hastings pracę. Minał już dla pana okres inkubacji choroby i ponieważ nie miał pan żadnych niepokojących objawów, daję panu pozwolenie na opuszczenie budynku. Może pan wracać do pańskiej... straży. – W głosie doktora wybrzmiała jawna niechęć.

Gabe’owi przychodziły do głowy różne repliki, ale skoncentrował się na tej, która wydawała mu się najrozsądniejsza.

– Jestem tu przede wszystkim dla mojego brata. W czasie, gdy jego córka walczy o życie, Rylan potrzebuje wszelkiego możliwego wsparcia. Nie zamierzam stąd odchodzić, dopóki nie minie kryzys.

Doktor Reardon prychnął.

– Nie jestem głupi. Widzę, jaka jest pańska prawdziwa motywacja.

A więc chciał starcia, tak? Gabe zrobił krok w przód.

– Może po prostu określmy szczerze, o co tu chodzi... Jest pan zakochany w Aurorze i nie potrafi pan znieść faktu, że najwyraźniej ona woli moje towarzystwo.

Doktor zamarł, a jego usta rysowały wąską linię pod wąsem.

– Pan jest tylko przelotnym kaprysem, atrakcją. Ale wkrótce wsiądzie pan na pokład statku i wróci za ocean, a ja będę tu na dłużej.

Gabe poczuł nieznośny ucisk na myśl, że była to prawda. Niewygodna, ale prawda.

– Aurora jest dorosłą kobietą i może sama podejmować decyzję. Jeśli opuszczę sierociniec, to i tak nie zmieni nic w naszej przyjaźni.

Doktor Reardon założył ręce i podszedł bliżej.

– Tak żeby wszystko było jasne. Zamierzam poślubić Aurorę.

Uklucie zazdrości było naprawdę mocne.

– A co ona na to? Czy w ogóle zapytał ją pan o to?

– Nie muszę. Łączy nas coś bardzo ważnego... wzajemny szacunek i wspólna miłość do medycyny. – Jego nozdrza drżały. – Jeśli zależy panu na niej, nie powinien pan igrać z jej uczuciami, skoro i tak zamierza pan wkrótce wyjechać i nie wrócić.

Myśl o tym, że nigdy więcej już nie zobaczy pięknej twarzy Aurory, przeszła go bolesnym skurczem. Czy naprawdę mógł odejść na zawsze? Nagle wszelkie powody powrotu do domu zdawały się tracić na ważności.

– Być może zmieniłem zdanie.

Coś na wzór strachu błysnęło w oczach jego rozmówcy.

– Ależ proszę, niech pan łamie serce Aurory, panie Montgomery. Ja poczekam i potem pomogę pozbierać jej rozsypane fragmenty. – Doktor minął Gabe'a pospiesznie, kierując się do drzwi. – Mój początkowy postulat pozostaje aktualny. Proszę opuścić sierociniec i pozwolić nam leczyć chorych.

Gabe przestał już kontrolować swój gniew i mruknął groźnie.

– Nie zrobię tego, dopóki życie mojej bratanicy jest zagrożone, a mój brat oraz Aurora mnie potrzebują.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem za doktorem i Gabe został teraz sam z niemiłym uczuciem przenikającym jego wnętrze. Nie miał jak odeprzeć większości argumentów, które podał doktor Reardon. Czy Gabe miał prawo wkraczać w życie Aurory, czy też powinien szlachetnie się wycofać?

To była prawda, że doktora i Aurorę łączyła więź wspólnej pracy. Jeśli miałyby lekarza za męża, to dawałoby jej gwarancję bezpiecznej przyszłości.

A jej ojciec zdecydowanie starał się trzymać go od niej z dala. Gdyby obstawał za związkiem z nią, to niosło ryzyko rozłamu w jej rodzinie.

Westchnął powoli. Teraz postara się zachować swoje uczucia dla siebie i skupić się na tym, by przejść przez tę epidemię, a potem zastanowi się nad decyzjami, które mogą zmienić życie. Gdy tylko

minie zagrożenie, postara się dowiedzieć, co Aurora do niego czuje – czy to rzeczywiście tylko przelotny kaprys, czy mogliby stworzyć długotrwały związek.

Wyszedł na korytarz, sam nie wiedząc, co ma dalej robić. Rozległ się odgłos szybkich kroków i odwróciwszy się, Gabe dostrzegł biegnącą ku niemu Aurorę. Uderzył go niepokój, gdy dostrzegł na jej twarzy ślady łez.

– Gabe, szybko! – zawołała. – Delia się wybudziła!

Nawet piękne, ciepłe, czerwcowe popołudnie nie mogło poprawić nastroju Adama, kiedy wchodził po szerokich schodach w Irlandzkich Łąkach. Drzwi sypialni rodziców były lekko uchylone i Adam przystanął, by zebrać się w sobie. Co mogło tam na niego czekać?

Gdy tylko przeszedł przez próg, półmrok panujący we wnętrzu spowił go niczym całun. Duże okna przesłonięte były ciężkimi kotarami, wpuszczającymi jedynie wąski pasek światła, który rysował się cienką linią na dywanie. W pokoju dominowała woń choroby zmieszana z mdlącym zapachem lekarstw.

Panie, proszę, nie pozwól, żeby okazało się, że jest już za późno.

James siedział przy brzegu łóżka z głową nisko schyloną nad nieruchomą sylwetką leżącą pod kołdrą. Widok ten przyprawił go o żal, przygniatający ogromem swojego ciężaru. Zawahał się, nie do końca pewien, co powinien dalej zrobić. Czy James pozwoli mu zostać, czy wyrzuci go z miejsca? Czekał, aż mężczyzna dostrzeże jego obecność.

W końcu James uniósł głowę i skierował przekrwione oczy na Adama.

– Więc przyjechałeś.

– Oczywiście, że tak. Przecież to moja matka.

James wyprostował się i powoli podniósł się z krzesła. *Wynędzniały* to było zbyt słabe słowo, by opisać jego wygląd. Adam zastanawiał się, czy przypadkiem nie wrócił do picia, by pomóc sobie w cierpieniu. Poplamiona koszula wystawała ze spodni, a szelki zwisały bezładnie po bokach. Jego ciemne włosy rozczochrane były od tego, jak nerwowo przeczesywał je palcami.

Adam patrzył, jak podchodzi w jego kierunku, w środku przygotowując się już na cios w twarz. Ale James tylko wpatrywał się w niego.

– Jeśli twoja obecność może się jej jakoś przysłużyć, niech będą dzięki Bogu, że cię tu przyprowadził. – Wskazał na krzesło, z którego wstał. – Dam wam chwilę sam na sam.

Nie czekając na odpowiedź, James wyszedł z sypialni. Jego ciężkie kroki dudniły na wyłożonym dywanem korytarzu i Adam został, by czuwać przy matce.

Przysunął sobie krzesło i przysiadł na krawędzi. Z ciężkim sercem spojrzął na bladą twarz mamy. Oddychała ciężko, co widać było po unoszącej się i opadającej pod cienką poszwą klatki piersiowej.

Jeszcze nigdy Adam nie czuł się tak bezradny, poza tym jednym momentem, gdy znalazł martwego Danny'ego dryfującego po jeziorze. Choć starał się ze wszystkich sił tchnąć życie w drobne ciało chłopca, nic nie mogło mu pomóc. Od tamtego czasu prześladował go widok zsiniałych ust i bladej twarzy młodszego brata.

To mogło się znów powtórzyć. Tym razem jednak musiał znaleźć jakiś sposób, by pomóc.

Adam uniósł dłoń mamy i rozgrzewał ją w swoich rękach.

– Jestem tu, mammo. Musisz wygrać z tą chorobą. Ty jesteś spoiwem, które łączy tę rodzinę. – Przytknął czoło do jej ręki. – Proszę, nie poddawaj się teraz. Nie mieliśmy jeszcze okazji, by rozwiązać te sprawy między nami.

Patrzył w jej oblicze, szukając jakiegoś potwierdzenia, że go usłyszała, ale jej rysy nawet nie drgnęły.

Adam spuścił nisko głowę w modlitwie i milczącym czuwaniu, które zdecydowany był podjąć do czasu, aż matka wyzdrowieje... albo nie.

– Przykro mi, synu. Chciałbym mieć lepsze wiadomości. – Doktor Shepherd, który był lekarzem rodziny, odkąd Adam był małym chłopcem, złożył słuchawki i odłożył je z powrotem do swojej podniszczonej skórzanej torby. – Nie ma żadnych zmian.

Adam skinął. Te słowa nie były zaskoczeniem.

– Ale nie jest gorzej?

– Nie. Utrzymuje się w tym samym stanie, co w obecnej sytuacji jest dobrym objawem.

– Dziękuję panu, doktorze.

Kolejne dwa dni minęły jak we mgle. Rodzina naprzemiennie czuwała w sypialni. Adam, James i inni zmieniali się tak, by mama nawet przez chwilę nie była sama.

– Kathleen nie osiągnęła jeszcze krytycznego momentu. Jeśli przetrwa najbliższe czterdzieści osiem godzin, będzie miała szansę wygrać z chorobą.

Adam przełknął poczucie strachu, które ścisnęło go w gardle.

– Czy będzie pan w pobliżu, na wypadek gdybyśmy pana potrzebowali?

– Będę. Mam jeszcze kilku pacjentów do zbadania, ale wrócę.

James, który stał z boku w milczeniu, zrobił teraz krok w przód, mówiąc:

– Proszę pozwolić, że odprowadzę pana do wyjścia, doktorze.

W chwili, gdy tylko wyszli z pokoju, Adam opadł ciężko na krzesło. Nie musiał już udawać, że jest silny. Pochylił się nisko przy krawędzi łóżka i zamknął oczy.

– Mammo, musisz wytrzymać. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam. Dasz radę przez to przejść.

Ktoś włożył mu w dłoń filiżankę.

– Proszę, nie jadłeś nic cały dzień. Napij się przynajmniej herbaty.

Adam podniósł wzrok i dostrzegł swoją siostrę. Zamrugał parę razy, a potem otoczył dłońmi

ciepłe naczynie. Brianna pogładziła go energicznie po plecach.

– Mama zawsze powtarzała, że filiżanka herbaty może wszystko naprawić.

Adam wykrzywił usta.

– Rzeczywiście tak mówiła. Myślę, że czułaby się dużo lepiej, gdyby mogła nam wszystkim zrobić herbatę. – Wstał i ustąpił Briannie miejsca na krześle.

Usiadła i wzięła tkaninę, którą otarła twarz mamy.

– Ona musi wyzdrowieć, Adamie. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez mamy. – Głos jej się urwał i zagryzła dolną wargę.

– Wyzdrowieje. Musimy wszyscy w to wierzyć, żeby ona też mogła.

Brianna odwróciła głowę i przyglądała mu się badawczo.

– Zmieniłeś się od czasu, gdy... cię nie było.

– Nie ma nic złego w użyciu słowa *więzienie*, Bree.

Rumieniec oblał jej policzki.

– To właśnie chciałam powiedzieć. Mam wrażenie, że masz spokojniejsze sumienie, że mniej w tobie gniewu.

Adam zdusił prychnięcie. Od kiedy dowiedział się o swoim prawdziwym pochodzeniu, wypełniało go tyle gniewu, co jeszcze nigdy przedtem.

– Skoro jesteśmy tu sami – zaczęła cicho. – Chciałabym, żebyś wiedział, że mama i tata powiedzieli mnie i Gilowi... wszystko.

– Powiedzieli wam? – Niedowierzanie przeszło Adama. Pamiętał wstyd i poczucie winy malujące się na twarzy matki i nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że mogła powiedzieć o tym reszcie rodziny.

– Tak. I to naprawdę nie ma dla nas znaczenia. Jesteś nadal naszym bratem i kochamy cię.

Wyciągnęła rękę w jego stronę. Pochwycił ją mocno. Czuł, jak bardzo ściśnięte ma gardło.

– Dziękuję ci, Bree. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Uścisnęła jego dłoń, a potem opuściła rękę na kolana.

– To musiało być dla ciebie wstrząsające.

– Nie do końca. W jakiś sposób odczułem ulgę, gdy wreszcie dowiedziałem się prawdy.

– To też wiele tłumaczy, jeśli chodzi o stosunek taty wobec ciebie. Nie chcę usprawiedliwiać jego

zachowania, ale teraz rozumiem, jak bardzo trudne to musiało być dla niego.

W pamięci przesunęły mu się obrazy z dzieciństwa. Jego szlachetna siostra, zawsze szukająca zgody, nieodmiennie starała się widzieć sytuację z obu stron.

– Teraz nic się nie liczy poza wyzdrowieniem mamy. Z resztą poradzimy sobie później.

– Bree, Adamie... – James wszedł do sypialni, a jego twarz była jeszcze bardziej wymizerowana.
– Deirdre i Connor też mają objawy choroby. Doktor Shepherd nawet nie zdążył wyjść.



Maggie dała Colleen jeszcze jeden cały dzień i dopiero wtedy poruszyła temat jej matki. Gdy doktor Reardon zapewnił już zamartwiających się rodziców, iż Delia wyszła na prostą i teraz na pewno wyzdrowieje, Maggie i Rylan nakłonili wreszcie Colleen, by zajęła jedno z pustych już łóżek i porządnie się przespała. Od czasu choroby Delii prawie nic nie jadła i nie spała, co wyraźnie odbiło się na jej samopoczuciu. Maggie modliła się tylko w duchu, żeby bratowa odzyskała siły w tym samym tempie co Delia.

Te złe wieści, które ukrywała przed Colleen, stały się dla niej teraz wyrzutem. Nie mogła już tego dłużej trzymać dla siebie.

Kiedy Colleen przyszła rano do kuchni w sierocińcu, Maggie odłożyła na bok ciasto, które wyrabiała i rzekła:

– Usiądź. Ja przygotuję herbatę.

– Nasiedziałam się już wystarczająco. Przyda mi się wrócić do normalnego życia. – Colleen zawiązała wokół pasa fartuch i zaczęła przeglądać szafki. – Musimy zrobić porządne zakupy. Zajmę się tym jutro. Kiedy pani Norton będzie mogła wrócić do pracy?

– Doktor powiedział, że przyda się jej jeszcze kilka dni odpoczynku. – Maggie umyła i osuszyła ręce, a potem podeszła do bratowej. – Colleen, muszę ci coś powiedzieć teraz, gdy z Delią jest już lepiej.

Colleen zamknęła szafkę i zmarszczyła czoło.

– Czyżby Neill Fitzgerald kręcił się znów gdzieś w pobliżu?

Troska widoczna na twarzy Colleen przyprawiła Maggie o wyrzuty sumienia.

– Nie. Nic z tych rzeczy. – Splotła nerwowo dłonie. – Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć... Twoja matka, Connor i Deirdre zarazili się dudem brzuszny. Kiedy zadzwoniła gosposia, nie chciałam dodawać ci jeszcze trosk...

Colleen wysunęła krzesło i opadła ciężko na siedzisko.

– Jak to możliwe?

Maggie zajęła miejsce po drugiej stronie stołu.

– Doktor twierdzi, że choroba mogła się rozprzestrzeniać przez skażoną żywność. Czy twoja

rodzina jadła tutaj kiedykolwiek?

Colleen skinęła.

– Mama przywiozła tu któregoś dnia Connora i Dee-Dee. Mary zrobiła wtedy lody brzoskwińowe i wszyscy trochę zjedli. – Nagle na jej twarzy pojawił się wstrząs. – Delia też je jadła.

– A ty?

– Nie, ja... Zanim skończyłam sprzątać w klasopracowni, lody się skończyły – powiedziała i zakryła usta dłonią.

Maggie pokiwała głową.

– Pamiętam ten dzień. Rylan i Gabe skarżyli się, że ominął ich deser. A ja dałam swoją porcję Johnniemu...

Colleen zgarbiła się na oparciu.

– Jak bardzo źle jest z mamą?

– Jej stan jest bardzo poważny. – Maggie zawahała się na chwilę. – Powiadomiłam też Adama. Pojechał do niej. Był tam, gdy okazało się, że Connor i Deirdre też zachorowali.

Colleen złożyła dłonie na blacie stołu.

– Ja także powinnam tam pojechać. Ale jak mam zostawić Delię? Ona wciąż potrzebuje obecności matki. – W jej oczach błysnęły łzy.

Maggie położyła ręce na jej dłoniach.

– Twoja mama ma przy sobie całą rodzinę, a Rylan i Delia potrzebują ciebie tutaj.

Maggie przerwała. Teraz, gdy sytuacja Delii już się poprawiła, czuła, że powinna jechać do Adama.

– Wybieram się jutro do Irlandzkich Łąk – wyznała cicho. – Mogę dostarczyć list od ciebie.

Colleen wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

– Po co tam jedziesz?

Maggie uniosła podbródek. Nie było potrzeby ukrywać prawdy przed Colleen. Zbyt wiele wydarzeń rozstrzygających o życiu i śmierci z ostatnich tygodni przekonywało ją, że ukrywanie uczuć nie ma sensu.

– Zdaję sobie sprawę, jak bardzo napięta sytuacja panuje pomiędzy Adamem i waszym ojcem, więc chciałabym tam być, by go wspierać. On potrzebuje kogoś, kto będzie trzymał jego stronę. – Nie ugięła się, gdy Colleen mierzyła ją wzrokiem.

– Maggie, nie możesz wkraczać w życie Adama. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Maggie uśmiechnęła się blado.

– Mówisz jak twój brat... i mój. Ale obawiam się, że już za późno na wasze ostrzeżenia. Co ma być to będzie, a ja muszę iść za głosem serca.

Na twarzy Colleen pojawił się wyraz empatii.

– Och, Maggie. Wiem, że mu współczujesz. Być może mylisz to... uczucie... z czymś innym.

Maggie wstała bez słowa i z zaciętą miną wróciła do ciasta, które przedtem wyrabiała.

– Nie myślę, Colleen. Może i Adam przestał w siebie wierzyć... ale ja nie. Bóg też nie.

Adam minął tor wyścigowy i skierował się w stronę stajni, wdychając zapach obornika i trawy. Po kilku dniach zamknięcia w zaduchu sypialni na piętrze potrzebował odmiany, więc wyszedł na zewnątrz, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Choć mama nadal nie odzyskała przytomności, przetrwała decydujące czterdzieści osiem godzin, o których mówił doktor Shepherd, i jej stan się nie pogorszył. Już samo to sprawiało, że przepełniała go wdzięczność. Nie było lepszego miejsca na dziękczynienie niż w otoczeniu natury, gdzie tak wyraźnie dawała się odczuć obecność Boga.

Ruszył w kierunku stawu na tyłach posiadłości, gdzie wiele lat temu wydarzyła się tragedia. Pomyślał, że przebywanie w miejscu, gdzie Danny odszedł z tego świata, pomoże mu ponownie zbliżyć się do brata.

Adam stał pod wierzbą płaczącą i wpatrywał się w pozornie niewinną wodę, ale nie wzbudzała już ona w nim nienawiści i samooskarżania, które towarzyszyły mu wcześniej. Chciał wierzyć, że Bóg miał jakiś cel w tym, by powołać do siebie Danny'ego w tak młodym wieku. Tak samo wierzył, że życie jego matki było bezpieczne w Bożych rękach.

Schyliwszy się, podniósł jakieś płaskie kamyki i rzucał je w wodę, patrząc, jak na powierzchni tworzą się zmarszczki. Wydarzenia jego życia były jak te kamyki, rzucone na nowe tereny, a każdy z nich powodował fale i ich konsekwencje. Choć niekoniecznie rozumiał, w jaki sposób Bóg działał w jego życiu, ufał, że to wszystko prowadziło do jakiegoś większego dobra.

Przypomniawszy mu się jeden z ulubionych wersetów Johna: „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według Jego zamiaru”. Adam trzymał się tych słów w czasie, gdy był w więzieniu, opierając całą nadzieję w złożonej tam obietnicy.

Pochylił głowę i skierował słowa modlitwy do Ojca Niebieskiego.

Dziękuję Ci, Panie, za Twoje miłosierdzie okazane naszej rodzinie. Proszę, wylej łaskę uzdrowienia na moją mamę, siostrę oraz brata. Pobłogosław Colleen i Rylanowi. Daj im siłę, by poradzili sobie ze stratą młodej Ivy i chorobą Delii. Proszę, jeśli Ty tego Boże chcesz, daj jej zdrowie. Oni jej potrzebują, Panie. Błagam, bym mógł stać się Twoim narzędziem i pomóc im w tych trudnych chwilach, na chwałę Twojego imienia. Amen.

Umocniony, skierował swoje kroki z powrotem w stronę domu. Zamierzał jeszcze wstąpić do kuchni, żeby sprawdzić, czy zostało coś do jedzenia, gdyż nie jadł obiadu.

Kiedy szedł po miękkiej trawie, uświadomił sobie, że myślami wraca do Maggie, co niejednokrotnie mu się zdarzało, gdy miał chwilę wolnego. Jakże ciężko mu było opuścić ją tamtego dnia w sierocińcu. Czy ona wyczuwała, jak bardzo pragnął ją pocałować? Że chciał przyciągnąć ją do siebie i zanurzyć twarz w jej jedwabistych włosach?

Wydawało mu się, że dostrzegł tę tęsknotę także w jej oczach, gdy się żegnali. Ale zmusił się i dał jej odejść. Nic dobrego by z tego nie wyszło, gdyby pozwolili zapłonąć uczuciom, które nie miały prawa bytu. Pogłębiłoby to jedynie pragnienie tego, co niemożliwe.

Szedł wzdłuż białego ogrodzenia okalającego tor wyścigowy. Zamierzał wejść tylnymi drzwiami

koło kuchni. Jednakże, kiedy zwrócił się w stronę domu, zobaczył coś, co odebrało mu dech w piersi. Stała przy schodach wiodących na werandę, a jej długie włosy falowały lekko na wietrze.

Maggie. Czyżby wywołał ją w swoich myślach?

Zdawało się, że wrósł w ziemię tam, gdzie stał. Zamrugał, by pozbyć się przywidzeń, ale ona nadal tam była, w swojej niebieskiej sukni powiewającej na wietrze. Z wielkim wysiłkiem zaczął iść w jej stronę. Serce biło mu nierówno. Nagle wypełnił go niepokój. Czy coś stało się Delii albo Colleen?

– Maggie. Co ty tutaj robisz?

– Witaj, Adamie. – Złożyła dłonie przed sobą. – Jak się miewa twoja matka?

Wydawała się podenerwowana. Brakowało jej tej zwykłej niefrasobliwości.

– Radzi sobie nie najgorzej w tym momencie. Jakie nowiny przywozisz z sierocińca? – Bał się nawet usłyszeć odpowiedzi, choć nie wyczuwał w jej głosie żaloby.

Uśmiechnęła się, a jej twarz pokryła się oślepiającym pięknem.

– Doktor Reardon mówi, że Delia wkrótce całkiem wyzdrowieje.

Poczucie ulgi przetoczyło się przez niego z ogromną siłą.

– Chwała Bogu! Wysłuchał naszych modlitw.

Maggie podeszła bliżej z szelestem sukni.

– Zaiste, wysłuchał.

Jakby przyciągany jakąś niewidzialną siłą, Adam zbliżał się do niej, aż dzieliło ich jedynie kilka kroków. Tak blisko, że czuł wyraźnie jej lawendowy zapach.

– Ale dlaczego przyjechałaś? Przecież wystarczyło zadzwonić. – Wiedział, na jaką odpowiedź czekał, jednakże zdawał sobie sprawę z bezsensu swoich pragnień.

Przez jej twarz przemknęła mgła niepewności.

– Przyjechałam, by pomóc. – Bawiła się materiałem spódnicy. – Colleen bardzo chciała tu być, ale nie mogła jeszcze zostawić Delii. Zaproponowałam, że przyjadę zamiast niej i przywiozę list dla twojej matki. – Uniosła ramię i dodała: – Jeśli tylko mogę na coś się przydać... gotować, prac, cokolwiek... – Zaczęła się plątać, a jej idealny nos zmarszczył się nieznacznie.

Adam trzymał się prosto, starając się nie dać po sobie znać, że jest rozczarowany. Przyjechała tu do pracy. Najprawdopodobniej Rylan zasugerował to, żeby Colleen nie czuła się winna, że nie może sama tu przybyć.

– Chodź do środka. Dowiem się, w czym mogłabyś pomóc.

– Dziękuję. – Poszła za nim przez trawnik w stronę tylnych schodów.

Adam otworzył drzwi i przepuścił ją. Przeszli wąskim korytarzem do kuchni.

Przy olbrzymim drewnianym stole siedziała pani Harrison z talerzem jedzenia przed sobą. Gdy tylko weszli, podskoczyła.

– Panicz Adam. W czym mogę pomóc?

Skinął nieznacznie głową.

– Proszę usiąść i skończyć jeść. To jest Maggie, siostra Rylana. Przyjechała nam pomóc.

Pani Harrison rozpromieniła się w uśmiechu.

– Wspaniale panienkę poznać. Każdy krewny Rylana jest tu mile widziany.

Delikatny śmiech Maggie odbił się echem w całej kuchni.

– Widzę, że mój brat zauroczył panią. Już on dobrze wie, jak uszczęśliwić każdego, kto może dla niego gotować.

– O, tak. – Pulchna pani Harrison usadowiła się z powrotem na krześle. – Muszę dać odpocząć nogom, gdy tylko mogę. Będzie mi miło, jeśli pomoże mi panienka później, gdy będę przygotowywać kolację.

– Z przyjemnością.

– Dziękuję, Maggie. Proszę, poczęstuj się, jeśli jesteś głodna.

– Nie, dziękuję.

Teraz Adam przypomniał sobie o swoich pierwotnych zamiarach, więc chwycił dwie bułeczki i jabłko z koszyka stojącego na blacie.

– Czy może pani powiadomić panią Johnston, że będziemy mieć gościa na noc? – Zerknął na Maggie i upewnił się: – Zamierzasz zostać?

Maggie zmierzyła go poważnym wzrokiem.

– Zostanę tu, dopóki twoja mama nie stanie znowu na nogi.

Pani Harrison zaśmiała się.

– Chyba właśnie tego tu potrzebujemy, Maggie. Nic nie zastąpi świeżej dawki optymizmu, jak to zawsze mówię.

Maggie skinęła.

– Co daj Bóg. Amen.

W kuchni Irlandzkich Łąk Maggie trochę się uspokoiła i już łatwiej jej było oddychać. Przynajmniej pani Harrison wydawała się cieszyć jej obecnością. Niezbyt przyjazne zachowanie Adama wzmogło tylko niepokój, choć w głębi serca wierzyła, że dobrze uczyniła, przyjeżdżając tutaj. Nie wiedziała jednak, co zrobi, kiedy okaże się, że dla Adama nie jest tu mile widziana.

– Masz jakiś bagaż? – Głos Adama wytrącił ją z rozmyślań.

– Tak. Zostawiłam przed głównym wejściem.

– Zajmę się nim, a potem zaprowadzę cię do jednego z pokoi gościnnych. Będziesz mogła się odświeżyć, póki jeszcze pani Harrison nie zaprzęgnie cię do pracy.

Adam pokierował Maggie w głąb korytarza prowadzącego do głównego holu i czekała chwilę, gdy poszedł po jej torbę. W milczeniu zaczęli wspinać się po imponujących krętych schodach.

Szukała w głowie, co mogłaby powiedzieć, byleby tylko nie odcinał się od niej.

– Jak się układają sprawy pomiędzy tobą a ojcem od czasu twojego przyjazdu tutaj?

Adam spojrzał na nią ostro.

– Bardzo napięte. Ale na obecną chwilę mamy rozejm.

Weszli na piętro i rozległ się odgłos kroków. W ich stronę wybiegła Brianna.

– Adamie, chodź szybko! Mama cię woła.

Upuścił torbę na ziemię.

– Obudziła się?

– Ledwie. Ale nie jest dobrze, Adamie. – W oczach Brianny błyszczały łzy. – Chce widzieć Colleen, Dee-Dee i Connora. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. – Ciemne plamy pod jej zielonymi oczami sprawiały, że jej wzrok wydawał się pusty.

Maggie poszła za nimi korytarzem i zatrzymała się, gdy Adam wszedł do pokoju, który musiał być sypialnią rodziców. Stała tak rozdarta niezdecydowaniem. Nie czuła się uprawniona, by uczestniczyć w tej scenie, jednak podzielała cierpienie, którego on teraz doświadczał. Podeszła do otwartych drzwi i zajrzała do środka.

W spowitym półmroku pokoju leżała Kathleen, a jej ciało tworzyło ledwie widoczny zarys pod kołdrą. Unieśli ją, podkładając poduszki pod głowę. Śledziła wzrokiem Adama, gdy ten przechodził przez pokój i stanął koło łóżka. Upadł na kolana i sięgając po jej dłoń, wyrzekł:

– Jestem tutaj, mammo.

– Mój syn. – Jej umęczony szept zawisł w powietrzu. – Dzięki Bogu.

– Musisz oszczędzać siły. Możemy porozmawiać, gdy już będziesz czuła się lepiej.

– Nie. Musimy teraz. James. – Obróciła głowę i odszukała wzrokiem męża stojącego u stóp łóżka. Wyciągnęła dłoń i on podszedł, by ją ująć.

Podniósł jej rękę do ust, a potem przyłożył do swojego policzka.

– Jestem tutaj.

Kathleen spojrzała na Adama.

– Musicie się pogodzić. Chcę mieć pewność, na wypadek gdybym nie wyzdrowiała.

James potrząsnął głową.

– Nie mów tak, Katie. Wyzdrowiejesz. Musisz.

Z trudem zaczerpnęła powietrza.

– Obiecujcie mi. Proszę.

Adam podniósł zboląły wzrok na Jamesa. Maggie widziała tylko plecy mężczyzny i miała wrażenie, że są sztywne jak mur. Potem przygarbił się i westchnął, co najwyraźniej oznaczało kapitulację.

– Tak, Katie. Obiecuję.

Adam zwrócił się z powrotem w stronę matki.

– Ja też obiecuję, mammo. A teraz musisz wydobrzeć, bo może być nam potrzebny arbiter.

Jakiś cień uśmiechu przemknął przez usta pani O’Leary.

– To właśnie robiłam przez całe małżeństwo. – Jej twarz przybrała głęboki wyraz. – Przebacz mi, Adamie. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Starłam się tylko cię chronić.

– Nie mam ci czego wybaczać, mammo. Kocham cię – odparł, a jego głos zaczął się łamać. Potem Adam położył głowę na jej ramieniu.

Łzy płynęły strumieniami po policzkach pani O’Leary.

– Już, kochanie. Nie powinnaś się smuć. Doktor nas zgani za to, że tak cię męczymy. – James chwycił Adama za ramię. – Idź już i daj jej odpocząć.

– Poczekaście. – Kathleen niespokojnie wodziła wzrokiem po pokoju. – A gdzie moje dzieci? Connor i Deirdre. Chcę ich zobaczyć. A Colleen?

Panika w głosie pani O’Leary rozdzierała serce Maggie. Brzmiało to tak, jakby stała już u wrót niebieskich i nie mogła odejść, dopóki nie pożegna się ze swoimi dziećmi.

Brianna pochyliwszy się, odgarnęła włosy z czoła matki.

– Colleen opiekuję się Delią, a Connor i Deirdre... – Zerknęła na pana O’Leary’ego, który skinął z rezygnacją. – Niestety też są chorzy, mammo.

– Niecee. – Głuche jęknięcie rozdarło powietrze. – Boże, proszę, nie zabieraj więcej moich dzieci. Nie zniosę tego. – Jej całe ciało drżało pod przykryciem.

Maggie walczyła ze łzami napływającymi do oczu. Adam wciąż miał nisko pochyloną głowę, więc nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale widok zgarbionych ramion mówił jej o jego cierpieniu.

Choć bardzo chciała być tam z nim, by pomóc mu dźwigać ten smutek, wiedziała, że nie miała prawa. Zanim ktokolwiek z rodziny zauważyłby, że była świadkiem tej intymnej sceny, Maggie odnalazła drogę powrotną i zeszła po schodach na parter. Jej duszę przepelniał ogrom smutku. Jak ta rodzina poradzi sobie ze śmiercią ukochanej żony i matki? Maggie obawiała się, że rozpadną się bez tej jednej osoby, która zdawała się ich łączyć.

Smutek Maggie zaprowadził ją w miejsce, w którym mogła odnaleźć pocieszenie. Weszła do cichego i zimnego salonu. Od drzwi balkonowych biło światło w miejscu, gdzie rozsunięte były zasłony. W kącie stał mały fortepian – ten, na którym pani O’Leary tak pięknie grała w noc przyjęcia Brianny.

Maggie wysunęła drewnianą ławkę i usiadła przed instrumentem. Rozciągnęła palce i złożyła je delikatnie na klawiszach, a potem zaczęła grać pieśń, która zawsze przynosiła jej pocieszenie. Miała nadzieję, że jeśli te dźwięki doleczą na piętro, przyniosą też ulgę innym.

Gdy tak grała, słowa psalmu same cisnęły się na usta, więc zaczęła cicho śpiewać. „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...”

Adam wziął urywany oddech, gdy wyszedł z sypialni matki. Pielęgniarka zatrudniona przez Jamesa poprosiła o chwilę na osobności z pacjentką. Adam przeszedł przez korytarz, starając się poskromić wzbierający w nim żal. Jego wzrok padł na porzuconą torbę podróżną Maggie. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że zostawił ją, gdy tylko usłyszał wołanie Brianny. Dokąd ona poszła?

Zaczęła do niego docierać muzyka. Nie musiał się nawet domyślać, kto grał. Zszedł po schodach i lekko uchylił drzwi salonu, a potem stojąc w wejściu, słuchał. Czysty głos wybrzmiewał w pokoju: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć, orzeźwia moją duszę”.

Adam tak mocno zaciskał palce na klamce, iż miał wrażenie, że zaraz stopią się w jedno z metalem. Skąd Maggie wiedziała, że to był jeden z ulubionych psalmów mamy? Wspomnienia z dzieciństwa przeniknęły go już po raz drugi tego dnia... obrazy jego rodziny stojącej w kościelnej ławce w niedzielę, słodki głos jego matki wybijający się ponad głosami innych wiernych. Czy będzie jej dane jeszcze tego doświadczać?

Nogi nieomalże ugięły się pod nim na myśl, że ona może nigdy nie wstać z łóżka.

Panie, proszę, nie zabieraj jej. Potrzebujemy jej tutaj.

Chciał uciec od męczarni, które niosła pieśń Maggie, ale stał nieruchomo w miejscu, jakby trzymany jakąś niewidzialną siłą. W końcu śpiew dobiegł końca, a palce pianistki znieruchomiały nad klawiaturą. Choć nie rzekł ani słowa, zdawała się wyczuwać jego obecność. Odwróciła się i spojrzała na drzwi.

– Adamie. – Odsunęła stołek od pianina i przeszła przez pokój, a z jej jasnej twarzy przebijała troska. – Co z mamą?

Adam przesunął dłonią po twarzy, z zaskoczeniem zauważając, że ma mokre policzki.

– Obawiam się, że ją tracimy, Maggie. Jest taka słaba... – Adam zachwiał się, sam nie wiedząc, co zrobić z niewyobrażalnym żalem, który przenikał każdą komórkę jego ciała.

Maggie otoczyła go ramionami w pasie i położyła głowę na jego piersi.

– Teraz wszystko w rękach Boga. Ale niezależnie od tego, co się stanie, będzie dobrze. Obiecuję.

Ciepło jej ciała przenikało go. Przyciągnął ją mocniej do siebie, wtulając policzek w jej włosy. Próba odsunięcia od siebie zalewających go uczuć sprawiła, że aż się wzdrygnął. W odpowiedzi przesunęła dłonie, gładząc go po plecach i szeptała jakieś irlandzkie słowa, których nie rozumiał.

Ale nie liczyło się znaczenie. Była w jego ramionach i pomimo strachu oraz żalu, które nim targały, czuł się bezpieczny. Odnalazł pocieszenie.

Podniosła dłoń i otarła jego wilgotne policzki. Próbował się odsunąć, zawstydzony własnymi łzami, ale ona szybko rzekła:

– Dobrze jest wyrzucić z siebie smutek. Nie możesz tłumić w sobie emocji, bo będą się kumulowały i w końcu zatrują twoją duszę. Pozwól im wypływać, żebyś miał potem siłę dla twojej matki.

– Maggie. – Słowa uwięzły mu w gardle. Gdyby tylko mógł już na zawsze wpatrywać się w te jej piękne oczy i zapomnieć o wszelkich bojach toczących się wokół niego. Zapomnieć o przeszłości. W tym momencie nie liczyło się już nic.

Nic, tylko Maggie.

Pochylił głowę i ustami odszukał jej warg. Czuł słony smak jej łez. Podniosła dłoń i dotknęła jego policzka, a potem pocałowała go z taką słodyczą, że aż poczuł się zawstydzony. Była jak balsam dla jego duszy. W końcu, z wielkim ociąganiem, odsunął się. To nie było uczciwe, żeby tak od niej brać. Przyjmować pocieszenie, które niosła, podczas gdy on nie mógł jej dać nic w zamian.

– Przepraszam, Maggie. To nieuczciwe z mojej strony.

– Ciii. Nie masz za co mnie przepraszać. Całowanie nie boli. – Uśmiechnęła się do niego łagodnie. – Przyjechałam tu, by wspierać cię w cierpieniu i dać ci pocieszenie, na ile tylko będę potrafiła.

Przesunął palcem po jedwabistej skórze jej policzka, wpatrując się w nią mocno... jasna skóra, lekko zadarty nosek, pełne usta.

– Dlaczego, Maggie? Dlaczego ci zależy?

Jej policzki oblały się rumieńcem i spuściła powieki.

Dżentelmen wycofałby swoje pytanie i uwolnił ją od wyraźnego skrępowania. Ale Adam musiał wiedzieć.

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie wiem, dlaczego i jak to się stało, Adamie, ale zależy mi. Bardzo. Wierzę, że Bóg ma w tym jakiś plan dla mnie i będę czekać, aż się dowiem. A teraz zdecydowałam, że zaufam temu, co podpowiada mi serce. Tylko to mogę uczynić.

Jej szczere wyznanie zupełnie go zaskoczyło. Żadnych gier, flirtowania, skrywania prawdy. Jak miał się do tego odnieść?

Przytknął swoje czoło do jej.

– Maggie, sama wiesz, dlaczego to nie jest możliwe. Nie mam ci nic do ofiarowania oprócz przestępczej przeszłości i niedoskonałego rodowodu. Zaslugujesz na dużo więcej.

Zaprzeczyła ruchem głowy, a jej oczy wypełnił smutek.

– Czemu tak upierasz się przy tym, by odmawiać sobie szczęścia z powodu człowieka, który zmarł, zanim się narodziłeś? On nie miał wpływu na twoje życie. – W jej głosie nie było gniewu, tylko frustracja.

Adam zrobił krok w tył.

– Nie miał wpływu? Noszę jego geny i jeśli miałbym dzieci, one także by je nosiły w sobie. Nie mogę nikogo na to narażać. – Przesunął nerwowo dłonią po włosach. Musiał jej uświadomić, jak ważne to było. Raz na zawsze.

Podeszła do kominka i stała, wpatrując się w zimny, szary popiół. Kiedy znowu odwróciła się do niego, uniosła podbródek i zapytała:

– Adamie, co sądzisz o małej Ivy?

Zmarszczył brwi w odpowiedzi na tę nagłą zmianę tematu.

– Co masz na myśli?

– Czy miałbyś coś przeciwko, żeby Colleen ją adoptowała? Żeby wychowywała ją jak własną córkę?

– Oczywiście, że nie. Przecież to niewinne dzieciątko. – Zbyt późno zauważył, jaka pułapka ukryta była w jej pytaniu.

– Zatem los Ivy nie został przypieczętowany przez jej matkę? Nie ma skażonej krwi?

Pułapka się zamknęła. Próbował znaleźć jakieś wyjście.

– Jeśli Ivy będzie uwikłana w taki styl życia, to tak, ulegnie zepsuciu.

– Ale jeśli zostanie wychowana w kochającej rodzinie, przez szanowanych rodziców, takich jak Rylan i Colleen? – Wąskie brwi Maggie uniosły się w pytającym wyrazie.

– Jeśli rodzice będą ją kochać i traktować jak własne dziecko, to będzie dobrze.

Podeszła do niego, patrząc na niego z powagą.

– Ty właśnie otrzymałeś takie wychowanie, Adamie. Wzrastałeś w pełnym czułości domu, wśród prawych rodziców, miałeś matkę i rodzeństwo, którzy cię kochali.

– I ojca, który nie znosił nawet mojego widoku – prychnął w odpowiedzi.

Przeszedł do drzwi balkonowych i zapatrzył się w ogród. Szelest sukni wskazywał, że Maggie poszła za nim.

– Czy twój ojciec bił cię, znęcał się nad tobą albo okrutnie cię karał?

Palce Adama zacisnęły się kurczowo na klamce. Czuł neodpartą potrzebę, by wyjść na zewnątrz. By iść, jak najdalej od domu, od tych pytań wdzierających się w obszary, które pragnął zostawić w spokoju. Przeszyła go irytacja i odwrócił się gwałtownie, stając na wprost niej.

– A czy zaniedbywanie nie jest formą znęcania się? Czy nieokazywanie uczuć dziecku nie jest okrucieństwem?

Jej usta wygięły się w podkowę i od razu pożałował swojego ostrego tonu. Ale jeśli trzeba było takiej szczerości, by mogła dostrzec prawdę, niech i tak będzie.

– Ojciec, który nie okazuje miłości dziecku, zachowuje się *rzeczywiście* okrutnie. Ale to nie oznacza, że to dziecko zmieni się w przestępcę, że jego życie nic nie jest warte. – Stała tak blisko niego, że widział w jej oczach isierki, które go zniewalały. – Ale nie możesz pozwolić, by brak uczuć jednego rodzica całkiem przyćmił miłość twojej matki i rodzeństwa. Nie wspominając już o tych luksusach, których pragnęłoby niejedno dziecko. – Mówiąc to, zatoczyła ręką, wskazując na pokój, w którym się znajdowali. – Inne dzieci wychowywały się w dużo gorszych warunkach i wyrosły na wspaniałych ludzi. – Przez jej twarz przemknął smutek. – Na przykład dziecko, którego ojciec zmarł w kopalni, które musiało żyć w małej chatce z owdowiałą matką i czterema braćmi. – Teraz w jej oczach błysnęły łzy. – Takie dziecko też mogłoby okazać się złym człowiekiem w dorosłym życiu. – Westchnęła głęboko. – Ale wierzę, że dobrze sobie poradzi.

– Maggie...

– I ty także dasz radę. – Uniosła dłoń i pogładziła go po policzku. – Ale jeśli nie uwierzysz w siebie, jeśli nie uwierzysz we własną wartość, to nie będzie się liczyło. – Pozwoliła, by jej dłoń opadła. – Stoisz przed wyborem, Adamie. Modlę się, byś dokonał tego właściwego. – Nie spuszczała z niego wzroku, przelewając w to spojrzenie całą głębię swojego uczucia.

Pragnął coś powiedzieć... cokolwiek... żeby tylko ją uspokoić, a jeśli nie, to przynajmniej uścisnąć ją i znów całować. Gdy tak się wahał, Maggie zrobiła krok wstecz.

– Idź i bądź przy swojej matce. Ona cię potrzebuje. A ja muszę pomóc pani Harrison.

Szybkim krokiem przeszła przez pokój. Przy drzwiach przystanęła jeszcze i spojrzała za siebie.

– Jeśli będziesz mnie potrzebował, jestem tutaj, Adamie. Nie bój się przyjąć tego daru, który otrzymałeś... bez jakichkolwiek dodatkowych warunków.

Aurora zdjęła pościel z kolejnego łóżka, które zwolniło się, tym razem po wyzdrowieniu małej Grety. Doktor Reardon zdecydował wreszcie, że dziewczynka jest na tyle zdrowa, że może powrócić do sypialni dziewcząt i w świetlicy zostało już tylko troje dzieci. Delia, Felicia i Anthony przeszli chorobę najciężej i potrzebowali najwięcej czasu, żeby dojść do siebie. Ale Aurora była przekonana, że przy odpowiednim nakładzie czasu i opieki, również wrócą do pełni zdrowia.

Na przeciwnym krańcu sali Colleen podniosła się od łóżeczka Delii. Rozciągnęła zeszywniałe ręce i rozcierała obolałe krzyże. Aurora odczuła narastający niepokój. W ciągu ostatnich paru dni zauważyła, że Colleen była bardzo blada i bez energii. Pomimo protestów kobiety, Aurora zmierzyła jej parę razy temperaturę, ale na szczęście okazało się, że nie odbiegała od normy. Mimo to miała jakieś niejasne przeczucie, że z Colleen nie było dobrze.

Colleen przeszła przez pokój i zaczęła pomagać Aurorze składać koce.

– Jeszcze parę dni i Delia w końcu będzie mogła wrócić do domu – powiedziała Aurora i wzięła stertę prania, żeby znieść ją do piwnicy.

Jednak zamiast uśmiechu, na twarzy Colleen pojawił się ponury wyraz.

– Chciałam cię o coś prosić, Auroro.

– Oczywiście. O co chodzi?

– Dzisiaj rano otrzymałam telefon w sprawie mojej matki. Jej stan pogorszył się i mama chce się ze mną widzieć. Mój ojciec i siostra nalegają, żebym wróciła do domu.

Aurora odłożyła pranie na bok.

– Tak mi przykro, Colleen. – Aurora nawet nie potrafiła sobie wyobrazić pani O’Leary, tej żywotnej, energicznej kobiety, jak leży na skraju śmierci. – Co mogę zrobić?

– Zajmij się moją córką. – Łzy błyszczały w oczach Colleen. – Choć bardzo nie chcę jej opuszczać, jeśli mama umarłaby, nigdy nie mogłabym sobie wybaczyć, że nie pojechałam.

Aurora odruchowo wzięła ją w objęcia. Wszelkie stare niechęci, które żywiła wobec Colleen i jej rodziny, zniknęły... przynajmniej taki był pozytywny wymiar przechodzenia razem przez ten kryzys.

– Będę się opiekować Delią jak własną córką.

– Dziękuję ci – wyrzekła Colleen ledwie słyszalnym szeptem. – Chyba już pójdę. Muszę się odświeżyć i spakować parę rzeczy. Rylan zawiezie mnie na pociąg.

– Będę się modlić za twoją mamę.

Colleen skinęła i wyszła z sali.

Aurora porozmawiała jeszcze z każdym dzieckiem i upewniła się, że jest im wygodnie, a potem

wzięła pościel i wyszła szybko na korytarz. Zeszła po schodach i skierowała się w stronę znajdującej się w piwnicy pralni. Myślami wciąż była przy Colleen. Wyszła zza zakrętu i uderzyła prosto w twardą pierś. Sterta prania wyslizgnęła się jej z rąk i spadła na podłogę. W tym samym momencie ktoś pochwycił ją w pasie, by jej pomóc. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w błyszczące oczy Gabe'a.

– Większość dziewcząt zazwyczaj nie wpada aż tak dosłownie w moje ramiona – oświadczył, uśmiechając się szeroko.

Poczuła uderzenie ciepła na policzkach.

– Gabe. Prze-przepraszam. Nie spodziewałam się, że ktoś tu jest na dole.

W drugiej ręce trzymał skrzynkę z narzędziami.

– Rylan poprosił mnie, żebym naprawił zatkany zlew.

– Rozumiem. – Uklękła i zaczęła zbierać rozrzucone pranie, a on natychmiast odstawił narzędzia, by jej pomóc.

W słabym świetle korytarza, z pochylonymi obok siebie głowami, wszystko wydawało się przesiąknięte taką intymnością. Ich ręce splątały się w prześcieradła, gdy wstawali z klęczek. Gabe uwolnił jedną dłoń i ujął Aurorę pod brodę. Spojrzała na niego. Błysk w jego oku zniknął, a zamiast tego dostrzegła taką głębię, która przyprawiła ją o gwałtowne bicie serca.

– Auroro, *mo ghrá*. – Te słowa, wypowiedziane gardłowym głosem, przyprawiły ją o ciarki. – Pragnę cię pocałować. Chciałem to zrobić już od dawna.

Miała wrażenie, że nie jest w stanie się ruszyć. Jej wzrok utkwiony był w dołeczku jego podbródka. Zniżył twarz, zbliżając się do niej.

– Jeśli chcesz, żebym przestał, powiedz.

Przez głowę przemknęła jej myśl o dezaprobachie ojca, ale szybko odepchnęła ją od siebie. Od wielu tygodni marzyła o tej chwili. Nie mogła pozwolić, by jej ojciec to zniszczył.

– Nie przestawaj – zdołała tylko wyszeptać.

Kiedy jego usta zetknęły się z jej, siła uczuć, które nią owładnęły, o mało nie spaliła jej zupełnie. Objął ją jeszcze mocniej ramionami, przyciągając blisko do swojej piersi. Ciepło jego ust przyprawiało ją o dreszcze.

W końcu odsunęła się i wzięła oddech. Nie potrafiła stłumić w sobie żalu.

– Nie powinniśmy. Ty za parę tygodni wracasz do Irlandii, a ja zaczynam pielęgniarstwo.

Gładził jej policzek kciukiem, prawie całkowicie uniemożliwiając jej sformułowanie spójnej myśli.

– A co, jeśli powiedziałbym, że jeszcze rozważam kwestię wyjazdu? – W jego oczach błysnęło pożądanie.

– Ale ty kochasz swoją ojczyznę. Wiem to ze wszystkich twoich opowiadań. I co z twoją matką? Mówiłeś, że nie mógłbyś jej zostawić.

– A może znalazłem coś, co kocham bardziej.

Jego usta po raz kolejny zetknęły się z jej wargami, obalając zupełnie wszelkie jej argumenty przeciw. Kiedy w końcu się odsunął, czuła zawroty głowy. On nie spuszczał z niej wzroku.

– Wydaje mi się, że zakochałem się w tobie, zanim jeszcze poznałem twoje imię. Już w tym momencie, gdy dostrzegłem cię na drugim krańcu pokoju podczas przyjęcia u O’Learych, twoje piękno mnie urzekło. A gdy tylko cię poznałem, dałem się uwieść twojej dobroci. – Ucałował ją w skronie. – Teraz, gdy widziałem cię w pracy z tymi dziećmi, przekonałem się, że jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Pochylił znów swoją głowę w jej stronę i choć wiedziała, że powinna mu się opierać, wszystko w niej pragnęło ciepła jego pocałunku. Jeszcze nic nigdy nie wydawało się jej tak fascynujące, tak właściwe.

– Panno Hastings? Czy jest pani na dole? – Pełen dezaprobaty głos doktora Reardona przerwał ciszę.

Aurora podskoczyła, wpadając w ścianę za plecami. Zerknęła na Gabe’a, w milczeniu błagając go, by się ukrył. Jeśli doktor Reardon znajdzie ich tutaj razem...

Gabe czule ucałował jej dłoń, przyprawiając ją ponownie o gęsią skórkę.

– Ty idź. Ja się zajmę praniem. Pamiętaj, że nie zrobiliśmy nic złego.

Pragnęła go jeszcze raz pocałować, ale zamiast tego obróciła się szybko i wbiegła na górę po schodach, poprawiając włosy i fartuch.

Wyłoniła się z ciemności na parter, gdzie doktor Reardon nerwowo przechadzał się po dywanie.

– Jestem tu, doktorze. Czy coś się stało? – Brakowało jej tchu, ale miała nadzieję, że lekarz uzna to za wynik szybkiego wychodzenia po schodach.

Jego czoło przecięła niemila zmarszczka.

– Gdzie pani była? Szukałem pani w całym budynku. – Jego wąsy drżały w oburzeniu.

Aurora starała się bardzo, żeby nie pokazać po sobie zawstydzienia.

– Poszłam zanieść pościel do pralni. W czym mnie pan potrzebował?

Podszedł do niej, uważnie obserwując korytarz. Pani Taft siedziała na swoim zwykłym miejscu w recepcji, a dwie siostry stały nieopodal, rozmawiając.

– Chyba lepiej będzie, jeśli dokończymy tę rozmowę na osobności. Proszę za mną.

Jak uczeń, który miał właśnie dostać burę od dyrektora, Aurora niechętnie poszła za nim do gabinetu Rylana. Przepuścił ją przodem, a ona zajęła miejsce przy dużym biurku. On tymczasem przeszedł w stronę okna i stojąc tam, zaczął:

– Bardzo mnie rozczarowałaś, Auroro.

Aurora otworzyła bezwiednie usta, ale szybko się poprawiła. Nie zrobiła nic, czym mogłaby zasłużyć na jego rozczarowanie. Jednakże zwrócił się do niej po imieniu, co podpowiadało jej, że chodzi o coś osobistego.

– Z jakiego powodu? – zapytała urywanym i chłodnym głosem.

– Coraz większa... obsesja... na punkcie pana Montgomery'ego przeszkadza w twojej pracy.

Opanowała się, by wyraz jej twarzy nie zdradzał oburzenia.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Obrócił gwałtownie głowę w jej stronę.

– Nie sądzę, żeby pranie przyczyniło się do twojego niechlujnego wyglądu. Fakt, że widziałem pana Montgomery'ego schodzącego na dół kilka minut przed tobą, doprowadził mnie do prostej konkluzji. – Założył ręce na piersi i pochylił się w jej kierunku. – Czy możesz zaprzeczyć, że byliście razem?

Aurora zacisnęła razem dłonie na kolanach, by pohamować się i nie rzucić w niego czymś. Jak on śmiał psuć tamtą piękną chwilę? Pocałunki, które wymieniali były nienaruszalnym wyrazem ich najszczerzych uczuć.

Wstała raptownie z krzesła i przechyliła głowę, tak jak to czyniły nieraz damy w kręgach towarzyskich jej matki.

– Mój związek z Gabrielem to nie pański interes. Jeśli to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia, powinnam już wracać do pracy.

– Obawiam się, że muszę jeszcze przemyśleć swoje rekomendacje na pielęgniarstwo tej jesieni.

Aurora znieruchomiała, a nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– To nie jest sprawiedliwe. Moje osobiste życie nie powinno mieć wpływu na moje umiejętności jako pielęgniarki.

– Nie mogę się zgodzić. Sposób, w jaki prowadzisz się w życiu osobistym ma na to bezpośredni wpływ.

Obróciła się i szybko podeszła do biurka. Uderzyła dłonią w wypolerowany blat, wołając:

– Nie mogę pozwolić na to, by uwłaczał pan mojej moralności. Gabe i ja tylko się pocałowaliśmy. Pańska zazdrość jest zupełnie nie na miejscu.

Jego policzki oblały się rumieńcem, ale nic nie powiedział.

– Proponuję, żebyśmy zapomnieli o tej rozmowie i wrócili do swoich obowiązków przy pacjentach. – Wyprostowała się, a potem wypadła z pokoju.

Gdy zmierzała w stronę świetlicy, gratulowała sama sobie tego, że nie dała za wygraną. Przynajmniej raz sprzeciwiła się w obliczu męskiej dominacji. Jednocześnie modliła się w duchu, żeby to nie zniszczyło jej szansy na osiągnięcie swojego marzenia. Wiedziała, że bez poparcia doktora Reardona lub, co gorsze, w przypadku jego dyskredytujących uwag na temat jej prowadzenia się, może nigdy nie dostać się na pielęgniarstwo.

Żadna noc jeszcze nie ciągnęła się tak bez końca. Adam czuł, jak jego mięśnie, zdrętwiałe po licznych godzinach spędzonych na krześle przy łóżku matki, przeszywają skurcze. Musiał zapadać w drzemki w bardzo niewygodnych pozycjach i teraz przeraźliwie bolała go szyja. Obawiał się, że jeśli zaraz nie wstanie i nie przejdzie się, odpadną mu ręce i nogi. Ciężki oddech matki przynosił częściowo ulgę, bo przynajmniej oznaczał, że ona żyje.

Adam wstał i rozciągnął sztywne plecy. Rozglądnął się w półmroku sypialni. Brianna i Gil pewnie wyszli na chwilę odpocząć. A może chcieli sprawdzić stan Deirdre i Connora, którzy nadal walczyli z chorobą, choć z pewnością nie dotknęła ich tak mocno jak mamy.

Wzrok Adama spoczął na skierowanej twarzą w dół sylwetce Jamesa, który, półleżąc, opierał się na łóżku. Jedną rękę wyciągał w stronę mamy, trzymając jej dłoń. Miał zamknięte oczy, a jego rysy poznaczone były zmarszczkami żalu. W sercu Adama zrodziło się współczucie. Jak on by się czuł, gdyby to Maggie leżała w tym łóżku, stojąc już prawie u wrót śmierci, a Adam nie mógłby zrobić nic, by jej pomóc? Na samą myśl o tym poczuł nerwowy ucisk w żołądku.

Podczas nocy słyszał, jak James szepcze słowa zachęty, miłości i błagania, by mama go nie opuszczała. Żeby walczyła o zdrowie dla dobra całej rodziny.

Przez te parę ostatnich dni Adam był świadkiem głębokiej miłości i dozgonnego oddania, jakim James darzył jego matkę. Czym byłaby dla niego jej śmierć? Czy pchnęłaby go w przepaść rozpacz tak mroczną, że groziłoby mu, iż już nigdy nie wydobędzie się z niej? Adam modlił się, by Bóg nie pozwolił na to.

Podszedł do okna i odsunął na bok zasłonę, by spojrzeć na trawnik przed domem. Bładoróżowe promienie zapowiadały rychłe nadejście wschodu słońca. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić swoją matkę jako młodą kobietę, ciężarną i przerażoną, pełną obaw, że mężczyzna, którego kocha, może ją porzucić. A jednak James kochał ją tak bardzo, że gotowy był ją poślubić, dać jej swoje nazwisko, a nawet wychować jako własne jej nieślubne dziecko.

Czy Maggie miała rację, gdy mówiła, że Adam powinien być wdzięczny za to, co otrzymał w życiu? Że przez to, iż skupia się wyłącznie na braku miłości Jamesa, nie docenia wszystkich innych niesamowitych darów, które zostały mu dane?

Adam zwiesił nisko głowę.

Przepraszam, Panie. Byłem taki zaślepiiony nienawiścią i zgorzknieniem, że nie potrafiłem dostrzec Twojego błogosławieństwa.

Pamięć o latach życia w poczuciu odrzucenia i wrogości zaczynała niknąć i coraz mocniej paliła go potrzeba skruchy. Ten jego gniew wydawał się teraz taki bez sensu, gdy mama leżała tu, walcząc o życie.

Zza jego pleców dobiegł stłumiony płacz. Obrócił się raptownie.

– Mamo?

Ale nie dostrzegł żadnego ruchu z jej strony. Twarz Jamesa ukryta była w poduszce obok niej, a jego ciało drżało.

Adam znieruchomiał, sparaliżowany płaczem ojca. Coś w nim pragnęło wymknąć się niepostrzeżenie z pokoju. Jednak druga strona przepełniła się współczuciem i pragnieniem ukojenia bólu Jamesa.

Podszedł do łóżka i położył dłoń na ramieniu Jamesa. Ojciec usztywnił się, czując dotyk, jakby nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że ktoś jeszcze tu był.

– Czy chciałbyś się ze mną pomodlić? – Gdy tylko te słowa opuściły usta Adama, czekał już na chłodną odmowę, przypominając sobie, jak ojciec znosił nabożeństwa kościelne jedynie ze względu na mamę. Wątpił, czy James miał doświadczenie prawdziwej wiary, czy ulegał jedynie namowom żony.

James uniósł głowę. Jego włosy w zupełnym nieładzie i trzydniowy zarost sprawiały, że wyglądał jak bezdomny. Nie próbował nawet otrzeć łez z twarzy, tylko skinął.

– Zacziesz?

Adam wyciągnął dłoń w kierunku mężczyzny, który go wychował. Przez chwilę James się wahał, a potem usiadł na łóżku. Pochwyił podaną mu dłoń, jakby to była deska ratunku – jedyna rzecz, która mogła go ocalić przed zupełnym rozpadem.

Drugą rękę Adam splótł z bezwładną dłonią matki i skłonił nisko głowę. Oczyszczył umysł z niepotrzebnych myśli, pozwalając, by to Boże słowa zagościły w jego duszy. Od razu przypomniały mu się wersety psalmu granego przez Maggie.

– Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Bezbłędnie wyrecytował z pamięci psalm dwudziesty trzeci. Kiedy zbliżał się ku końcowi, uświadomił sobie, że drzwi są otwarte i do pokoju wchodzi inni. Jego serce wypełniło się miłością i wdzięcznością za rodzinę... rodzinę, której nie potrafił dotąd prawdziwie doceniać. Od teraz postanowił, że będzie ciężko pracował, żeby odnowić zerwane więzi i naprawić wątpliwe relacje. Dotarło do niego, że rodzina to coś więcej niż krew i geny. Tak naprawdę zbudowana była na miłości, szacunku i wspólnych przeżyciach. Kiedy modlił się o zdrowie dla matki, w duchu wznosił też błagania o przebaczenie w rodzinie oraz o to, by dali mu szansę wynagrodzić swoją przeszłość.

Kiedy skończyli modlitwę, James ponownie uniósł głowę i spojrzał na Adama. Na jego twarzy odmalowywał się ogrom różnych emocji.

– Dziękuję ci, synu – rzekł. – Nigdy nie byłem zbyt religijny, ale te słowa przyniosły mi wielki pokój. Katie bardzo cieszyłaby się, gdyby słyszała, że tak się modlisz.

Adam przełknął ciężko, nieprzywykły do pochwał od Jamesa.

– Najlepszym, co mnie spotkało w więzieniu, było poznanie Johna McNabba. To on nauczył mnie, co tak naprawdę znaczy być chrześcijaninem.

Jakaś ręka ucisnęła jego ramię. Adam podniósł wzrok i dostrzegł delikatny uśmiech oraz łzy błyszczące w zielonych oczach Brianny.

– Tak się cieszymy, że znów jesteś z nami, Adamie. Mam nadzieję, że teraz już nie będziesz stronił od domu.

– Postaram się. – Jego wzrok powędrował w stronę Gila, mężczyzny, którego miała poślubić za kilka tygodni. Adam z zaskoczeniem zauważył podziw rysujący się na twarzy mężczyzny. Przełknął i podniósł się, by stawić czoła dawnej niechęci. – Gil, mam nadzieję, że przyjmiesz przeprosiny za moje dawne zachowanie. Długo mi to zajęło, ale teraz wiem, iż to poczucie urazy powodowane było niesłusznym gniewem... wcale nie z twojej winy.

Gil zmierzył go poważnym wzrokiem.

– Ja zawsze chciałem, żebyśmy się dobrze dogadywali. – Gil wyciągnął rękę do Adama.

Zupełnie zaskoczony łatwością, z jaką Gil przyjął te spóźnione przeprosiny, Adam uściskał jego dłoń.

– Dziękuję. Nie zasłużyłem na to.

– Mam tylko nadzieję, że od teraz możemy być jak rodzina. – Gil przechylił głowę w kierunku Brianny. – Zwłaszcza że nasz ślub już coraz bliżej.

– Jestem za! – Do rozmowy dołączył kobiecy głos z korytarza.

– Colleen! – Brianna odwróciła się i rzuciła się uściskać siostrę. – Od jak dawna tu jesteś?

Colleen uśmiechnęła się z drżeniem.

– Wystarczająco długo, by usłyszeć piękną modlitwę Adama i jego przeprosiny. Przykro mi, że dopiero choroba mamy stała się przyczyną rodzinnego spotkania.

Wysunęła się z objęć Brianny i uklękła przy łóżku, ujmując w ręce dłonie mamy.

– Jestem tutaj, mamó. Przepraszam, że nie mogłam przybyć wcześniej, ale musiałam opiekować się Delią. Ona też chce wkrótce zobaczyć się ze swoją babcią.

Powieki mamy drgnęły. Adam i wszyscy inni zamarli, ale poza ochrypłym oddechem, nic się nie zmieniło.

W pokoju rozległo się pukanie i po chwili do sypialni wszedł doktor Shepherd.

– Czy mogę zostać na chwilę z pacjentką?

Ciesząc się momentem wytnienia i czasem na opanowanie uczuć, Adam wyszedł na korytarz, wpadając prosto na Maggie.



Maggie krzyknęła z zaskoczeniem, gdy Adam zniecierpliwiony wytoczył się wprost na nią, nieomalże ją wywracając. Pochwycił ją za ramiona, żeby się nie przewróciła.

– Przepraszam. Nie zauważyłem cię – rzekł, marszcząc gniewnie czoło. – Od jak dawna tu stoisz?

Otarła ślady łez z twarzy. Czy powinna się przyznać, że słyszała całą rozmowę?

– Wystarczająco długo. – Głaszcząc go po ramieniu, starała się przekazać mu głębię swoich uczuć.

Unikał jej spojrzenia.

– Wybacz mi, ale potrzebuję się przewietrzyć.

Stłumiła w sobie przyływ rozczarowania i odsunęła się na bok, by go przepuścić.

Nie miała nawet czasu, by przemyśleć jego reakcję, gdyż zaraz reszta rodziny wyszła z sypialni. Gil i Brianna przeszli do innego pokoju, pewnie po to, by sprawdzić, jak się czuło ich chore rodzeństwo. Pan O’Leary przeszedł przez korytarz, sam sprawiając wrażenie, jakby był chory. Jego ubiór i włosy były w nieładzie, a twarz pokrywał niezadbany zarost. Zaraz dołączyła do niego Colleen.

– Tato, a może odpoczniesz trochę? Ja będę tu z mamą.

Potrząsnął przecząco głową.

– Jeśli tylko odejdę, może nam się wymknąć.

Jego zamglony wzrok spoczął na Maggie i mężczyzna zrobił ponurą minę. W całym tym zamieszaniu pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności w domu. Teraz, kiedy przyjechała już Colleen, Maggie nie miała żadnej wymówki, by zostać. A w świetle pojednania Adama z rodziną, jej wsparcie nie było już potrzebne. A jednak, jak miała wyjechać nie dowiedziawszy się, jak to się wszystko skończy? Jeśli, broń Boże, pani O’Leary odeszłyby na wieczny spoczynek, na Adama spadłby nieukojony żal, a Maggie czuła się zobowiązana pomóc mu przez to przejść.

– Co ty tu robisz? – Pan O’Leary nieomalże warknął na nią.

Maggie wzdrygnęła się, szukając właściwej odpowiedzi. Musiała wydawać się intruzem w tym intymnym czasie przeżywanym przez tę rodzinę.

Colleen otoczyła ją ramieniem.

– Poprosiłam Maggie, żeby przyjechała tu zamiast mnie, gdy Delia była jeszcze chora. Wiedziałam, że będzie wsparciem dla rodziny, tak jak pomagała nam w sierocińcu.

Twarz pana O’Leary’ego złagodniała nieco. Colleen uściśnęła ponownie Maggie.

– Maggie jest mi tak droga jak Brianna i Dee-Dee. Nie wiem, co ja bym bez niej zrobiła.

Maggie uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że mogę pomóc. Czy jest jeszcze coś, co mogłabym teraz uczynić?

Pan O’Leary obserwował ją bacznie.

– Słyszałem jakiś czas temu pianino. Czy to ty grałaś?

– Tak.

– Moja Katie uwielbia pianino. Jeśli coś poza rodziną może jej pomóc w powrocie do zdrowia, to chyba właśnie muzyka. Może mogłabyś jeszcze trochę pograć?

– Z radością.

Gdy kończyła kolejny utwór, Maggie czuła, że drętwieją jej palce. Jak długo już grała? Obolałe plecy i ścierpnięte kończyny podpowiadały jej, że dużo dłużej, niż zamierzała. Teraz koniecznie musiała wyjść na chwilę i trochę się rozruszać.

Dom pogrążony był w nienaturalnej ciszy. Ponura atmosfera przenikała to miejsce jak duszący obłok. Maggie przeszła po miękkim dywanie w stronę drzwi balkonowych i wyszła na taras. Stała przy barierce i zaczerpnęła głęboko świeżego powietrza, wypełnionego zapachem kwiatów z ogrodu pani O'Leary. Pomimo ciepłego sierpniowego dnia, zadrzała i otuliła się rękami w pasie. Widok ciemnych chmur wiszących nad horyzontem zapowiadał nieuchronnie zbliżającą się letnią burzę.

Jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Wychyliła się przez poręcz i dostrzegła Adama krocącego przez trawnik w stronę stajni. Jego zachowanie i wygląd wzbudziło jej niepokój. Nie założył nawet czapki, a jego włosy rozrzucone były w nieładzie. Jedna szelka zwisała bezwładnie, podczas gdy druga przytrzymała jego lnianą koszulę. Ale najwięcej obaw budziła malująca się na jego twarzy burza emocji.

Dobry Boże, nie. Czyżby jego matka odeszła?

Zanim zdążyła się powstrzymać, zeszła już po schodach i ruszyła za nim. Wiatr, teraz coraz mocniejszy, szarpał jej suknię, gdy biegła ścieżką. Ale Adam nie wszedł do stajni, tylko podążał dalej, mijając tor wyścigowy i łąkę. Nie traciła go z oczu i szła za nim, zachowując bezpieczną odległość. Dokąd on mógł iść?

Wspięła się na wzgórze i objęła wzrokiem rozciągający się widok. W chwili, gdy dostrzegła staw, wiedziała, że to tam się kierował. Adam opowiedział jej o tym, jak jego brat utonął i jak na próżno starał się go przywrócić do życia. Jego przyjście tutaj mogło być wywołane tylko jednym. Chciał w tym miejscu przeżywać stratę kolejnego członka rodziny.

Zaczął kropić drobny deszcz, zraszając jej ramiona i twarz. Szła dalej, teraz trochę wolniej, gdy już wiedziała, dokąd zmierzał. Adam upadł na kolana pod nisko zwieszonymi gałęziami wierzby płaczącej rosnącej koło stawu. Ukrył twarz w dłoniach, a całe jego ciało drżało.

Jej własne łzy mieszały się teraz z deszczem płynącym po jej policzkach. *Och, Adamie!* W sercu chciała wykrzyknąć ogrom jego cierpienia. Czy powinna go teraz zostawić, by mógł sam przeżywać żalobę, czy też ofiarować mu pocieszenie?

Niepewnie zbliżyła się do drzewa, rozgarniając zwisające gałęzie. Baldachim z liści stanowił schronienie przed deszczem. Z twarzą wciąż ukrytą w dłoniach Adam jej nie widział. Przygnieciony takim bólem pewnie też nie słyszał jej kroków.

Nie potrafiła już dłużej znieść widoku jego łez, więc podeszła i uklękła koło niego, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Adamie – wyszeptała. – Jestem tutaj.

Szarpnął głową, podniósł na nią wzrok i otarł zaczerwienione oczy.

– Maggie.

Przez chwilę pomyślała, że może być na nią zły, że będzie chciał sam przeżywać żałobę. A potem, ku jej zaskoczeniu, odrzucił w tył głowę i roześmiał się w głos.

Czyżby majaczył?

Wstał i chwycił ją w ramiona.

– Mama będzie zdrowa! – Okręcił ją dookoła siebie, a jego słowa powoli zaczynały do niej docierać.

– Naprawdę?

– Gorączka ustąpiła i mama odzyskała przytomność. Gdy tylko zaczęła wydawać ojcu polecenia, wiedziałem, że najgorsze minęło.

Śmiała się z nim, myśląc o tym, że jeszcze nigdy nie widziała, by Adam był tak bez troski. Napięcie na jego twarzy zelżało, a jego oczy błyszczały od radości.

Zarzuciła mu ręce na szyję i odruchowo przytuliła go, mówiąc:

– Dziękuję Ci, Boże, że wysłuchałeś naszych modlitw.

On zanurzył twarz w jej włosach i stali tak zespoleni, przeżywając wspólnie tę radość. Po paru minutach coś się zmieniło. Adam powoli odsunął się i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż brakowało jej tchu w piersi. Wziął jej twarz w swoje dłonie i pochylił głowę. Ich usta zetknęły się.

Wszystko w niej podskoczyło. Czowała na jego wargach smak kawy i bicie jego serca na swojej piersi. Pachniało letnim deszczem i męskim zapachem. W schronieniu jego ramion, pod osłoną wierzbowego baldachimu, Maggie upajała się poczuciem bezpieczeństwa, opieki i... bycia kochaną.

Jego wargi przesunęły się z jej ust na skroń i powoli zrobił wydech, poruszając tym samym jej drobne włosy.

– Nie dałbym rady przejść przez te minione dni bez ciebie, Maggie. Jak ja mogę ci za to podziękować?

Pochwała rozpierała jej serce radością.

– Twoje szczęście jest wystarczającym podziękowaniem.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem, co ja zrobiłem, że zasłużyłem na ciebie. Ale dziękuję Bogu za to, że postawił cię na mojej drodze.

Zamarła, spodziewając się, że po raz kolejny zacznie jej przypominać, iż nie jest jej wart i że powinna od niego odejść. Ale on tylko uśmiechnął się i pogładził kciukiem jej wargę.

– Może w moim życiu także nastąpił wreszcie przełom. Pogodziłem się z rodziną i wkrótce otwieram swój sklep.

– Co chcesz mi powiedzieć? – wyszeptała.

Jakiś cień zwątpienia przemknął przez jego surowe rysy.

– Nie jestem ideałem, Maggie. Ale może chciałabyś rozważyć... – Odszedł na bok, a jego brwi zmarszczyły się. – Myślisz, że Rylan dałby mi pozwolenie, żebyśmy się mogli spotykać?

Zrobiła gniewną minę i uniósłszy brodę, odparła:

– Czyż ja nie mam własnego rozumu? Nie potrzebuję, żeby bracia dyktowali mi, kogo mogę kochać, a kogo nie.

Zrobił wielkie oczy, a potem zmrużył powieki i zapytał:

– Czy ty właśnie powiedziałaś, że mnie kochasz?

Uwielbiała ten jego silny głos, który idealnie pasował do malującego się na jego twarzy wyrazu.

– *Tá tú mo chroí go deo.* – Uśmiechnęła się, widząc jego konsternację. – To znaczy, masz moje serce na wieki. Czy ci się to podoba, czy nie.

Jęknął gardłowo i przyciągnął ją do siebie, unosząc ponad ziemią. Jej głowa dotknęła gałęzi nad nimi, powodując obfity deszcz, który oblał ich oboje. Pisnęła, czując zimną wilgoć spływającą po jej twarzy i szyi. Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła zaskoczone oblicze Adama oraz jego mokre włosy i wybuchnęła śmiechem.

Postawił ją na ziemi i otarł twarz. Jego przemoczona koszula kleiła się mu do piersi, podkreślając dodatkowo mięśnie klatki piersiowej, która poruszała się w rytm jego oddechu. Maggie przełknęła i uniosła głowę. Jego oczy zrobiły się teraz nieprzeniknione i wargami po raz kolejny dotknął jej ust w pocałunku, który zespałał ich dusze na wieczność. Odwzajemniła się, wkładając możliwie jak najwięcej uczuć, aż do utraty tchu.

Kiedy wreszcie ją puścił, westchnęła z czystą rozkoszą. Niezależnie od tego, co skrywała przyszłość, Maggie zapamięta ten cudowny moment pod wierzbą na zawsze.



Nadszedł dzień, o który Aurora modliła się i którego jednocześnie się obawiała. Zniesiono kwarantannę. Wszyscy pacjenci byli na najlepszej drodze do zdrowia i nie było już kolejnych zachorowań. Pani Patterson jako niezwykle skuteczna pielęgniarka zajmowała się ostatnimi chorymi dziećmi i pomoc Aurory nie była już potrzebna.

Nadszedł czas opuścić sierociniec... i Gabe'a. Czas wrócić do domu i zmierzyć się z dezaprobatą ojca oraz ulżyć niepokojom matki, a potem zacząć kolejny etap życia. Jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że pielęgniarstwo jest jej powołaniem.

Aurora wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze małego pokoju, gdy zakładała kapelusz. Najtrudniejsze będzie opuścić Gabe'a. Bardzo jej się podobało przebywanie tak blisko niego przez te

ostatnie trzy tygodnie. Uwielbiała chwile wypatrywania, gdy puści jej oko lub pośle szeroki uśmiech, jego przekomarzanie się i bezwarunkowe wsparcie.

Ale pomimo mocnego pociągu pomiędzy nimi, pomimo słodkich pocałunków, obawiała się, że związek z Gabem nie był dla niej. On wkrótce wróci do Irlandii, a ona zacznie pielęgniarstwo. Gabe będzie dalej żył w swoim miasteczku i pozna pewnie jakąś miłą dziewczynę, z którą zapragnie dzielić życie. Powinna ją pocieszać myśl o tym, że on się szczęśliwie ożeni, ale to tylko wzmagało jej żal.

Przygarbiła ramiona i zeszła na dół, by go odszukać. Nie było sensu dłużej tego odkładać. Pożegnała się już ze wszystkimi innymi. Doktor Reardon wrócił do szpitala, obiecując, że jeszcze przyjedzie sprawdzić stan pacjentów w najbliższych dniach, aby mieć pewność, że nikomu się nie pogorszyło.

Aurora weszła do jadalni, spodziewając się, że zastanie tam Gabe'a popijającego drugą filiżankę herbaty ponad poranną gazetą, tak jak miał to w zwyczaju czynić, gdy tylko siostry i dzieci opuszczały wspólne pomieszczenie. Tak jak myślała, siedział przy końcu długiego stołu, z gazetą rozłożoną przed twarzą. Aromat jajek i świeżego chleba pogarszał tylko sytuację, dodając przytulnego uroku atmosferze panującej w pomieszczeniu. Na podłodze, obok krzesła Gabe'a leżał Chester, unosząc głowę w jej stronę i machając ogonem w niemym powitaniu. Jakże bardzo chciałyby, żeby to mogła być ich codzienność.

Wzięła pokrzepiający oddech i spróbowała się uśmiechnąć.

– Dzień dobry, Gabe. Przyszłam się pożegnać. Ruszam na Long Island, zobaczyć się z rodzicami.

Opuścił gazetę. Zamiast zwykłego radosnego wyrazu, z jego twarzy przebijał żal. Ledwie był w stanie zauważyć jej obecność, gdy wpatrywał się w nią przeszklonym wzrokiem.

Zaniepokoiła się bardzo i szybko podeszła, pytając:

– Co się stało?

Gabe podniósł się od stołu, potrząsając głową.

– Kiedy my żyliśmy tu sobie zamknięci, w świecie działy się straszne rzeczy. – Przesunął dłonią po gazecie.

Poczuła uderzenie złości. Myślała już, że ktoś umarł, a tymczasem on zamartwiał się wiadomościami... Choć pewnie musiały być okropne, sądząc po jego wyrazie twarzy.

– Jakie straszne rzeczy?

Skupił na niej wzrok pełen smutku.

– Wojna.

Złapała się krzesła, żeby nie upaść. Mocny zapach bukietu z lili stojącego na kredensie przyprawił ją o mdłości.

– O czym ty mówisz? Nie jesteśmy w stanie wojny.

Czyżby to możliwe? Przecież w ostatnim czasie nie było żadnych niepokojów.

– Nie wasz kraj. Przynajmniej na razie. – Przesunął pierwszą stronę „The New York Timesa” w jej stronę. – Ale mój tak.

Anglia wypowiada Niemcom wojnę. Brytyjski okrętowiec zatopiony.

Aurora zmarszczyła czoło, czytając nagłówek.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z Irlandią? – *Co to ma wspólnego z tobą?*

Gabe westchnął ze znużeniem.

– Podejrzewam, że większość ludzi w Ameryce nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo skomplikowana jest sytuacja w ojczyźnie. – Podszedł do niej i ujął jej rękę. – Irlandia już od jakiegoś czasu doświadczała niepokojów. Naprawdę obawiałem się, że podczas mojego pobytu tutaj może wybuchnąć wojna domowa. Wielu Irlandczyków pragnęło zerwać więzy z Anglią, odzyskać kontrolę nad własnym terytorium. Nie sądzę, żeby teraz to w ogóle było możliwe.

Starła się mocno zrozumieć sytuację, zażenowana tym, że tak niewiele wie na temat innych krajów.

– Anglia rządzi Irlandią?

– Tak. A teraz obawiam się, że nasi mężczyźni zostaną wysłani, by za nią walczyć. Moi bracia... – Przerwał i przełknął ciężko. Wziął głęboki wdech i spojrzał jej prosto w oczy. – Muszę wracać do domu. Moja rodzina mnie potrzebuje.

W głowie Aurory kłębiło się tak wiele myśli, gdy próbowała pojąć sens tej katastrofy.

– A ty też będziesz musiał walczyć? – Nie umiała pogodzić się z wyobrażeniem Gabe’a ubranego w mundur i biorącego udział w bitwie.

– Nie wiem – odparł cicho, unosząc jej dłoń do ust.

Chwyła się ostatniej nadziei.

– Z pewnością teraz podróże będą ograniczone, skoro wokół rozgorzała walka.

– To możliwe. Ale ponieważ Anglia wypowiedziała wojnę dopiero wczoraj, pewnie jeszcze nie wprowadzili takich zmian. Dlatego też muszę wyruszyć od razu. Póki jeszcze mogę.

Serce Aurory rozpadło się z żalu na drobne części.

– Czy Rylan już wie?

– Zapewne czytał wiadomości. Nie wie jednak, że zamierzam wyjechać. – Smutek przesłonił jego szare oczy. – Nie mogę mu powiedzieć. Próbowalby mnie zatrzymać. Tak samo Maggie. To musi zostać w tajemnicy między nami.

Zaczął dławić ją płacz i nie była w stanie już nic odpowiedzieć. Trzęsła się tak bardzo, że aż kapelusz opadł jej na czoło. Drżącymi palcami zdjęła go z głowy i zaciskała mocno w dłoniach, tłamsząc zupełnie rondo.

– Proszę... nie jedź. To niebezpieczne. – Upuściła kapelusz, który z szelestem upadł na ziemię, i chwyciła go za ramię. Widziała smutek rysujący się na ukochanej twarzy.

– Nie płacz, kochanie. – Przyciągnął ją mocno do piersi. Miękka bawełniana tkanina jego koszuli chłonęła morze łez, którego nie umiała już powstrzymać.

Kiedy myślała o wyjeździe Gabe'a do Irlandii, nigdy nawet nie wyobrażała sobie, jak to będzie wyglądać naprawdę. Nie uświadamiała sobie nieodwracalności tej chwili. Całe jej ciało trzęsło się od cierpienia, kiedy uświadomiła sobie, że to może być ostatni raz w życiu, gdy go widzi.

Jak ma sobie z tym poradzić?



Całując Aurorę w głowę, Gabe wziął głęboki wdech, by zapamiętać zapach jej pięknych włosów. Nie tak sobie wyobrażał przyszłość, ale kiedy tylko przeczytał wiadomości, wiedział, że nie ma wyboru... że musi wrócić.

Jego ojczyzna była w stanie wojny, a jego rodzina znajdowała się wśród tych wszystkich zawirowań. Sumienie nie pozwoliłoby mu zostać tu tylko po to, by cieszyć się miłością wspaniałej kobiety, którą trzymał w ramionach.

– Cichutko, kochanie. Proszę. Byłaś taka silna przez te ostatnie tygodnie. Oprzyj się znowu na tej sile. Bóg będzie z nami i pomoże nam przejść przez trudne chwile.

Podniosła na niego okolone mokrymi rzęsami oczy.

– Ale mogę cię już nigdy nie zobaczyć...

Nie potrafił się powstrzymać. Przycisnął swoje usta do jej warg, spijając słodycz jak spragniony wędrowiec.

– Obiecuję, że do ciebie wrócę. Tak szybko, jak tylko będę mógł.

Czknęła z płaczu.

– Wojna może trwać latami. Możesz zostać ranny... albo nawet z-zginąć.

– Kocham cię, Auroro. Dopóki będę w stanie oddychać, będę się starał do ciebie wrócić. Masz moje słowo. – Pocałował ją ponownie.

– Ja też cię kocham – wyszeptwała.

Otarł kciukiem łzy z jej policzka. Jeśli nie odejdzie zaraz, nie będzie miał już siły, by ją opuścić. Pochylił się i podniósł kapelusz, a potem podał go jej.

– Powinnaś już iść. Muszę jeszcze spakować swoje rzeczy i udać się do portu. Obiecuję, że

napiszę, gdy tylko będę mógł.

Stała, gapiąc się na niego, a rozpacz wryta była w każdym rysie jej twarzy. Ranił ją... a było to ostatnie, czego pragnął. Miał nadzieję... choć tak naprawdę teraz już nie liczyło się, na co miał nadzieję. Musiał przyjąć rzeczywistość taką, jaką była i zaufać Bogu.

Ujęła jego twarz swoją drobną dłonią.

– Nie mówmy żegnaj, ale do widzenia. Do następnego spotkania. – Uśmiechnęła się niepewnie.
– Wiem, że dotrzymasz słowa, Gabrielu Montgomery, a ja będę pamiętać o twojej obietnicy. Wróć do mnie. – Przyciągnęła jego twarz w kolejnym pocałunku.

Zanurzył palce w jej włosach. Przyłgnęła do niego tak mocno, jakby nigdy miała go nie puścić. W końcu, kiedy już myślał, że nie wytrzyma dłużej, odsunął się.

– Moje serce należy do ciebie, Auroro Hastings. I pewnego dnia wrócę po nie.

Ucałowawszy ją czule po raz ostatni w czoło, wybiegł z pokoju, nie waząc się nawet spojrzeć za siebie, gdyż w przeciwnym razie żal uniemożliwiłby mu wykonanie tego, co musiał zrobić.

Maggie wyjeżdżała z Irlandzkich Łąk przepelniona szczęściem. Weszła do głównego holu sierocińca i zatrzymała się, by zdjąć kapelusz, a potem ruszyła na poszukiwanie Rylana. Wiadomość o tym, że ona i Adam zaczęli się oficjalnie ze sobą spotykać musiała wyjść od niej. Jej brat zapewne będzie potrzebował trochę czasu, by zaakceptować to, co nieuniknione, czyli jej wspólną przyszłość z Adamem.

Nie umiała przestać się uśmiechać, gdy wspominała ich pożegnalny pocałunek. Adam chciał zostać jeszcze z rodziną przez parę kolejnych dni, aż nie uzyska pewności, że jego matka jest już na najlepszej drodze do zdrowia, a potem zamierzał pracować dzień i noc, by przygotować swój sklep na otwarcie.

Maggie wiedziała, że robił to wszystko dla niej. Miał za sobą szanowaną firmę, więc mógł teraz czuć się jej wart. Kiedy tylko *Skład Meblarski O'Leary* otworzy swoje podwoje, planowała zabrać Rylana i Gabe'a, by zobaczyli jego dzieło. Wtedy wszelkie obiekcje, które wciąż mógłby żywić Rylan, z pewnością poszłyby w niepamięć.

Zatrzymała się przed gabinetem brata i zapukała.

– Proszę wejść. – Ton jego głosu nie napawał optymizmem.

Otworzyła drzwi i dostrzegła go wyglądającego przez okno. Nagle niepokój skradł całą jej radość. Czyżby stan Delii się pogorszył?

– Rylanie?

Odwrócił się przodem do niej, a na jego twarzy malował się smutek.

– Maggie. Dobrze, że wróciłaś. Colleen mówiła, że jej matka już sobie lepiej radzi.

Skinęła.

– Tak. Bóg jest dobry. Najpierw Delia, a teraz pani O'Leary. – Aż się bała obwieścić ich szczęście. Zwłaszcza teraz, gdy Rylan nie wydawał się zbyt radosny.

Musiała jednak podzielić się tą nowiną, zanim stchórzy.

– Muszę ci coś powiedzieć, Rylanie, i pewnie nie będziesz zbyt zadowolony.

– Tak? – zapytał, unosząc jedną brew w zaskoczeniu.

Złożyła dłonie przed sobą i zaczęła:

– Adam wyznał przede mną swoje uczucia i poprosił o to, byśmy mogli się spotykać.

Rylan wyprostował się sztywno i zrobił gniewną minę.

– Ja go kocham, Rylanie. I zamierzam zostać jego żoną. Choć bardzo byłoby mi miło, gdybym

miała twoje poparcie w tej kwestii, wiedz, że zamierzam widywać się z nim, nawet pomimo twojego sprzeciwu. – Z lekko przechyloną głową i niezmiennym wzrokiem czekała na jego wybuch.

Ale zamiast okazywać gniew, Rylan tylko zapadł się w sobie jak sflaczała dętka.

– Jesteś dorosłą kobietą, Maggie. Masz prawo popełniać błędy. Nie zamierzam cię zatrzymywać.

Tknął ją ogromny niepokój. Potrafiła radzić sobie z jego gniewem, ale nie wiedziała, co ma zrobić z jego kapitulacją.

– Coś się stało, Rylanie?

– Chodzi o Gabe'a. Zniknął.

Obawa ścisnęła jej sercem.

– Co to znaczy zniknął?

Rylan przesunął dłonią po twarzy.

– Pewnie nie słyszałaś wiadomości. Anglia jest w stanie wojny. Gdy tylko Gabe usłyszał o tym, wyruszył do kraju.

Cały pokój zawirował jej przed oczami. Wiedziała, że przyjdzie ten dzień, gdy jej brat odpłynie bez niej, ale nie spodziewała się, że to nastąpi tak szybko. I nie bez pożegnania.

– Wyjechał, nawet się z nami nie żegnając. – Poczula nieznośny ucisk w piersi. – Jak on mógł?

Rylan podszedł i otoczył ją ramieniem.

– Aurora powiedziała, że wiedział, iż będziemy próbowali go powstrzymać. I ja nawet próbowałem, ale nie zdążyłem. Jeden z pracowników przyznał, że mężczyzna pasujący do opisu zarezerwował miejsce na parowcu zmierzającym do Queenstown. Wymienił się za swój bilet na liniowiec.

Maggie poczuła, jak nogi się pod nią ugięły i opadła na krzesło.

– Czy on planuje stanąć do walki?

– Nie wiem. Aurora powiedziała tylko, że czuł, iż teraz, w tym czasie kryzysu, jego miejsce jest przy naszej rodzinie.

– Dlaczego to Aurora została wtajemniczona w jego plany?

Pierwszy raz od początku ich spotkania usta Rylana wygięły się w uśmiechu.

– Wygląda na to, że zarówno ty, jak i Gabe, zakochaliście się podczas swojego pobytu tutaj.

Maggie otworzyła bezwiednie usta. A zatem jej podejrzenia, że Gabe interesował się Aurorą były jak najbardziej uzasadnione.

– Dlaczego więc wyjechał?

– Znasz Gabe’a. Jego poczucie obowiązku zwyciężyło uczucia wobec Aurory. Chociaż ona mówiła, że obiecał jej, że pewnego dnia wróci.

Strach ścisnął serce Maggie w lodowatym uścisku. W ojczyźnie panowała wojna, a brat zmierzał prosto w jej objęcia.

– Co się dzieje z tym światem, Rylanie? Wydaje się, jakby Bóg przestał nad tym panować.

Rylan podniósł palcem jej brodę, patrząc na nią poważnie swoimi brązowymi oczami.

– Wiesz dobrze, moja droga – rzekł łagodnie. – Musimy ufać Bogu w tych ciężkich dla nas chwilach. Ale nigdy nie powinniśmy wątpić, że On się o nas troszczy.



Po raz pierwszy w swoim życiu Aurora przechodziła przez próg ich letniej rezydencji na Long Island pozbawiona zupełnie tej zwykłej radości, że znów wraca na wieś. Zamiast tego jej serce przeszywało głębokie poczucie lęku, gdy zdejmowała kapelusz i odkładała go na marmurowy stół. Zatrzymała się jeszcze na chwilę w korytarzu, by przypomnieć sobie ukochaną twarz Gabe’a. Myśl o tym, że on przepływał teraz ocean na parowcu, wszystko z miłości do ojczyzny i rodziny, sprawiała, że była zdecydowana, aby zachować taką samą odwagę we własnej sytuacji.

Aurora, umacniając się w swoim postanowieniu, przybrała na twarz uśmiech i lekkim krokiem weszła do salonu. Matka, gdy tylko ją zobaczyła, rzuciła na bok swoją robótkę ręczną.

– Moja kochana córeczko, czy to naprawdę ty? – Wstała i podbiegła, biorąc ją w objęcia.

– Tak, mamó. – Odwzajemniła uścisk, ciesząc się kojącym zapachem jej paryskiej wody toaletowej. Dopiero teraz do niej docierało, jak bardzo jej brakowało matki. – Epidemia się wreszcie skończyła.

Aurora spojrzała ostrożnie przez pokój w kierunku ojca. Siedział w skórzanym fotelu przed kominkiem ze swoim zwyczajowym drinkiem przed kolacją. Następnie wstał powoli i rzekł:

– Zdecydowałaś się więc w końcu zaszczyścić nas swoją obecnością.

Aurora stłumiła westchnięcie. Nie zamierzał jej tego ułatwiać. Podeszła do niego i ucałowała go szybko w szorstki policzek.

– Witaj, tato. Jak się masz?

– Dobrze, ale twoja biedna matka ze zmartwienia nieomalże znalazła się w grobie.

Aurora starała się zachować spokój. Jej rodzice zajęli z powrotem swoje miejsca, a ona sama usiadła na sofie obok matki.

– Przepraszam, że musieliście się martwić, ale jestem pewna, że rozumiecie, iż trzeba było opanować wybuch epidemii duru brzuszego.

Mama położyła dłoń na jej ramieniu.

– Oczywiście. Ale nie rozumiemy tylko, dlaczego ty zostałam w to zamieszana.

Aurora poczuła wyrzuty sumienia. Być może trzymanie pewnych szczegółów jej życia w tajemnicy przed rodzicami nie było najmądrzejsze.

– To jeden z powodów, dla których tu jestem. Chciałam wam obojgu wyjaśnić parę rzeczy.

– Brzmi to dość poważnie – orzekł ojciec, wyciągając cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– To dotyczy mojej przyszłości, więc dla mnie jest bardzo poważne. – Złożyła ręce na kolanach.

– Wiecie, że od jakiegoś czasu pracowałam jako wolontariuszka w szpitalu. Nie chodziło tylko o dobroczynność. Chciałam się dowiedzieć, czy mogłabym zostać pielęgniarką.

Ręka taty zamarła na pudełku zapalek i zmrużył oczy.

Aurora powstrzymała pragnienie, by zacząć wykręcać palce ze zdenerwowania.

– Doktor Reardon, którego spotkałeś, tato, w sierocińcu był dla mnie jak mentor. Pozwalał mi towarzyszyć mu podczas obchodów w szpitalu i do sierocińca, gdzie leczył dzieci. Doktor poprosił mnie o pomoc, zanim zdaliśmy sobie sprawę z wybuchu epidemii.

Mama wachlowała się ręką.

– Mówiłam.

Tata podniósł się gwałtownie z fotela, zapominając o swoim cygarze.

– Moja córka nie będzie się parać chorobami i ekskrementami. To odrażające!

Aurora wyprostowała się sztywno.

– Pielęgniarstwo to szlachetny zawód. I pragnę go podjąć. – Przerwała. – Złożyłam dokumenty na pielęgniarstwo w Bellevue od najbliższej jesieni.

Wąsy taty drgnęły, co oznaczało, że był wyjątkowo niezadowolony.

– Powinnaś włożyć całą swoją energię w poszukiwanie męża. Jaki mężczyzna będzie cię chciał po tym, gdy wyszkolisz się w takim obrzydliwym zawodzie? Chyba że... – Wycelował w nią wzrokiem.
– Ten doktor Reardon zdaje się bardzo cię cenić. Był wyjątkowo opiekuńczy w stosunku do ciebie, gdy przyszedłem do sierocińca. Mógłbym uznać takiego mężczyznę.

Przełknęła ciężko. Nadszedł czas na pozostałe wyznanie.

– Obawiam się, że złożyłam swoje uczucia gdzie indziej. – *Na pokładzie statku przemierzającego ocean.*

Brwi taty uniosły się w nieskrywanym zainteresowaniu.

– Powiedz nam zatem, córciu. Cóż to za mężczyzna w końcu ci się spodobał? Mam nadzieję, że ktoś z dobrej rodziny.

Aurorze z trudem udało się powstrzymać wybuch nerwowego śmiechu.

– Bardzo dobrej rodziny. Jego brat jest cenionym kierownikiem sierocińca.

Ojciec pobladł.

– Tylko nie ten przeklęty Irlandczyk.

– Tak, tato – potwierdziła cicho. – Gabe i ja kochamy się i, gdy tylko wróci z Irlandii, mam nadzieję, że poprosi mnie o rękę.

Mama uścisnęła dłoń córki, a na jej twarzy malowało się jednocześnie szczęście i współczucie.

Tata przeszedł szybko przez pokój i zatrzymał się przed kominkiem.

– Wrócił do Irlandii w środku toczącej się wojny? Czy on zwariował?!

– Martwi się o swoją rodzinę, co z pewnością łatwo zrozumieć.

Tata chrząknął.

– Patrząc na to, jak się sprawy mają za oceanem, wątpię, czy w ogóle wróci. Prawdopodobnie zostanie wysłany do walki.

– Arthurze! – zawołała mama głosem drżącym od lekkiego oburzenia. – Nawet tak nie mów. Aurora przecież musi się bardzo o niego martwić.

– To prawda. Ale ufam Bogu, że go ocali i przyprowadzi z powrotem do mnie. – Aurora wstała i podeszła na wprost ojca. – A kiedy to się stanie, tato, oczekuję, że potraktujesz go przyzwoicie i z szacunkiem. To mężczyzna, którego kocham. Mężczyzna, z którym pragnę spędzić resztę swojego życia. I nie chcę słyszeć o niczym innym.

– Nie wiem, czy mi się podoba to twoje beczelne zachowanie. – Tata skierował się do stolika, z którego podniósł swoje cygaro. Bawił się nim między palcami, jakby rozważał jej słowa, a gdy odwrócił się znów w stronę córki, z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. – Jeśli ten Irlandczyk jeszcze się kiedyś pojawi, wtedy zastanowię się, co z tym dalej zrobić.

Aurora wytrzymała dzielnie, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

– Nie będzie co z tym robić, tato. Bo gdy tylko Gabe wróci, nic mnie od niego nie odłączy.

Oczekiwała na jego gniew, ale zamiast tego ojciec obserwował ją tylko z nieodgadnioną miną.

– Może jednak zobaczymy, dobrze?

Pomimo całej brawury Aurora odczuła ukłucie strachu w sercu. Czemu jej ojciec był tak

przekonany, że Gabe nie wróci? Tata był wpływowym człowiekiem w Nowym Jorku, ale przecież jego siła nie sięgała aż za ocean.

Gdyby tylko mogła być tego taka pewna.

Pogwizdując radośnie, Adam rzeźbił kawałek drewna leżący na warsztacie. Pierwszy raz odkąd sięgał pamięcią... właściwie, chyba od czasów wczesnego dzieciństwa, patrzył w przyszłość z optymizmem.

Przerwał na chwilę i objął zamyślonym wzrokiem swoje miejsce pracy. Z głębi jego duszy dobyła się modlitwa dziękczynienia... za to, że mógł robić, to co kochał, za to, że Bóg przyprowadził mamę do życia znad krawędzi śmierci, za miłość Maggie Montgomery.

Jeszcze niecałe trzy miesiące temu, kiedy jako wolny człowiek opuszczał więzienne mury, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że otrzyma takie bogactwo łask. Wrócił do pracy, w milczeniu przysięgając sobie, że będzie oddawał Panu cześć na wszelkie możliwe sposoby i udowodni, że jest godzien Jego darów.

Odgłos kroków na drewnianej podłodze w przedniej części sklepu rozległ się głuchym dźwiękiem. Adam spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł uśmiechniętą twarz Johna McNabba w drzwiach prowadzących do warsztatu.

– Dokonałeś tu prawdziwego cudu, Adamie. Nigdy nawet sobie nie wyobrażałem, że tak szybko będziesz gotowy otworzyć swój interes.

Adam wytarł dłonie w ręcznik i podszedł do przyjaciela. Poklepując go po ramieniu, powiedział:

– To dzięki tobie, *Skład Meblarski O'Leary* będzie miał swoje wielkie otwarcie w przyszłym tygodniu.

Przeszli do sklepu i teraz Adam, patrząc na wszystko z perspektywy Johna, odczuwał, że rozpiera go duma. Gotowe na sprzedaż meble godnie reprezentowały jego fachowość. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby zachęcić klientów, by zechcieli wracać do niego i oglądać nowe przedmioty, które będą się tu z czasem pojawiały.

– Jak ci się udało przygotować tak wiele eksponatów na sprzedaż?

Adam ustawił prosto jedno z krzeseł z wysokim oparciem.

– Odnowiłem trochę starych mebli. Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, ile ludzi wyrzuca meble z powodu złamanej nogi albo uszkodzonej szuflady. Łatwe do naprawy dla kogoś, kto się zna na rzeczy.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. – Przerwał i spojrzał Adamowi prosto w oczy. – I jestem z ciebie dumny. Przeszedłeś długą drogę, przyjacielu.

Adam przełknął gulę emocji zbierającą się w jego gardle.

– Nie zrobiłbym tego bez ciebie, John. Jestem ci winien dozgonną wdzięczność.

Usta Johna rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Może teraz uda mi się przekonać cię, żebyś wybrał się na nabożeństwo w moim kościele. Obiecuję, że nie zaśniesz na moim kazaniu.

Adam roześmiał się w głos.

– W zasadzie właśnie zamierzałem przyjść w najbliższą niedzielę. Mam za co dziękować.

Otworzyły się drzwi wejściowe i z szelestem sukni do środka weszła Maggie. Adam nie potrafił powstrzymać głupkowatego uśmiechu na ten nieoczekiwany widok.

– Maggie. Cóż za miła niespodzianka!

Spostrzegłszy Johna, Maggie zmieszala się.

– Przepraszam. Nie trafiłam chyba w dobrą porę?

– Wręcz przeciwnie. Chciałbym, żebyś poznała mojego przyjaciela, Johna McNabba.

Jej olśniewający uśmiech rozświetlił całe wnętrze.

– Miło poznać, panie McNabb. Adam opowiadał mi tak wiele o panu i o tym wszystkim, co pan uczynił, by mu pomóc.

John skłonił się nad jej dłonią.

– To ciekawe, że z kolei nie mówił nic o pani. – Posłał Adamowi uradowane spojrzenie, a potem uśmiechnął się do niej. – Proszę mi mówić po imieniu.

– A ja jestem Maggie. – Zwróciła się do Adama, mówiąc: – Przyszłam zobaczyć, jak postępy w sklepie. Nie mogę uwierzyć, ile tu dokonałeś od czasu, gdy byłam tutaj po raz ostatni. – Przesunęła dłonią po dębowym stole do jadalni. – Ależ piękny!

Adam podążał spojrzeniem za każdym jej ruchem, najwyraźniej zupełnie nie potrafiąc od niej oderwać wzroku. Wyglądała jak letnie niebo w swojej biało-niebieskiej sukni. Jej hebanowe włosy spływały urzekająco kaskadami na ramiona.

John odkaszlnął i uśmiechając się szeroko, rzekł:

– Cóż, muszę już iść. Mam jeszcze paru parafian do odwiedzenia. Miło było cię poznać, Maggie. Mam nadzieję, że jeszcze się wkrótce zobaczymy. – Uniósł jedną brew. – Może przyjdiesz z Adamem do kościoła w najbliższą niedzielę. W końcu zgodził się uczestniczyć w prowadzonym przeze mnie nabożeństwie.

Jej piękną twarz przeciął wyraz żalu.

– Chciałabym, ale w tę niedzielę będzie mój pierwszy dzień grania na organach u Świętego Patryka.

John zrobił wielkie oczy.

– W katedrze? Jak ci się to udało?

Adam podszedł, by odprowadzić Johna do wyjścia.

– To długa opowieść, przyjacielu.

John zaśmiał się.

– Zrozumiałem aluzję. Do zobaczenia w niedzielę.

Gdy Adam wrócił do Maggie, jej policzki pokrywała urocza purpura. Nie mógł już powstrzymać tęsknoty i od razu wziął ją w ramiona.

– Adamie! Co robisz? Przecież każdy może tu wejść w dowolnej chwili – zakrzyknęła.

– A niech wchodzi. – Pochylił głowę i dotknął jej warg swoimi ustami.

Choć na początku pisnęła w proteście, zaraz potem stopiła się z nim i odwzajemniła pocałunek.

Kiedy przestali się całować, spojrzał na jej oblaną rumieńcem twarz.

– Chyba nigdy nie znudzi mi się twoja bliskość.

– Pana doświadczenie w całowaniu jest niebywałe. Sprawia pan, że wszystko wkoło mnie znika.
– Uwolniła się z jego objęć i wygładziła dłonią gorset sukni.

– Naprawdę przyszedłeś, żeby zobaczyć sklep, czy kierowałaś się jakimś innym powodem?

– Innym poza całowaniem, chciałeś powiedzieć? – W jej oczach błysnęło rozbawienie.

– A więc przyznajesz, że to był prawdziwy powód twojej wizyty.

Jej śmiech rozbrzmiewał perłście w całym sklepie.

– Przyszłam się z tobą zobaczyć... i prosić cię o coś.

– Jeszcze jeden taki pocałunek i jestem gotów zrobić wszystko – droczył się z nią.

Chociaż się uśmiechnęła, na jej twarzy pojawił się lekki niepokój.

– Co to za prośba? – zapytał szybko Adam. Wszystko, byle tylko przywrócić jej radość.

– Chciałam, żebyś mnie zabrał, by sprawdzić, co u Ivy. Pomyślałam, że to mogłoby pomóc Rylanowi i Colleen, gdyby wiedzieli, że dziewczynka ma dobrą opiekę.

Obawiał się powrotu do knajpy, choć i tak zamierzał odwiedzić Jolene, by upewnić się, że dotrzymała obietnicy. Jego plany trochę się zmieniły ze względu na chorobę mamy, nie wspominając o tym, jak bardzo pochłonął go związek ze stojącą przed nim kobietą.

– Pojadę tam jeszcze dzisiaj. – Palcem uniósł jej podbródek. – Ale ty nie idziesz ze mną. – Pod

zadnym pozorem nie pozwoliłby Maggie znaleźć się w tak obskurnym miejscu. Nie chciał nawet, by widziała, jakiego rodzaju życie wiódł przed nawróceniem.

Zrobiła zagniewaną minę, a wokół jej nosa dostrzegł drobne zmarszczki.

– Posłuchaj mnie, Adamie O’Leary...

– Tak, panno Montgomery? – Powstrzymał uśmiech na ten jej nastrój, który sprawiał, że jej irlandzki akcent był bardziej dostrzegalny.

Dźgnęła go palcem prosto w pierś.

– To, że się ze mną spotykasz wcale nie daje ci prawa, żebyś mógł dyktować, co mi wolno, a czego nie.

Pochwycił jej rękę w swojej dłoni i gładził ją kciukiem.

– A czy fakt, że troszczę się o twoje dobro nic już nie znaczy?

Zawahała się.

– Oczywiście, ale...

– W takim razie, zaufaj mi, Maggie.

Wpatrywała się w niego przez jakiś czas, a potem westchnęła głośno.

– Dobrze więc. O ile tylko obiecasz, że przekażesz mi wszystko, czego się dowiesz.

– Obiecuję. – Owijał pasemko jej włosów wokół palca. – To będzie dla mnie doskonały powód, żeby odwiedzić cię jeszcze dzisiaj.

Roześmiała się i zrobiła krok w tył.

– Chyba powinnam się już zbierać i pozwolić ci dalej pracować. Idę do Świętego Patryka poćwiczyć trochę.

Odprowadził ją do drzwi, gdzie jeszcze stanął i ucałował ją mocno. Jakiś ruch po drugiej stronie ulicy zwrócił jego uwagę. W pamięci stanęły mu wspomnienia osoby Neilla Fitzgeralda i dotknęło go poczucie winy. Jak to możliwe, że stał się tak pobłaźliwy w kwestii bezpieczeństwa Maggie?

– Poczekaj. – Zdjął fartuch i odwiesił go na najbliższym krześle. – Odprowadzę cię.

Wydawało się, że ona zaraz zacznie się z nim spierać, ale jego ponura mina wstrzymała ją. Zamiast tego mrugnęła tylko do niego, mówiąc:

– Spójrzmy prawdzie w oczy, panie O’Leary... nie dość ci mojego towarzystwa.



Adam stłumił drzenie, gdy później tego samego dnia wchodził do Lucky Chance Saloon. Na

szczęście było na tyle wcześnie, że speluna była praktycznie pusta. Marty, oparty o ladę baru, przeglądał gazetę. Podniósł wzrok, gdy Adam przechodził przez salę.

– Znowu tutaj, O’Leary?

Adam skinął krótko. Marty będzie lepiej współpracował, jeśli on postara się być dla niego miły. Wskazał na gazetę i zapytał:

– Co tam dziś w świecie, Marty?

Mężczyzna westchnął ciężko i obrócił na pierwszą stronę.

– Nic dobrego. Mam nadzieję, że wojna nie przeniesie się w nasze strony.

– Ja też.

– Co cię znów tu sprowadza?

Adam oparł stopę o mosiężną barierkę, starając się zachować swobodny ton.

– Przyszedłem porozmawiać z Jolene. Czy jest tu gdzieś przypadkiem?

Marty przeniósł wzrok w stronę tylnego korytarza.

– Pewnie śpi, jak większość dziewcząt o tej porze. – Wyprostował swoją zwalistą sylwetkę. – Jeśli chcesz się z nią zobaczyć, powinieneś wrócić w czasie, gdy pracuje.

Adam powstrzymał grymas obrzydzenia. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było znaleźć się w tym miejscu w godzinach szczytu.

– Pewnie masz rację. A jak Max przyjął, że ona ma dziecko?

Marty drgnął, rozlewając kawę z kubka na ladę.

– Mów ciszej. Skąd wiesz... o tym?

– To długa historia. – Zmrużył oczy. – Co ty ukrywasz, Marty?

Barman przeciągnął ścierką po ladzie.

– Słuchaj, Max nie wie o dziecku. Wszyscy pomagamy Jolene, żeby on nic nie zwietrył.

Cień podejrzania ścisnął żołądkiem Adama.

– Kto zajmuje się dzieckiem, gdy ona pracuje?

Marty przybrał surowy wyraz twarzy.

– Jeśli chcesz wiedzieć cokolwiek więcej, pogadaj z Jolene. – Odwrócił się i zaczął wycierać półkę za plecami, gdzie poustawiane były butelki z alkoholem.

Adama przepęłniało rozdrażnienie. Marty zamknął się zupełnie w swojej skorupie. Nie był w stanie już nic więcej z niego wyciągnąć. A Adam nie mógł pozwolić sobie na to, by kręcić się przy barze do czasu, aż Jolene zejdzie. Musi wrócić innym razem. Poczłł rozczarowanie na myśl, że nie będzie miał co przekazać Maggie.

Nasunął na czoło czapkę, gotów już skierować się do drzwi, gdy z tyłu budynku dobył się charakterystyczny płacz. Adam obrócił się na pięcie i dostrzegł panikę malującą się na twarzy Marty'ego, a potem ruszył szybko w głąb korytarza, do jego biura. Jednym pchnięciem otworzył drzwi i zawrođenje stało się jeszcze głośniejsze. Adam wbiegł szybko do środka, szukając wzrokiem źródła dźwięku. W najdalszym kącie, wciśnięty pomiędzy biurkiem a ścianą, widniał brzeg wiklinowego koszyka. Świadom zbliżających się ciężkich kroków Marty'ego, Adam przeszedł przez zabałaganiony pokój i spojrzł na wrzeszczące dzieciątko. Zawinięta w stary ręcznik, małutka twarz Ivy była cała zaczerwieniona i pomarszczona od płaczu. Ostrze gniewu niczym sztylet przeszło pierś Adama. Cóż to za matka, która zostawia swojego niemowlaka porzuconego w takiej brudnej dziurze?

Sięgnął do koszyka i wyciągnął dziecko, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, w jaki sposób trzymała ją Maggie.

– Co robisz, O'Leary?! – ciskał się Marty, a jego pierś unosiła się i opadała w nieregularnym oddechu.

Adam minął go, wołając:

– Zabieram to dziecko do jego matki. – Przeszedł przez korytarz, głośnie tupiąc.

– Czekał. Nie możesz tam iść.

– No to patrz. – Pomimo pozornej brawury, skręcał się od środka. Przrzekał sobie, że już nigdy nie wejdzie po tych schodach, ale w tym momencie nic innego nie mógł zrobić. – W którym pokoju jest Jolene?

– Max mnie zabije, jak się dowie...

Dziecko wrzasnęło jeszcze głośnieł.

– Albo mi powiesz, albo zacznę otwierać wszystkie drzwi po kolei, aż ją znajdę.

Marty zbladł i zaczął nerwowo szarpać pasek od fartucha.

– Dobrze, ale szybko. Trzecie drzwi po prawej.

Adam wspiał się po schodach, starając się nie trząść za bardzo dzieckiem. Dotarł na drugie piętro, nastawiając się w międzyczasie na to, co może tam zastać, a potem zapukał.

Po drugiej stronie ktoś coś mamrotał.

– Otwieraj, Jolene.

Zza drzwi dobiegł jakiś szelest.

– Śpię. Idź sobie.

– Liczę do trzech i wchodzę.

– Czekaj.

Słysząc było tupot nóg. W końcu otworzyły się drzwi i Jolene wyszła na korytarz, wiążąc w pasie cienki szlafrok. Jej włosy były w zupełnym nieładzie, a jej twarz poznaczona czarnymi smugami po makijażu. Jolene skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Nie możesz jej uciszyć?

Adam wyciągnął dziecko w jej stronę.

– To chyba twoja robota. Dlaczego nie jest z tobą w pokoju?

Jolene nawet się nie ruszyła, żeby wziąć dziecko.

– Muszę się wyspać, żeby móc pracować. Marty powiedział, że jej popilnuje.

– Świetnie... była wepchnięta gdzieś sama w głuchy kąt w jego biurze.

– Może dlatego, że spała. Zanieś ją z powrotem Marty'emu. – Odwróciła się do drzwi, ale Adam odciął jej drogę.

– Teraz już nie śpisz. Zajmij się swoją córką, Jolene. A może mam zadzwonić do kogoś z pomocy społecznej?

Właśnie w tej chwili Ivy wrzasnęła na całe gardło. Drzwi pokoju Jolene otworzyły się i ze środka wyrzwał brzuchaty facet w średnim wieku.

– Co to za hałasy, Jolene? Chcę spać.

Jolene przeniosła niespokojne spojrzenie z Adama na tego mężczyznę.

– W porządku, Harry. Ten człowiek pomylił pokój. Wracaj do łóżka.

Adam nie był już w stanie dłużej powstrzymać kumulującego się w nim gniewu.

– Od kiedy to klienci zostają na noc?

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

– Harry nie jest klientem, to mój chłopak.

– Czy to ojciec Ivy? – zapytał, wpatrując się w nią intensywnie.

– Nie, poznałam Harry'ego po moim powrocie do pracy tutaj. – Zadarła wyżej brodę. – Nie wiem, który z moich klientów jest ojcem dziecka – powiedziała i chwyciła mocno za rękaw jego koszuli,

rzucając wzrokiem na drzwi. – Słuchaj, to był wielki błąd, że wzięłam z powrotem dziecko. Nie jestem stworzona do bycia matką. A poza tym, Harry nie lubi dzieciaków.

Adam wpatrywał się w jej obszarpany wygląd i zacisnął mocniej usta, by na nią nie krzyknąć. Bóg dał jej cudowny dar, a ona wybrała takie życie i takiego mężczyznę zamiast dziecka. Poklepując Ivy po plecach, podrzucał ją lekko na ramieniu. Na szczęście zaczęła się uspokajać.

– Czy chciałabyś, żeby moja siostra ze swoim mężem wzięli ją na wychowanie?

Jolene popatrzyła na tył Ivy, a jej podbródek zadrżał. Pojedyncza łza popłynęła po jej policzku, zostawiając czarny ślad po makijażu.

– To chyba byłoby najlepsze dla niej.

Adam poczuł, jak serce bije mu szybciej, ale starał się nic po sobie nie pokazać.

– Musisz być tego pewna. Nie będzie już zmiany zdania. Nie pozwolę, by to znów spotkało Colleen.

– Rozumiem.

– W takim razie, podpiszesz papiery o zrzeczeniu się praw rodzicielskich?

Jolene zgarbiła ramiona i westchnęła.

– Tak.

Adam postarał się przybrać łagodniejszy ton i powiedział:

– To dobra decyzja dla twojej córki. Będzie miała wspaniały dom u Colleen i Rylana.

– Wiem. – Po jej twarzy płynęły kolejne łzy. Uniosła dłoń i położyła ją na plecach dzieciątka. – Żegnaj, moja słodka. – Otarła rękawem policzek. – Poczekaj chwilę, to przyniosę resztę jej rzeczy.

Zniknęła w pokoju i zaraz wyszła z kocem i paroma ubrankami. Adam przyjął rzeczy i rzekł:

– Zlecimy prawnikowi przygotowanie dokumentów i przyniesiemy ci je do podpisania.

Jolene objęła się ramionami w wychudłej talii.

– Dobrze. – Patrzyła na niego znużonym wzrokiem. – Obiecasz, że dasz mi znać, jak sobie radzi?

Choć nie mógł ścierpieć nawet myśli o powrocie w to wyklęte miejsce, Adam skinął.

– Może tak być. Do zobaczenia, Jolene.

Zanim zdążyłaby zmienić zdanie, Adam skierował się w dół schodów, tuląc kurczowo do piersi najdroższe zawiniątko.

Maggie wypatrywała przez okno salonu Colleen i Rylana, bacznie obserwując ulicę za jakimkolwiek śladem Adama. Spodziewała się, że wróci przed kolacją, ale było już dobrze po ósmej.

Może zmienił plany. Może musiał wrócić prosto do sklepu, żeby skończyć jakieś naprawy dla kogoś, komu polecił go John.

Westchnęła i zasunęła z powrotem zasłonę. Nie miała się co zamartwiać. Przyjdzie, gdy tylko będzie mógł. Maggie modliła się tylko, żeby okazało się, iż matka dobrze sobie radzi ze swoją malutką.

Podeszła do kominka i zaczęła zgarniać przygasający już żar. Myślami wróciła do Gabe'a. Żałowała, że nie miała okazji się z nim pożegnać. Obawiała się, że może już nigdy więcej go nie zobaczyć. Wyprostowała plecy i szeptem zaniósła do Boga modlitwę o bezpieczeństwo brata, gdziekolwiek by się nie znajdował.

Z korytarza dobiegły ją głosy i do salonu weszli Rylan i Colleen. Maggie odwróciła się w ich stronę i z ulgą stwierdziła, że Colleen wygląda już dużo lepiej po tym, gdy Delia wydobrzała i wróciła do domu.

– Przepraszam, że tyle nam to zajęło. Delia uparła się na trzy opowiadania – wytłumaczyła, siadając w fotelu koło kominka.

Rylan uśmiechnął się promiennie.

– Nie mamy serca jej teraz czegokolwiek odmawiać.

Maggie roześmiała się, ciesząc się, że jej bratu wróciła pogoda ducha.

– Mam nadzieję, że nie poprosi o kucyka, bo będziecie mieć problem.

Rylan potrząsnął głową, a w jego rozbawionych, brązowych oczach odbijało się światło lampy.

– Najgorzej, że teraz Chester śpi z nią w łóżku.

Maggie zajęła miejsce na sofie obok brata i wygładziła suknię.

– Zawsze wiedziałam, że ten pies miał być dla tej rodziny. Wyraźnie widać, jakim uwielbieniem darzy Delię.

I Adama – dodała w myślach. Nie powiedziała nic Rylanowi ani Colleen o misji, na jaką wysłała Adama, na wypadek gdyby okazało się, że Ivy nie jest zbyt dobrze z matką. Maggie nie chciała obciążać brata i bratowej dodatkowymi smutnymi wiadomościami.

Kiedy u drzwi wejściowych rozległo się donośne pukanie, serce Maggie podskoczyło z radości.

– Ja otworzę! – zawołała skwapliwie.

Rylan wymienił z Colleen spojrzenie, które mówiło jej, że chyba wiedzą, dlaczego tak ochoczo

pragnie otworzyć drzwi. Brat nie był zachwycony obecną sytuacją dotyczącą jej związku, ale Maggie była pewna, że Adam w końcu zdoła go przekonać do siebie.

Gdy była już w przedpokoju, Maggie poprawiła jeszcze włosy i dopiero wtedy otworzyła. W słabym wieczornym świetle dostrzegła Adama stojącego przed wejściem z jakimś zawiniątkiem na ramieniu. Maggie zakryła dłonią usta. Od razu w jej oczach pojawiły się łzy. On zaś uśmiechnął się szeroko i zapytał:

– Mogę wejść?

Bez słowa odsunęła się na bok i wpuściła go do wąskiego korytarza. Wyciągnął w jej stronę dziecko, mówiąc:

– Potrzywasz na chwilkę? Muszę coś jeszcze wziąć.

Maggie z radością tuliła dzieciątko w ramionach, bojąc się nawet myśleć, co to będzie oznaczało dla jej brata i bratowej. Spod kocyka wystawała burza ciemnych włosków Ivy. Oprócz zapachu papierosów dziewczynka nie wykazywała jakichś szczególnych oznak złego traktowania.

Adam wrócił, niosąc drewnianą kołyskę.

– Wstąpiłem jeszcze do sklepu, żeby ją zabrać. Zrobiłem ją, zanim Jolene przyszła odebrać Ivy.
– Wzruszył ramionami. – Nie miałem odwagi oddać jej komuś innemu.

– Maggie, kto przyszedł? – Rylan wyszedł zamaszystym krokiem na korytarz. Kiedy zobaczył dziecko, zamarł. – Co to?

Adam zdjął czapkę.

– Maggie poprosiła mnie, żeby zobaczyć co u Ivy. Odkryłem, że nie miała dobrej opieki... więc przyniosłem ją z powrotem.

Zamiast oczekiwanej radości, Maggie spostrzegła gniewną minę Rylana.

– Nie pozwolę narażać mojej żony po raz kolejny na żal związany z utratą tego dziecka.

Adam uniósł dłoń.

– Wyjaśniłem już to. Jolene zgodziła się podpisać dokumenty zezwalające na adopcję córeczki.

Maggie podała dziecko Rylanowi.

– Może pójdziesz i sam zanieziesz Colleen tę cudowną wiadomość?

Rylan wahał się przez chwilę, a potem wziął dziecko w ramiona, mówiąc czule:

– Witaj, Ivy. Cieszymy się, że znów jesteś w domu. Na pewno chcesz się zobaczyć z mamusią.

Maggie zagryzła wargi, starając się opanować wzbierające w niej emocje. Razem z Adamem weszli za Rylanem do salonu. Zajęta robótką na drutach, Colleen nie podniosła od razu wzroku. Dopiero

gdy Rylan zatrzymał się tuż przed jej miejscem, uniosła głowę i wydała pełen zaskoczenia okrzyk. Skoczyła na nogi, a włóczka stoczyła się z jej kolan na podłogę.

– Kochanie, Ivy do nas wróciła – oświadczył Rylan, podając zawiniątko żonie.

– Czy to prawda? – Wpatrywała się w dziecko w pełnym zachwycie, a potem pochyliła się i ucałowała dziewczynkę w oba policzki. Łkając, tuliła do siebie dzidziusia i kołysała w ramionach.

Oczy Maggie także zaszły łzami radości.

Adam postawił kołyskę na ziemi obok fotela Colleen.

– Powiedziałem Jolene, że zlecicie prawnikowi przygotowanie potrzebnych dokumentów do podpisu, by poświadczyć zrzeczenie się praw rodzicielskich. Podjęcie takiego wiążącego zobowiązania zapobiegnie ponownej sytuacji, na wypadek gdyby zmieniła zdanie.

– Adamie, jak ja mam ci dziękować? – Z pełnymi łez oczami, Colleen przechyliła się i ucałowała go w policzek.

Adam położył swoją olbrzymią, acz delikatną rękę na głowie Ivy.

– Ona jest najlepszym podziękowaniem. – Jego szorstki głos zdradzał skrajne emocje. Odchrząknął. – Hmm... biedactwo było w nie najlepszym stanie. Staralem się ją trochę umyć, ale może trzeba będzie jej sprawdzić pieluchę.

Maggie zdusiła w sobie chichot, widząc zaskoczenie na twarzy Colleen, jakby nie potrafiła sobie wyobrazić brata przebierającego dziecko. Colleen roześmiała się.

– Najlepiej będzie, jak zrobię to od razu. Chcesz mi pomóc, Rylanie?

– Nie ma nic, co by mnie bardziej ucieszyło.

Wychodząc z pokoju, Rylan przystanął przed Adamem.

– Nawet nie wiem, jak mam wyrazić moją wdzięczność za to, co zrobiłeś. W końcu mogłem zobaczyć Colleen taką szczęśliwą, po tym gdy o mało co nie straciliśmy obu dziewczynek... – Głos mu się łamał i nie był w stanie dokończyć zdania. Zamiast tego pochwycił Adama w mocnym uścisku.

Adam zamrugnął i poklepał go po plecach z zaskoczeniem.

– To moja siostra. Cieszę się, że mogłem coś dla niej zrobić.

Rylan usprawiedliwił się i wyszedł, a Maggie zaczęła chichotać na widok zdumionego wyrazu twarzy Adama.

– Widzę, że nie nawykłeś do tego, jak wylewnie mój brat okazuje uczucia.

– Wylewnie to mało powiedziane. – Adam uśmiechnął się szeroko, a zmarszczki na jego czole wygładziły się. – Przynajmniej już nie robi zagniewanej miny na mój widok. Wciąż nie mogę uwierzyć, że pozwolił, byśmy się spotykali.

Maggie podeszła tak blisko, że mogła dostrzec różne odcienie jego zarostu.

– Myślę, że nadal ma pewne zastrzeżenia, ale ta sprawa z pewnością bardzo pomogła – rzekła, przechylając na bok głowę. – Kiedy prosiłam cię o odwiedzenie Ivy, nawet nie liczyłam na taki obrót spraw. Modliłam się tylko, żeby okazało się, że jest zdrowa i bezpieczna.

Oblicze Adama spochmurniało.

– Dobrze, że cię tam nie było. Żadne dziecko nie powinno żyć w takich warunkach.

Obrazy brudu i upodlenia przemknęły przez jej głowę i odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu, że Adam ocalił Ivy od takiego losu.

– Dziękuję, że przyprowadziłeś ją do domu.

Jego niebieskie oczy lśniły intensywnie.

– Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby cię uszczęśliwić, Maggie.

Wspięła się na palce i musnęła go delikatnie w usta. Objął ją z czułością ramionami i oddał pocałunek, a jego siła i łagodność otuliły ją.

Z błogosławieństwem Boga... i jej braci... Maggie pragnęła, by mogła tak bezpiecznie trwać w objęciach Adama na zawsze.



Adam wracał do domu nieomal unosząc się nad ziemią w euforii. Od czasu, gdy był młodym chłopcem jeszcze nigdy jego serce nie było tak przepełnione radością.

Dziękuję Ci, Boże, za Twoje łaski. Za to, że pozwoliłeś mi przynieść Ivy z powrotem do Colleen i za Maggie, która z jakiegoś niepojętego powodu darzy mnie miłością.

Miał na twarzy uśmiech od ucha do ucha i pomyślał sobie, że musiał wyglądać jak wariat, przechadzając się tak ulicami Nowego Jorku i śmiejąc się bez powodu, ale nie potrafił przestać.

Pomyślał o łasce nagłego powrotu do zdrowia jego matki. Zaskakiwało go to, w jaki sposób Bóg potrafił wyprowadzić dobro z trudnych sytuacji. Choroba mamy była straszna, a jednak dała mu szansę zobaczyć Jamesa w innym świetle, tak jakby opadła zasłona i ukazała się cała prawda. W tych dniach pełnych niepewności przeszli długą drogę ku uzdrowieniu ich relacji. To wyczyn, o którym nawet nie śnił.

Teraz, jeśli udałoby mu się odnieść sukces ze sklepem, może w końcu uzyskałby uznanie w oczach ojca.

Miłe uczucie odnalezionego na nowo szczęścia niosło go przez całą drogę do skrzyżowania z jego ulicą... aż do chwili, gdy dźwięk syreny i krzyki ludzi zmroziły krew w jego żyłach. Przed składem kupieckim zebrał się już spory tłum. Stary pan Sampson, właściciel budynku, stał na drodze, machając ręką w kierunku strażaków wyskakujących z wozu ratowniczego.

W przypiływie adrenaliny, Adam skoczył do przodu. Jeśli palił się skład kupiecki, musiał pomóc ugasić ogień, by nie rozprzestrzenił się dalej.

Gdy tylko dotarł do zakrętu, jego krok stał się bardziej chwiejny. Przerazająca prawda uderzyła go prosto w twarz, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody. To *jego* sklep się palił. Strażacy celowali strumień wody z węża w stronę płomieni i dymu dobywających się z lokalu.

Zalewało go na zmianę to ciepło, to zimno. Próbował przepchnąć się przez tłum, ale pan Sampson pochwycił go za ramię.

– Nie możesz tam wchodzić, synu. To posunęło się już za daleko.

– Muszę ocalić meble.

– Za późno. – Mężczyzna stał, a poły jego koszuli powiewały na wietrze. – Na początku myśleliśmy, że to nasz sklep. Zanim zdążyliśmy wszcząć alarm...

W uszach Adama rozległ się nieznośny pisk, który zupełnie zagłuszał słowa. Musiał coś zrobić, nim wszystko straci. Adam ruszył biegiem w boczną uliczkę prowadzącą do wejścia na zaplecze. Wściekle myśli bombardowały jego umysł. Jeśli ogień zajął głównie przednią część, może uda mu się ocalić choć trochę sprzętów.

Pot lał mu się z czoła, gdy pchnięciem otworzył tylne drzwi. Momentalnie otoczyła go gęsta chmura dymu. Kaszłąc, zakrył twarz ramieniem i ruszył do przodu, starając się na wycucie dotrzeć tam, gdzie chciał. Jak niewidomy, na oślep przeszedł przez pomieszczenie, chwycił coś, co wydawało mu się szafką i zarzucił to na ramię. Tak szybko jak potrafił, wyszedł na zewnątrz w boczną alejkę. Oczy piekły go od dymu. Zrzucił szafkę na ziemię i upadł na kolana, starając się złapać oddech. Po ataku kaszlu zebrał się na nogi i ruszył z powrotem do środka. Uczucie paniki było coraz bardziej przytłaczające. Nie chciał... nie mógł... pozwolić sobie, by myśleć, że być może stracił wszystko.

Tym razem dym był jeszcze gęstszy i Adam poczuł mocne uderzenie gorąca. Płomienie lizały już ściany oddzielające sklep od warsztatu, ale on napierał dalej. Jeśli uda mu się uratować jeszcze parę mebli, być może cała jego praca nie pójdzie na marne.

Nie był już prawie w stanie otwierać oczu. Przedarł się w stronę ławki, starając się wymacać drogę, aż uderzył w jakiś wielki, twardy przedmiot... zapewne stół, który ostatnio szlifował. Podniósł go i krok po kroku szedł z powrotem w gęstym dymie. Płomienie syczały i trzeszczały, jakby ostrzegając go, że są coraz bliżej. Jego płuca domagały się powietrza. Gdzie było to wyjście?

Starął się gwałtownie wziąć oddech, ale chwycił go atak kaszlu. Upadł na kolana, a kant stołu uderzył go w pierś. Gorąco zalewało go ze wszystkich stron. Musiał wstać.

Boże, ratuj!

W ostatnim przypiływie energii zaczął czołgać się po podłodze w kierunku drzwi. Płomienie smaliły powietrze wokół niego. Deski podłogi drżały, gdy milimetr po milimetrze przesuwiał się na brzuchu. W oddali słyszał krzyki. Trzymał twarz nisko przy ziemi, ale jego płucami wstrząsały kolejne paroksyzmy, gdy próbował zaczerpnąć tlenu. Kiedy już pomyślał, że nie da rady, jakieś ręce zacisnęły mu się na ramionach i wyciągnęły go na zewnątrz.

Jego twarz skąpała się w błogosławnym chłodzie. Zaciągał się gwałtownie powietrzem, a jednak do jego ciała jakby nie docierało, że mógł już oddychać.

Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa się zapada, a potem nastąpiła zupełna ciemność.

Colleen i mała Ivy skąpane były we wczesnych promieniach słońca wlewającego się przez kuchenne okno niczym w anielskiej glorii. Maggie wpadła w zachwyt, gdy tak patrzyła na swoją bratową lulającą dziecko po porannej porcji mleka. Pomimo wczorajszych zawirowań, Ivy była w dobrym nastroju. Wykąpana, przebrana w czyste ubranka i teraz już najedzona, drzemała zadowolona w ramionach Colleen, która wpatrywała się w dzieciątko z taką czułością, że do oczu Maggie napływały łzy. Łzy szczęścia.

Dziękuję Ci, Panie, za to, że pomogłeś nam przejść epidemię duru i darowałeś nam do tego cud powrotu Ivy do domu. Rylan i Colleen zasługują na takie szczęśliwe zakończenie.

Maggie podśpiewywała sobie pod nosem podczas zmywania naczyń po śniadaniu. Nie mogła się już doczekać powrotu do pracy w sierocińcu. Może dzisiaj w końcu będzie miała okazję dać kilka lekcji gry na pianinie, o ile tylko pozwoli na to rozkład zajęć dzieci.

Odwróciła się od zlewu i wycierała właśnie ręce, gdy do kuchni wszedł Rylan. Chciała już się przywitać, ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy spostrzegła przepelniony cierpieniem wyraz twarzy brata.

– Obawiam się, że przynoszę złe wiadomości.

Maggie zamarła, modląc się w duchu, żeby nie chodziło o nawrót choroby pani O’Leary. Ale Rylan nie patrzył na żonę. Jego pełne współczucia brązowe oczy skierowane były na nią.

– Może lepiej usiądź.

Opadła na kuchenne krzesło, a serce waliło jej w piersi.

– O co chodzi?

Rylan przykucnął obok niej, zrównując z nią twarz i ująwszy ją za rękę, rzekł:

– Wczoraj wieczorem był pożar. Spalił się sklep Adama.

Maggie poczuła uderzenie gorąca, a potem zimna.

– Nie!

– Adam został zabrany do szpitala.

Powietrze uleciało z niej całkowicie i zgarbiła się jak szmaciana laleczka. Cały pokój zaczął wirować.

Colleen przechyliwszy się przez stół, złapała Maggie za drugą rękę.

– Dobry Boże. Czy wszystko z nim dobrze?

– Nie wiem, kochanie. Jego przyjaciel, John McNabb, zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć.

Miał właśnie jechać do szpitala, by zobaczyć się z nim.

W nagłym przypiływie rozpaczy, Maggie skoczyła na nogi i rzuciła się w kierunku drzwi. Drżącymi rękami zerwała z siebie fartuch.

– Którym tramwajem dojadę do szpitala?

Colleen podniosła się z małą Ivy w ramionach.

– Rylanie, musisz zabrać Maggie i dowiedzieć się, jak się czuje Adam.

Rylan wyprostował się i skinął.

– Dobrze. Tylko wezmę kapelusz.

Droga do szpitala minęła jej jak we mgle. Prawie w ogóle nie była świadoma tego, że jechała tramwajem. Dziękowała Bogu, że Rylan był z nią i przejął na siebie zadawanie pytań w szpitalnej recepcji. Ona sama miała wrażenie, że jej rozum się zupełnie wyłączył i nie była zdolna do żadnej logicznej myśli, poza modlitwą w intencji Adama.

Pielęgniarka poprowadziła ich do dużej sali w głównym skrzydle, gdzie znajdowało się wiele łóżek, w większości przesłoniętych zasłonami. Wskazała na miejsca siedzące i powiedziała:

– Mogą tu państwo poczekać. Obecnie jest u niego doktor, ale nie powinno to długo potrwać.

Maggie nie mogła usiedzieć. Przemierzała salę, starając się nie zwracać uwagi na jęki pacjentów. Ostry szpitalny zapach środków antyseptycznych i czyszczących wgryzał się w jej nozdrza, zmuszając wręcz do zakrycia nosa chusteczką. W końcu zasłona otaczająca łóżko Adama poruszyła się i wyłoniła się zza niej pielęgniarka z tacą medykamentów. Maggie skoczyła w jej stronę.

– Przepraszam, czy może nam pani powiedzieć, jak się czuje pan O’Leary?

Kobieta przystanęła.

– Pani jest z rodziny?

Rylan stanął u boku Maggie, włączając się:

– Tak, jesteśmy.

Pielęgniarka zerknęła na zasłonę.

– Lekarz kończy właśnie badanie. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że pan O’Leary ma kilka oparzeń i uszkodzone od dymu płuca. Ale poza tym powinno być dobrze.

Maggie poczuła, że ma miękkie nogi. Rylan ujął ją za ramię i tylko dzięki temu mogła ustać.

– Czy możemy się z nim zobaczyć?

– Będą musieli państwo poczekać na to, co powie doktor.

– Dziękuję. – Maggie przytknęła z powrotem chusteczkę do ust. Pojedyncze pasma włosów przykleiły się do jej mokrych policzków. Wszystko będzie dobrze. *Chwała Bogu!*

Rylan poprowadził ją na najbliższe krzesło. Maggie usiadła, wykręcając chusteczkę między palcami i starając się powstrzymać łzy wdzięczności i zdenerwowania. Jak Bóg mógł pozwolić, żeby coś takiego przytrafiło się Adamowi właśnie wtedy, gdy jego życie zaczęło się tak pozytywnie odmieniać?

Przełknęła ciężko i wyprostowała się na twardym metalowym krześle w mocnym postanowieniu. Musi być silna dla Adama. Powędrowała wzrokiem w stronę zasłony, zza której wyszedł właśnie doktor Reardon. Skoczyła na nogi.

Brwi lekarza uniosły się ze zdziwieniem, gdy tylko ją dostrzegł.

– Witam, panno Montgomery. – Jego wzrok spoczął obok niej i dopiero teraz lekarz musiał zauważyć Rylana. – Pan Montgomery. Mam nadzieję, że w sierocińcu wszystko dobrze?

Rylan podeszedł i uściśnął dłoń mężczyzny.

– Tak. Wszyscy wracają do zdrowia. Ale przyszliśmy tu zobaczyć, jak się ma Adam.

Maggie szkoda było czasu na uprzejmości.

– Jak on się czuje, doktorze?

Doktor Reardon potrząsnął głową, a potem rzekł:

– Naprawdę miał szczęście. Jeśli ktoś nie wyciągnąłby go z tego budynku, z pewnością by umarł.

Maggie zacisnęła usta, starając się nie krzyknąć. Rylan otoczył ją ramieniem.

– Czy będzie mógł wyjść, czy może potrzebuje jeszcze dalszego leczenia?

Doktor Reardon stuknął palcem w trzymaną w dłoni kartę.

– Wypuścimy go jeszcze dzisiaj. Będzie musiał jednak uważać na siebie w ciągu najbliższych dni i wrócić do szpitala na zmianę opatrunków.

Maggie nie czekała na to, co lekarz powie dalej. Odsunęła na bok zasłonę i ujrzała Adama leżącego na wąskiej poduszce i przykrytego cienkim, białym prześcieradłem. Czarne smugi znaczyły jego policzki i nos, dodatkowo podkreślając bladość cery. Jego ręce i przedramiona owinięte były grubymi bandażami. Położyła dłoń na jego policzku i zapytała:

– Adamie? Słyszysz mnie?

Otworzył oczy. Przez chwilę mrugał, wpatrując się w sufit, a potem skierował wzrok na jej twarz. W jego spojrzeniu widoczna była taka beznadzieja, że Maggie poczuła, jak serce staje jej w piersi.

– Nie ma nic, Maggie. Sklep... wszystko zostało zniszczone.

Całkowity brak nadziei malujący się na jego obliczu był rozdzierający. Łzy popłynęły strumieniami po twarzy Maggie.

– Już dobrze, kochanie. Najważniejsze, że żyjesz. Nic innego się nie liczy – rzekła, ale już w chwili, gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że on tak nie myśli.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To miała być moja szansa na nowy start. Teraz już nie ma nic. Wszystkie meble, które stworzyłem, które odrestaurowałem, wszystko... – Zamknął oczy i zacisnął mocno usta.

Maggie pogładziła dłonią jego włosy, szepcząc słowa pocieszenia. Bardzo pragnęła wymyślić coś, by ulżyć cierpieniu jego duszy. Oparzenia się zagoją, ale bała się, że on może nigdy nie dojść do siebie po utracie swojego marzenia.

– Doktor mówi, że będziesz mógł wkrótce wyjść. Wróc z nami do domu Colleen. Pozwól, żebyśmy się tobą zajęli.

– Nie. – Nagle z jego zachowania zniknęło cierpienie, a zamiast tego pojawił się chłód. – Wracam do mojej klitki w podziemiach. Tam, gdzie moje miejsce. – Gorycz jego słów na nowo rozdarła jej krwawiące już serce.

Podniósł się z łóżka. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając jego nagi tors z widocznymi straszными obrzękami. Chwycił koszulę z krzesła i założył rękawy, a potem zaczął szarpać się z butami i stanął na nogi. Lęk przeszywał serce Maggie.

– Poczekaj. Gdzie idziesz? – Przedzierała się za nim przez salę szpitalną.

Rylan także ich zauważył i stanął na drodze Adamowi.

– Hej, hej, powoli. Przeżyłeś trudne chwile. Razem z Colleen chcielibyśmy zabrać cię do nas.

Adam minął go i szedł dalej, zapinając guziki koszuli.

– Dzięki, ale dam sobie radę u Johna. – Jego słowa uderzały niczym pociski.

Maggie wzdrygnęła się na tę odmowę. Dlaczego odwracał się od rodziny w czasie kryzysu... wtedy, gdy najbardziej potrzebował ich wsparcia? Podbiegła do niego.

– Proszę, Adamie, pozwól sobie pomóc.

Dopiero teraz, po raz pierwszy, spojrzał prosto na nią, a jego wzrok był martwy jak drewno, które rzeźbił. Powoli potrząsnął głową.

– Powinienem był wiedzieć, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Przykro mi, Maggie, ale będzie ci lepiej beze mnie.

To powiedziawszy, ruszył w głąb korytarza, a każdy jego krok odbijał się echem w cichej teraz przestrzeni. Maggie jeszcze nigdy nie czuła się tak osamotniona.

Adam stał na ulicy przed poczerniałym szkieletem sklepu meblarskiego. Oparzenia na rękach i ramionach pulsowały boleśnie w takim samym rytmie jak jego poraniona dusza. Straszliwy smród spalonego drewna unosił się w powietrzu, gorzko przypominając mu o jego zniszczonych marzeniach. Na sztywnych nogach przeszedł po tym, co pozostało ze sklepu. Drażniący zapach dymu, który przenikał to miejsce, sprawiał, że rzeziło mu w płucach, które jeszcze nie wyzdrowiały. Choć mocno osmalone, główne ściany nie zostały naruszone. Jednakże poza tym prawie nic nie ocalało.

Adam czuł w sercu pustkę. Resztkami sił powstrzymał się, by nie wygrażać pięścią w niebo. Z pewnością to była Boża kara. Najpierw namiastka szczęścia, a potem odebranie mu wszystkiego.

Czubkiem buta kopnął smętne resztki, odsłaniając metalowy uchwyt jednej z szafek. Podniósł go, otarł z sadzy i wetknął do kieszeni. Taka ponura pamiątka po tym wszystkim, co utracił.

Adam zmusił się i przeszedł na zaplecze, do warsztatu, w którym nieomal stracił życie. Wszystkie jego mięśnie spięły się boleśnie na ten obcy widok, który się przed nim rozciągał. Nie zostało nic, tylko zwęglony szkielet stołu i zewnętrzne ściany. Wszystkie meble obróciły się w popiół. Z jego gardła dobył się pusty śmiech. Jakim był naiwnym głupcem, sądząc, że uda mu się zacząć wszystko od nowa.

Chwycił jakiś patyk i rzucił go w gruz. Ze środka rumowiska wystawał owalny kawałek drewna. Wyciągnął go i wpatrywał się tępo w szyld, który miał powiesić przed wejściem. *Skład Meblarski O'Leary*. Wyrzeźbione i gotowe do pomalowania. Teraz została widoczna tylko zniekształcona litera „O”. Spalona pozostałość jego zniszczonych marzeń.

Gniew rozlewał się w nim jak trucizna. Ryknął potwornie i obrócił się, a potem cisnął bezużytecznym przedmiotem w osmaloną ścianę. Szyld uderzył z głuchym trzaskiem i rozpadł się na drobne kawałki.

Ten wybuch furii, głośny i ostry jak wycie płomieni wczoraj wieczorem, dźwięczał mu w uszach. Potykając się, podszedł do tego, co zostało po jego stole warsztatowym. Podniósł te szczątki ponad głowę i rzucił z całej siły w stronę tylnych drzwi, roztrzaskując go do końca. Jak szaleniec miotał się po sklepie i ciskał deskami i resztkami mebli, niszcząc do końca wszystko, co mogłoby jeszcze kiedyś zostać wykorzystane. Kiedy w końcu mięśnie zaczęły go boleć bardziej niż poparzone dłonie, a w płucach paliło go z wysiłku, opadł na kolana pośrodku popiołów oraz gruzu i zapłakał.



Maggie otuliła ramiona szalem i zeszła z chóru do przedsionka. W wejściu panował przejmujący chłód, który nieodwołalnie przypominał o tym, że wkrótce lato ustąpi miejsca jesieni. A może ten chłód panował tylko w jej wnętrzu... i nic nie było w stanie go rozgrzać. Gdyby nie podjęła się zobowiązania wobec pana Unger, co pociągało za sobą konieczność ćwiczeń, pewnie w ogóle nie wychodziłaby dziś ze swojego pokoju. Skryłaby się pod kołdrą, czekając, aż jej serce przestanie krwawić.

Pan Unger podszedł do niej, a płomień świec wotywnych poruszyły się, rzucając upiorne cienie na ścianach.

– Grałaś bardzo mocno, młoda damo. – Założył ręce na swoim wydatnym brzuchu, na którym trochę za mocno opinała się kamizelka. – Chyba coś cię bardzo zdenerwowało albo zasmuciło. – Zaśmiał się z własnej uwagi, ale szybko oprzytomniał, gdy uświadomił sobie, że ona mu nie wtóruje. – Och, moja

droga, wyglądasz na bardzo zmartwioną. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Maggie przelknęła z trudem.

– Obawiam się, że raczej nie, panie Unger. Ale dziękuję. Chyba powinnam już wracać. Jak zwykle, straciłam zupełnie poczucie czasu.

– Czy chciałabyś, żebym cię odprowadził na tramwaj?

Maggie otuliła się ciasniej szalem i wzdrygnęła się. Choć wcale nie miała ochoty na miłe rozmowy, nie potrafiła odrzucić jego opiekuńczej propozycji.

– To miłe z pana strony, dziękuję.

– Panie Unger? – Jakiś głos odbił się echem pośród szerokiej przestrzeni. Zaraz potem rozległ się szelest sutanny, gdy ksiądz zbliżał się w ich stronę. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale otrzymaliśmy właśnie pilny telefon od pańskiej żony.

Pan Unger odwrócił się, zmarszczywszy czoło.

– Panno Montgomery, czy poczeka pani, aż odbiorę telefon?

Maggie zawahała się, wcale nie ciesząc się na to dodatkowe opóźnienie, ale co miała zrobić?

– Oczywiście – odparła.

Czekała jakieś piętnaście minut, ale z każdą chwilą coraz bardziej się denerwowała. Uciekało jej popołudnie. Chciała dotrzeć do domu przed powrotem Colleen i dzieci z sierocińca, żeby zdążyć jeszcze pomóc przy wieczornym posiłku.

Kiedy minęło kolejne pięć minut, Maggie nie mogła już wytrzymać. Pchnęła główne drzwi i wyszła na ulicę, mając nadzieję, że pan Unger jakoś to zrozumie. Świeże powietrze przyjemnie koło jej nerwy. Szła Piątą Aleją, mijając kilka przecznic, aż spostrzegła, że wokół niej zrobiło się coraz mniej pieszych. Miała nadzieję, że gdy dojdzie do przystanku tramwajowego, ludzi będzie znowu więcej.

Wszystkie nerwy miała napięte jak struny pianina. Ruszyła szybko i zeszła z krawężnika, gdy jakiś mężczyzna złapał ją za ramię, odciągając prosto spod kół wozu, który wyjechał zza zakrętu, ledwie ją mijając.

– Uważaj, kochanie. Ulice nie są bezpieczne... zwłaszcza dla samotnej kobiety.

Lodowate kleszcze strachu zacisnęły się wokół jej serca, gdy poznała znajomy akcent.

– Neill. – Starła się wyrwać z jego uścisku, ale trzymał ją zbyt mocno.

– Dobrze, że tutaj jestem i mogę cię odprowadzić do domu.

– Wolałabym raczej być sama, dziękuję. – Chciała brzmieć wyniośle, byleby tylko zamaskować panikę, która w niej narastała.

– A gdzie dzisiaj jest twój przyjaciel? Ten, który zwykle pilnuje cię jak wściekły pies?

Obróciła się twarzą do niego, a strach zmienił się we wściekłość.

– To nie twoja sprawa.

Uniósł drwiąco brew i rzekł:

– O, nie mogę się zgodzić. Człowiek, który całuje moją narzeczoną, to z pewnością moja sprawa.

Maggie poczuła, jak zmroziło ją od środka. Neill musiał obserwować ją przez cały ten czas. Spiskował, planował, śledził...

Uścisk na jej ramieniu stał się mocniejszy. Neill zmusił ją, by skręcili w jeszcze mniej ruchliwą uliczkę i potem przyspieszył kroku.

– Nie sędzę, żeby on stanowił jeszcze jakiś problem. Chyba że nie okaże się na tyle inteligentny, żeby zrozumieć wiadomość, którą wysłałem mu wczoraj wieczorem.

Jego przepelniony grozą ton przyprawił Maggie o gęsią skórkę. Czowała, że serce łomocze jej tak intensywnie, iż zaraz wyskoczy z piersi.

– To ty wznieciłeś pożar?

Zerknął na nią z ukosa, a jego spojrzenie pełne było jadu.

– A jak myślisz?

Dobry Boże, czy ten człowiek jest niespełna rozumu? Śledził ją i Adama, a teraz, przez swoją obsesję, zniszczył marzenia Adama na nową przyszłość.

Maggie wypatrywała za kimś, kto mógłby jej pomóc, ale, nie licząc konia i wozu gdzieś w oddali, byli sami.

– Ale teraz to już nie jest ważne – powiedział Neill – ponieważ jeszcze dziś ruszamy do Irlandii.

Maggie była tak przerażona, że przez chwilę odebrało jej mowę. Jakiś powiew wiatru omiół ich stopy pyłem z ulicy.

– Jeśli będziesz współpracować, pozwolę ci najpierw wstąpić do domu twojego brata. Będziesz mogła się spakować i zostawić im liścik, w którym poinformujesz ich, że ostatecznie zdecydowałaś się mnie poślubić. – Zmierzył ją surowym spojrzeniem. – A jeśli nie będziesz współpracować, ominiemy całe te domowe kwestie i udamy się prosto do portu. Będziesz mogła wysłać im list z pokładu.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Oszalałaś. Nigdzie z tobą nie idę. – Rzuciła się w przód i udało jej się na chwilę wyprzedzić go o parę kroków, zanim ją dogonił.

– Och, myślę, że zmienisz zdanie... gdy tylko wyjawię swoje intencje.

Zwolniła kroku, a jego złowieszczy ton tak bardzo ją zdenerwował, że nie była w stanie jasno myśleć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zająłem się już twoim przyjacielem. Nie zmuszaj mnie do podjęcia podobnych kroków wobec twojej rodziny.

Zadrżała, ale odsunęła od siebie przejmujący ją strach. Czy Neill rzeczywiście gotów był skrzywdzić Rylana, Colleen albo dzieci? Nie mogła ryzykować.

– Aha, a na wypadek gdybyś myślała, że możesz mnie przechytrzyć, mam jeszcze jeden argument. – Zza pazuchy płaszcza wyciągnął pistolet. Światło z wystawy sklepowej odbiło się w zimnym metalowym bębunku. – Nie myśl, że nie jestem zdolny użyć go przeciwko każdemu, kto stanie na mojej drodze.

Maggie czuła, że całe jej wnętrze zmroziło przerażenie. Obecnie nie miała żadnego wyjścia, tylko przystać na jego warunki, czekając, aż dostrzeże jakąś możliwość ucieczki. Zgarbiła plecy i rzekła:

– Pójdę z tobą, jeśli obiecasz, że zostawisz Adama i moją rodzinę w spokoju.

Neill z triumfalnym uśmiechem schował broń z powrotem do kieszeni.

– Zawsze wiedziałem, że mądra z ciebie dziewczyna. Chodź. Musimy się pospieszyć. Statek nie będzie na nas czekał.

Gabe stał na górnym pokładzie parowca, kuląc się pod uderzeniami smagającego wiatru. Po wielu długich dniach na morzu, dzisiaj miał dotrzeć do kraju. A jednak wcale nie odczuwał spodziewanej radości z powrotu do Irlandii.

Widmo wojny rzucało się ponurym cieniem na każdą osobę przebywającą na pokładzie, czy to pasażerów, czy załogę. To i tęsknota serca za Aurorą ciążyły mu bardzo na duszy.

Podszedł do barierki, wpatrując się w szeroki pas niekończącej się wody i licząc, że dostrzeże choćby drobny ślad lądu, jakąś latarnię morską, która powita go w ojczyźnie. Daremny wysiłek, bo najprawdopodobniej dzieliło ich jeszcze wiele godzin, zanim na horyzoncie pojawi się jakiś skrawek wybrzeża. Nic tylko szarość morza oraz ciągnąca się mgła. Tak mdłe i beznadziejne jak jego nastrój.

Gabe nie miał jasnej wizji, co czeka go w najbliższej przyszłości. Wiedział tylko, że musi dostać się do domu, do matki oraz braci i dowiedzieć się dokładnie, w jaki sposób wojna zmieniła życie w kraju. Jego plany były tak nieprzeniknione jak woda pod nim. Co zrobi, jeśli armia brytyjska zażąda, by on i jego bracia zaciągnęli się do walki? Zanim wyjechał z Irlandii, z niecierpliwością pragnął dołączyć do wojny, która wyzwoliłaby ich spod brytyjskiego panowania. Czy teraz miałby zostać zmuszony do walki jako żołnierz brytyjski? Ta myśl przyprawiała go o mdłości. A może to niespokojne morze...

Gabe postawił wysoko kołnierz płaszcza i skierował się w stronę swojej kabiny. Może uda mu się uciec od tych dręczących myśli choćby na parę godzin i prześpi się jeszcze, zanim zawiną do portu.

Z mostka kapitańskiego rozległy się krzyki i chaotyczna bieżanina, a potem nastąpił głośny wybuch. Cały statek drgnął gwałtownie, zrzucając Gabe'a z nóg. Starał się czegoś chwycić, ale uderzył w ścianę. Poczul ból z tyłu głowy i ześlizgnął się po podłodze. Ogromna fala przelala się przez pokład, zupełnie przemaczając go i wypełniając jego usta słoną morską wodą.

Jak przez mgłę Gabe dostrzegł jeszcze, że pokład przechylił się pod dziwnym kątem.

– Dostaliśmy! – Jakiś członek załogi podczołgał się obok niego po pochyłej powierzchni.

– Spuścić szalupy!

Serce biło mu jak oszalałe. Gabe chwycił za barierkę i starał się podnieść. Po raz ostatni dostrzegł jeszcze opadającą ścianę wody, a potem kolejna eksplozja wyrzuciła go w powietrze.

Zanim pochłonęły go fale, skierował ostatnią świadomą myśl ku Aurorze.

Gdy minęła już burza uczuć, Adam czuł się w środku tak pusty jak wrak jego sklepu. Beznamiętnie podźwignął się na nogi. Kolana bolały go od twardej ziemi i zataczał się, póki nie odzyskał sprawności w stawach. Złapał go tak mocny atak kaszlu, iż miał wrażenie, że zaraz wypłuje sobie płuca. Kiedy w końcu paroksyzmy ustały, do jego świadomości dotarł wreszcie jakiś hałas w sąsiadującym pomieszczeniu.

Ktoś tam był?

Otarł twarz rękawem osmolonej koszuli i przeszedł na przód sklepu. Na czarnych gwoździach wystających ze ściany wisiały dwie zapalone latarnie, oświetlając pomieszczenie. Kiedy zdążyło się ściemnić?

Przyodziany w długi, czarny fartuch, John zmiatał podłogę słomianą szczotką. Chmura sadzy prawie całkiem zasłaniała jego wysoką postać.

– Co ty robisz? To nie twoja praca. – Adam nawet nie żałował tego ostrego tonu.

Tymczasem John nadal zmiatał.

– Pomagam przyjacielowi, który zrobiłby dla mnie to samo, gdybym był w trudnej sytuacji.

Adam odepchnął od siebie wzbierającą w nim falę uczuć, która groziła, że znów go pochłonie. John zerknął zza ramienia.

– Tam stoi druga miotła, jeśli chcesz mi pomóc.

Adam był w rozterce, ale nie mógł pozwolić, by John pracował sam, więc wziął drapak i w milczeniu zmiatali razem wszystkie szczątki w kupki, a potem przy pomocy szufli zapełniali wielkie beczki, które John przyniósł ze sobą.

– Rozmawiałem z komendantem Witherspoonem wczoraj, po tym jak zabrali cię do szpitala. – John oparł się o miotłę, robiąc sobie chwilę przerwy.

Adam podniósł na niego wzrok, pytając:

– Ty tu byłeś?

– A jak myślisz, kto wyciągnął cię z budynku?

Adam wziął gwałtowny wdech.

– Ty? Ale skąd w ogóle dowiedziałeś się o pożarze?

– Zadzwoił do mnie jeden z parafian. Od razu przyszedłem na miejsce. Nigdy nie spodziewałem się, że będziesz tak narażać głowę dla kawałka drewna.

Rozbawienie w oczach Johna łagodziło trochę przyganę. Jednakże ogrom niebezpieczeństwa,

jakiemu musiał stawić czoła dla Adama, przyprawił go o poczucie wstydu. A co, jeśli straciłby życie ratując go?

– Nie wiem, co mam powiedzieć, John. Ocaliłeś mnie tak wiele razy, że już nawet nie potrafię tego zliczyć.

John wpatrywał się nieubłaganie w Adama.

– Jedyne, co pragnę ratować, to twoja dusza. Nie pozwól, żeby nieszczęście zmieniło twoje życie, Adamie. Zaufaj Bogu, który chce ci pomóc pozbierać się i iść dalej. On cię nie opuści.

Adam przełknął z goryczą.

– Teraz już sam nie wiem, w co mam wierzyć. – Zamiatał dalej energicznie, by wylać swój gniew.

– Zatem moim zadaniem jest ci to przypomnieć. – John podszedł do niego. – Nie byłem pewien, czy powinienem ci o tym mówić czy nie... – Zawahał się. – Ponieważ to ja wynajmuję ten lokal, komendant przekazał mi pewne informacje, które chyba powinieneś znać.

Poważny ton kapelana sprawił, że Adam przerwał pracę.

– Co takiego?

– Komendant uważa, że to mogło być podpalenie.

– Podpalenie? – To jedno słowo sprawiło, że Adam poczuł się, jakby dostał w głowę obuchem. Kto mógłby zrobić coś takiego? To w ogóle nie miało sensu. Czyżby ktoś dowiedział się o przeszłości Adama i chciał sprzeciwić się w ten sposób, żeby były więźniem nie otworzył tu swojego sklepu? Ktoś, kto uważał, że Adam źle prowadziłby interes?

Adam cisnął szuflą na kupę śmieci. Czuł w ustach posmak goryczy. Czy taki już będzie jego los do końca życia? Czy będzie musiał nieustannie uciekać przed gradem uprzedzeń i nienawiścią, tylko z powodu dawnego błędu? Może i Bóg mu wybaczył, nawet jego rodzina, ale inni nie.

– Czy dobrze słyszałem „podpalenie”?

Adam podniósł wzrok i spostrzegł pana Sampsona kluczącego pomiędzy spalonymi szczątkami. Poczul nagły niepokój i zapytał:

– Tak. A co?

Starszy mężczyzna chwycił się za jedną z szelek.

– Tak jak mówiłem już wczoraj konstablowi, zauważyłem dziwnego mężczyznę kręcącego się wśród ludzi. Wydawał się wyjątkowo zainteresowany tym, co się tu działo. Szczególnie pytał o pana.

Coś zmroziło Adama.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

Sampson podszedł bliżej, żując w ustach wykałaczkę.

– Dość przyzwoicie. Chociaż miał ohydną bliznę na twarzy. Na początku pomyślałem, że to pański przyjaciel, ale wydawało się, że jest wręcz rozczarowany, gdy wielebny wyciągnął pana ze środka.

Serce Adama stanęło w piersi.

– Fitzgerald.

– Kto? – dopytywał John, podchodząc do niego bliżej.

Adam przeszedł przez pokój, wzniecając obłok kurzu, i wyjaśnił:

– Były narzeczony Maggie.

To powiedziawszy, zacisnął ręce w pięści. Co to miało znaczyć? Czy Maggie była w niebezpieczeństwie, czy był to przekaz skierowany jedynie do Adama?

Nagle utrata sklepu i całego mienia straciła na znaczeniu. Teraz liczyło się tylko dobro Maggie. Dopóki nic jej nie groziło, Adam był w stanie znieść każde nieszczęście.

– Przepraszam, John. Muszę iść ostrzec Maggie. Do zobaczenia później.

☞☞☞
Dobijał się do drzwi domu Rylana od dobrych kilku minut, więc był zaskoczony, kiedy w końcu otworzyły się ze skrzypnięciem. Na progu stała Colleen z Ivy na rękach.

– Muszę porozmawiać z Maggie. To pilne!

– Spóźniłeś się. – Patrzyła na niego tępym wzrokiem. – Maggie odeszła.

Wszystkie włosy stanęły mu dęba.

– Co to znaczy? Dokąd odeszła?

Na jej twarzy odmalowało się cierpienie.

– Wróciła do Irlandii... z Neillem Fitzgeraldem.

Przeszył go ogień grozy tak mocny, iż jego oddech stał się nagle płytki.

– Przecież to niedorzeczne! Ona nigdy nie zgodziłaby się z nim gdziekolwiek pójść, a tym bardziej wracać do Irlandii.

Colleen bez słowa przeszła do salonu. Adam z wielkim wysiłkiem ruszył za nią. Odłożyła Ivy do kołyski i podeszła do stojącego w kącie biurka, skąd wzięła kartkę.

– Kiedy wróciłam dzisiaj po południu z sierocińca, znalazłam to. – Pełne oskarżenia spojrzenie wycelowane było w Adama. – Maggie napisała, że złamałeś jej serce i nie mogła już dłużej tu zostać.

Adam wziął od niej papier i szybko przebiegł wzrokiem liścik.

– Tu jest napisane, że odpływają dziś wieczorem. – Potarł dłonią po brodzie, starając się skołatana głową pojąć powagę sytuacji. Podniósł wzrok i zapytał: – Gdzie jest Rylan?

– Oczywiście ruszył, by ją odszukać. Nie ma go już od ponad godziny. – Siostra zmarszczyła brwi w wyrazie zaniepokojenia.

– Colleen, Fitzgerald jest niebezpieczny. Zdaje się, że to on wznicił pożar w moim sklepie. Najpewniej zmusił Maggie, żeby z nim poszła – oświadczył Adam i założywszy czapkę, skierował się w stronę drzwi.

W korytarzu pojawiła się mała Delia z Chesterem. Na policzkach dziewczynki widać było mokre ślady łez.

– Wujku Adamie, ciocia Maggie wyjechała i nawet się nie pożegnała. Proszę, czy przyprowadzisz ją z powrotem?

Widok jej niebieskich oczu skąpanych we łzach wbił się niczym sztylet w serce Adama. Uklękawszy koło niej, przytulił ją i rzekł:

– Postaram się zrobić co w mojej mocy, kochanie. – Ucałował ją w główkę, a potem skinął w kierunku Colleen i wyszedł szybko na zewnątrz.

Przez całą drogę na nadbrzeże Adam błagał Boga, by ocalił Maggie, aby zachował ją z rąk tego maniaka. Modlił się, by jakimś cudem, Rylanowi udało się już ją odnaleźć.

Ale godzinę później, gdy przecesał port na rzece Hudson, nie znalazłszy ani śladu Rylana albo Maggie, jego nadzieja zaczęła przygasać. Zatrzymał się i przepatrywał statki stojące na wybrzeżu. Skąd miał wiedzieć, na której z tych łodzi mogli się znajdować? Sama możliwość tego, że już odpłynęli, dręczyła go niepomiernie, tak samo jak przekonanie o tym, co Fitzgerald mógłby zrobić Maggie, gdy tylko ruszą na morze.

W żyłach pulsowała mu bezsilna wściekłość, dodatkowo rozrywając bólem rany po oparzeniu. Zmierzch zmienił się w atramentową ciemność. Wilgotna mgła przenikała go do szpiku kości. Chuchał w zeszywniałe palce, a jego rozpacz zaczynała przekraczać wszelkie granice.

Proszę, Boże, pomóż mi ją odnaleźć.

Zbierając w sobie całą determinację, skierował się z powrotem w stronę biura okrętowego. Może któryś z pracujących tam ludzi zapamiętał coś. Ktoś z pewnością zauważyłby taką piękną kobietę, jaką była Maggie...

Nagle jego uwagę zwróciły podniesione głosy i poczuł zastrzyk adrenaliny. Może Rylan odnalazł Maggie i potrzebował jego pomocy. Ruszył biegiem w kierunku zamieszania, wymijając skrzynie i beczki. Nieopodal parowca dostrzegł dwóch spierających się mężczyzn. Człowiek stojący do niego plecami, uniósł dłoń i zawołał:

– Ale ja mam dwa bilety, które są już opłacone.

– Nie mogę nic z tym zrobić, proszę pana. – Ten drugi, bardziej krzepki odsunął się, tak iż Adam dostrzegł stojącą z boku kobietę.

Serce Adama stanęło w piersi.

Maggie.

Maggie stała w porcie, drżąc od ostrego wiatru, który przenikał jej ubranie. Otuliła się ciasniej swoją peleryną, daremnie próbując ochronić się przed wilgocią. Nic jednak nie mogło zatrzymać zimnego dotyku strachu, który ścisnął jej duszę. Zapach zgniłych ryb drażnił jej powonienie, wzmagając tylko mdłości, które przeszywały żołądek. Gdy Neill negocjował ze stewardem szczegóły ich przejazdu, odmówiła chyba wszystkie modlitwy, jakie знаła, a nawet posunęła się do targowania z Bogiem, byle tylko otrzymać tak potrzebny jej cud. Cokolwiek, żeby tylko nie musiała wsiadać na ten statek. Czas mijał, ale nie widziała żadnych perspektyw na odmianę i zaczęło zalewać ją przytłaczające poczucie beznadziei.

Mrugała, starając się powstrzymać łzy i zmuszając się, by nie myśleć o cierpieniu i niezrozumieniu, jakie musiały malować się na twarzach Rylana i Colleen, gdy czytali jej list. Tylko świadomość tego, do jak strasznych rzeczy zdolny był Neill, a także pamięć o broni w jego kieszeni, dawała Maggie siłę, by skreślić te kilka słów i opuścić dom. Fakt, że musiała wykorzystać odrzucenie przez Adama jako wymówkę, przepełniał ją poczuciem winy. Rylan bez wątpienia odpłaci za to Adamowi niemiłą i niesłuszną wizytą oraz powie mu dokładnie, co myśli o tym, jak potraktował Maggie.

A jak zareaguje Adam, gdy dowie się, że wyjechała z Neillem... po tym wszystkim, co dla niej zrobił, by chronić ją przed byłym narzeczonym? Ból przeszywał jej serce na myśl, że jeszcze dodała nieszczęść Adamowi.

Donośne głosy przywołały ją do rzeczywistości. Neill wygrażał pięścią w kierunku stewarda stojącego przed biurem, co pozwoliło Maggie domyślać się, że nie wszystko idzie zgodnie z planem. Co by się stało, gdyby nie udało im się dostać dzisiaj wieczorem na statek? Rozejrzała się dookoła siebie. Przecież chyba Neill nie oczekiwał, że przenocuje w jednym z tych brudnych pensjonatów dla żeglarzy. A gdyby tak było, może miałyby okazję do ucieczki?

Jakiś ruch w głębi portu przykuł jej uwagę i nagle zamarła.

Dobry Boże, to niemożliwe.

– Maggie! – Adam gnał prosto w jej stronę, a poły jego marynarki powiewały za nim, gdy przepychał się między pracownikami ładującymi skrzynie na wóz. – Maggie, poczekaj.

Jej początkowy przypływ radości na jego widok zmienił się w przerażenie, kiedy Neill obrócił się. W chwili, gdy dostrzegł Adama, Irlandczyk przyciągnął ją do boku, trzymając jej ramiona w stalowym uścisku.

– Pamiętaj, co mam w kieszeni – wysyczał jej nad uchem. – I bez skrupułów pošlę w niego kulkę.

Nogi trzęsły się jej pod obszerną suknią. Jak uda jej się przekonać Adama, że wyjeżdża z Neillem z własnej woli? Starła się opanować drzenie i przygotować na to, co musiała zrobić, żeby zapewnić bezpieczeństwo ukochanemu.

– Przyszedłeś życzyć nam *bon voyage*, O’Leary? Jak miło z twojej strony. – Falszywie przymilny ton Neilla sprawił, że przeszły ją ciarki.

– Puść ją, Fitzgerald. Ona nigdzie z tobą nie jedzie.

Wiatr rozwiewał mu włosy na czole. Jego oczy błyszcząły jak zimna stal.

Ramię Maggie bolało od siły chwytu Neilla. Zaciśnęła usta, by powstrzymać płacz. Syrena statku wydała donośny, żalostny dźwięk, taki sam jak jej posępna dusza.

– Obawiam się, że się mylisz. Maggie błagała mnie, żebym zabrał ją do ojczyzny i z wielką chęcią to uczynię.

– Ty kłamliwy psie! – Adam natarł w jego stronę.

Neill wyciągnął rękę, mówiąc:

– Stój tam. Maggie, powiedz mu, że mówię prawdę. Że wracasz do kraju, by mnie poślubić.

Czuła ciężar spojrzenia Neilla przewiercającego się przez nią, ale sama nie spuszczała wzroku z Adama. Neill przysunął się tak, że czuła twardy pistolet wbijający się w jej bok. Przełknęła z trudem i uniosła brodę. Dla dobra Adama musiała sprawić, by odszedł.

– To prawda. Nie ma już tu nic dla mnie.

– Zamierzasz *go* poślubić? – To surowe pytanie ubodło ją prosto w serce niczym sztylet... przesywający, rozdzierający, dobijający.

– Tak – wyszeptała słabym głosem, a jej kłamstwo było ledwie dosłyszalne wśród portowych odgłosów. Oczy piekły ją, ale bała się nawet mrugnąć, bo czuła, że wtedy wydarzy się coś okropnego.

Skrzyżował ręce na piersi, nie spuszczać z niej wzroku.

– Nie wierzę ci. On cię zmusza, żebyś z nim wyjechała. – Zrobił krok w jej stronę, a jego twarz spowita była w katuszach. – Nie rób tego, Maggie. Chodź ze mną.

Jej serce rozpadało się na kawałki. Gdyby tylko mogła go posłuchać... Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale żadne słowa nie chciały nadejść. Neill pociągnął ją za sobą.

– Ona już zdecydowała, O’Leary. Lepiej byłoby, żebyś to przyjął. Wracaj sobie odbudowywać ten swój sklepik, póki jeszcze możesz.



Adam zaciśnął dłonie tak mocno, że zaczęły go boleć knykcie. Gniew, który starał się okiełznać, przeradzał się w prawdziwą furję. Obawiał się, że wkrótce nie wytrzyma, choć wciąż jeszcze tłumił to w sobie. Musiał być mądry, by przechytrzyć tę szuję.

Maggie jeszcze nigdy go nie okłamała, ale teraz to robiła. Widział to w przerażeniu malującym się na jej twarzy. Pomijając morderstwo, co jeszcze mógł zrobić Adam, by uwolnić ją raz na zawsze z jego objęć?

Czas wydawał się stanąć w miejscu. Maggie walczyła w mocnym uścisku Neilla, gdy ciągnął ją za sobą. Potknęła się na rąbku sukni i uderzywszy się o molo, krzyknęła głośno.

Gniew stawał się jak dziki zwierz ryczący w duszy Adama, domagając się uwolnienia i popychając go do tego, żeby na zawsze wyzwolić Maggie od Fitzgeralda. Jednak gdyby to uczynił, z pewnością powieszono by go za morderstwo albo, w najlepszym wypadku, dostałby dożywocie.

To była cena, którą gotów był zapłacić, by ocalić Maggie od równie potwornego uwięzienia.

Fitzgerald zrobił krok w jego stronę, bez słów prowokując go do działania i nagle do Adama dotarła straszna prawda. Musiałby poświęcić swoją wolność, aby zapewnić Maggie jej własną.

Pomimo chłodnego nocnego powietrza krople potu zrosiły jego czoło i płynęły mu po twarzy. Nie śmiał się nawet ruszyć ani przerwać kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem.

Za plecami Neilla Maggie zerwała się na nogi i próbowała przepchnąć się obok niego, ale ten zdążył chwycić ją w pasie. Adam natarł po raz drugi.

– Adamie! Nie! – krzyczała. – On nie jest tego wart.

Adam skrzyżował wzrok z jej rozpaczliwym spojrzeniem.

– Masz rację, Maggie. On nie jest, ale ty jesteś.

– Chodź w takim razie, tchórze. – Drwina w głosie Fitzgeralda pasowała do szyderczego uśmiechu malującego się na jego obliczu. – Pokaż jej jaki jesteś. Obroń jej wątpliwy honor.

Adam wyskoczył do przodu i walnął pięścią w arogancką twarz Fitzgeralda. Łajdak uskoczył w tył, uderzając w słupek do cumowania. Zanim zdążyłby dojsć do siebie, Adam złapał go za przód koszuli i podniósł do góry. Krew ciekła z nosa Fitzgeralda, plamiąc jego elegancki płaszcz.

Zapach krwi dodatkowo wzmógł agresję, która krążyła w żyłach Adama, tak że miał ochotę zrównać z ziemią ten ludzki pomiot. Ale huk jakiejś potężniejszej siły wybrzmiewał mu w uszach.

Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają.

Adam wyraźnie słyszał w głowie słowa Johna, cytującego fragment z Ewangelii według świętego Mateusza, który kazał mu zapamiętać. Słowa mądrości, które podtrzymywały go na duchu podczas pobytu w więzieniu i pomagały mu zachować zimną krew w trakcie sporów na więziennym dziedzińcu.

Starł się ze wszystkich sił uspokoić rozszalały oddech i zwolnić bicie serca. Pragnął opanować gniew, który wciąż jeszcze domagał się uwolnienia.

Odepchnął od siebie Fitzgeralda, parsknąwszy z odrazą. Gnojek przewrócił się na linie odgradzającej ich od wody.

Adam stanął szybko u boku Maggie. W jej wielkich z przerażenia oczach były łzy. Chwyciła go za poły marynarki, mówiąc:

– Uwważaj! On ma broń.

Adam drgnął. Broń zmieniała wszystko.

– Maggie, uciekaj! Znajdź Rylana. On gdzieś tu cię szuka.

– Nie zostawię cię.

Adam odwrócił się i spostrzegł, że Neill dźwignął się na nogi i szarpał się, próbując wyciągnąć coś z kieszeni.

Teraz miał tylko jedną szansę. Ze wściekłym wrzaskiem natarł na przeciwnika. Krzyk Maggie rozdarł powietrze, płosząc stado mew w bezwładnym furkocie skrzydeł.

Na chwilę zanim Adam zdołał go dopaść, w oczach Neilla błysnął tryumf. Eksplozja wstrząsnęła nocą. Adama przeszło palące ciepło i zaczęło promieniować w jego piersi. Spojrzał na swoją koszulę i z zaskoczeniem dostrzegł szkarłatną plamę przesiąkającą przez materiał. Nogi zrobiły się pod nim miękkie. Chwyając się za pierś, odwrócił się do Maggie.

– Uciekaj – wychrypiał. Tylko czy ona w ogóle go usłyszała?

Wielkie łzy płynęły po przerażonej twarzy Maggie. Chciał ją pocieszyć... powiedzieć, żeby nie płakała, że ją kocha, ale opadły mu powieki, ucinając z nią wszelki kontakt.

A potem wszystko stało się ciemnością.

Maggie z przerażeniem stała w miejscu ze wzrokiem utkwionym w leżącym na ziemi Adamie. Zza niego, z pistoletem w dłoni, w jej stronę wybiegł Neill. Było jej obojętne, czy pociągnie za spust. Jeśli Adam umarł, ona też pragnęła śmierci.

Upadła na kolana koło ciała ukochanego. Zdjęła szal z głowy i zwinawszy ciasno, przyłożyła prowizoryczny opatrunek do rany Adama.

Jak przez mgłę zaczęły docierać do niej coraz głośniejsze krzyki i odgłos kroków. Obejrzała się akurat w chwili, gdy przysadzisty robotnik portowy zamierzał się pałą na Neilla. Ten uniósł dłoń, by sparować cios i wtedy wypadł mu pistolet.

– Niech ktoś pomoże! – Jej krzyk był chyba zbyt słaby, by zwrócić czyjąś uwagę, ale słyszała, że inni podjęli wołanie.

– Wezwijcie doktora!

– Sprowadźcie karetkę. Jakiś człowiek został postrzelony!

Gdzieś z tyłu głowy słyszała urywki rozmów i krzyków przechodniów. Jednak całą uwagę miała skupioną na Adamie i staraniach, by zachować go przy życiu. Oddychał płytko, co wskazywało, że jeszcze na dobre nie odszedł z tego świata.

Kiedy po raz kolejny uniosła wzrok, dostrzegła znajomą twarz i emocje ścisnęły ją za gardło. Pomachała wysoko wolną ręką. Zaniepokojony Rylan przybiegł i kucnął obok niej.

– Maggie! Jesteś cała?

– Tak, ale Adam jest ranny – powiedziała łamiącym głosem, który zaraz zmienił się w szloch.

– Steward wezwał już ambulans. Zaraz tu będą.

Łza skapnęła jej po policzku i spadła na szyję Adama, spływając mu za kołnierz.

– Trzymaj się, Adamie. Pomoc już nadchodzi.

Proszę, Boże, nie pozwól mu umrzeć.

Rylan odsunął jej zimną, zeszywniałą dłoń z przesiąkniętego krwią szala.

– Zmienię cię.

Ustała, wiedząc, że on będzie mógł naciskać mocniej. Dotknęła zakrwawioną dłonią policzka Adama, w ciszy prosząc, by żył. Jego twarz przybrała trupioblady odcień. I kiedy już Maggie myślała, że zwariuje z rozpaczy, przez tłum gapiów przeszedł pomruk i spomiędzy grupy wyłoniło się dwóch mężczyzn z noszami.

Przenieśli na nie Adama, podczas gdy Rylan wciąż uciskał ranę. Razem podnieśli się i skierowali

do czekającego na nich w porcie ambulansu zaprzężonego w konie.

Zaciskając dłonie na spódnicy, Maggie ruszyła za nimi. Stała bezradnie, gdy sanitariusze wkładali Adama na tył pojazdu. Chciała za nim wejść, ale jeden z mężczyzn zatrzymał ją, mówiąc:

– Przykro nam, panienko. Musi pani jakoś inaczej dostać się do szpitala.

Maggie wpadła w złość.

– Jadę z nim. Ktoś musi przypilnować, żeby nie wykrwawił się na śmierć podczas jazdy.

Drugi z mężczyzn zmienił Rylana i teraz to on przyciskał szal Maggie, by zatamować upływ krwi.

– Fred się tym zajmie. Powinniśmy już ruszać. Im szybciej zobaczy go doktor, tym większe będzie miał szanse.

Rylan delikatnie odsunął ją, by ratownicy mogli zamknąć wóz.

– Chodź, moja droga. Jakoś tam dotrzemy.

– Nie tak szybko, sir. Obawiam się, że musimy prosić tę młodą damę, by poszła z nami. – Z tłumu wyszedł policjant. – Nazywam się O'Brien i reprezentuję policję Nowego Jorku. Pani była świadkiem tej strzelaniny?

Maggie tylko skinęła. Cała jej uwaga skupiła się na odjeżdżającej karetce. Strach ścisnął jej sercem aż do bólu. Czy zobaczy jeszcze Adama przy życiu? Przytknęła zaciśniętą w pięść dłoń do ust, by powstrzymać łkanie.

Rylan otoczył ją ramieniem.

– Moja siostra została porwana przez człowieka, który postrzelił pana O'Leary'ego.

Policjant wyciągnął notes.

– W takim razie, im szybciej dostarczy nam pani informacji, tym szybciej będzie pani mogła udać się do szpitala.

Teraz, gdy podniecenie już ustało, ludzie zaczęli się rozchodzić. Robotnicy portowi wrócili do pakowania beczek na statki towarowe. Kilku maruderów narzekało na niebezpiecznych pasażerów, którzy pływają w tych czasach na statkach.

Jakieś odprężenie opanowało teraz Maggie, ogarniając całe ciało. Ambulans zniknął jej z oczu. W tym momencie nie mogła już nic uczynić dla Adama, poza pomocą w ujęciu sprawcy. Wzięła głęboki wdech.

– Czy zawiezie nas pan do szpitala, gdy skończymy?

Policjant skinął.

– Zgoda.

– Dobrze – rzekła. – Zaczynamy w takim razie.

☼☼☼
Promienie wschodzącego słońca wpadały przez okno szpitalnej poczekalni, w której stała Maggie, wpatrując się w dal. Miała nadzieję, że nadejście poranka rozpędzi ciemności panujące w jej duszy, ale światło dzienne niewiele pomogło ukoić lęki. Prawie całą noc spędziła, przemierzając tam i z powrotem to pomieszczenie, bo nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, żeby odpocząć. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała pozbawioną życia twarz Adama w chwili, gdy zabierała go karetka.

Kiedy tylko powiedziała konstablowi wszystko, co wiedziała na temat tego zdarzenia, ten dotrzymując obietnicy, zawiózł ją i Rylana do szpitala. W połowie nocy odesłała Rylana do domu, przekonując go, że Colleen na pewno odchodzi od zmysłów, a ona już sobie poradzi sama. Adam był operowany, co i tak oznaczało, że nie może zrobić nic poza oczekiwaniem... i modlitwą.

Prosiła Boga, by okazało się, że Neill go nie zabił.

Szloch ścisnął jej gardłem, ale starała się go powstrzymać. Musiała być silna. Jeśli Adam przeżyje operację, będzie potrzebował jej, by pomogła mu wyzdrowieć.

Maggie wpatrywała się w swoje odbarwione dłonie złożone na sukni. Nie chciała zmywać tego ostatniego dotyku Adama... widzialnego śladu jego poświęcenia, jego cennej krwi, którą wylał dla niej. Adam stracił wszystko – swój sklep, marzenie o przyszłości, a może nawet życie – wszystko to dla niej. Sprowadzała na swojego ukochanego same nieszczęścia.

W otaczającym ją bezruchu pustego pokoju Maggie zmagala się ze sobą, starając się zachować wiarę. Chciała wierzyć, że Bóg nie był obojętny na to, co im się przytrafiło. Że panował nad tym wszystkim.

Gdzie jesteś, o Panie? Potrzebuję Cię. Adam Cię potrzebuje.

Tylko głuchy odgłos kroków w korytarzu przeciął ciszę.

Nie mogąc już dłużej znieść przebywania sam na sam ze swoimi myślami, Maggie wyszła z poczekalni i skierowała się do dyżurki pielęgniarek.

Kobieta uniosła głowę znad papierów, które wypełniała.

– W czym mogę pomóc?

– Czy może mi pani powiedzieć, jak się czuje Adam O’Leary? Parę godzin temu zabrano go na operację.

Pulchna pielęgniarka o matczynym wyglądzie zmierzyła wzrokiem twarz Maggie, jej ubiór i splamione dłonie.

– Pani jest spokrewniona?

Maggie pokiwała głową, licząc, że kobieta nie będzie żądać dokładniejszych wyjaśnień. Nie

wiedziała, czy ktokolwiek z rodziny O'Learych został poinformowany o strzelaninie, i czy ktoś się tu zjawi. Zapewne wkrótce przyjedzie Colleen, ale Maggie nie mogła już dłużej czekać, by się dowiedzieć, czy Adam w ogóle żyje.

– Chwileczkę – odparła pielęgniarka. – Sprawdzę, czego uda mi się dowiedzieć.

– Dziękuję – wyszeptała w odpowiedzi.

Wycieńczenie przenikało Maggie, próbując ją zwalić z nóg. Bała się, że jeśli nie będzie się ruszać, przewróci się. Chodziła po długim korytarzu, starając się nie zwracać uwagi na ostre szpitalne zapachy przenikające powietrze. Parę minut później pielęgniarka wróciła w towarzystwie doktora.

– To jest doktor Plimpton. On może pani powiedzieć coś więcej na temat stanu pana O'Leary'ego.

Lekarz zrobił krok w przód i przyglądał się jej znad okularów.

– Czy mam przyjemność z panią O'Leary?

Maggie oblizła spierzchnięte wargi.

– Nie. Jestem spokrewniona... w dalszej linii.

– Rozumiem. – Zmarszczył brwi, ale westchnąwszy, mówił dalej: – Pan O'Leary przeszedł pomyślnie operację i żyje. Kula przeszła mu lewe ramię, na szczęście nie powodując poważniejszych uszkodzeń. To nie był prosty zabieg, ale wydaje mi się, że udało nam się ocalić rękę.

– Czy on wyzdrowieje?

– Jeszcze za wcześnie, by mieć pewność, szczególnie biorąc pod uwagę znaczną utratę krwi. Ale można być dobrej myśli.

Nogi Maggie zaczęły drżeć, czuła się jak marionetka, której sznurki ktoś nagle puścił luzno.

– Mogę się z nim zobaczyć?

Mężczyzna zmierzył ją pełnym troski wzrokiem.

– Na razie zakazałem odwiedzin. Musi wypocząć. Ale może pani przyjść później w ciągu dnia i dowiedzieć się, czy jego stan uległ zmianie. – Popatrzył ostentacyjnie na jej brudne ręce. – W międzyczasie proponowałbym, żeby udała się pani do domu i również nieco odpoczęła.

– Dziękuję, doktorze – wyszeptała.

Skinął w jej stronę i oddalił się korytarzem. Maggie była rozedrgana od mieszającego się w niej poczucia ulgi i rozpaczy.

Adam przeżył noc. Jeśli Bóg da, przeżyje też dzień.

Adam walczył, starając się wydostać na powierzchnię nieprzeniknionych wód. Musiał wpaść w porcie do rzeki. Miał wrażenie, jakby jego nogi były związane i przez to trudno mu się było poruszyć. Wziął głęboki wdech i zaczął kaszleć. Bolało go gardło. Gdy spróbował usiąść, poczuł przeszywający ból w piersi i upadł z powrotem.

Gdzie był? Mrugając oczami, starał się skupić wzrok.

– Powolutku, panie O’Leary. – Ckliwy, kobiecy głos wstrząsnął nim.

Zerknął w prawo i dostrzegł obszerną kobietę w białym czepku, pochylającą się nad nim. Musiał być w szpitalu... znowu.

Palący ból przeszył górną część jego torsu, przypominając mu natychmiast wszystkie wydarzenia zeszłej nocy.

Maggie! Czy Neill porwał ją, gdy już pozbył się Adama?

Siwowłosa mężczyzna w białym kitlu wszedł do sali.

– Leż, synu. Nie psuj naszej ciężkiej pracy.

Adam skrzywił się, niezadowolony z faktu, że nie może nawet wstać.

– Czy ktoś o mnie pytał?

Lekarz zignorował jego pytanie i uniósłszy przykrywające go prześcieradło, obmacywał obandażowaną pierś Adama.

– Dobrze. Już nie krwawi. Proszę się nie ruszać bez wyraźnej konieczności. A jeśli już pan musi, proszę poczekać, żeby pielęgniarka panu pomogła.

Zaciskając zęby z ogromnego bólu, Adam chwycił raptownie lekarza za rękaw.

– Maggie! – zawołał, oddychając chrapliwie i z trudem łapiąc powietrze.

Doktor uwolnił się z jego uścisku, odpowiadając:

– Jakaś kobieta pytała o pana. Pójdę zobaczyć, czy jeszcze tu jest.

Kiedy wyszedł, pielęgniarka dalej kręciła się wokół niego i podała mu dawkę laudanum. Adam przełknął, krzywiąc się na gorzki posmak. Chciał wrzasnąć na nią, by dała mu spokój, ale powieki mu się zamknęły i ponownie odpłynął.

Gdy otworzył oczy, zobaczył pełną troski i cierpienia twarz Maggie. Poczuł przelewającą się przez całe jego ciało ulgę. Nie wyjechała do Irlandii z tym szaleńcem.

– Maggie – rzekł, próbując jej dotknąć, ale to był wysiłek ponad jego możliwości.

Ujęła jego dłoń i uniosła do swojego policzka.

– Jesteś... cała? – Był słaby jak dziecko i nawet nie mógł mówić.

– Tak. Ale nic nie mów albo doktor mnie wyprosi. – Ucałowała jego dłoń.

– Fitzgerald? – zdołał jeszcze wyświszczyć.

– Policja go złapała. Pójdzie do więzienia za to, co ci uczynił. – Położyła rękę na jego ramieniu i poczuł przenikające od niej ciepło. – Tak mi przykro, Adamie. Za ten pożar, za strzelaninę... te wszystkie straszne rzeczy, które wydarzyły się przeze mnie. – Jej głos łamał się.

– Nie... twoja... wina.

– O tak, *moja*. Od kiedy się poznaliśmy, sprowadzałam na ciebie same nieszczęścia. – Łzy płynęły strumieniami, oblewając jej kochaną twarz.

Adam żałował, że nie ma siły, by je otrzeć.

– Nieprawda. – Lekarstwo zaczynało działać i miał zbyt ciężkie powieki. – Teraz jesteś bezpieczna, Maggie.

Uścisnęła jego dłoń.

– Tak. Jestem bezpieczna i ty też. Odpoczywaj i odzyskuj siły.

– Poczekaj. – Czuł, że odpływa.

– Będę tu, gdy się zbudzisz.

Aurora siedziała przy stole w jadalni rodzinnej posiadłości na Long Island, popijając kawę nad poranną gazetą. Obok niej, na podłodze zwinięta w kłębek spała jej kotka Petunia. Minęło już trzy tygodnie od wybuchu wojny w Europie. Trzy tygodnie od wyjazdu Gabe'a. A jednak wciąż było jej trudno uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Przejrzała w gazecie wszystkie artykuły o wojnie, tak jakby miała znaleźć jakieś wspomnienie o Gabe'ie. Ale żadne wiadomości o walkach nie dawały jej pocieszenia.

Odwróciła na następną stronę, starając się zdusić w sobie narastającą melancholię. Gabe obiecał, że pewnego dnia wróci i ona wierzyła, że dotrzyma tej obietnicy, jeśli tylko będzie mógł. Ale w rzeczywistości może minąć wiele lat, zanim zakończy się wojna, zanim będzie mógł z powrotem do niej przyplłynąć. A co, jeśli przytrafi mu się coś strasznego?

– Auroro, masz gościa. – Tata wszedł do pokoju, a pod jego podkreśnionym wąsem rozciągał się promienny uśmiech.

Westchnąwszy, odłożyła gazetę.

– Kto taki?

– Doktor Reardon. Czeka w salonie.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Co on robi na Long Island?

– Przyjechał, by się z tobą zobaczyć. Nie każ mu czekać, córciu.

Aurora nie widziała się z doktorem od czasu zakończenia epidemii. Zaszła się w rodzinnym domu, pielęgnując własne rany, i nie była jeszcze w stanie wrócić do miasta. Musiał pewnie zachodzić w głowę, co się z nią stało.

Poprawiła spięte w kok włosy, wygładziła suknię i skierowała się do salonu.

Philip stał pod oknem, wpatrując się w rozciągające się przed nim ogrody. Słyszając, że ona weszła, obrócił się szybko. Odziany w szary garnitur i krawat, prezentował się bardzo atrakcyjnie – zupełnie odmiennie od zwykłego białego kitla. Jego widok przyniósł jej jednocześnie pocieszenie i bolesny zawód, bo on też przypominał jej o Gabe'ie.

– Witaj, Auroro. Wyglądasz pięknie jak zawsze.

Aurora skinęła uprzejmie, kryjąc zaskoczenie wywołane tym komplementem.

– Co sprowadza pana aż tutaj, doktorze?

Przechylił głowę i rzekł:

– Może moglibyśmy mówić sobie po imieniu, gdy nie jesteśmy w pracy?

– Dobrze, Philipie. Usiądziesz? – spytała, a następnie gestem wskazała na sofę stojącą pod przeciwległą ścianą.

Oboje zajęli miejsca, zachowując odpowiednią odległość między sobą. Aurora uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co się tu sprowadza?

– Mam dla ciebie nowiny z Bellevue i chciałem dostarczyć ci je osobiście. – Wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Przyszło do mnie, gdyż to ja cię protegowałem.

Serce waliło jej w piersi, gdy brała list z jego rąk.

– Wiesz, co tam jest w środku?

Uśmiechnął się.

– Domyślam się, ale powinnaś otworzyć sama.

Drżącymi dłońmi rozerwała kopertę i wyjęła złożoną kartkę. Szybko przebiegła wzrokiem tekst.

Gratulujemy przyjęcia na pielęgniarstwo w Bellevue.

Reszta utonęła we mgle. Podniosła wzrok na Philipa, starając się opanować łyzy radości.

– Jestem przyjęta!

– Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. – Uśmiechał się do niej promiennie jak nauczyciel dumny z ucznia. – Gratuluję ci, Auroro.

Przepęłniło ją poczucie wdzięczności.

– Dziękuję ci, Philipie... za wszystko. Bez twojej opieki i rekomendacji to nie byłoby możliwe.

W przyptywie radości przechyliła się w jego stronę, by ucałować go w policzek. On jednak źle odczytał jej intencję i przyciągnął ją do siebie, całując prosto w usta.

Zmroziło ją zdziwienie, a kartka wyleciała jej z dłoni i sfrunęła na podłogę. Odskoczyła od niego jak oparzona i zerwała się na równe nogi.

– Wybacz, Philipie. Chciałam ci tylko podziękować...

Podniósł się i ująwszy jej dłonie w swoje, rzekł:

– Proszę, nie przepraszaj. Już od dłuższego czasu chciałem to uczynić. W zasadzie przyjechałem tu po coś więcej niż cię pocałować. Przyjechałem, by prosić cię o rękę.

Aurora rozdziawiła ze zdziwienia usta. Targało nią tak wiele uczuć naraz.

– Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

– Pozwól najpierw, że określe się jasno. W pełni popieram twoją edukację. Możemy poczekać do ślubu, aż ukończysz szkołę.

Jego szczere spojrzenie wprawiało ją w zakłopotanie. Był dla niej taki życzliwy i ofiarny. Jak mogła go odrzucić po tym wszystkim, co dla niej zrobił? Ale jak też miała przyjąć jego oświadczenia, gdy jej serce należało do innego?

– Philipie, to wszystko stało się tak szybko. Obawiam się, że ja nie...

Uniósł dłoń, jakby przewidywał jej odmowę.

– Proszę, nie musisz odpowiadać od razu. Daj sobie trochę czasu, żeby to przemyśleć. – Posłał jej uśmiech, w którym kryło się rozczarowanie. – Jeszcze raz, najserdeczniej gratuluję ci tego osiągnięcia. – Ucałował ją powoli w policzek, wziął kapelusz i wyszedł z pokoju.

Gdy zniknął, Aurora usiadła, odrzuciła głowę na oparcie kanapy i starała się stłumić płacz, który ostatnio tak łatwo ją nawiedzał. Musi jakoś znaleźć sposób, by jak najdelikatniej odmówić Philipowi. Modliła się, żeby on to przyjął i by nie wpłynęło to na jej karierę.

Och, Gabe. Jak bardzo chciałabym, żebyś tu był.



Już dwa tygodnie po postrzeleniu doktor oświadczył, że stan Adama poprawił się na tyle, iż może wyjść ze szpitala. Brianna i Gil przyjechali samochodem ojca, żeby go odebrać. Adam zgodził się, by pomogli mu pokonać długi korytarz, choć trochę czuł się rozczarowany, że Maggie nie przyszła zobaczyć, jak wychodzi o własnych siłach.

Mama i Colleen walczyły o to, gdzie umieścić go na czas rekonwalescencji. Adam zdecydował, że łatwiej będzie im w Irlandzkich Łąkach, gdzie jest mnóstwo miejsca i służących, którzy będą mogli się nim opiekować. Ponadto będzie miał okazję, żeby jeszcze umocnić nową więź z ojcem.

Brianna pomogła Adamowi zająć miejsce z tyłu samochodu. Gil spakował jego torbę, a potem wsiadł za kierownicę, zapalił silnik i ruszył.

Gdy Gil prowadził auto pośród zatłoczonych ulic, Adam starał się znaleźć najwygodniejszą pozycję, by nie czuć boleśnie rany. Zerknął z tyłu na Gila oraz Briannę, pytając:

– Dlaczego nie wysłaliście po mnie Sama? Na pewno macie dużo więcej do roboty, gdy już tak mało czasu zostało do waszego wesela.

Brianna odwróciwszy się, posłała mu pełen smutku uśmiech.

– Tak naprawdę to przełożyliśmy ślub o parę tygodni, by mama miała więcej czasu na odzyskanie sił.

Adam skinął.

– To pewnie dobra decyzja. – Skrzywił się, gdy samochód podskoczył na jakimś wyboju

i nadwyreżył jego ramię. Żałował teraz, że nie wziął ostatniej dawki laudanum.

Podczas pobytu w szpitalu miał wiele czasu, by zastanowić się nad przyszłością. Fakt, że był na skraju śmierci i prawie stracił Maggie dał mu nowe spojrzenie na wszystko. Jego sklep, meble, które stworzył... to nie było jedyne, co go określało, co nadawało mu wartość. Prawdziwa wartość pochodziła od Boga, od tego, że należał do Niego i żył według Jego Słowa. Może Adam musiał wszystko stracić, żeby dostrzec, co tak naprawdę się liczyło.

Kochać Boga, kochać swoją rodzinę... i kochać Maggie.

Jego słodką, dzielną Maggie. Serce Adama ścisnęło się na myśl o poświęceniu, którego chciała się podjąć dla niego. Gotowa była wyjechać z Fitzgeraldem, by uchronić Adama. Jeśli jakimś cudem nadal będzie go chciała, gdy już wyzdrowieje, Adam był pewien, że już nigdy nie okaże się takim głupcem, by ją odtrącić.

Otarł wilgotne oczy, skupiając się na widoku mijanych ulic. Zmarszczył czoło, gdy dotarło do niego, że znajdowali się w znajomych mu okolicach.

– Co my tu robimy?

Gil zwolnił i zatrzymał samochód po drugiej stronie ulicy od sklepu Adama, a następnie zaciągnął hamulec.

– Mała wycieczka, zanim wrócimy do domu.

– Tu nic nie ma poza gruzowiskiem – rzucił Adam, krzywiąc twarz w grymasie niezadowolenia.

Brianna otworzyła przed nim drzwi i powiedziała:

– Pozwól, że sami to ocenimy.

Nie mając zbyt wielkiego wyboru, Adam przeszedł za Brianną i Gilem na drugą stronę. Dopiero wtedy stanął jak wryty, gdy ujrzał swój sklep. Cegły nadal nosiły ślady ognia, ale front zdobiły nowe drzwi i okna.

– Kto to zrobił? – zapytał zgrzytliwym głosem.

– Musisz wejść do środka i sam się przekonać – odparła Brianna, puszczając do niego oko.

Gil otworzył drzwi i wpuścił Adama, który stanął zaraz za progiem, nie wierząc własnym oczom. W środku połyskiwały wypolerowane drewniane podłogi. Ściany i sufit zostały odnowione, podobnie jak nowa lada i półki, takie same jak te, które były tu przedtem. Całe pomieszczenie pachniało świeżym drewnem i lakierem.

Fale zdumienia przelewały się przez jego ciało, sprawiając, że kręciło mu się w głowie. Tylko lekko wyczuwalny zapach dymu przypominał o pożarze, który zupełnie strawił to miejsce.

– Jak to możliwe? – zapytał głośno sam siebie, przechodząc w stronę dawnego warsztatu.

Na zapleczu, opierając się o drewniany stół warsztatowy, stał i uśmiechał się w jego kierunku

John.

– Witaj w domu.

Adam gapił się dookoła na komplet narzędzi zawieszonych na hakach, na stertę równo poukładanego w kącie drewna, na tych parę mebli, które uratował, a które teraz stały poustawiane pod ścianą. Skierował pełne zaskoczenia spojrzenie z powrotem na Johna.

– Ty to wszystko zrobiłeś? – Nie mógł uwierzyć, że tak wiele działośo w tak krótkim czasie. Potrzeba byłoby do tego całej armii pracowników.

– Nie do końca. – John wyprostował się. – Zorganizowaliśmy tu takie małe pospolite ruszenie. – Gwizdnął przenikliwie i wtedy otworzyły się tylne drzwi.

Do środka zaczęli wlewać się różni mężczyźni, uśmiejając się i wymachując w powietrzu kapeluszami. John wskazał na nich.

– Dzięki moim współparafianom, którzy się skrzyknęli, by pomóc, udało nam się odnowić sklep i warsztat. Teraz jest gotowy, żebyś zaczął robić meble.

Adam walczył z napływem emocji ściskających go w gardle, gdy patrzył na grupę mężczyzn. Niektórych poznawał, innych nigdy wcześniej nie widział na oczy.

– J-jak ja mam wam w ogóle podziękować?

Jakiś mężczyzna wysunął się na przód i uśmiejając się szeroko, rzekł:

– Nie trzeba. Chyba że zgodzisz się przyjąć ode mnie zamówienie. Moja żona potrzebuje fotela bujanego. Na Boże Narodzenie spodziewa się naszego pierwszego dziecka.

– A mnie przydałby się stół do jadalni.

Coraz więcej podobnych zleceń docierało do jego uszu, gdy mężczyźni podchodzili, by uścisnąć jego dłoń. Dziękował każdemu z osobna, a jego głowa wciąż była pełna niedowierzania.

Stopniowo wszyscy opuścili pomieszczenie tylnymi drzwiami i został tylko John... oraz jeden mężczyzna, który stał oparty o tylną ścianę. Adamowi odebrało oddech, gdy rozpoznał swojego ojca.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, że zaczynasz swój interes? – Po raz pierwszy spojrzenie tych niebieskich oczu nie kryło w sobie dezaprobaty ani potępienia, tylko ciekawość.

Adam odkaszlnął, próbując oczyścić umysł z otępienia i zaskoczenia.

– Wtedy, kiedy osiągnąłbym sukces.

– To mogło być dopiero po wielu latach – odrzekł, unosząc ciemną brew.

Adam przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

– Poczekaj chwilę. – James wyszedł tylnymi drzwiami i po kilku sekundach wrócił z małym

stolikiem, który Adam znał z salonu w Irlandzkich Łąkach. – Twoja matka od lat prosiła mnie, żebym jej to odnowił. – Ojciec wzruszył ramionami. – Wychodzi na to, że poza naprawą ogrodzenia wokół padoków, nie jestem zbyt dobry w pracy z drewnem. – Postawił stół na podłodze. – Wiem, że byłaby zachwycona, jeśli byś to dla niej odrestaurował.

Adam przełknął z trudem przez ściśnięte nadal gardło.

– Z przyjemnością.

John podszedł i poklepał Adama po ramieniu.

– James bardzo nam tu pomógł przy remoncie. Dostarczył praktycznie większość materiałów i włożył także dużo ciężkiej, fizycznej pracy.

Ojciec podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

– Mam nadzieję, że to dobry początek drogi do odbudowania naszej relacji.

Adam poczuł ukłucie w piersi, które wcale niezwiązane było z jego raną i uściśnął dłoń ojca.

– Nie ma takich słów, bym mógł wam obu wyrazić wdzięczność za to, co dla mnie zrobiliście. – Odwrócił się, by uściśnąć także rękę Johna.

Przyjaciel obdarzył go szerokim uśmiechem.

– Jest jeszcze ktoś, kto zasługuje na twoje podziękowania. To ona była inicjatorką. James i ja tylko zebraliśmy pracowników.

Serce skoczyło Adamowi do gardła.

– Ona?

John wskazał dłonią na schody prowadzące na piętro, gdzie było mieszkanie.

– Zdaje się, że czeka na ciebie.

Adam przełknął i zwrócił się do ojca:

– Powiesz Bree i Gilowi, że będę za minutkę?

– Oczywiście – odparł ojciec, śmiejąc się.

Adam skierował się w stronę schodów i powoli wspiął się po stopniach. Kiedy wszedł do pokoju, nie mógł uwierzyć, jak bardzo wszystko się tu zmieniło. Ściany zostały pobielone, odnowiony piec błyszczał, a nowy stół i krzesła stały ustawione pod ścianą. Zamiast wąskiego łóżka, którego do tej pory używał, zobaczył metalowe podwójne łoże z jego niebieską narzutą z domu. Dotknął dłonią miękkiej tkaniny, starając się powstrzymać łzy napływające do piekących go oczu.

Maggie wyszła z cienia, a światło odbijało się od ciemnych włosów okalających jej twarz.

– Twoja mama uparła się, żebym przyniosła to tutaj, jako jej wkład do twojego nowego domu.

Skierował się w jej stronę jak wskazówka kompasu zwracająca się nieodmiennie na północ.

– To ty się do tego wszystkiego przyczyniłaś?

Złożyła dłonie przed sobą na swojej zielonej lnianej spódnicy.

– Ja tylko to zasugerowałam. John i twój tata podjęli się zebrania ludzi do pracy. – Machnęła dłońmi. – Chociaż to ja pomalowałam tu ściany.

Miał ściśnięte gardło. Przyciągnął ją mocno do siebie.

– Nie wiem, co powiedzieć. Dałaś mi z powrotem nadzieję, cel, przyszłość.

Jej oblicze rozpogodził uśmiech.

– Tego pragnęłam, skoro przeze mnie straciłeś wszystko.

– Nie wszystko. – Poglądził palcem jej jedwabisty policzek, a potem, nie mogąc już dłużej wytrzymać, ucałował ją, a jego serce o mało nie wyskoczyło z piersi z przyływu miłości.

Maggie chętnie odwzajemniła pocałunek. Potem odsunęła się z drżącym śmiechem.

– To jak, podoba ci się nowe łóżko? Jakaś uprzejma pani z kościoła Johna ofiarowała je, ponieważ razem z mężem wyprowadzali się na wieś do syna.

Jakaś lekkość, której nie odczuwał już od lat, przepełniła jego duszę.

– Może być, choć nie jestem pewien, czy jest wystarczające.

Zmarszczyła brwi.

– Jest dużo większe niż to, które miałeś tu przedtem.

Bawił się kuszącym kosmykiem, który opadał jej na ramię.

– Ale czy jest wystarczająco duże dla dwojga?

Jej policzki pokryły się przeuroczym rumieńcem, a w oczach błysnęło oburzenie.

– Co ty sugerujesz, Adamie O’Leary?

Nie potrafił powstrzymać rozbawienia.

– Tylko to, że moja żona mogłaby chcieć coś większego.

– Cóż, jeśli twoja żona jest przyzwoitą kobietą, z pewnością będzie się cieszyć po prostu z tego, że ma ciebie.

Zdrowym ramieniem ścisnął ją mocno i ucałował tak, że nie było już wątpliwości, kogo pragnie poślubić.

– Maggie Montgomery, kocham cię ponad życie i chcę oddać każdą chwilę na to, byś była szczęśliwa... jeśli tylko zgodzisz się zostać moją żoną.

Jej oczy błyszczały jak mieniące się w słońcu łaki.

– Ja ciebie też kocham, Adamie. To dla mnie zaszczyt zostać twoją żoną. – Zarzuciła mu ręce na szyję z taką werwą, że aż jęknął.

– Och, twoje ramię! Przepraszam.

Ale on szybko zamknął ją w uścisku.

– Warto trochę pocierpieć.

Jeszcze raz ustami odszukał jej wargi i tak trwali, dopóki jakiś trzask z parteru nie przerwał im.

– Adamie? – Rozległ się głos Brianny z dołu. – Nie chcę cię popędzać, ale mama będzie odchodzić od zmysłów, jeśli zaraz nie wrócimy do domu.

– Zaraz schodzę. – Zatrzymał się i skradł jeszcze jednego całusa. – A co byś powiedziała na podwójne wesele?

Maggie roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Wspaniały pomysł, ale nie chciałabym zakłócić tego dnia Briannie. Tak długo na niego czekała.

– Masz rację. – Obdarzył ją serdecznym uśmiechem. – To co, w takim razie ślub na Święto Dziękczynienia?

– Może skupisz się jednak na powrocie do zdrowia, a o tym jeszcze później porozmawiamy? – W jej oczach kwitła miłość. – Dzięki Bogu, mamy mnóstwo czasu.

Stojąc przed lustrem w głównym holu, Aurora poprawiła swój ogromny kwiecisty kapelusz i jeszcze raz przewiązała wstęgę różowej sukni – idealnej kreacji na ślub Brianny i Gila. Gdyby tylko mogła dzielić ich radość w tym dniu. Ale takie romantyczne okazje tylko pogłębiały tęsknotę za Gabem.

Fakt, że nie dostała od niego żadnej wiadomości znacznie nadwyrężył jej pewność. Może włączył się w walkę i nie miał jak się z nią skontaktować. A może jednak zapomniał.

Odgłos zbliżających się kroków ostrzegł ją o obecności rodziców.

– Chodź, córciu. Nie możemy się spóźnić na ślub roku. – Głos ojca odbijał się echem w wejściu.

Matka stanęła obok niej przed lustrem.

– Wyglądasz pięknie, moja droga.

– Dziękuję, mamo. Ty też. – Aurora postarała się uśmiechnąć, zdając sobie sprawę, że matka się o nią martwi. Epidemia duru brzuszego odbiła na wszystkich swoje piętno.

Ojciec rzucił jej posępne spojrzenie.

– Pławiłabyś się w glorii swoich własnych zaślubin, gdybyś tylko przyjęła oświadczyzny doktora Reardona. – Wyjął swoją zdobioną laskę ze stojaka w kącie. – Jak długo zamierzasz czekać na tego Irlandczyka, który nawet się nie odezwał?

Bolesne ukłucie przeszło serce Aurory. Tata trafił w sedno jej obaw, bo spodziewała się, że gdyby Gabe żył, z pewnością napisałby do niej. A może powrót do ojczyzny sprawił, że jego uczucia wygasły? Zdusiła w sobie brak pewności siebie i wyprostowała się sztywno.

– Tyle, ile będzie trzeba, tato. Aż uzyskam pewność, że jest tak albo inaczej.

Zanim ojciec zdążyłby coś dodać, wyszła na zewnątrz do czekającego już na nich samochodu.

Dzięki Bogu tata zachował milczenie przez całą podróż do kościoła. Gdy kierowca zatrzymał się przed wejściem do pięknego kamiennego budynku, Aurora w duchu zganiła samą siebie. To był wielki dzień Brianny i Gila. Po tak licznych przeciwnościach, wreszcie mogli spełnić swoje marzenia. Aurora cieszyła się, że uczucie zgorzknienia, które tak długo żywiła wobec tych dwojga, wreszcie zniknęło i nie zamierzała robić nic, co mogłoby zepsuć ich radość. Marzyła tylko, by pewnego dnia ona też mogła doświadczyć tak cudownych chwil.

Ojciec wyciągnął rękę, pomagając jej wysiąść z auta. Wyprostowała się i wzięła głęboki wdech. Powietrze było rześkie, a liście zaczynały już zmieniać kolor. Delikatny wiatr poruszał wstążkami na jej kapeluszu i owinał suknię dookoła jej kostek, gdy szła w stronę kościoła.

U stóp schodów jakiś człowiek z potarganymi włosami opierał się o kulę. Aurora popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Chyba ten włóczęga nie należał do gości weselnych. Mężczyzna odsunął się od barierki i coś w jego postawie sprawiło, że serce drgnęło jej w piersi.

– Czy wyglądam tak źle, że już mnie nie poznajesz?

Zdusiła okrzyk, zasłaniając usta dłonią w rękawiczce. Czyżby to był sen?

Z kulą pod pachą Gabe kuśtykał w jej stronę, wpatrując się w nią tak mocno, że poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Łzy zamazały obraz jego ukochanej twarzy.

Na trzęsących się nogach podeszła szybko do niego. Odrzucił kule i wziął ją w ramiona.

– Auroro, *mo ghrá*. Tak bardzo tęskniłem. – Przycisnął ją mocno do siebie.

– To naprawdę ty?

– We własnej osobie. – Jego irlandzki akcent był jeszcze wyraźniejszy po powrocie z ojczyzny.

Odsunęła się i schyliwszy się, podniosła jego kulę.

– Jesteś ranny. Co się stało?

– To długa, smutna opowieść. Nie na teraz.

– Ale dlaczego nie napisałeś, że wracasz?

Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Nie dostałaś moich telegramów?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Żadnego?

– Nie.

Kciukiem otarł z jej twarzy łzy.

– Och, kochanie... Przepraszam, że się przeze mnie martwiłaś. Nie wiem, co mogło się stać.

Nagle przeniknęło ją niemiłe podejrzenie i zerknęła przez ramię w stronę, gdzie stali jej rodzice, patrząc na całą tę scenę.

– Tato, czy ty odbierałeś telegramy zaadresowane do mnie?

Ojciec zarumienił się, ale nic nie powiedział. Ruszyła przez trawnik i stanęła na wprost niego.

– Wiedziałaś, jak bardzo się martwiłam. Jak bardzo czekałam na wiadomość od Gabe'a, żeby upewnić się, że żyje... i wszystko to przede mną ukrywałaś. Jak mogłeś?! – Jej dłonie drżały od niedowierzania i złości.

– Chciałem tylko twojego dobra. Naprawdę byłem przekonany, że ten mężczyzna nigdy nie wróci... – Ojciec machnął ręką, jakby już wszystko wytłumaczył.

Gabe stanął obok niej.

– Był pan w wielkim błędzie, sir. Byłbym gotów poruszyć niebo i ziemię, byle tylko do niej wrócić. – Gabe skierował się na wprost Aurory i ujął jej dłonie. – Tylko śmierć mogła mnie powstrzymać.

– Och, Gabe! – Głębia miłości bijąca z jego spojrzenia sprawiła, że wszystko się w niej rozplywało.

– Mam nadzieję, że nie działałam przedwcześnie, ujawniając moje zamiary – powiedział Gabe, nie odrywając od niej wzroku. – Ale chciałem prosić o rękę Aurory. Jeśli tylko ona się zgodzi.

Z jej oczu trysnęły łzy i nie czekając na odpowiedź ojca, rzekła:

– Tak, zgadzam się.

– Chwała niebiosom – zawołał Gabe, uśmiechając się do niej. – Teraz potrzeba mi tylko jeszcze jednego. – Ujmując jej twarz w obie dłonie, ucałował ją.

Aurora z rozkoszą upajała się jego zapachem i ciepłem jego warg, zanurzona w bezpiecznym schronieniu jego ramion. Ileż to tygodni tęskniła za tym momentem?

Po chwili odsunęli się od siebie, a Gabe uśmiechając się, wyciągnął rękę i zaproponował:

– Czy mogę ci towarzyszyć?

Roześmiała się głośno.

– Będę zachwycona.

Razem weszli do kościoła, posuwając się powoli, ale pewnie dzięki jego kuli. Radosna melodia grana na pianinie towarzyszyła ich przejściu przez środek kościoła. Jeszcze nigdy w życiu Aurora nie czuła się tak szczęśliwa.

Uśmiechając się przez łzy szczęścia, wznosiła słowa dziękczynienia ku najłaskawszemu i kochającemu Bogu.

Dziękuję, dziękuję, za to, że przyprowadziłeś do mnie z powrotem Gabe'a!



Na fali ogromnej euforii Maggie przeciskała się przez salon pełen gości weselnych. Przyjęcie Brianny i Gila, według życzenia panny młodej, odbywało się w Irlandzkich Łąkach. Pan O'Leary nie szczędził pieniędzy, zamawiając tuziny róż, które teraz zdobiły wnętrze domu oraz balkon na zewnątrz. Maggie napawała się cudownym zapachem kwiatów i westchnęła z rozkoszą.

Dzisiejszy dzień był jednym z najszczęśliwszych w rodzinie O'Learych, na który z pewnością zasłużyli po tym wszystkim, co przeszli. Dzięki Bogu pani O'Leary wróciła do zdrowia na tyle, by uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach, choć wciąż jeszcze łatwo się męczyła. Deirdre i Connor także szybko wydobrzeli, co było zapewne zasługą ich młodego wieku.

Uroczystości były w pełni, a Adam zajmował się obowiązkami drużby, dzięki czemu Maggie mogła wyjść na taras. Chciała znaleźć Gabe'a. Gdy tylko go zobaczyła, zalało ją uczucie wdzięczności. Choć był ranny wskutek wypadku na morzu, jej najdroższy brat wrócił, przyjeżdżając w środku nocy. Napotkała go z samego rana w kuchni z Colleen i ledwie była w stanie uwierzyć w to szczęście. Jednak ze względu na zamieszanie przy przedślubnych przygotowaniach, nie miała okazji z nim porozmawiać. Poza tym Gabe pragnął jak najwięcej czasu spędzić w towarzystwie Aurory. Po tym, jak zakochani cieszyli się sobą już od kilku godzin, Maggie musiała się wreszcie dowiedzieć czegoś na temat rodziny i ich sytuacji w czasie wojny.

Stała przez jakiś czas przy barierce balkonu, wpatrując się w kolorowy tłum gości kręcących się w ogrodzie pod nią i cieszyła się tą wspaniałą sceną. Wiatr bawił się jej włosami i suknią, przypominając jej, jak jeszcze nie tak dawno stała przy innej barierce. Czyżby to rzeczywiście było tylko kilka miesięcy temu, gdy po raz pierwszy dostrzegła Statuę Wolności w chwili, gdy ich statek wpływał do portu Nowego Jorku? Radosnego podniecenia i oczekiwania, które wtedy odczuwała, nijak nie dało się porównać do radości i pokoju, jakie przenikały dzisiaj jej duszę. Posłała w niebo dziękczynienie, wychwalając Boga za to, że przywiódł ją tu, na drugą stronę oceanu do nowego domu i obdarował ją możliwością odnalezienia życiowej miłości. Oboje, ona i Gabe, otrzymali prawdziwe błogosławieństwo, że mogli spotkać w Ameryce swoją drugą połówkę.

Myśl o bracie przypominała jej, po co wyszła na zewnątrz. Gabe i Aurora udali się na spacer jakiś czas temu. Z pewnością powinni już wrócić. Maggie przeczesła wzrokiem morze głów. Ponieważ jednak nie dostrzegła ich, skierowała się do ogrodu. Wkrótce odnalazła parę gołąbków gruchających do siebie na ławce koło fontanny i odczekawszy, aż zakończą namiętny pocałunek, ujawniła się.

– Hej, wy dwoje.

Aurora spłoniła się.

– Maggie, wspaniale znów cię widzieć.

– Ciebie również. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wam przeszkadzam, jednak nie miałam jeszcze okazji porozmawiać z bratem.

Gabe wstał i gestem zaprosił ją, by usiadła.

– Obawiam się, że byłem nieco zajęty od czasu przyjazdu. – Puścił oko w kierunku Aurory, która ponownie się zarumieniła.

Maggie zajęła miejsce obok.

– Więc opowiadaj wszystko.

Gabe skrzyżował ramiona i jego wzrok sposepniał. Popatrzył najpierw na Aurorę, potem na Maggie i zaczął:

– Nadal nie wiem, co tak naprawdę się stało, ale nasz statek zatonął. Mówiło się coś, że to był atak torpedą. W każdym razie, obudziłem się w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu i złamaną nogą. Wyszedłem z tego całkiem nieźle, w porównaniu do innych.

Rozpacz malująca się na twarzy Aurory dobrze odzwierciedlała to, co czuła Maggie.

– Dlaczego nie dałeś nam nic znać?

– Nie chciałem nikogo martwić. Gdy tylko wyszedłem ze szpitala, zatrzymałem się u Tommy’ego i mama oraz dziewczyny zajmowały się mną. Tak w ogóle, to przesyła ci ucałowania.

– A co z wojną?

– Jak dotąd ani Tommy, ani Paddy nie dostali powołania i nie zamierzają się zaciągać, o ile tylko nikt ich nie zmusi. – Skrzywił się i Maggie wiedziała dobrze, co sądzi na temat armii brytyjskiej.

– Reszta rodziny ma się dobrze, ale wszyscy bardzo za tobą tęsknią.

Uklucie smutku przeszło serce Maggie.

– Ja też za nimi tęsknię.

Gabe zerwał kwiat z krzaka obok i bawił się nim w palcach, a na jego twarzy widać było wyraźnie zamyślenie.

– Miałem wiele czasu na przemyślenia, gdy wracałem do zdrowia i już wiedziałem, co muszę zrobić, kiedy tylko wydobrzeję. – Z uśmiechem wręczył kwiat Aurorze. – Musiałem dotrzymać obietnicy złożonej tej pięknej damie. Gdy tylko mogłem, wsiadłem na najbliższy statek.

Pojedyncza łza spłynęła po policzku Aurory, gdy uniosła kwiatka i powąchała go.

Maggie starała się wyobrazić, jak trudnym doświadczeniem dla mamy było wypuszczenie Gabe’a w kolejną podróż.

– Jak mama przyjęła wiadomość o tym, że zdecydowaliśmy się zostać w Ameryce?

Gabe pociągnął ją za włosy.

– Ty to nie umiesz przestać się martwić. Mama od zawsze podejrzewała, że twoim przeznaczeniem jest tu zostać.

Jakieś głupie łzy zbierały się jej w gardle.

– Czy była smutna?

– Trochę tak, skoro teraz wszyscy troje jesteśmy tutaj. Ale to rozumie.

Maggie wyciągnęła chusteczkę ze swojej torebki.

– Jutro napiszę do niej długi list.

– To wspaniały pomysł. A teraz, jeśli mi wybaczysz, droga siostró, chciałbym wreszcie zatańczyć z moją narzeczoną, jeśli nie będzie jej przeszkadzać moje kuśtykanie.

– Z przyjemnością. – Rozpromieniona Aurora podniosła się i ujęła jego dłoń.

Skinęli krótko i ruszyli w stronę domu. Maggie siedziała jeszcze przez jakąś chwilę, pozwalając by jej emocje trochę opadły. Dzisiaj nie było miejsca na smutek czy żal.

– Czy ja widzę tu łzy?

Maggie uniosła głowę i spostrzegła Adama. Jej serce po raz kolejny zadrżało na widok tego przystojnego mężczyzny w smokingu. Nigdy wcześniej nie widziała go tak elegancko ubranego. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, wyglądał jak prawdziwy dziedzic majątku O’Learych.

Podszedł i usiadł koło niej na kamiennej ławce, kładąc rękę na jej dłoniach.

– Co się stało, najdroższa?

To pytanie było tak pełne czułości, że ścisnęło jej gardłem. Nie mogła popsuć tego szczęścia rozmową o tęsknocie za domem. Uśmiechnęła się.

– Nic takiego. Śluby zawsze mnie wzruszają.

Przyjrzał się jej uważnie, a potem podniósł jej brodę i pocałował ją delikatnie.

– Chodźmy lepiej do środka. Chyba drużba musi wygłosić przemówienie.

Splotła swoje palce z jego.

– Czy mówiłam ci już, jak bardzo jestem z ciebie dumna?

– Coś wspominałaś. – Puścił do niej oko i ciepło rozlało się w jej sercu. Potem ocknął się i dodał:
– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego tak bardzo we mnie wierzyłaś, pomimo ostrzeżeń najbliższych ci osób.

Miłość rozpałała się w jej wnętrzu.

– Wierzę, że Bóg nas połączył... żebyśmy mogli sobie wzajemnie pomagać w trudnych chwilach i kochać się.

– Obiecuję, że to właśnie będę czynić do końca swojego życia. – Przyciągnął ją mocno do piersi i jeszcze raz pocałował.

Jej dusza rozplywała się z zadowolenia i wróciła euforia, przyćmiewając wszelkie smutki. Zawsze będzie jej brakować mamy, ale nigdy nie zamieniłaby na nic szczęścia u boku Adama.

Tupot nóg na ogrodowej ścieżce i piskliwy chichot sprawiły, że Maggie i Adam rozstąpili się. Obok nich stała Delia w swojej biało-różowej sukience.

– Wujku Adamie, ciociu Maggie, tata kazał mi was znaleźć. – Jej blond loczki podskakiwały koło zarumienionych policzków.

Maggie uśmiechnęła się, z wdzięcznością myśląc o tym, że Delia tak szybko wróciła do zdrowia.

– Już idziemy, kochanie.

– Dobrze, bo tata nie chciał, żeby was ominęło ogłoszenie.

– Jakie ogłoszenie?

Delia zakryła usta drobną rączką.

– To tajemnica. Musicie szybko przyjść.

Złapała Adama za rękę i pociągnęła go. Ten uśmiechnął się ponad ramieniem do Maggie, która ze wszystkich sił starała się nie roześmiać.

Poszli za gwarem tłumu do jadalni, gdzie stali już pan i pani młoda, gotowi do rozkrojenia tortu. Brianna wyglądała olśniewająco w swojej koronkowej sukni w kolorze kości słoniowej.

Gdy tylko podzielili ciasto i zjedli pierwszy kawałek, Gil odwrócił się w stronę wszystkich gości.

– Razem z Brianną pragniemy podziękować wam za to, że jesteście z nami w tym niezwykłym dla nas dniu. Rozpiera mnie duma, gdyż moja żona ukończyła Barnard College. Bo muszę przyznać, że już nie mogłem się doczekać na nasz miesiąc miodowy, kiedy będę ją w końcu miał tylko dla siebie.

Maggie dołączyła do chóralnego śmiechu.

– Zanim zaczniemy toasty, Rylan poprosił mnie, by mógł zabrać głos.

Rylan wyszedł na środek z Colleen, Delią i niemowlakiem.

– Cieszę się niezmiernie, że możemy tu być z tak wspaniałej okazji. – Uśmiechnął się w stronę słuchaczy, a potem spojrzął na żonę. Ich wzrok był tak serdeczny, że Maggie przeszły ciarki. – Mamy nadzieję, że Brianna i Gil nie będą nam mieli za złe, że włączamy się w ich uroczystość z naszymi dobrymi nowinami. Chcieliśmy ogłosić, że oprócz naszej pięknej córeczki, Delii, Colleen i ja zdecydowaliśmy się zaadoptować też tę ukochaną dziewczynkę, Ivy Kathleen Beatrice Montgomery.

Gdy ustały brawa, Rylan ponownie uśmiechnął się szeroko i mówił dalej:

– Muszę przyznać, że Bóg ma niesamowite poczucie humoru. Nie wspominając już o niewiarygodnym wyczuciu czasu. – Zaśmiał się cicho. – Właśnie się dowiedzieliśmy, że oczekujemy też kolejnego dziecka, które urodzi się na wiosnę.

Temu ogłoszeniu towarzyszyła kolejna eksplozja braw i Maggie uściśnęła dłoń Adama, czując, jak jej serce przepętnia się radością.

– Bóg jest dla nas taki dobry, Adamie.

Ucałował jej czoło.

– Oj, jest, kochanie. Teraz, przepraszam cię, ale muszę sam coś ogłosić.



Adam starał się uspokoić nerwy, gdy unosząc lampkę szampana ze stołu, zaczął:

– Jako družba chciałbym wznieść toast za parę młodą. Zanim jednak do tego przejdę, mam nadzieję, że wybaczycie mi, że zajmę wam chwilę. – Jego dłoń drżała lekko, gdy przerwał, by zebrać myśli. – Większość z was wie, że spędziłem jakiś czas w więzieniu. Kiedy tam byłem, spotkałem dobrego chrześcijanina, który pomógł mi stawić czoła trudnej prawdzie o sobie samym i nakłonił mnie, bym pogodził się z rodziną. – Adam przełknął ciężko, przywołując w pamięci twarz Johna. – Dzięki jego kierownictwu, nauczyłem się doceniać prawdziwą wartość rodziny. – Adam popatrzył w kierunku, gdzie stali jego rodzice. Ku jego zdziwieniu, ojciec przeszedł przez tłum i podszedł, by go uściskać. To nieoczekiwane zachowanie wzbudziło w nim burzę uczuć. Zaciśnął mocno szczęki, żeby nie wybuchnąć płaczem na oczach wszystkich zgromadzonych.

Ojciec stanął na wprost gości i powiedział:

– Jak zapewne wiecie, przechodziłem ostatnio czas próby. To, że o mało co nie utraciłem mojej Kathleen sprawiło, że doceniłem wszystko, co daje nam Bóg. – Zerknął na Adama. – Jestem pod wrażeniem tego, w jaki sposób Adam potrafił odmienić swoje życie... i jestem dumny, że mogę nazywać go... swoim synem.

Uścisnął dłoń Adama i jeszcze raz go przytulił. Adam zerknął na matkę, która uśmiechała się przez łzy szczęścia. Nawet nie miał odwagi, by spojrzeć na Maggie, gdyż bał się, że całkiem się rozklei. Zamiast tego uniósł kieliszek i zawołał:

– Za Gila i Briannę, żeby wasza miłość trwała wiecznie, a Bóg niech wam błogosławi i da waszemu małżeństwu wielką radość i wiele dzieci.

– Amen. – Rozległy się oklaski i goście unieśli kieliszki.

Adam w cichości serca wznosił jeszcze dziękczynienie za tę drugą szansę, którą otrzymał od swojego ojca. Po raz pierwszy w życiu, czuł się rzeczywiście na swoim miejscu.

Jakiś czas później, gdy przyjęcie zaczynało już dobiegać końca, wyszukał Maggie w tłumie i wziął ją na bok do altanki, by na chwilę pobyć z nią sam na sam. Czekał na odpowiedni moment, by dać jej niespodziankę.

Wpadła w jego ramiona, westchnąwszy z zadowoleniem.

– Briannie bardzo podobała się ta cedrowa skrzynia. Czy mi też taką zrobisz w prezencie ślubnym?

Zmierzył ją wzrokiem, gotów jej wszystko obiecać.

– Jeszcze piękniejszą. Zrobię meble do całego naszego domu.

– Tylko gdzie ty chcesz znaleźć miejsce dla jakichś dodatkowych mebli?

Zaśmiał się, widząc jej pełne niedowierzania spojrzenie.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że pozwolę ci mieszkać w tym malutkim pokoiku nad sklepem?

Popatrzyła na niego poważnie.

– Mogę żyć z tobą gdziekolwiek, kochanie. Dopóki tylko będziemy mogli być razem.

Pogładził jej policzek.

– Kocham cię bardziej niż powietrze, Maggie, i mam nadzieję, że pewnego dnia będę wart twojego serca.

Uśmiechnęła się czule.

– Nie musisz zdobywać mojego serca... ani mojej miłości. One już do ciebie należą... teraz i na zawsze.

Serce Adama wypełniło się takim ogromem miłości i czułości, że nawet nie spodziewał się, iż to możliwe.

– Mam coś dla ciebie. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę. – Taki pierwszy prezent ślubny.

Zmarszczyła nos zaintrygowana.

– Ale do naszego ślubu jeszcze wiele miesięcy.

Uśmiechnął się tylko i odparł:

– Otwórz.

Poczuł, jak przyspiesza mu tętno, gdy ona rozkleiła kopertę i wyjęła zawartość. Trzymała papier w drżących rękach.

– Bilety do Irlandii?

Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spędzić nasz miesiąc miodowy w Cork i pokazałabyś mi swoje miasteczko.

– Och, Adamie! To najwspanialszy prezent pod słońcem. – W jej oczach błysnęły łzy. – Ale skąd mogłeś sobie na to pozwolić?

– Ze względu na wojnę bilety na statki parowe nie mają teraz wielkiego wzięcia, więc dostałem dobrą cenę.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale on unosząc palec, dodał:

– Jeszcze jedno. – Upewnił się, że Maggie go słucha. Widział jej smutek, kiedy wydawało się jej, że nie patrzy i wiedział dobrze, jak bardzo tęskniła za mamą. – Jeśli twoja mama będzie chciała, pomyślałem, że moglibyśmy ją tu sprowadzić... żeby zamieszkała z nami.

Maggie wydała zdławiony krzyk i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przytulał ją do siebie, gdy łkała

na jego ramieniu, a jego duszę przepelniało poczucie satysfakcji. Łzy szczęścia był w stanie znieść.

– Oczywiście nasza podróż będzie zależała od sytuacji na froncie. Po tym, co przeszedł Gabe, być może trzeba będzie jakiś czas odczekać. – Odsunął się trochę, by spojrzeć jej prosto w oczy. – W międzyczasie, co powiedziałaabyś na to, żebyśmy ustalili datę ślubu?

Rozpływał się, widząc jej rozpromienioną twarz.

– To może na jutro?

Adam roześmiał się, widząc jej błyszczące oczy i pochylił się, by znów ją pocałować. Dziękował Bogu z głębi swojego serca za bezcenny dar miłości, za to, że uwolnił go z kajdan przeszłości i obdarował obietnicą wspaniałej przyszłości.

Z Maggie u boku będzie mógł dalej rozbudowywać dziedzictwo O’Learych i zostawić po sobie szlachetną spuściznę... taką, z której będą dumni jego najbliżsi i sam Bóg.

SŁOWO OD AUTORKI

Szlachetne serce było szczególnym wyzwaniem dla autorki... i chyba jeszcze większym dla redaktorów. Ale w jakiś sposób to tylko dodało na jakości w końcowym efekcie tej powieści.

Po pierwsze, muszę coś wyznać. Na początku wcale nie lubiłam Adama O’Leary’ego – ani trochę. W zasadzie, podczas pisania *Irlandzkich Łąk*, początkowo zakładałam, że będzie jeszcze bardziej wrogo nastawiony wobec Gila Whelana. Jednakże praktycznie zupełnie wycięłam go z tamtej książki, sugerując, że miał na pieńku z ojcem i prawdopodobnie zaangażował się w „niezbyt legalne” interesy.

Jak więc miałam sprawić, żeby został bohaterem *Szlachetnego serca*, skoro go nawet nie lubiłam?

Wydarzyło się jednak coś niesamowitego. Im bardziej zagłębiałam się w historię życia Adama, jego prawdziwą naturę, tym bardziej zaczynałam pałać do niego sympatią! Mam tylko nadzieję, że potraktowałam go słusznie i czytelnicy również go pokochają. Wykorzystałam osobę silnej kobiety, takiej jak Maggie, by popatrzeć na błędy jego przeszłości i mimo wszystko go kochać, co idealnie odzwierciedlało bezwarunkową miłość Boga wobec swoich dzieci.

Chcę podziękować całemu zespołowi wydawnictwa Bethany House za tę ciężką pracę dla mnie. Szczególne podziękowania kieruję dla Dave’a Longa i Charlene Patterson za ich znakomity wkład redaktorski i wszelkie rady! Dziękuję też Noelle Buss i Amy Green za to, że pomogli takiemu nowicjuszowi jak ja w promocji tej publikacji. Doceniam ich cierpliwość i hojność!

I po raz kolejny nie mogłabym nie wspomnieć o wielkim długu wdzięczności wobec moich krytyków – Julie Jarnagin i Sally Bayless, które stanęły na wysokości zadania i wprowadziły tak wiele ulepszeń! Jestem im szczególnie wdzięczna za ich przyjaźń i wsparcie.

Oczywiście, koniecznie muszę podziękować mojej rodzinie – mężowi, Budowi, oraz naszym dzieciom, Leanne i Ericowi – za ich nieustającą miłość i zachęty!

Tak bardzo się cieszę, że współtworzę grupę autorów publikujących w Bethany House. To dla mnie ogromne błogosławieństwo, że mogę się z wami dzielić swoimi opowieściami!

Najserdeczniejsze pozdrowienia

Susan

O AUTORCE

Susan Anne Mason opisuje swój styl literacki jako romanse okraszone wiarą. W swoich powieściach lubi szczególnie poruszać tematy przebaczenia i odkupienia. *Irlandzkie Łąki* to jej pierwsza powieść historyczna, dzięki której wygrała konkurs *Fiction from the Heartland* sponsorowany przez organizację Mid-American Romance Authors, będącą częścią krajowego stowarzyszenia pisarzy powieści romantycznych (Romance Authors of America).

Susan mieszka pod Toronto, w stanie Ontario, razem z mężem, dwójką dzieci i dwoma kotami. Uwielbia czerwone wino oraz czekoladę i wcale nie przepada za śniegiem, mimo że jest Kanadyjką. Jest przeszczęśliwa w tych rzadkich chwilach, gdy ma cały dom dla siebie. Poza pisaniem książek, Susan pasjonuje się też wyszukiwaniem w Internecie informacji na temat swojego rodowodu oraz od czasu do czasu oddaje się pasji scrapbookingu.

Więcej informacji o Susan i jej książkach można znaleźć na stronie <http://susanannemason.com>

[1] Rz 8,28.